

P. 9786 Chr. Arch,

# KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 9-10

1948

---



A. BOBKOWSKI — List \* St. GRYZIEWICZ — Środki polityki gospodarczej \* G. ORWELL — Raffles i panna Blandish ♦  
ARKUSZE POETYCKIE: J. PIETRKIEWICZ, J. ŁOBODOWSKI, T. S. ELIOT ♦ K. ROGALIŃSKI — Scherzo „Infernalnej” \* J. JASIENCZYK — Półśmiech zażenowania ♦  
NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI: Zapiski Amb. R. Raczyńskiego \* Wł. POBÓG-MALINOWSKI — Na rumuńskim rozdrożu ♦ ARCHIWUM POLITYCZNE ♦ POLEMIKI ♦  
KSIĄŻKI

## SPIS RZECZY

|                       |   |    |
|-----------------------|---|----|
| Andrzej Bobkowski:    | <i>List</i> .....                       | 3  |
| Stanisław Gryziewicz: | <i>Środki polityki gospodarczej</i> ... | 12 |
| George Orwell:        | <i>Raffles i panna Blandish</i> .....   | 48 |

### ARKUSZE POETYCKIE

|                     |                                   |    |
|---------------------|-----------------------------------|----|
| Jerzy Pietrkiewicz: | <i>The Spelling of Love</i> ..... | 59 |
| J. S. Elliot:       | <i>Pieśń dla Symeona</i> .....    | 64 |
| Józef Łobodowski:   | <i>Ze „Złotej Hramoty”</i> .....  | 65 |



|                 |  |    |
|-----------------|--|----|
| Witold Nowosad: | <i>Bolesław Miciński (1911-1943)</i> ..        | 72 |
| J. B.:          | <i>Polski Teatr Białorusi Zachodniej</i> ..... | 77 |



|                   |                                    |     |
|-------------------|------------------------------------|-----|
| Karol Rogaliński: | <i>Scherzo „Infernalnej”</i> ..... | 89  |
| Janusz Jasińczyk: | <i>Półśmiech zażenowania</i> ..... | 105 |

### NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

|                             |  |     |
|-----------------------------|--|-----|
| Roger Raczyński:            | <i>Zapiski</i> .....                   | 116 |
| Władysław Pobóg-Malinowski: | <i>Na rumuńskim rozdrożu (dok.)</i> .. | 130 |

### ARCHIWUM POLITYCZNE

|                |  |     |
|----------------|--|-----|
| Piotr Niemira: | <i>Struktura niemieckiego życia politycznego</i> ..... | 179 |
|----------------|--|-----|

### POLEMIKI

|               |   |     |
|---------------|---|-----|
| Diplomaticus: | <i>Legenda o imperializmie amerykańskim</i> ..... | 186 |
|---------------|---|-----|

### KSIĄŻKI

|                             |                                       |     |
|-----------------------------|---------------------------------------|-----|
| Maria Czapska:              | <i>Z tamtego świata</i> .....         | 194 |
| Wiktor Weintraub:           | <i>Książki angielskie</i> .....       | 207 |
| Jerzy Lerski:               | <i>Księga beznadziei</i> .....        | 216 |
| Władysław Pobóg-Malinowski: | <i>„Zagwiący wrzesień”</i> .....      | 221 |
| Aleksander Janta:           | <i>Raport profesora Kinsey'a</i> .... | 228 |

Wydawca: EDITION ET LIBRAIRIE « LIBELLA »

12, rue St-Louis en l'Île, Paris (IV<sup>e</sup>)

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

PARYŻ

Nr 9-10

1948

INSTYTUT



LITERACKI

W związku z okresem wakacyjnym, bieżący numer «Kultury» wydajemy jako podwójny i z tego powodu cena jego jest nieco wyższa. Następny numer ukaze się w pierwszych dniach września rb. w normalnej objętości i cenie.



P. 9486 Chr. Arch.

PRINTED IN FRANCE

Imprimerie de la S. N. I. E., 32, rue de Ménilmontant — Paris (20<sup>e</sup>)

## List

*«Ta doskonałość pewności krępuje mnie. Wszystko jest zanadto jasne.»*

*Mallarmé, «Igitur».*

Mój drogi! Piszę do ciebie ten list, gdyż odszedłeś zbyt nagle; odwróciłeś się i znikłeś szybko w mroku. Ja zostałem. I ponieważ nie wiem, czy zastanowiłeś się nad tym tak istotnym (przynajmniej dla mnie) faktem, muszę pisać. Muszę napisać tych kilka słów tym bardziej, że nie jestem pewny, czy pomyślałeś o tym także później, czytając już u siebie opis naszego spotkania i naszej ostatniej rozmowy, poprzedzającej nagle pożegnanie.

Piszę «nagle pożegnanie», a nie «nagłą decyzję powrotu», bo wiem, że decyzję swą powziąłeś na długo przed tym wieczorem, w który rozstaliśmy się na jednej z cichych uliczek paryskich. O powzięciu jej przedtem świadczył chociażby dobór argumentów, jakimi tę decyzję obudowałeś, jakimi ją wprost ufortyfikowałeś — i to nie tyle w obawie ataków od zewnątrz (takich bunkrów logiki nie rozwała się tak łatwo), ile w celu uchronienia jej przed zamachami wewnętrznymi.

Nie przecz. Wiesz tak samo dobrze, jak ja, że cechą charakterystyczną ideologii, którą zdecydowałeś się przyjąć, jest jej szczególna wrażliwość na to coś, co napiera od środka — i to z punktów, których istnienia nie przyjmuje ona z zasady. Wydaje mi się, że stąd pochodzi ta jej nużąca gadatliwość i te tonny drukowanego papieru: nie wie nigdy, czy jeszcze ich nie za mało, by przygłuszyć tym jęk najbardziej ukrytych sprężyn człowieka, odzywających się nawet w tobie nagle, ni stąd ni zowąd, czasem po latach... Ale odbiegam od tematu.

Wiesz także, że prawdziwie ważkiej decyzji nie pobiera się prawie nigdy pod wpływem argumentów istotnie przekonujących. Naprawdę znajduje się je zwykle «po» i bardzo rzadko «przedtem», nie mówiąc już o tym, iż są one najsilniejsze wtedy, gdy szuka się ich przede wszystkim dla siebie. Można by tu dorzucić jeszcze inne ciekawe prawo, a mianowicie, że siła ich jest odwrotnie proporcjonalna do siły wewnętrznego przekonania o słuszności powzięcia danej decyzji, ale rozważania

na ten temat zaprowadziłyby mnie zbyt daleko. Toteż nie będę tej twojej decyzji analizował, gdyż wcale nie jestem pewny, czy jakkolwiek ważną decyzję można w ogóle poddawać analizie. Jest ona sprawą instynktu, intuicji- i przypomina raczej pociągnięcie za cyngiel w momencie przełomowym, w którym poza tym, że należało zań pociągnąć, nic się właściwie nie wie. Wierz mi, że są rzeczy, których nawet w popularny sposób nie można wyjaśnić.

Nie będę także zbijał twoich argumentów, bo to mogłoby sprawiać wrażenie dyskusji, która, według mnie, jest niemożliwa. Powiedzmy to sobie raz otwarcie i szczerze. Przestańmy grać bezsensowną komedię, która nie prowadzi do niczego i w której ja, dając się wciągać w dialog, jestem dla ciebie tylko marmurową płytką. Uderzając w nią zimną stalą twojej logiki, używasz jej wyłącznie do sprawdzania czystości twoich dialektycznych dźwięków. Jak wszystko w twoich rękach, tak i to staje się dla ciebie jeszcze jednym narzędziem, sprawdzianem, lustrem. Ten narcyzm myślowy pozbawia cię często spostrzegawczości. Wsłuchany tylko w swój ton, nie jesteś w stanie pochwycić wewnętrznych drgań płytki. To, że nie wydaje ona dźwięku i milczy, wystarcza ci; ale to, że nie możesz jej bardzo często unieść, nie dociera już do twojej świadomości. Są to dwa światy krańcowo odrębnych drgań i dźwięków, między którymi osiągnięcie jakiejś harmonii jest zupełnie niemożliwe. I albo płytka pęknie od uderzeń stali, albo stal skruszy się od uderzeń w płytkę. Dyskusja, punkt po punkcie, jest tu wykluczona. Ma bowiem tylko wtedy jakiś sens i nie jest przysłowiową grą w karty ślepego z bezrękim w dwie zupełnie różne gry, gdy rozmawia się tym samym językiem, gdy pojemność ideowa słów i określeń jest dla obydwu stron mniej więcej jednakowa i wreszcie gdy każda ze stron gotowa jest zgodzić się przynajmniej z częścią też przeciwnika.

Istnieje tu jeszcze cały szereg warunków, lecz kto wie, czy ta «gotowość» nie jest w końcu najważniejsza. Ty jednak jej nie posiadasz i skoro raz szczerze uznałeś wyższość świata, do którego powróciłeś, wówczas nie możesz tej gotowości od siebie wymagać. Oto powód, dla którego wtedy nie starałem się obalać twoich oskarżeń i wysłuchiwałem ich z uwagą, pragnąc jedynie przedstawić ci potem mój punkt widzenia. Nie chciałem i nie chcę przeciwstawić ci żadnych argumentów, aby osłabić nimi twoje, bo po pierwsze zgadzam się z szeregiem zarzutów dalej i nawet mógłbym ci jeszcze sam dołożyć z tuzin innych (w dostarczaniu ich Anglosasi rozpoczęli ostatnio współzawodnictwo pracy), a po drugie wszelką próbę osłabiania ich wobec ciebie uważałem za bezcelową: tkwiłeś już w innym świecie, w którym przeciwnikowi mojej kategorii nie wolno przyznać racji, choćby się miało ku temu ochotę. Chciałem natomiast ułożyć obok mojej poglądy i wyjaśnić ci tylko, dlaczego uznając słuszność i wnikliwość twoich ataków, zgodziłem się z tobą tylko do tej pamiętnej latarni, od której po-

szedłeś już dalej sam. «Pomimo wszystko» — jakbyś powiedział. Tylko o to mi chodzi.

Kiedy w ów wieczór wracałem powoli do domu i szedłem gnąc się pod ciężarem twoich oskarżeń, ten punkt naszej rozmowy dla mnie był najważniejszy. Od pierwszej chwili. I ja wtedy powziąłem przeciwieź decyzję. Opisując całą naszą rozmowę, ciągle zapytywałem siebie, dlaczego nie postąpiłem tak, jak ty — co byłoby rozwiązaniem na wskroś logicznym, skoro zgadzałem się z tobą. Musiałem w tym sam siebie docisnąć znacznie bardziej, niż ty uczyniłeś to ze sobą i ze mną. Pasując się w myślach z tym pytaniem, położyłem akcent wyłącznie na «dlaczego» i starałem się zapomnieć o wszystkich formułkach, jakich i po tej stronie nie brak i od których do samozagłania jest już bardzo blisko. Od początku moich rozważań na ten temat przyjąłem, że wszystko, co powiedziałeś, jest absolutnie słuszne; nie ukrywałem też przed sobą, że zawsze ściskasz jakąś część mnie w imadle twojej logiki. I wtedy dopiero zacząłem się siebie pytać.

Zacznę od pozornie drobnego szczegółu; jest on jednak dla mnie ważny i wyjaśnił mi od razu wiele. Otóż nie wiem, czy przez wrodzoną ci rzetelność, czy tylko przez zapomnienie, ale ciskając we mnie twoimi argumentami, którymi podbudowałeś swą decyzję, nie używałeś słowa «Polska». Mówiłeś o świecie, tym innym, przeciwstawiłeś go temu, za którym początkowo tęskniłeś i do którego uciekałeś z narażeniem życia; decydując się na powrót, postanowiłeś wrócić przede wszystkim do tego innego świata. Polska była w tym dla ciebie jakby stacją, położoną w obrębie tego samego kraju. Poruszam to, bo pozwoliłeś mi dostrzec, że i dla mnie — gdybym się zdecydował na powrót — nie byłby to powrót do Polski, lecz przede wszystkim wjazd do innego świata, do świata, z którym coraz bardziej nie mogę się pogodzić wbrew wszelkim argumentom *pro* i w którym największy dorobek rodzimy w dziedzinie materialnej i obecność najbliższych nie zdołałyby zrównoważyć braków na innych odcinkach, równie dla mnie istotnych, a może nawet ważniejszych. Nie wyobrażaj sobie tylko, że piszę to lekko... Ale tak, bałbym się — wiesz — bałbym się, że troska o odrobine tych nieuchwytnych pokarmów, usuniętych przez ciebie z bogatego *menu*, jakie mi podsuwasz, mogłaby się stać dla mnie większa, niż troska o chleb. Jeszcze ciągle wołam tęsknotę i ciężką troskę o chleb. Nie nie poradzę na to, że waga pewnych zjawisk, jakże dla ciebie białych, jest dla mnie tak wielka. Jestem ci wdzięczny, że nie maskowałeś mi Polską wszystkich w tamtym świecie i nie starałeś się wepchnąć mi do serca tego, co umieszczam normalnie w mózgu: statystyk produkcji i odbudowy, i to bez podawania ceny płaconej za nie przez twoich poddanych. Żądasz coraz wyższej na każdym polu i już nie byłbym zdolny pokryć jej dobrowolnie.

Jest to na pewno egoizm, ale obiecałeś być szczerzy. I może ci, którym każesz płacić coraz więcej, nie licząc się z ich gło-

sem, i którym odmawiasz nawet prawa targu, potrafia to zrozumieć. Nie mogę tego ukryć, że wobec nich czuję się mniejszy, wiedząc, co znoszą i po co cierpią. Nie wykorzystales tego i ze mną nie rób tego nigdy na przyszłość. Nie rzucaj mi pod nogi uproszeń, aby moje serce kręciło sobie na nich kark; nie stawaj się pośrednikiem w piekielnie trudnym dialogu, który naprawdę powinien toczyć się między mną a nimi bez ciebie, bo ty pozostawiasz nam z niego tylko drzazgi, które łatwiej wbijać sobie nawzajem w serce, niż cokolwiek z nich złożyć. Dopuszczasz do rozmów, w których jednak nasza polskość musi się bardzo kurczyć. Nie poszedłem z tobą, bo poszedłszy, chciałem się czuć u siebie w domu. Tymczasem wiem, że to byłoby niemożliwe, choć mnie tak o tym zapewniają twoi towarzysze. Twój luz jest dla mnie za mały, margines za wąski. Przykłady na to dostarczyłeś mi ty sam.

Opis naszego spotkania i naszej ostatniej rozmowy przedrukowano w kraju. Przyznam ci się, że ta skwapliwość z jaką to zrobiono, była dla mnie symptomatyczna. Czyżby zasób i siła argumentów własnych na użytek wewnętrzny były tak szczupłe, że wychwycenie ich po stronie «bankruta» przedstawiało wartość chociażby gratki? Muszę cię jednak uprzedzić, że tekst, z którym dozwolono ci się zapoznać tak szybko, był niekompletny. Wykreślono tam pięć wierszy, które w naprawdę właściwym domu nie powinny nikogo razić. Mało tego: w całym wywodzie — i to twój — były one jeszcze jednym argumentem przeciwko Zachodowi. Ale nie wolno ci go tam przytaczać, u siebie i wobec swoich, równie antyzachodnich, jak ty. Pamiętasz, jak stojąc na mostku, miażdżyłeś mnie tymi słowami i nie wiem, czy nie sponiewierałeś mnie nimi najbardziej. Powiedziałeś wzburzony: «Czytałeś ostatnio o ucieczkach Rosjan do strefy amerykańskiej? I co napisano? Że «użytecznych», sowiecką inteligencję, przewiezie się do Stanów, a co do reszty, to zachodzi możliwość wydania ich z powrotem na zasadzie jakiegoś układu o zwracaniu dezertów»...

Tych trzech zdań brak w przedruku, którym rozporządzasz u siebie. Kto je wykreślił? Co sądzisz o tym? Czy brak tych kilku słów, właśnie tych i nie innych, nie obala właśnie wszystkich twoich wywodów? Świadczy nie tylko o tym, jak szczupłe są granice tego, co bez wahania i bez cudzysłowu mogę nazwać Polską, a jak rozległe są tereny tego innego świata. Bo czyż słowo, wypowiedziane we własnym języku, nie jest jednym z najrozleglejszych terenów tego, co mogę uważać za moje? Świadczy to także o stokroć większym zakłamaniu, niż to, które mi wytykałeś. Przebija z tego najbardziej mi obcy lęk przed nagłym i niespodziewanym słowem; typowy lęk termita, którego kunsztowny system stworzony jest dla życia w nocnych ciemnościach; lęk przed światłem, które zabija na miejscu. Panicznie boisz się światła. Nie chcę i nie mogę skazywać się sam na dożywotnie kłamstwo, o którym nie tylko, że nie mógłbym mó-

wić, ale które kazałbyś mi usprawiedliwić. Czy ten strach przed rabkiem prawdy świadczy też o sile systemu? W imię żadnego systemu i w imię żadnej orientacji politycznej nie potrafię milczeć kiedy wiem, że należy mówić. Przekonałeś się o tym. Nie chcę rozdawać się, nie chcę powiększać liczby ludności, którą po twojej stronie muszę dziś liczyć podwójnie; przeciąłeś mi wół nawet najbliższych. Nie mogę porozumieć się z nimi tak, jakbym chciał. Coraz trudniej przetrzucać mi choćby wąską kładkę myśli ponad wyrwę, która nas przedziela; ponad tą fatalną dla nas próżnią, stworzoną tylko przez ciebie. Nie ukrywam jej istnienia, nie chcę mówić o żadnych «tajemnych więzach», choć boli mnie to straszliwie. Czy ty rozumiesz słowo «ból»? Chyba znowu tylko jako narzędzie. To straszne. Ta próżnia rozpościera się pomiędzy mną, mogącym powiedzieć wszystko, a nimi, nie wiedzącymi właściwie nigdy, o czym wolno im mówić poza planem mówienia. I gdy ja stawiam tu myśli i słowa na pewniaka i wiem, że każde z nich dojdzie do mety, oni muszą przebierać, nie będąc pewnymi żadnego poza twoim słownikiem. Tu myśli dyktują mi słowa, im już dozwolone słowa zaczynają dyktować myśli. I żeby nie wiem jak zapewniali mnie, że tak nie jest, nie uwierzę. Za dobrze wiem, do jakiego stopnia w najwzajemniejszym liście do nich układam moje myśli podług słów.

Po mistrzowsku — przyznaję — wykorzystujesz różnice tła i umiesz zawsze stwarzać przychylnie dla siebie. Na każdym kroku żonglujesz metrem niemieckiej okupacji i podsuwasz go do pomiarów dzisiejszej rzeczywistości. W twoich lekcjach moralności przyjmujesz jako miernik zło ostateczne, krańcowe i przykładasz je do siebie. Dlaczego mówiąc twoim poddanym o moim świecie, bierzesz z niego przeważnie zło i najchętniej rucasz im je pod nogi, wołając: patrzcie i mierzcie! Bo «wychodzisz» najlepiej tylko na ciemnym tle. Dlaczego, gdy coś nie jest całkiem zle tu u mnie, wtedy starasz się to sam przyrządzić tak, aby choć trochę pachniało zgnilizną? Rzucasz im ochłapy, deformujesz. Nie — nie mogę niczego mierzyć złem krańcowym, bo wtedy wszystko wydawałoby mi się dobrem; tajga syberyjska mierzona Oświęcimm uchodziłaby wtedy za bardzo humanitarną. Nie chcę zgodzić się na podsuniecie mi twojej całówki, by obalić nią w sobie cały system miar moralnych, który dla mnie jako człowieka nie tylko konsumpcji i produkcji, eksportu i importu, jest zawsze i wszędzie ten sam. Doza milczenia i doza jednostronnych myśli, wymagane przez ciebie, są dla mnie niestrawne. Stopień elastyczności w ramach sztywnego systemu, jakim dysponujesz i do jakiego zmuszasz innych, aby mogli przeżyć, jest dla mnie nieosiągalny. Bo to, co Brugmans powiedział o Europie, mogę powiedzieć o sobie: jestem człowiekiem cywilizacji nie konformistycznej, człowiekiem będącym w ciągłej walce z samym sobą, człowiekiem, który żadnego pewnika nie przyjmuje za prawdę, jeżeli nie odkrywa jej bezustannie na nowo.

Akceptując twój świat, musiałbym popełnić najgorszy gatunek zabójstwa, jaki istnieją: palnąć w łeb własnej duszy.

Pod wieczór byłem w mieście. Chodziłem nad Sekwaną, przystawałem przy skrzynkach bukinistów i myślałem o tym, że ten list nie ma sensu. Piszę w próżnię. Właściwie dopiero teraz czuję naprawdę i do głębi tę inność twojego świata. Kiedy myślę, że piszę to do ciebie, wydaje mi się, że wyruszyłem na piechotę do którejś z mgławic. Tam, nad rzeką, był najpierw upał, a potem słońce schowało się za murem chmur, sunących na czele burzy. Ruszył wiatr, szarpnął nagle zielenią, załomotał w szarych okiennicach i zaczął bawić się kilku mewami, które przygnał tu aż z Hawru. Patrzyłem na to i przypomniało mi się coś, o czym mi mówiłeś. Uzdrawisko? Nie, mój drogi — poligon. Tymczasem ideologiczny. Od Renu aż po Sycylię musisz się tu mierzyć z przeciwnikiem w grze, w której nie możesz robić tego, co Francuzi nazywają delikatnie *corriger la fortune*. Tu wiele rzeczy oblicza się źle, ale głosy liczy się jeszcze uczciwie, a kartka wyborcza jest pomimo wszystko i jeszcze ciągle wyrazem pewnych przekonań. Policzyłeś je już we Włoszech, policzymy je niedługo i tu. Prawda — zapomniałem, że te doświadczenia nie są dla ciebie miarodajne. Uznajesz jedynie ich rezultaty, gdy są przeprowadzane pod ciśnieniem, w twoich własnych laboratoriach.

Nie lubię tego porównania, ale twoja ideologia posiada naprawdę wiele cech bakcyli. Grzebiąc w książkach, znalazłem jakąś bakteriologię i rozłożywszy ją na kamiennym murze, myślałem o tym, że twój system — przy całej jego sile — wymaga jednak bardzo specjalnego klimatu i spełnienia mnóstwa warunków, aby dawał wyniki. Jest jak *clostridium botulinum* (lubisz taką naukowość, więc masz) czyli bakcyl choroby kiełbasianej. Szeroki powiew wiatru sam odrzucił kilka kartek i jakby podsunął mi przykład tego ciekawego bakcyli, który może rozwijać się tylko bez dostępu tlenu. Należy do grupy tzw. beztlenowców i brak tlenu jest jednym z podstawowych warunków jego rozwoju. Bardzo charakterystyczny — prawda? Sam bakcyl na wolnym powietrzu, jest dla człowieka nieszkodliwy. Aby działać, musi wytworzyć toksynę w warunkach szczególnie dla niego przychylnych. Najlepiej wytwarza ją w naczyniach hermetycznych, np. w puszkach od konserw lub w słojach Weck'a. Beztlenowiec.

Myślałem o tym, bo ty wytykałeś mi błąd, ten jakiś tajemniczy błąd, który wylaził z każdej próby mojego rozwiązania. I w poszukiwaniu go doszedłem do wniosku, że jest on chyba nieunikniony w każdym rozwiązaniu nie hermetycznym, w każdej próbie dopuszczającej nie tylko tlen, lecz także promienie wszystkich kolorów z kosmicznymi włącznie. Ten błąd nie jest właściwością rozwiązań, jakich próbuję, lecz warunków, w jakich przeprowadza się tę próbę tu. Jest się w tym często niewolnikiem warunków — nieraz rzeczywiście niepotrzebnie podtrzy-

mywanych, ale to tylko dlatego, aby nie zamieniać człowieka w niewolnika. Utwierdziła mnie w tym przekonaniu dedykacja, wpisana bladym, tanim atramentem na pierwszej stronie tej bakteriologii. Ktoś, ofiarowując ją komuś młodemu, napisał tam: *S'instruire pour mieux aimer, mieux servir, mieux tolérer*. Podpis był nieczytelny, ale nie biedziłem się, żeby go odczytać. Po co? Był to przede wszystkim podpis człowieka, człowieka, w jakiego ja wierzę. Ach — gdybyś mógł zrozumieć odurzający zapach tych kilku prostych wyrazów ludzkich, ten ogrom szczęścia, jaki może się nagle zrodzić po przeczytaniu takich słów. I nadziei.

Odłożyłem książkę i patrzyłem na rzekę. Wiatr zgarniał mewy i rzucał je pod łuki mostów. Szły lotem koszącym nisko nad wodą, potem nagle podrywały się, zawracały i chwiały, w miejscu, jak latawce puszczane na sznurku. Co dociera do ciebie z tych kilku słów? Chciałem napisać «wyrazów», ale w y r a z a m i są one tylko dla mnie, wyrazami czegoś, czego w ogóle nie rozumiesz. Pewnie tylko «kształcić się» i «służyć» mają w tym jakiś sens dla ciebie, bo «kochać» i «tolerować»?.. Cóż to jest? Tak — jeśli nie odrzuca się tego i nie wykreśla z warunków próby, błąd jest nieunikniony. Na przestrzeni tych pojęć może stać się zbyt wiele złego i dobrego, aby można wszystko przewidzieć.

Błąd, błąd — lecz powiem ci, że dokąd «człowiek jest miarą rzeczy», jak mówi Protagoras (dla mnie będzie nią zawsze — nie ideologia), dotąd ty, który cały swój system stwarzasz w imię jego dobra — jak mówisz i wierzysz — dotąd ty właśnie w człowieku będziesz miał największego wroga. To twój najtajniejszy problem i twoja wewnętrzna tragedia. Zagadkowa? Nie. Ten człowiek, istota nieznaną, mięsca ci szyki na każdym kroku. Tłumaczysz, wyjaśniasz, argumentujesz, on przyznaje ci rację, od trzydziestu lat wmawiasz mu, że na Zachodzie jest tylko padlina, że wszystko, co epokowe, to ty wynalazłeś, że ty stworzyłeś nowego człowieka i ten nowy człowiek — jeszcze ciągle ma ochotę uciec i gdy może, to ucieka. Człowiek, istota nieznaną, ten człowiek, o którym Carrel mówi, że to, co nie da się wymierzyć jest w nim ważniejsze od tego, co daje się zmierzyć — ten człowiek wywraca ci ciągle obliczenia. Mówisz: «Ciekawe, jak łatwo jest zbić z pantafelki pewnych empirystów. Wystarczy byle zakłócenie w szeregu logicznym, byle przypadkowe ogniwo w łańcuchu przyczynowym. Tymczasem istnieje racja dialektyczna, eschatologia pojęta po marksistowsku, która wyznacza punkty wyjścia i punkty dojścia i nie troszczy się o elementy przypadkowe i wtórne. Po czym w życiu walisz się jak długi właśnie na tych elementach. Wystarczy poczytać twoje gazety. Cała autokrytyka, którą wprowadzasz jako namiastkę sumienia (element przypadkowy i wtórny) zakreślając jej jednak ściśle granice w obawie tych elementów (a jednak troszczysz się o nie) świadczy o tym najlepiej. Ciągłe coś rozłazi ci się w palcach, i to wcale nie mniej, niż u mnie. A w tej

produkcji i konsumpcji, podniesionych do rzędu metafizyki, gdzie o maszynach mówi się, jak o żywych, a o żywych, jak o maszynach, krąży biedny człowiek, ta istota nieznana i nie wie, co ma zrobić w sobie z tym wszystkim, czego nie można w nim zmierzyć. I brudzi bezustannie w twojej abstrakcji, zasmarowuje czystą kalkę planu.

Wtedy starasz się w nim to zatłuc. Pakujesz od dziecka do puszek, *bacillus botulinus*, toksyna w wymagalnej dla niej temperaturze wyroku na bezterminowy optymizm. Na zagranicę wysyłasz tylko spory, formy przetrwalnikowe, niezwykle odporne na czynniki zewnętrzne. Ale i te robią ci niespodzianki. Wyznaczasz punkty dojścia, do których naprawdę nigdy nie możesz dojść, nawet jeśli wdrzesz się siłą. Człowiek jest dla ciebie wyłącznie plasteliną, z którą robisz, co chcesz i którą pocieszasz, że jak ją użyjesz, to z następnej cegiełki już na pewno ulepisz to, co chciałeś. I tak sobie lepisz z pokolenia na pokolenie, będąc podobnym do tych przewodników przez zieloną granicę, co to przez kilka dni kluczenia po wertepach, mówią co pięć minut: «Już zaraz, za tą górką». Ale gdy oni doprowadzają w końcu do jakiegoś punktu, ty wodzisz bez końca, bo nie zależy ci tak bardzo na tym, żeby do czegoś dojść, lecz żeby wszyscy chodzili coraz lepiej po twojemu. Chciałbyś myśl zmienić w jakies *perpetuum immobile* i pragnąłbyś zatrzymać życie, aby «policzyć szprychy koła w ruchu», jak pisał Flaubert w jednym ze swoich listów. Dla mnie jest to mrzonka, w której kryje się śmierć wszystkiego, co nazywam życiem.

Zeszedłem ku wodzie. Jacyś chłopcy, obrażeni już przedletnim słońcem, kąpali się tu ukradkiem, w środku miasta. W górze wychyliła się czapka policjanta. Przypomniał im, że to zabronione, oni odpowiedzieli mu, że woda jest ciepła i zaczęli się ubierać. Tak, mój drogi, człowiekowi trzeba dać luz na to, co się w nim nie da zmierzyć, bo niewymierne bierze udział we wszystkim. Inaczej nie tylko ono, ale i to, co daje się zmierzyć, staje dęba przy każdej sposobności. Patrząc na tych chłopców, przypomniałem sobie już po raz nie wiem który to, co Sotion powiedział Ikkosowi w *Dysku Olimpijskim* Parandowskiego: «Przekraczasz granicę życia». Ja nie mogę jej przekroczyć. Poza nią musiałbym tak wystudzić krew, że sam nie wiedząc kiedy, zacząłbym pełzać.

Trzeba kończyć.

Chodzę ulicami tego miasta, z którego — gdyś tu szedł — nie uciekałoby może wielu, lecz z którego potem pragnęli by uciec prawie wszyscy. Jak zewsząd, dokąd przychodzisz. Dziś wracałem do domu o zmroku, jak wtedy. Jeszcze raz przebiegałem w myśli twoje zarzuty, o których mówiłeś, że chciałbyś je wszystkie wykrzyzczyć. Wykrzyzczałeś. Spróbuj teraz zrobić to samo u siebie, spróbuj potępić cokolwiek, co nie jest przewidziane w planie dozwolonych potępień i spróbuj przekroczyć ten plan. Odpowiesz mi na to uskokiem, którego uczysz od kolebki: «Po

co?» Jesteś bez winy poza planem win, w którym jest głównie to wszystko, co ja uważam za najdroższe i co uznać za winę mógłbym tylko pod przymusem.

Nie umiem o tym mówić. Na pewno. Ale ty uczysz mnie tego i uczysz przede wszystkim tych, których chcesz odczytać. Przedzierają się, przeciekają kroplami z twojej gurdy, wsiąkają w tłum po tej stronie. I mówią. Mówią dużo, odwalają z siebie głąz milczenia, którym ich przywaliłeś; mówią o wolności, o swobodzie, o prawach jednostki i o wielu innych rzeczach, jak o chlebie, jak o parze butów; mówią językiem zrozumiałym, konkretnym, którego nauczyli się od ciebie. Słuchają ich; słuchają przy pracy, słuchają po pracy w czerwonych bistrach. Czasem ich biją, bo tak są przekonujący. To, czego ja nie umiem uczynić uchwytnym, a co jest dla mnie tak istotne, oni wkładają do umysłów swoich towarzyszy z taką samą łatwością, jak kęs prymki lub papierosa do ust. Materializujesz moje pojęcia w sposób zdumiewający. Kiedy ich słucham, wydaje mi się nieraz, że wizja nowego świata, tego twojego «co dasz potem», wyjdzie od nich...

A zresztą nie wiem. Uzbierałbyś jeszcze dużo moich «nie wiem», bo ja nie wiem wszystkiego tak, jak ty. Ale ciągle szukam. Mój system, to ciągła walka z tym «szczerym zakłamaniem», które mi zarzucałeś i które polega na tym, że nie czuje się kłamstwa. Gdy jednak ja robię wszystko, żeby je czuć i dopuszczam w tym nawet twój głos, — ty robisz wszystko, żeby kłamstwa w sobie nie czuć. Gdy szuka się prawdy ciągle, bezustannie, trochę gorączkowo, soki krążą. Przystają krążyć tam, gdzie bez końca udowadnia się nietykalną «Prawdę» przy pomocy ciągle tych samych dowodów. To są różnice i to są kontrasty. Przyznasz, że silne; biegunowe, jak wszystko między nami.

Idąc, przystanąłem jak wtedy, pod jedną z syczących latarni. Lubię ich światło kładące się w mroku na świeżej zieleni kasztanów. Patrząc na tę zieleni i chłonąc powiew, dolatujący od Sekwany, pomyślałem o jednym dziwnym zjawisku, nad którym i tobie radzę trochę się zastanowić. Jak dotąd, powtarza się często, a ostatnio coraz częściej. Zdarza ci się mianowicie to, co przydarzyło ci się ze mną: odszedłeś unosząc argumenty, ale nie pozyskałeś mojego głosu. A więc?

Andrzej BOBKOWSKI.

# Środki polityki gospodarczej

## I. Złożoność polityki gospodarczej

« *Nul principe ne peut s'appliquer jusqu'au bout, dès qu'il s'agit de l'homme et de la société.* »

DUPONT-WHITE.

### I. WPROWADZENIE

Zadania polityki gospodarczej są dziś coraz bardziej własnością powszechną. W ślad za tym idzie wzrost zainteresowania sposobami ich rozwiązywania. Społeczeństwa zdają sobie sprawę z tego, że technika polityki gospodarczej stale rozwija się i chętnie śledzą wiadomości z zakresu postępu tej techniki. Gdy jednak oderwana wiadomość w sprawie wynalazku technicznego, w ścisłym tego słowa znaczeniu, może coś mówić sama przez się — postęp polityki gospodarczej musi zawsze być oceniany w całości. Urywki nic nie mówią. A o całości metod współczesnej polityki gospodarczej traktują przeważnie grube książki w językach obcych i trzeba przeczytać wiele takich książek, omawiających poszczególne działy tej polityki, aby wytworzyć sobie pogląd na całość. Głód poznania człowieka w tej dziedzinie, dla którego polityka gospodarcza nie jest specjalnością, jest mało zaspakajany. Istnieje luka do wypełnienia: dostarczenie wielkiej liczby opracowań, popularyzujących w różny sposób współczesną technikę polityki gospodarczej. Jest to pierwszy argument, przemawiający za niniejszą pracą. Będę rad, jeśli da ona ogólny pogląd na środki rozwiązywania zadań polityki gospodarczej.

Istnieje również drugi powód, dla którego praca moja może okazać się pożyteczna. W obecnym etapie rozwoju gospodarczego zadania każdej polityki gospodarczej są bardzo duże: trudno sobie wyobrazić, aby bez świadomego oddziaływania państwa mogły być rozwiązywane jakiegokolwiek ważniejsze zagadnienia społeczne i gospodarcze. Nie znaczy to jednak, aby społeczeństwo miało zamknąć się w sferze swobody, pozostawionej mu przez państwo, nie dając jak największej pomocy w realizacji celów polityki gospodarczej. Chociaż za politykę gospodarczą odpowiada rząd, jest obowiązkiem społeczeństwa (nawet

wtedy, kiedy nie jest to wyraźnie nakazane) współdziałać na każdym kroku w osiąganiu celów polityki gospodarczej. Aby obowiązek ten mógł być należycie spełniony, społeczeństwo musi posiadać znajomość zadań polityki gospodarczej i sposobu ich rozwiązywania.

Z tego punktu widzenia ma duże znaczenie rozpowszechnienie znajomości środków, jakimi posługuje się polityka gospodarcza. Znajomość taka ułatwia wykonanie stawianych zadań i sprzyja doborowi właściwych środków. Ci, co wysuwają zadania i zalecają ich wykonanie, trafiają na przygotowany grunt, bo już znajdują zrozumienie, jak się wogóle postępuje, aby osiągnąć podobne cele. Ci, co są w linii, co tworzą w warsztatach produkcyjnych, albo nawet po prostu ci, co biorą udział w codziennych obrotach gospodarczych jako przeciętni obywatele, bądź też są wykonawcami ustalonych już zadań przy pomocy ustalonych środków, są bardziej użyteczni dla polityki gospodarczej. Lecz rola ich nie kończy się na tym, że lepiej pomagają lub wykonują. Bliski kontakt z życiem, przy znajomości repertuaru środków polityki gospodarczej, pozwala im na podsuwanie wniosków: jaki środek najlepiej odpowiada danemu zadaniu. Stąd wytwarza się prawdziwa współpraca społeczeństwa i aparatu polityki gospodarczej z kierownikami tej polityki. Współpraca nie tylko w zakresie wykonywania ustalonych zadań przy pomocy określonych środków, lecz również w zakresie tworzenia samej koncepcji, to znaczy kształtowania i zadań i metod ich rozwiązywania.

Omówienie środków polityki gospodarczej, jeśli ma spełniać rolę, o jakiej myślę, powinno zawierać nie tylko opis. Konieczne jest wprowadzenie minimalnej przynajmniej orientacji, kiedy — mniej więcej — dany środek powinien lub może być użyty. Stąd występuje potrzeba tła, na które składają się typowe zadania polityki gospodarczej i typowe sytuacje. Oczywiście, zadania polityki gospodarczej nabierają innego wyrazu, gdy są postawione konkretnie, a sytuacje typowe, będąc produktem uogólnienia, nie nadają się do ścisłej analogii. Przypominam więc tylko znaną i normalną różnicę pomiędzy uogólnieniem a rzeczywistością. Istnieją jednak zadania i sytuacje, które wogóle nie nadają się do uogólnienia; w syntezie, prowadzącej do pojęcia zadań i sytuacji typowych, wogóle nie sposób brać ich pod uwagę. To zastrzeżenie jest konieczne, gdyż chodzi o wyjątkowość w przeszłości. Tym bardziej, nie można obejmować uogólnieniem zadań i sytuacji wyjątkowych, które mogą wystąpić dopiero w przyszłości i nie miały precedensu w przeszłości. Tak na przykład, przekracza już nawet miarę wyobraźni ścisła ocena *a priori* dalszych skutków ostatniej wojny. Przewrót w stosunkach daleko odbiega od tego wszystkiego, co jest znane w historii współczesnej cywilizacji. Płynność stosunków jest tak wielka, że za mała jest skala największych wahań koniunktury, aby ją zmierzyć. Nawet stosunki własności i osiadłość ludności są w stanie płynnym. W czasach, następujących





po wojnie, muszą więc być również używane środki wyjątkowe, nie pasujące do repertuaru środków polityki codziennej. Nawet, gdy uwzględnimy, że przecież i tak zwana polityka codzienna musi sobie dawać radę w okresach wielkich depresji. Dlatego, w konsekwencji, nie uważam za możliwe wspomnianie o środkach, które mogą stać się aktualne na tle prawdopodobnych zadań i sytuacji w okresach wyjątkowych. Trzeba więc dla takich okresów zostawić wolny margines, którego zapisanie będzie wymagało nie tylko inwencji, lecz często nawet improwizacji.

Nawet tak ograniczając temat, nie mogę podjąć się charakterystyki wszystkich środków na tle wszelkich zadań i sytuacji typowych. Różnorodność życia jest tak wielka, że każda próba opisu musi być ułamkowa. I nie wystarcza wyłączenie zjawisk i zagadnień wyjątkowych. Pozostaje wiele bogactwa treści w tym, co już uznajemy za bardzo zwykłe i normalne. Słowem, podejmując opis środków polityki gospodarczej, nie ma właściwie wyboru: trzeba ograniczyć się do opisu raczej elementarnych środków polityki gospodarczej — w pojęciu współczesnej techniki tej polityki. Lecz, z drugiej strony, trzeba zdobyć się na taki opis, z którego wynikałby wyraźnie charakter współczesnej techniki polityki gospodarczej. Stąd praca niniejsza posiada raczej charakter syntetyczny, nie jest ona rejestrem środków polityki gospodarczej.

Wreszcie, ostatnie z wstępnych zastrzeżeń. Staralem się zdobyć na maksimum obiektywizmu. Nie jest wyłączone, że subiektywizm wdarł się jednak niepostrzeżenie tu i ówdzie do mego opisu. Muszę o tej ewentualności uprzedzić i dodać na usprawiedliwienie, że trudno ustrzec się od subiektywizmu, gdy traktuje się temat żywy i bardzo obchodzący, a zwłaszcza taki temat, w którym występuje wiele spraw spornych. Wiadomo, że zagadnienie środków polityki gospodarczej jest często źródłem większych nieporozumień i bardziej zaciepłych dyskusji niż zagadnienie samych celów.

## 2. ZALEŻNOŚĆ POLITYKI GOSPODARCZEJ OD STRUKTURY GOSPODARSTWA

Dobór środków polityki gospodarczej zależy jest przede wszystkim od struktury gospodarstwa. Zastanawiając się więc nad doбором tych środków, trzeba sobie postawić pytanie: czy przy strukturze danego gospodarstwa jest możliwe użycie danego środka polityki gospodarczej.

Chociaż pojęcie struktury można traktować bardzo rozciągliwie, trzeba zawsze zacząć od tego, w jakim stosunku pozostają do siebie w danym gospodarstwie wyjściowe czynniki produkcji — praca (ludność), ziemia (z jej bogactwami naturalnymi) i kapitał (wyposażenie inwestycyjne). Ściślej mówiąc, jaki jest stosunek pomiędzy podażą poszczególnych czynników. Dalej, pojęcie struktury można rozwijać, wprowadzając na przy-

kład rozróżnienie form organizacji życia społecznego i gospodarczego. Formy zmieniają się, a raczej muszą zmieniać się, ze zmianą zasadniczego stosunku wyjściowych czynników produkcji. Wydaje mi się, że używanie pojęcia «struktura» w powyższym sensie jest prawidłowe i słuszne. Natomiast nie jest konieczne ściśle definiowanie tego terminu. Sądzę, że takie uświelenia dałyby w rezultacie tylko ogólnik, tak na przykład, że struktura — to organy gospodarstwa (w przeciwieństwie do funkcji, czym jest koniunktura), albo, że strukturą jest to, co jest stałe w gospodarstwie i co występuje tylko raz w zjawiskach ekonomicznych (w przeciwieństwie do koniunktury — jako synonimu przeksztaleń i powtarzalności). Nie uważam również za szczęśliwe używanie terminu «system ekonomiczny» przy okazji grupowania wniosków, wyprowadzanych z danego układu wyjściowych czynników produkcji. I dalej, gdy w związku z tym jest mowa o siłach regulujących i budujących gospodarki narodowej, to właśnie mamy do czynienia z typowym zagadnieniem struktury.

Aby bliżej określić sens pytania, postawionego na początku, użyję przykładu, wskazującego na głębokie różnice, zachodzące pomiędzy poszczególnymi gospodarstwami; różnice, które, jak mi się wydaje, mogą prowadzić do zrozumienia: dlaczego nie każda polityka gospodarcza, a więc i nie każdy środek tej polityki, pasują do danej struktury. Różnice w stopniu zagęszczenia ludności poszczególnych obszarów najbardziej rzucają się w oczy. Przy rozpatrywaniu różnic w stopniu zagęszczenia ludności na poszczególnych obszarach, nasuwa się szereg dodatkowych pytań. Dobra gleba, korzystne warunki klimatyczne, bogactwa mineralne są usprawiedliwieniem większego zagęszczenia ludności. Dalej, zagęszczenie ludności występuje w innym oświetleniu, jeśli uwzględnia się stan zainwestowania gospodarstw, stworzonych przez człowieka — w ciągu jego gospodarki na tym obszarze — utrudzeń wytwórczych, służących produkcji dóbr i usług, jak na przykład (obok warsztatów pracy) — drogi lądowe i wodne, porty itp. Analiza tych stosunków prowadzi nas do wniosków, dlaczego jedno społeczeństwo posiada duży dochód społeczny, a drugie — mały, jedno jest bogate, a drugie biedne. Można przedłużyć tę analizę i dojść na przykład do oceny danych przyszłego rozwoju gospodarczego każdego społeczeństwa. Otóż, jeśli obszar z natury nie jest bogaty, wyposażenie inwestycyjne jest skromne, a zagęszczenie ludności jest stosunkowo duże — niski dochód społeczny, będący tego konsekwencją, nie tylko oznacza nędzne warunki bytu, lecz i trudności ich poprawy o własnych siłach. Mianowicie, niska jest wtedy również kapitalizacja, warunkująca poprawę (strukturalnych) możliwości wygospodarowywania wyższego dochodu społecznego, poprawę, która w dodatku nie może być wyrażona w formule statycznej, odnosić się do istniejącego stanu ludności, gdyż ludność stale wzrasta. Przeciwwstawieniem tak niekorzystnych struktur będą struktury, gdzie wzajemny sto-

sunek ich składników będzie sprzyjał (w większym lub mniejszym stopniu) wygospodarowywaniu wyższego dochodu społecznego, a na przyszłość — poprawianiu warunków wygospodarowywania tego dochodu. Na przykład, kapitalizacja, wynikająca z dużego dochodu społecznego, może być tak znaczna — w stosunku do przyrostu ludności, że tego rodzaju gospodarstwa mogą wyciągać pełne korzyści z postępu technicznego. Wydaje mi się, że ten przykład już wystarczy dla zwrócenia uwagi na wielki rozmiar bardzo istotnych różnic, jakie zachodzą pomiędzy poszczególnymi strukturami. Logiczną konsekwencją tego musi być wielki rozmiar bardzo istotnych różnic pomiędzy zadaniami, stawianymi przez poszczególne kraje, i dobieieranymi środkami realizacji.

Zastanawiając się nad wyborem środków, trzeba więc bardzo dokładnie rozpatrzyć wszystkie indywidualne właściwości danej struktury gospodarczej. Nie wystarczy stwierdzenie, że wszystkie struktury nie są jednakowe. Trzeba również unikać uproszczenia, polegającego na zaliczaniu danej struktury do jakiejś grupy, jeśli to zaliczenie ma prowadzić do wniosku, że wszystkie gospodarstwa tej grupy mają analogiczne zadania i — co nas obchodzi — mogą posługiwać się analogicznymi środkami. Klasyfikacja struktur społeczno-gospodarczych zamyka niekiedy drogę do głębszego poznania sprzeczności, istniejących pomiędzy poszczególnymi strukturami. Na przykład, jedna z klasyfikacji używa zgrupowania pod nagłówkami — kraje staro-kapitalistyczne, nowo-kapitalistyczne i pół-kapitalistyczne; inna różni kraje wysokiego kapitalizmu, kraje o przejściowej strukturze i częściowo objęte gospodarką kapitalistyczną itp. Jakże różnorodne wewnątrznie muszą być tego rodzaju grupy, a użyteczność klasyfikacji nie może być wobec tego zbyt wielka z punktu widzenia potrzeb konstrukcji polityki gospodarczej. Nie wydaje się również, aby posiadała znaczenie ogólne (choć, tak jak poprzednio, przydatności jej w niektórych wypadkach nie sposób zaprzeczyć) klasyfikacja na kraje rolnicze i przemysłowe oraz surowcowe i przemysłowe. Jeśli na przykład porównamy takie kraje rolnicze, jak Nową Zelandię i Polskę, to stanie się jasne, że chociaż oba te kraje są rolnicze, nie ma żadnych pomiędzy nimi istotnych strukturalnych podobieństw, żadnych okazji do analogii.

Konsekwencją różnicy struktur są różnice zadań w polityce gospodarczej i — oczywiście — środków. Zadania polityki płac, polityki cen itp. będą stawiane inaczej i rozwiązywane inaczej. Lecz można ustalić jeszcze ściślejszy związek pomiędzy strukturą gospodarczą a środkami, które mogą być używane. Terminem «struktura» możemy, jak powiedziałem, objąć nie tylko cały aparat wytwórczy, służący bezpośrednio produkcji dóbr i usług, jak na przykład warsztaty rolnicze, zakłady przemysłowe, urządzenia rynkowe, aparat bankowy itp., lecz również urządzenia i organizacje, służące bardziej pośrednio produkcji dóbr i usług, jak na przykład organizacje gospodarcze, związki

zawodowe robotników itp. Przygotowanie techniczne i ogólnogospodarcze społeczeństwa jest również jedną z cech struktury gospodarczej. Otóż, to samo zadanie polityki gospodarczej — a raczej pozornie to samo zadanie — musi być rozwiązywane różnie w dwóch krajach, z których jeden posiada rozwiniętą aparaturę gospodarczą i społeczeństwo wyrobione technicznie oraz ogólnie gospodarczo, a drugi — prymitywną aparaturę gospodarczą, niski stopień przygotowania technicznego oraz ogólnogospodarczego społeczeństwa. Jeśli na przykład w pierwszym kraju, w dążeniu do ożywienia gospodarczego, będzie mógł być użyty bogaty repertuar środków inflacji kredytowej, w drugim możliwości te będą zapewne ograniczone; jeśli w pierwszym będzie można pozwolić sobie na dość precyzyjną reglamentację cen, w drugim trzeba będzie zadowolić się dość ogólną reglamentacją itp.

Różnice strukturalne krepują więc w naśladownictwie środków polityki gospodarczej. Polityka gospodarza każdego kraju skazana jest niejako na samotność w doborze środków i nie może posługiwać się ścisłymi analogiami w stosunku do polityki gospodarczej innych krajów w tym samym czasie. Tym bardziej nie nadają się do naśladownictwa przykłady polityki gospodarczej w okresach minionych, nawet, gdyby ta polityka była prowadzona we własnym kraju. Nie dość powtarzać, że nie powinny być lekceważone stałe przekształcenia, jakim podlega struktura gospodarza świata i struktura poszczególnych gospodarstw. Wystarczy przypomnieć, że obecne różnice, zachodzące pomiędzy strukturami poszczególnych gospodarstw, są produktem rozwoju historycznego. Inna była problematyka bogacenia się narodów jeszcze parę wieków temu, a inna jest obecnie. Repertuar środków polityki gospodarczej musiał ulegać zupełnej zmianie, chociażby z tego powodu, że zagadnienie dalszego rozwoju coraz bardziej przesuwało się na płaszczyznę intensyfikacji<sup>1)</sup> gospodarstwa na danym, nierozciągliwym obszarze. Ludność świata wzrasta, a wzrost w ubiegłym stuleciu i w pierwszych dziesiątkach bieżącego stulecia był bez precedensu. Natomiast złudzenie o elastyczności globu ziemskiego z zakresu nowych odkryć i zwiększenie użyteczności odległych terenów dzięki rozwojowi komunikacji — należą już dawno do przeszłości. Ekspansja wszerg — na nowe tereny — jest już dziś przebrzmiałym rozwiązaniem. O przyszłości gospodarczej świata coraz więcej decyduje postęp techniczny i nagromadzenie dóbr kapitałowych, umożliwiających jego wyzyskanie. Dlatego tak głęboko różni się okres dzisiejszy od wszystkich okresów minionych pod względem sposobów podnoszenia dobrobytu.

Repertuar środków polityki gospodarczej staje się i musi być coraz bogatszy na tle zmian struktury, a zwłaszcza doskonalenia się aparatury gospodarczej. Potrzeba stwarza nowe pomy-

<sup>1)</sup> Używając terminu stopień intensywności lub intensyfikacji gospodarki, rozumiem przez to stopień zainwestowania gospodarstwa.

stły. Zwiększają się możliwości ich zastosowania. Jakże na przykład była nieporadna Europa zachodnia w XVI i XVII wieku wobec zwyżki cen, wywołanej napływem złota z oceanu. Jakże nieudolne były próby Law z początku XVIII stulecia wobec niektórych, śmiałych a udanych, współczesnych operacji finansowych. Powoływanie się na powtarzalność historii ma swój urok literacki. Interwencjonizm współczesny chętnie szuka pokrewieństwa z okresem merkantylizmu; ustrój korporacyjny — z epoką średniowiecza; gospodarka planowa mogłaby nawiązywać do systemów ekonomicznych tyranii w starożytności; chyba jeden tylko liberalizm nie znalazłby prototypów. Jednak, pomimo uderzających pozorów podobieństwa, różnice są o wiele większe. I nie może być inaczej wobec głębokich zmian, jakim stale podlega struktura gospodarcza.

Z zależności polityki gospodarczej, jej zadań i środków, od warunków strukturalnych wynika jeszcze jedna konsekwencja, o której pragnę tu wspomnieć. Mogłoby się na przykład wydawać, że jeśli dany kraj jest zaawansowany w rozwoju struktury kapitalistycznej, to wystarczy, gdy zadania i środki polityki gospodarczej będzie dopasowywał wyłącznie do zagadnień i warunków, jakie są na ogół właściwe dla tego etapu rozwoju; powożymy, postępuje tak, jakby całe gospodarstwo narodowe było rozwiniętym gospodarstwem przemysłowym i obok nowoczesnego przemysłu nie istniały liczne zakłady rzemieślnicze. Jeśli kraj przechodzi z jednego etapu rozwoju do drugiego, nie zmienia się równocześnie cała jego struktura. W strukturze społeczno-gospodarczej odnajdujemy pozostałości poprzednich epok, zwłaszcza, jeśli jest to kraj starej cywilizacji i nie buduje wszystkiego od nowa. W strukturze społeczno-gospodarczej spotykamy się z nawarstwieniami, nasuwającymi porównanie do pokładów geologicznych. Otóż, jeśli niektóre właściwości struktury odpowiadają ściśle okresowi nowoczesnego kapitalizmu, o tyle inne odpowiadają okresowi wczesnego kapitalizmu, a jeszcze inne — okresowi mniej intensywnej gospodarki. Pierwsze właściwości — urządzenia produkcji dóbr i usług, przygotowanie techniczne i ogólnogospodarcze społeczeństwa — upoważniają do posługiwania się środkami polityki gospodarczej (na tle zadań, odpowiadających tym właściwościom), które pasują do tego właśnie stadium rozwoju. Drugie właściwości — również na tle odpowiadających im zadań — będą skłaniały do sięgnięcia po inne środki. Wreszcie, pozostałości jeszcze dawniejszych etapów będą zmuszały do stosowania zupełnie odmiennych środków. Błędne byłoby jednak twierdzenie, co będzie wymagało powtórzenia, że muszą być używane środki współczesne i bardziej prymitywne. Po prostu muszą być używane środki różne, a z nawarstwowień w strukturze nie można wyciągnąć wniosku — nawarstwowień środków. Biorąc przykład bardziej konkretny, polityka cen, albo polityka finansowa musi zachować się zupełnie inaczej wobec warsztatu rolnego, który systematycznie współpracuje z ryn-

kiem, a inaczej wobec warsztatu, którego współpraca z rynkiem jest dorywcza. Ta sama polityka cen i polityka finansowa musi zachować się zupełnie inaczej wobec drobnego rzemieślnika albo chałupnika, a inaczej wobec większego zakładu przemysłowego. Na przykład, niżka płac może poprawić rentowność przemysłu i przyczynić się do podniesienia produkcji przemysłowej, nie da natomiast pożądaných wyników w dziedzinie produkcji rzemieślniczej, chociaż może wydawać się kierownikowi polityki gospodarczej, że przy pomocy zabiegu niżki płac osiągną ogólne ożywienie w gospodarstwie narodowym. A przecież w wielu krajach, bardzo unowocześnionych, na przykład we Francji, obok małego rolnika, który nie zerwał jeszcze całkowicie z gospodarką naturalną, istnieje mały lub większy rolnik, ściśle współpracujący z rynkiem, obok drobnego rzemieślnika lub chałupnika — wielki warsztat przemysłowy. Można znaleźć wiele dowodów na to w stosunkach francuskich i innych, że polityka gospodarcza tylko dlatego często pomija bardzo istotne zagadnienia, że zbyt uogólnia zadania, a to zbyt uogólnienie wynika z założenia jednorodności struktury, gdy struktura jest właśnie różnorodna. Można znaleźć wiele dowodów na to, że dany środek polityki gospodarczej, nawet przy usprawiedliwionym uogólnieniu zadania, jest skuteczny w jednych a nieskuteczny w innych dziedzinach życia gospodarczego (właśnie wskutek różnorodności struktury). To jedno już wystarczy, aby przyjąć zasadę różnorodności środków, stosowanych przez politykę gospodarczą w danym okresie. Dobór więc środków polityki gospodarczej nie tylko nie może być kopią doboru w innych krajach lub w innych okresach, lecz ponadto powinna być przy nim uwzględniana złożoność gospodarstwa w sensie różnych nawarstwowień w strukturze. Ponadto, dobór środków polityki gospodarczej nigdy nie może być dokonywany w sposób mechaniczny. Zmiana wzajemnego stosunku poszczególnych składników struktury zmienia zagadnienie doboru środków działania nawet w tych dziedzinach, gdzie przeszłość pozostawiła nam najwięcej osadów w strukturze.

### 3. ZALEŻNOŚĆ POLITYKI GOSPODARCZEJ OD FAZY KONIUNKTURY

Ta kategoria zależności występuje bardzo wyraźnie na tle poprzednio już omówionych. Przebieg koniunktury, w każdej fazie, inny jest w zależności od struktury danego gospodarstwa. Uwidoczniają się przy tej okazji inne prawa życia każdego gospodarstwa. Mówiąc o zależności polityki gospodarczej od fazy koniunktury, trzeba by więc było jeszcze dodawać, że chodzi tu o wypadek, gdy dana faza występuje w gospodarstwie, posiadającym daną strukturę. Zastrzeżenie takie komplikowałoby jednak nadmiernie charakterystykę zagadnienia zależności polityki gospodarczej od fazy koniunktury, które obecnie poruszam. Dlatego po prostu przyjmuję, że charakter i przebieg ko-

niunktury w określonej fazie jest podobny w każdym gospodarstwie bez względu na jego strukturę. Takie uproszczenie nie tylko umożliwi zwięzłe przedstawienie tej zależności, lecz również pozwoli na podkreślenie jej specyficznego charakteru.

Przed wszystkim trzeba przypomnieć, że o ile znane są objawy wahań koniunkturalnych, o tyle nie uzgodniono się dotychczas co do ich przyczyn. Przyczyny należy więc traktować hipotetycznie, sprawdzając, czy dana hipoteza, posiadająca charakter ogólny, nadaje się do przyjęcia w danych okolicznościach, jako założenie robocze przy formułowaniu zadań i wyborze środków polityki gospodarczej. O niedostatecznym poznaniu rzeczywistości, jako wielkiej przeszkodzie polityki gospodarczej, będę mówił jeszcze dalej. Tutaj wspomnę, że brak pewności co do przyczyn wahań koniunkturalnych nie jest hamulcem dla istnienia optymizmu — wprawdzie o skromnym zasięgu — że wahania koniunkturalne dadzą się wyeliminować z życia gospodarczego, na przykład dzięki lepszej jego organizacji. Wiare tę na przykład posiadał narodowy socjalizm i niektóre wyznania korporacjonizmu włoskiego. Wydaje mi się, że politykę gospodarczą, która stawia sobie realne zadania i chce oglądać ich rzeczywistnienie, nie obowiadają tego rodzaju optymizm. Nawet, gdyby dzisiejsze hipotezy traktować na prawach rzeczywistych przyczyn, to i tak do masy decyzji, które muszą być podejmowane, nawet przy bardzo scentralizowanej dyspozycji gospodarczej, zakradną się zapewne jakieś błędy, wywołujące perturbacje w rozbudowanej i skomplikowanej współczesnej aparaturze gospodarczej. Wybór, zdaje mi się, jest innego charakteru, a mianowicie pomiędzy większą a mniejszą regularnością oraz pomiędzy większą a mniejszą rozpiętością punktów szczytowych i punktów dolnych w wahaniami koniunkturalnych.

Zwracając uwagę na zależność polityki gospodarczej — zadań i środków — od fazy koniunktury, oprę się na rozróżnieniu pięciu faz, a mianowicie: fazy ożywienia (ekspansji), kontrakcji, kryzysu, depresji i poprawy. Wyodrębnienie fazy opiera się na szeregu objawów, z których najtypowsze — to ruch cen, zmiany w produkcji dóbr spożycia i dóbr wytwórczych, ruch inwestycyjny, ruch zapasów, stan zatrudnienia (bezrobocie) itp. Trzeba jednak dodać, że nie wszystkie objawy uważane zasadniczo za charakterystyczne dla danej określonej fazy — powiadają dla fazy ożywienia — muszą zawsze występować, gdy koniunktura znajduje się w takiej właśnie fazie. Na przykład, wzrost cen albo znacznie większy ruch inwestycyjny nie zawsze towarzyszą ożywieniu, którego istnienie jest uznawane z innych powodów. Jeśli, na przykład, występuje duża podaż czynników produkcji, wykwalifikowanej pracy, niewyzyskanej zdolności produkcyjnej urządzeń wytwórczych itp., produkcja może wzrastać nie wywołując wzrostu cen. W dalszej konsekwencji można sobie dość swobodnie pozwolić na ekspansję kredytową (a więc na użycie właśnie tego środka polityki gospodarczej),

choć na ogół w fazie ożywienia nakazana jest ostrożność w ekspansji kredytowej. Dla ścisłości dodam, że taka sytuacja może wydarzyć się wcale nie na początku fazy ożywienia, a właśnie w trakcie pełnego ożywienia. Pomimo wyraźnych objawów ożywienia — zakładam, że nie w punkcie kulminacyjnym, gdyż nie wystąpił jeszcze dostateczny popyt na dobra wytwórcze — polityka gospodarcza może być zmuszona do stosowania środków, mających na celu wywołanie większego ruchu inwestycyjnego. Choć normalnie w fazie ożywienia słabnie potrzeba stosowania tych środków. Przykłady te są po to, aby zilustrować twierdzenie, że niekoniecznie wszystkie środki polityki gospodarczej, na ogół używane w którejś z faz koniunktury, mogą być użyte w danej, konkretnej, a takiej samej fazie koniunktury. Życie jest tak różnorodne, że na każdym kroku spotykamy się z koniecznością indywidualizowania i wysiłku myślowego, a z ograniczeniem możliwości posługiwania się schematami.

Tym bardziej jest zrozumiałe dlaczego środki, używane w jednej z faz, muszą być przynajmniej częściowo zastąpione innymi, gdy koniunktura wchodzi w odmienną fazę. Dla zilustrowania tego twierdzenia przytoczę parę przykładów, opartych jednak na skrótach i uproszczeniach.

Jeśli, z tych lub innych powodów, życie gospodarcze jest w stadium ekspansji i popyt na towary wzrasta wskutek pojawienia się nowej siły nabywczej na rynku, co może być wywołane zwiększeniem zatrudnienia, wówczas producenci, zachęceni rozwijającymi się perspektywami, wprowadzają nowe czynniki do produkcji, angażują nowych robotników, wyciskają zdolność wytwórczą urządzeń itp., i zwiększają produkcję. Powiódzmy, że nowa, wywołana tym podaż towarów została wchłonięta, ponieważ wzrosło zatrudnienie, a z tym siła nabywcza, i dodatkowo aparat dystrybucyjny, obserwując rozwijający się zbyt, a licząc się, że podaż może nie sprostać popytowi — zwiększył swoje zapasy. Perspektywy dalszego wzrostu popytu zbiegają się z sytuacją, w której urządzenia wytwórcze są już całkowicie zatrudnione. Trzeba dokonać nowych inwestycji, aby zwiększyć zdolność wytwórczą urządzeń i uczynić zadość popytowi, którego wzrost zapowiada się nadal. Rozpoczyna się najciekawsza «faza tej fazy». Jest dla nas teraz obojętne, czy dane gospodarstwo narodowe stoi wobec zwyżki kosztów, w związku z ograniczeniem się podaży czynników produkcji i wobec zwyżki cen. Natomiast chcemy zwrócić uwagę na to, że rośnie samorzutna inicjatywa życia gospodarczego, pęcznieje dziedzina prywatnogospodarcza. Przedsiębiorca szuka kredytu, a nie kredyt przedsiębiorcy. Przedsiębiorca jest nawet nieostrożny w korzystaniu z kredytu. Istnieje wyraźna tendencja do wprowadzania nowych czynników do produkcji, zwiększania zapasów, inwestowania. Dziedzina bezpośredniej gospodarki państwowej maleje, albo stosunkowo maleje, to znaczy w stosunku do wzrostu dziedziny prywatnogospodarczej. Państwo nie potrzebuje rozwijać swo-

jej przedsiębiorczości, jako wytwórca. Nie potrzebuje również podejmować na większą skalę robót publicznych, ponieważ i tak podaż wolnych rąk roboczych jest szybko absorbowana. Zwraca jedynie uwagę, aby podaż pracy niewykwalifikowanej przekształcała się w dostatecznej mierze na podaż pracy wykwalifikowanej, aby zjawisko niemożności zaspokojenia popytu na pracę wykwalifikowaną, wraz z konsekwencjami tego zjawiska w dziedzinie wzrostu produkcji, nie wystąpiło przy równoczesnym bezrobociu (pracy niewykwalifikowanej) na rynku pracy. Analogicznie, dba o zapewnienie równomiernej podaży innych czynników produkcji, jeśli możliwości pod tym względem nie zostały już na dłużej wyczerpane. Mówiąc w skrócie, polityka gospodarcza w takiej sytuacji polega na oddziaływaniu na równomierność rozwoju procesów ożywienia i to raczej przy pomocy środków ograniczających. A więc państwo będzie ostrożne w ekspansji kredytowej, będzie hamowało wzrost kosztów produkcji i cen, będzie specjalnie czujne w zakresie przywozu luksusowych artykułów spożycia, będzie skrupulatnie badało ruch inwestycyjny, mocno przykręci śrubę podatkową, ograniczając równocześnie swoje wydatki na budowę nowych gmachów i innych urządzeń państwowych itp., itp.

W przeciwieństwie do środków, specjalnie pasujących do tej fazy, które wyróżniają się raczej restrykcyjnym charakterem, w fazie depresji polityka gospodarcza wszystko robi, aby pobudzić życie gospodarcze. Ponadto, gdy w fazie ożywienia działalność państwa, jako przedsiębiorcy, kurczy się, a co najmniej nie rozszerza się, w fazie depresji widoczne są postępy etatyzmu. Można dodać, że interwencjonizm państwa w praktyce wzrasta w fazie depresji w porównaniu do fazy ożywienia, chociaż wcale z tego nie wynika, że obowiązki polityki gospodarczej — wpływania na korzystny przebieg procesów — są mniejsze w okresie ożywienia. Taki jest tylko przeważnie stan faktyczny, a z łżejszego traktowania siebie przez politykę gospodarczą zadań w fazie ożywienia wynikają często bardzo ujemne konsekwencje, prowadzące do skrócenia tej fazy, przyspieszenia kontrakcji i kryzysu oraz ostrzejszej depresji. Na przykład, jeśli polityka gospodarcza okazuje zbyt mało zainteresowania przebiegiem procesów inwestycyjnych, albo nie dba o zapewnienie ciągłości podaży czynników produkcji i właściwej ich repartycji. W fazie depresji jest dużo miejsca na ekspansję kredytową, na roboty publiczne, zakrojone na szeroką skalę, na wydatki państwa, na budowę nowych gmachów i innych urządzeń itp. Przedsiębiorczość prywatna jest w stanie prostracji. Nawet poprawa płynności finansowej i łatwość uzyskania kredytu o niskim oprocentowaniu nie są w stanie ruszyć gospodarki prywatnej w kierunku poprawy. Państwo musi działać coraz bardziej bezpośrednio, nie wahając się używać środków drastycznych. Środkami, wybijającym się na czoło w tej fazie, są już wspominane roboty publiczne, co nie znaczy, że nie jest to środek stale

aktualny w dzisiejszym repertuarze środków polityki gospodarczej.

W razie kontrakcji, stanowiącej przejście do kryzysu, oraz w fazie poprawy, stanowiącej przejście od depresji do ożywienia, polityka gospodarcza używa środków do pewnego stopnia pośrednich. Nie jest to zupełnie ścisłe, ale w przybliżeniu odaje charakter tego rodzaju polityki. Na przykład, w fazie kontrakcji polityka gospodarcza może starać się, jeśli posiada po temu dane (powiedzmy, istnieje możliwość zmobilizowania dodatkowej podaży czynników produkcji, utrzymania popytu na dobra wytwórcze itp.), przełamać tendencję do kryzysu i podtrzymać ożywienie. Może okazać się to już bezcelowe, konieczne jest przyspieszenie procesów wyrównawczych, świadome spotkanie nieuniknionego kryzysu i depresji, aby w fazie depresji rozpocząć energiczną akcję, zmierzającą do skrócenia tego okresu i przejścia do poprawy, a w dalszym ciągu do ożywienia. W fazie poprawy słabnie użycie środków, które miały ją wywołać. Są one zastępowane środkami coraz łagodniejszymi, bo niezadługo państwo wogóle zmieni charakter polityki, będzie używało środków raczej typu restrykcyjnego. Różny przebieg koniunktury w poszczególnych dziedzinach gospodarstwa może jednak sprawić, że w przededniu ożywienia państwo w jednej dziedzinie będzie jeszcze stosowało bardzo drastyczne środki pobudzające, gdy w innych będzie już zupełnie przygotowane do stosowania ograniczeń i środków hamujących.

Przykłady tego rodzaju można mnożyć w nieskończoność. Zmienność polityki gospodarczej, w zależności od zmian koniunktury oraz indywidualnego wyrazu tych zmian, jest niewątpliwie jednym z bardziej pasjonujących tematów. Sądzę, że podane przykłady spełniają swoją rolę, o ile chodzi o ogólne zwrócenie uwagi na zależność polityki gospodarczej, a więc doboru jej środków, od fazy koniunktury.

#### 4. SKRĘPOWANIA POZAGOSPODARCZE

Polityka gospodarcza skrępowana jest w wyborze środków zasadami moralnymi i ich pochodnymi, na których oparte jest życie indywidualne oraz życie zbiorowe. Zasadami tymi w ramach naszej cywilizacji są zasady moralności chrześcijańskiej. Przy pomocy paru przykładów postaram się wyjaśnić znaczenie tej zależności.

Polityka gospodarcza nie może pomijać w swoich dążeniach postulatów sprawiedliwości społecznej. Nie może tolerować nędzy, jeśli przez inny — sprawiedliwszy społecznie — podział dochodu może temu zaradzić. Rzetelność traktowania tego postulatów występuje wyraźnie dopiero na tle wyboru środków. Okazuje się wtedy, czy sprawiedliwość społeczna jest tylko *pium desiderium*, czy też poważnie traktowanym zadaniem polityki gospodarczej. Odpowiada to istocie pojmowania zasad moralnych w duchu cywilizacji chrześcijańskiej, iż obowiązuje nas

konkretne przestrzeganie ich w życiu. Odpowiadamy za to, czy wszystko, co w tej dziedzinie można było i należało zrobić, zostało dokonane i czy możemy wykazać się konkretnymi rezultatami. Dlatego tyle gorących protestów i zastrzeżeń budził liberalizm ekonomiczny, który zamiast konkretnego programu usunięcia nędzy przy pomocy określonych środków proponował mętłą formułę zaradzenia złu na drodze wolnej gry sił gospodarczych. Słowem, z założeń moralnych naszej cywilizacji wynika nie tylko abstrakcyjny postulat sprawiedliwości społecznej, lecz równocześnie nakaz osiągnięcia praktycznych wyników przy jego realizacji.

Jeśli z założeń naszej cywilizacji wynika postulat sprawiedliwości społecznej, postulat usunięcia nędzy i zapewnienia każdej jednostce odpowiednich materialnych warunków rozwoju kulturalnego, to tym bardziej konsekwencją tego postulatu musi być uszanowanie godności człowieka i jego prawa do życia. Wogóle polityka gospodarcza nie może posługiwać się środkami, które godziłyby w prawa człowieka do życia, w jego godność pojętą jak najszerszej (a tym bardziej w jego prawo do wolności osobistej) — lub w prawa do co najmniej znośnych warunków bytu materialnego. Przy pomocy środków, naruszających te podstawowe prawa ludzkie, nie może być realizowane żadne zadanie polityki gospodarczej — bez względu na przytaczane motywy.

Z przedstawionego punktu widzenia nie ma właściwie odstępstw od wyraźnego podporządkowania polityki gospodarczej moralności. Moralność jest integralna. Nie można więc na przykład mówić o moralnej neutralności polityki gospodarczej, przytaczając na poparcie tego motyw, że życie ekonomiczne oparte jest na zasadzie «wzajemnej usługi». Tego rodzaju neutralność jest pojęciem sztucznym, gdyż poprostu polityka gospodarcza musi — tak jak każda polityka i każde postępowanie ludzkie — dążyć do realizacji zasad moralnych w życiu, a w danym wypadku, w ekonomicznych przejawach życia. Na przykład, cenna jest dla każdego człowieka wolność osobista i jej szczególna postać — wolność gospodarza. Jest jednak nonsensem hołdować idei takiej wolności osobistej, która jednym dawałaby warunki dobrobytu, innych pozbawiała tych warunków, tolerując obok bogactwa nędzę. Natomiast, idea wolności osobistej, zgodna z zasadami moralności, wymaga wyraźnej interwencji państwa w kierunku sprawiedliwego podziału dochodu społecznego i upowszechnienia indywidualnej własności. Trzeba dodać, że oparcie życia społeczno-gospodarczego na zasadach moralnych — w myśl integralności tych zasad — posiada wielkie znaczenie czysto gospodarcze, wyzwala bowiem siły dynamiki gospodarstwa. Zaczyna, na przykład, spełniać swą twórczą rolę konkurencja, która staje się ponurym procederem, jeśli brak jest przyzwoitości i lojalności ogólnej w interesach, zachowania reguł uczciwej gry, poczucia honoru w pracy i dobrze pojętej dumy zawodowej itp., itp.

Obowiązujące zasady moralne znajdują swój wyraz w ustroju społecznym, gospodarczym i politycznym kraju. Ustrój zawiera coś więcej niż rozwinięcie i skonkretyzowanie zasad moralnych. W ustroju konkretyzują się poglądy na organizację życia zbiorowego. Nie mogą one być sprzeczne z zasadami moralnymi i muszą się na nich opierać. Lecz równocześnie zawierają one szereg innych stwierdzeń. Do takich należy uznanie pierwszeństwa interesu narodu, jako całości, właściwe dzisiaj każdemu dojrzałemu i cywilizowanemu społeczeństwu, «Ustrój jest jednością, powstałą z dobrego założenia wielości» — (św. Tomasz). Ten prymat nazywany bywa prymatem polityki.

W ten sposób, kryterium gospodarczej wydajności, na którym zasadniczo opiera się wybór środków polityki gospodarczej, ograniczone jest względami na obowiązujące zasady moralne oraz na interes polityczny narodu. Z punktu widzenia potrzeb poprawy dobrobytu społecznego można dodać: ustrój powinien sprzyjać rozwojowi gospodarczemu w granicach, w jakich jest to możliwe ze względu na uszanowanie zasad moralnych oraz interesu politycznego narodu.

## 5. ZNAJOMOŚĆ RZECZYWISTOŚCI

Gdyby można było zrobić dwa te same doświadczenia ekonomiczne w zupełnie identycznych warunkach, wyniki otrzymane na pewno różniłyby się. Nawet prawa tak elementarne, jak prawa fizyki, są prawami względnymi. Możemy tylko obliczyć prawdopodobieństwo, że wynik doświadczenia będzie taki lub inny i tylko wyjątkowo może zdarzyć się, że obliczenie daje tylko jeden możliwy wynik doświadczenia. A człowiek w identycznych warunkach może zachować się w sposób rozmaity. Od zachowania się, czasem nawet nielicznej garstki ludzi, wiele zależy w zjawiskach społecznych. Nie ma więc powodów do autorytatywnej pewności w zaleceniach polityki gospodarczej...

Wydaje nam się, że dobrze znamy rzeczywistość, a co najmniej, że łatwo możemy ją poznać. Takie przekonanie prowadzi często do ujemnych rezultatów w polityce gospodarczej. Już dobrane, jeśli polityka gospodarcza, oparta na mylnym przekonaniu o dobrej znajomości rzeczywistości, nie pociąga za sobą złych konsekwencji. Warto poświęcić parę słów trudnościom poznania rzeczywistości społeczno-gospodarczej. Świadomość tych trudności ułatwia wybór środków i poprawia rezultaty polityki gospodarczej.

Nie wchodzę w to, w jakiej mierze wogóle możemy poznać zjawisko społeczne, z jakim stopniem dokładności, w porównaniu na przykład do możliwości poznania, którymi dysponują nauki ścisłe. Faktem jest, że trzeba przede wszystkim poznać zjawisko, aby móc na nie oddziaływać. Stwierdzenie danego zjawiska nie oznacza jeszcze, że została ujawniona jego przyczyna. A przecież polityka gospodarcza musi sięgać do przyczyn. W wyborze środków działania musi mieć na oku właśnie

przyczyny. Jeśli więc przebrniemy szczęśliwie przez pierwszą trudność, to znaczy zdołamy — w granicach możliwości poznawczych, którymi dysponują nauki społeczne — stwierdzić istnienie danego zjawiska, to jeszcze nie będziemy mieli pewności co do przyczyn, które je wywołały. Pomimo udoskonalenia w metodach badawczych w dziedzinie nauk społecznych w ciągu ostatnich dziesiątków lat, powoływanie się na przyczynę nie oznacza nic innego, jak powoływanie się na hipotezę. Ponieważ polityka gospodarcza musi mieć do czynienia ze zjawiskami, występującymi współcześnie do niej, powoływanie się na przyczynę jest tym bardziej powoływaniem się na hipotezę. Życie bowiem zmienia się z każdym dniem i to, co wczoraj mogło być uważane za przyczynę danego zjawiska, dziś może nie byłoby uważane za przyczynę podobnego zjawiska, gdyby analiza bieżącej rzeczywistości była możliwa w tym samym stopniu, co analiza przeszłości. Mamy więc do czynienia z dodatkową okolicznością, że ustalenie danych zjawisk (i prawdopodobnych ich przyczyn) jest ustaleniem zjawisk (i prawdopodobnych ich przyczyn), które już nastąpiły. Dlatego polityka gospodarcza, jeśli nawet dysponuje konkretnym materiałem statystycznym, musi uwzględniać korektywę zmian, jakie nastąpiły w czasie od zarejestrowania zjawiska do chwili, gdy materiał ten może już być ostatecznie wyzyskany przez politykę gospodarczą. Dlatego, dalej, polityka gospodarcza posługuje się głównie hipotezami roboczymi (co wynika z niemożności ustalenia ścisłego związku pomiędzy przyczyną a zjawiskiem). I wreszcie, polityka gospodarcza musi tym bardziej posługiwać się hipotezami roboczymi tam, gdzie nie ma w ogóle materiału, dającego obraz rzeczywistości, albo tam, gdzie materiał ten jest wątpliwy. Wynikają stąd dwie konsekwencje. Jeśli poznanie rzeczywistości jest ułomne, polityka gospodarcza nie może sobie stawiać zadań zbyt szczegółowych, co najmniej w tych dziedzinach, gdzie występuje największa wątpliwość co do stanu faktycznego. Następnie, konieczne jest użycie w działaniu większej liczby środków. Zasada używania zespołu środków, a nie tylko jednego, zawsze zresztą obowiązują w polityce gospodarczej. Im mniej jesteśmy pewni naszej wiedzy o rzeczywistości gospodarczej, tym skrupulatniej przestrzegamy zasady zespołowego użycia środków.

Rzadko kiedy cała rzeczywistość społeczno-gospodarcza jest na tyle dobrze znana, aby można było sobie pozwolić na szczegółowe sformułowanie każdego zadania polityki gospodarczej. W jednej dziedzinie zadania polityki gospodarczej są formułowane szczegółowo, w innych — tylko ogólnie. To samo, w konsekwencji, o ile chodzi o metodę działania. W jednej dziedzinie działanie jest precyzyjne, w innej — polityka gospodarcza zadawała się wywoływaniem i regulowaniem ogólnych tendencji. Innymi słowami, tam gdzie hipoteza jest bardziej umotywowana, tam jest miejsce na szczegółowe zadania i precyzyjne działanie; tam, gdzie hipoteza jest bardziej wątpliwa, tam można sobie pozwo-

lić tylko na ogólne zadania i ogólne działanie. Polityka realna nie może decydować się na jednostronność, bo wtedy musiałaby zrezygnować z części możliwego dorobku. Zagadnienie to występuje przy okazji teoretycznego pytania: liberalizm ekonomiczny, czy gospodarka kierowana? Warto poświadczyć mu jeszcze nieco uwagi, gdyż spotykamy się często z żądaniem zdecydowanego wyboru, wyraźnego wypowiedzenia się albo za liberalizmem, albo za interwencjonizmem, gospodarką kierowaną lub planową.

Nie będę już mówił o typowych wadach materiału statystycznego albo monograficznego, który wogóle może stać do dyspozycji polityki gospodarczej. Jedno zasługuje na przypomnienie. Nawet, jeśli materiał jest, w granicach możliwości, idealny i daje podstawy do wielu wniosków i jeśli nie tylko znajdujemy w nim liczby, lecz i wyniki badań monograficznych, oświetlające zachowanie się ludzi w sprawach gospodarczych, to i wtedy pozostanie jeszcze wiele miejsca dla hipotezy nieumotywowanej materiałem. Po prostu dlatego, że żaden materiał nie potrafi ujawnić wszystkich pobudek i reakcji człowieka.

## 6. SCHEMAT LIBERALNY

Wielką zasługą szkoły liberalnej było zwrócenie uwagi właśnie na stronę psychologiczną w ocenie zjawisk życia gospodarczego. Może temu należy zawdzięczać tak duże postępy w dalszych badaniach ekonomicznych. Cały schemat liberalny był jednak — w dzisiejszej perspektywie — tylko punktem wyjścia: wielką hipotezą roboczą. Okazało się później, że niektóre założenia liberalizmu nigdy nie były prawdziwe, niektóre nie mogły być podtrzymane ze zmianą struktury i stosunków gospodarczych, wreszcie niektóre były usprawiedliwione. Na paru przykładach postaram się wyjaśnić, jak dalece dla każdej polityki gospodarczej ważne są niektóre poglądy, wniesione przez liberalizm, a równocześnie dlaczego schemat liberalny, jako całość, musi budzić poważne zastrzeżenia.

Wychodzę z założenia, że postulat maksimum wolności indywidualnej jest tak zrozumiały, iż nie wymaga uzasadnienia dla ludzi naszej cywilizacji. Bezsporność tego postulatu rozciąga się w sposób naturalny na zagadnienie wolności gospodarczej człowieka, części składowej wolności indywidualnej wogóle. Wydaje mi się, że to żądanie liberalizmu ekonomicznego — swobody w działalności gospodarczej dla człowieka — najbardziej zewnętrzne, lecz tym nie mniej najbardziej istotne, nie budzi dziś w gruncie rzeczy wątpliwości wśród społeczeństw Europy zachodniej. Chyba nawet większość zwolenników daleko idącej ingerencji państwa nie ma zamiaru kwestionować roli, jaką w wydobyciu wartości twórczych człowieka spełnia pozostawienie mu możliwego maksimum swobody w jego działalności gospodarczej. Słowem, mało kto dopuszcza myśl zupełnego spełnienia jednostki nakazami i zakazami scentralizowanej dyspozy-

cji gospodarczej. Tym nie mniej, chociaż postulat swobody gospodarczej dla człowieka stał się własnością powszechną na zachodzie Europy, nigdy nie był on równoznaczny z domaganiem się swobody zupełnej, niczym nie skrepowanej. Już logika rzeczy wskazuje, że zakres swobody danej jednostki jest ograniczony zakresem swobody innych jednostek i interesem zbiorowości. Stąd, nawet liberalizm ekonomiczny uznawał szereg zadań państwa, których wykonanie prowadzi do ograniczenia, pojętej bardzo szeroko, swobody osobistej. Chociażby utrzymanie bezpieczeństwa publicznego, — wewnętrznego i zewnętrznego — sprawowanie wymiaru sprawiedliwości itp., oraz związane z tym pobór przez państwo, prowadzą do jakiegoś ograniczenia swobody jednostkowej, również w gospodarowaniu. Do wyjątków raczej należały takie powiedzenia wśród zwolenników liberalizmu, że idealnym rządem jest rząd, który jest tani i mało aktywny, albo że rząd robi już dużo, jeśli nie robi nic złego itp.

Gdy mowa o wolności osobistej w ogóle oraz wolności gospodarczej, warto zrobić uwagę «w odsyłaczu», iż nie można po prostu powiedzieć, że wolność gospodarcza stwarza warunki wolności osobistej od strony ekonomicznej. Bez wolności gospodarczej nie ma wolności osobistej, lecz należy ją właściwie rozumieć, a więc by wolność gospodarcza, a z nią i wolność osobista, mogła być dostępna dla każdego — i by nie była dla jednych przywilejem a dla drugich uciskiem, — ludzie, żyjący z zarobku, muszą posiadać własność indywidualną, a co najmniej stałość pracy i kulturalnych warunków bytu. Należy więc wystrzegać się uproszczenia, polegającego na utożsamianiu wolności ekonomicznej przedsiębiorcy z wolnością ekonomiczną człowieka w ogóle. Obok wolności ekonomicznej przedsiębiorcy może istnieć niewola ekonomiczna mas społecznych.

Zasada indywidualizmu w gospodarce, wiążąca się z postulatami wolności gospodarczej dla człowieka, jest również ograniczana przez zwolenników liberalizmu, na przykład w różnych wariantach pojęcia usług publicznych. Adam Smith przyznaje na przykład, że państwo powinno prowadzić roboty i utrzymywać instytucje publiczne, których prowadzenie lub utrzymywanie nie leży w interesie jednostki lub małej liczby ludzi, gdyż dochody z tego tytułu nie pokrywałyby wydatków. Istnieje powien zakres swobody indywidualnej i indywidualizmu w gospodarce oraz pewien stopień ograniczenia tej swobody i indywidualizmu, który zapewne mógłby być przyjęty przez wszystkich na zachodzie Europy, dla jednych, jako minimum, dla innych jako maksimum. Motywem przewodnim tego prawdopodobnego uzgodnienia byłoby uznawanie z jednej strony roli wolności indywidualnej i roli jednostki w twórczości gospodarczej, z drugiej — naturalnej potrzeby jej ograniczenia ze względu na wolność indywidualną innych i interes zbiorowości. Prawdopodobnie mogłoby być również uzgodnione, że zakres swobody indywidualnej, względnie stopień ograniczeń tej swobody

nie nadają się do sztywnego określenia — muszą ulegać zmianom, w zależności od zmiennych okoliczności.

Idąc o krok dalej, przypominam, że liberalizm ekonomiczny nie zadawał się wysunięciem postulatu wolności indywidualnej w sensie powyżej przedstawionym. To znaczy, wolność indywidualna nie była dla liberalizmu tylko *conditio sine qua non* twórczości człowieka na polu gospodarczym, takim *conditio sine qua non*, jakim jest wolność polityczna dla twórczości człowieka w innych dziedzinach. Wychodząc z założenia indywidualnej swobody gospodarczej, liberalizm wysuwał koncepcję szeregu, powiązanych ze sobą, automatycznych regulatorów. To właśnie była ta wielka hipoteza robocza liberalizmu. Koncepcja ta była zbudowana logicznie, lecz bardziej logiczne było usprawiedliwienie jej potrzeby. Skoro jednostka, działająca nieskrepowanie, miała być źródłem wszelkiej twórczości i postępu na polu gospodarczym, działanie jednostek musiało się składać na jakąś logiczną całość procesów spontanicznych, na jakiś spontaniczny porządek i dynamikę. Ta właśnie strona liberalizmu, tzw., często powoływany, automatyzm gospodarczy — budzi na ogół najwięcej zastrzeżeń. Przypomnę — w skrócie i uproszczeniu — niektóre elementy tego rozumowania.

Weźmy za punkt wyjścia popularną koncepcję *homo oeconomicus*. Stawia się jej zarzut zbytniego uproszczenia motywów i reakcji człowieka, nawet, jeśli bezpośrednim celem jego działania jest cel gospodarczy. Zachowanie się człowieka w sprawach gospodarczych jest bardzo złożone i różnorodne. Koncepcja *homo oeconomicus* nie odpowiada więc rzeczywistości, albo, jeśli jest syntezą, to syntezą bardzo ogólną, nie pozwalającą na bliższe wnioski, w jaki sposób mogą działać automatyczne regulatory. Konieczne jest przede wszystkim wyłączenie wpływu motywów moralnych i politycznych, na przykład, wpływu idei politycznej. Wiadomo jednak, że nawet w sprawach gospodarczych człowiek nie działa wyłącznie z pobudek materialistycznych, inne motywy również wplatają się w rozstrzygnięcia jego własnych spraw gospodarczych. Być może, że koncepcja *homo oeconomicus* lepiej pasowała do atmosfery z pierwszej połowy ubiegłego stulecia. W każdym razie, aby *homo oeconomicus* mógł stać się rzeczywistością, albo też, aby koncepcja ta mogła stać się syntezą bardziej użyteczną — człowiek musiałby być wychowany w duchu materialistycznym, a motywy moralne i polityczne musiałby być wyplenione. Nie jest natomiast do pomyślenia stworzenie szczelnej przegrody pomiędzy moralną i polityczną sferą życia człowieka a sferą ściśle ekonomiczną. Jeśli się więc mówi, że liberalizm ekonomiczny, jako system, nie miał dostatecznej okazji wykazania swych zalet, gdyż nie korzystał z warunków w pełni sprzyjających i trzeba by je dopiero stworzyć, to już sama schematyka pobudek i reakcji człowieka, traktowana, jako część bardzo istotna systemu, może nasuwać wątpliwości, czy stworzenie tego rodzaju warunków



jest wogóle możliwe, a nawet, jeśli tak, to czy było by to naprawdę pożyteczne.

Odrzucając rolę państwa, jako czynnika regulującego gospodarczą działalność jednostek, można przyjąć, że działalność danej jednostki, goniącej za najwyższym zyskiem, korygowana jest działalnością innych jednostek, kierujących się podobnymi motywami. Ta spontaniczna korektywa ma dać w rezultacie największy produkt społeczny. Możliwe są jednak usterki w działaniu tak pomyślanych spontanicznych regulatorów. Jest na przykład, rzeczą ważną, aby dany dochód społeczny posiadał dużą wartość realną, to znaczy zaspakajał wysoki poziom potrzeb i to w zakresie dóbr spożycia, jak i dóbr wytwórczych. Spontaniczne regulatory będą działały wówczas z optymalnym rezultatem dla gospodarki narodowej, jako całości, gdy każdy producent dóbr i usług będzie wytwarzał i sprzedawał jak najtaniej, a mimo to płace i zyski przedsiębiorców będą wysokie, przy dostatecznej, w danych warunkach (uwzględniając zmiany, wywołane postępowaniem technicznym), amortyzacji urządzeń wytwórczych. Do tego może prowadzić konkurencja zupełna, prowadząca koszty wytwórcze i koszt zaspokojenia potrzeb spóżywców do najniższego poziomu. Istnieje wiele przeszkód, trudnych tu do wyliczenia, aby konkurencja zupełna wystąpiła w całej pełni, to znaczy, aby można było liczyć na jej konkretny wpływ — praktycznie a wcale nie teoretycznie — na osiąganie optymalnych wyników w gospodarce narodowej. Przeszkody, wynikające z intencji ludzi którzy nie chcą przestrzegać zasad wolnej gry, na przykład przeszkody w postaci kartelów, nadawałyby się jeszcze do usunięcia. Zwolennicy neoliberalizmu, pragnąc stworzyć warunki wolnej konkurencji, czynią ustępstwa na rzecz ingerencji państwa, dając mu upoważnienie do prowokowania i ochrony takich warunków. Istnieje jednak wiele przeszkód, które wprost nie dadzą się usunąć. Zbyt wiele elementów jest i musi być niezależnych od przedsiębiorcy w jego działalności gospodarczej. Na przykład, żadne nowoczesne państwo nie ma prawa pozwolić na wolną grę sił na rynku pracy. Zbyt smutne doświadczenia z tego zakresu pozostały z tych czasów, gdy państwo rzeczywiście tolerowało swobodę gry sił na rynku pracy lub też niedostatecznie zajmowało się tego rodzaju zagadnieniami. Jakże wreszcie głębokie zmiany musiałyby zajść w działaniu systemu pieniądza i kredytu, mechanizmu cen, w strukturalnych warunkach konkurencji zupełnej wogóle po stronie sprzedawców i nabywców itp., aby mechanizm automatycznych regulatorów mógł należycie działać z optymalną korzyścią dla gospodarki narodowej. Trzeba by przyjąć, że przesuwalność czynników produkcji jest odpowiednia, że ich przydział odbywa się w sposób stosowny, że podział dochodu społecznego dokonuje się właściwie itp., itp., aby polityka gospodarcza mogła zawierzyć automatyzmowi. Niezależnie od tradycyjnych zadań i obowiązków polityki gospodarczej, występują coraz to nowe zadania, które wymagają działania. Na pod-

łożu strukturalnym i koniunkturalnym powstają zatory w postępie gospodarczym, których nie potrafi pokonać automatyzm, wywodzący się z nieskrepowanej niczym działalności gospodarczej jednostki. Dzisiaj jest raczej regułą, że jednostka gospodarująca, stając wobec ogromu i niepokonalności tych zatorów, wzywa pomocy państwa, zamiast żądać, aby zachowało ono tylko rolę «stróża nocnego».

Klasyczny liberalizm zakazywał interweniowania nawet w zwalczaniu kryzysu. Czy jest dziś wielu zwolenników tego zakazu, którzy wierzyliby w zalety »oczyszczającej gorączki« kryzysu, nie widząc przeważających jej wad? Któreż z państw mogłoby dzisiaj zająć postawę fatalistyczną wobec koniunktury, szanując przeznaczenie, siłę wyższą? Nie przeceniając możliwości zorganizowania idealnej gospodarki, nie znającej kryzysów, każde państwo chce przynajmniej naprawić to, co w kryzysie jest uświadomionym rezultatem błędu ludzkiego. A więc cała profilaktyka lub terapia kryzysowa jest naprawdę na miarę człowieka.

Cóż wobec tego, praktycznie realnego, pozostaje dla polityki gospodarczej z poglądów liberalnych? Sądzę, że mimo wszystko bardzo wiele. Czasy ostatnie wykazały, że zasada wolności osobistej, w sensie politycznym i gospodarczym, nie jest dostatecznie umocniona nawet w społeczeństwach, które zaliczają się do cywilizacji zachodniej. Stąd wynika, że umocnienie wolności osobistej, a więc i praktycznie możliwej wolności w dziedzinie gospodarowania, zasługuje jeszcze na wiele wysiłku. Okazuje się, że zasada ta nie stała się jeszcze tak elementarna, jak być powinna. W społeczeństwach, w których prawo jednostki do wolności politycznej i gospodarczej jest już prawem wrodzonym, niepotrzebne wkraczanie w sferę indywidualnej swobody gospodarczej raczej chyba poważnie nie grozi. W polityce gospodarczej tych społeczeństw panuje, jak mi się wydaje, dość mocne przekonanie, że niepotrzebne krępowanie wolności gospodarczej człowieka jest równoznaczne z tamowaniem dopływu sił żywotnych do gospodarstwa, z ograniczaniem jego rozwoju. Nafomiast, polityka gospodarcza nie zawaha się użyć środków interwencjonizmu w tych wszystkich wypadkach, gdzie będzie tego wymagał interes zbiorowości i gdzie działalność jednostkowa nie sprosta zadaniom. Byłaby to formuła zbyt ogólna, bez praktycznego znaczenia, gdyby polityka gospodarcza polegała na stosowaniu martwych formuł i wyniki jej nie zależały w głównej mierze od wiedzy ekonomicznej i kultury humanistycznej jej kierowników. Twórcza polityka gospodarcza musi umieć przechodzić do porządku dziennego nad sporami dogmatycznymi. Twórcza polityka gospodarcza nie będzie więc starała się wykrócić z życia teoretycznego zakresu swobody gospodarczej dla jednostki, albo osiągnąć teoretycznego stopnia interwencji państwa, tylko pogodzi te rzeczy praktycznie, z największą korzyścią dla dynamiki gospodarstwa i dobrobytu ogólnego. Zakres swobody gospodarczej jednostki, czy zakres ingerencji

państwa nie będzie więc sztywny. Musi być różny, w zależności od warunków. Widzieliśmy, że nawet wahania koniunkturalne wpływają na uelastycznienie tego zakresu, a cóż mówić o sytuacjach, które stwarzają warunki strukturalne.

Można przytoczyć szereg wskazówek ogólnych, które prowadzą do wniosku, że postulat wolności gospodarczej dla jednostki nie jest postulatem gołostównym i, że mimo wszystko, dużo jest jeszcze miejsca w dzisiejszym stadium rozwoju gospodarczego dla praktycznego i pożytecznego zastosowania tej wolności. Wspomnę o nich przykładowo.

Własność indywidualna stwarza wiele pobudek do zwiększenia wydajności. (Własność indywidualna, jako cel do osiągnięcia, jest silnym bodźcem zwiększenia zarobków i wzmocnienia oszczędności). W ramach swego warsztatu indywidualny przedsiębiorca ma bardzo wiele okazji do rozwinięcia inicjatywy z korzyścią dla siebie i gospodarstwa. Ma możliwość czynienia różnych ulepszeń, zmierzających do podniesienia wydajności i poprawy produkcji pod względem jakościowym. Jeśli się weźmie pod uwagę tempo postępu technicznego oraz ciągłe ulepszenia w świecie w organizacji zakładów, to stanie się jasne, że nie brak okazji dla przedsiębiorcy do inicjatywy w sferze wewnętrznej jego warsztatu. Na pewno nikt lepiej, niż indywidualny przedsiębiorca, nie potrafi zdobyć się na optymalną wydajność, o którą trudniej w ramach biurokratycznej organizacji. Dlatego państwo nie ma najmniejszej potrzeby niweczyć tego zakresu indywidualnej wolności gospodarczej, jaką jest sfera wewnętrzna jednostkowego przedsiębiorstwa prywatnego. Wgląd państwa w tę dziedzinę nie jest zbyt wielki, jeśli ogranicza się do przestrzegania należytych warunków pracy oraz do kontroli ksiąg, w związku z wymiarem podatków i zadaniami polityki cen (o ile chodzi zresztą o te ostatnie zadania, to można je rozwiązywać, unikając wglądania w rachunkowość przedsiębiorstwa). Trzeba jednak dodać, że nie mówię obecnie o motywach, które nakazywałyby w pewnych wypadkach przyjęcie zasady przedsiębiorczości państwowej. W sferze zewnętrznej przedsiębiorca ma również wiele okazji do wprowadzenia ulepszeń w swojej polityce i organizacji zakupów i sprzedaży. Państwo nie ma potrzeby i możliwości (nawet państwo totalistyczne) szczegółowej reglamentacji wszystkich spraw, wynikających ze stosunków pomiędzy jednostkami gospodarującymi. Natomiast polityka płac i zatrudnienia, polityka cen, polityka pieniężna i kredytowa oraz regulowanie stosunków gospodarczych z zagranicą należą do obowiązków państwa, odpowiedzialnego za rozwój gospodarstwa narodowego, jako całości. A ponieważ zagadnienia rozwoju nie rozwiązują się wyłącznie samorzutnie, zadania i obowiązki państwa w tych dziedzinach są rozległe. Nie licząc, że konkurencja zupełna jest możliwa i dalek, że może ona dać, wobec tego, powinien spontaniczny porządek i dynamikę — należy jednak korzystać z pożytecznych wyników takiej konkurencji, jaką wogóle można spotkać w życiu. (Oczywiście,

mam na myśli konkurencję, odpowiadającą regułem uczciwej gry). Będzie to konkurencja, występująca głównie w dziedzinach, gdzie istnieje wielka liczba, i to raczej małych i średnich, przedsiębiorstw. Wreszcie, państwo ma zawsze okazję odwołania się do wolnej gry sił gospodarczych, gdy wogóle nie ma możliwości oddziaływania, albo dostatecznie dokładnego oddziaływania. Wtedy, rezygnując z bardziej określonego wyniku, zadawała się ogólnym rezultatem, mając pewność, że dane siły wystąpią, że będą grały w sposób przewidziany i że doprowadzą do wytworzenia się pożądanego, ogólnie pomyślanej sytuacji. Wówczas polityka gospodarcza odwołuje się głównie do konsumentów: im powierza «ustalenie i wykonanie planu», opiera się na «codziennym plebiscycie konsumentów», jaki występuje przy założeniu wolnej konkurencji na rynku. Warto wspomnieć, że nawet tak wyprana z elementów indywidualistycznych, polityka gospodarcza, jak polityka sowiecka, miała swój okres wolnej gry sił, a więc dopuszczała jej celowość, czego dowodem okres N.E.P.'u.

#### 7. INTERWENCJONIZM, GOSPODARKA KIEROWANA, GOSPODARKA PLANOWA

Termin «interwencjonizm» pokrywa szereg takich określeń, jak gospodarka kierowana, gospodarka planowa, gospodarka kontrolowana lub zorganizowana, kapitalizm reglamentowany lub planowy, neokapitalizm, neomerkantylizm, reformizm socjalny, korporacjonizm itp. Granice podziału pomiędzy różnymi odcieniami interwencjonizmu na pewno nie są wyraźne, a często te same nazwy odpowiadają różnej treści. Na przykład, ileż wyjątków można zrobić od tego, co się na ogół rozumie przez gospodarkę kierowaną. Przecież, logicznie biorąc, w gospodarce kierowanej nie musi być szanowana ani własność prywatna i wolność transakcji, ani inicjatywa prywatna i swoboda spożycia, ani impulsy zysku, ani konkurencja itp. A właśnie spotyka się — nawet często — wiązanie z gospodarką «kierowaną» — w przeciwieństwie na przykład do gospodarki planowej — jeszcze uszanowanie tych pozostałości gospodarki konkurencyjnej. Nie widzę praktycznej potrzeby zajmowania się zagadnieniem rozgraniczeń terminologicznych w tym zakresie.

Kiedy polityka gospodarcza interweniuje, a kiedy tylko stwarza warunki dla rozwoju przedsiębiorczości prywatnej i dla wolnej gry sił gospodarczych? Rozróżnienie to praktycznie nie istnieje. Pomiedzy słowami «polityka gospodarcza» a «interwencjonizm» można więc spokojnie postawić znak równości. Czy zamiary polityki gospodarczej są śmiałe czy skromne, czy chce ona kształtować życie gospodarcze, czy tylko stwarzać warunki — zawsze musi interweniuować. Dlatego nie jest słuszne, jeśli w języku potocznym termin «interwencjonizm» dopiero wtedy bywa używany, gdy mowa jest o wysokim stopniu ingerencji państwa w życie gospodarcze. Na przykład, zwolennicy

ochrony inicjatywy prywatnej godzą się, wobec wstrząsów koniunkturalnych albo zahamowań strukturalnych, na interwencjonizm państwa, a raczej proszą o ingerencję tu i owdzie. Oczywiście, oznacza to, że godzą się oni na wyższy stopień ingerencji państwa, niż wypadaloby to ze względu na zupełną poprawność w stosunku do doktryny liberalnej.

Przeciwstawianie indywidualizmowi — kolektywizmowi nie prowadzi do właściwego stosunku wobec interwencjonizmu państwa, jako sposobu rozwiązywania zagadnień społecznych i gospodarczych. Należy zdobywać się na harmonijne traktowanie interesów i praw jednostki i zbiorowości. W ramach cywilizacji zachodniej powinno być miejsce na pełne uwzględnienie różnorodności życia i idei, stąd wynikających. Dlatego interwencjonizm jest tak naturalnym objawem na tle cywilizacji zachodniej, jak ochrona wolności człowieka. Interwencjonizm nie tylko może, ale powinien tu istnieć obok gwarancji wolności indywidualnej. Interwencjonizm może i powinien prowadzić do upowszechnienia wolności człowieka; jest on z tego punktu widzenia konieczny. Interwencjonizm zachodnio-europejski jest produktem ewolucji historycznej, która z jednej strony dawała coraz to nowe sformułowania interesu jednostki, z drugiej — coraz to nowe sformułowania interesu zbiorowości. Dlatego, w gruncie rzeczy, nie stał się on czystym wyrazem doktryny, wyśuwającej model zbiorowości, jako jednolitej masy, bez bogactwa różnic indywidualnych, jakie do zbiorowości wprowadzają wolni ludzie. Interes zbiorowy — zagadnienie konkretne — zmieniający się ze zmianami struktury społeczno-gospodarczej, wpływał na krystalizowanie się dzisiejszego interwencjonizmu. Oczywiście, nie wystarczało, że interes zbiorowości istniał, zmienił się i komplikował — postępowało naprzód uświadomienie i formułowanie tego interesu. A w praktycznej realizacji rzadko dochodziły do głosu tendencje jednostronne, burzące harmonię pomiędzy interesem jednostki i zbiorowości. Odrzucano je, jako wątpliwe określenie interesu zbiorowego, a co najmniej wymagające sprawdzenia. (Rozważając zagadnienie sposobów działania, nie można przechodzić do porządku dziennego nad szeregiem trwałych zmian na zachodzie, takich, jak postęp gospodarki państwowej, kontrola działalności gospodarczej, rozdział pomiędzy własnością a eksploatacją, renty społeczne itp.).

Pojęcie «gospodarka kierowana» daje okazję bardziej wyraźnego przeciwstawienia się zasadzie wolnej gry sił ekonomicznych. Odpowiada jemu odpowiedzialność państwa za całość, co najmniej głównych, procesów gospodarczych. Nie jest jednak nadal sprzeczne, moim zdaniem, z pojęciem gospodarki kierowanej, ani też z pojęciem gospodarki planowej, zasada indywidualnej wolności gospodarczej. Nie wracam do sprawy naturalnych i koniecznych ograniczeń tej wolności. Przytoczone obecnie okoliczności wiążą się jednak z tymi, o których była mowa niedawno. Jeśli jednostka, w wyniku wolnej gry sił, traci cały

swój dorobek materialny, warsztat lub pracę i naraża się na wyrzeczenie i udręki, to czy można wówczas mówić, że postulat indywidualnej wolności gospodarczej jest dopełniony. Nawet jednostka, najbardziej przywiązana do idei nieskrępowanej swobody, na pewno wybierze opiekę państwa zamiast wolnej gry sił, która obchodzi się z nią źle. Jeśli nie możemy całkowicie zawierzyć wolnej grze sił, to, przy coraz większym skomplikowaniu i komplikowaniu się życia społeczno-gospodarczego, postulat gospodarki kierowanej może nawet wynikać z potrzeb praktycznego zastosowania zasady indywidualnej wolności gospodarczej. Punkt ciężkości leży w tym, aby gospodarka kierowana była rozsądna. Państwo nie może — z jednej strony — brać na siebie zadań, których należyte rozwiązanie wymaga lepszego poznania rzeczywistości, z drugiej zaś, nie musi i nie powinno, nawet z punktu widzenia interesu zbiorowości, brać na siebie tych decyzji, które z korzyścią dla ogółu mogą być pozostawione jednostce, wypełniając jej sferę wolności. Mądry rząd będzie rad, jeśli ktoś ze społeczeństwa, z pożytkiem dla ogółu, będzie rozwijał samodzielną działalność gospodarczą. Mądry rząd nie będzie ulegał dzieciinnym chętkom — «ja sam» — robienia wszystkiego i kierowania wszystkim, lecz nie uchyli się od obowiązku pokierowania tam wszędzie, gdzie jest to konieczne z punktu widzenia ogólnego, a ponadto możliwe.

Traktuję gospodarkę planową, jako pojęcie węższe od pojęcia gospodarki kierowanej. Jeśli w gospodarce planowej występuje ściślejsze i szczegółowsze określenie zadań i czasu ich realizacji, to od gospodarki planowej wymaga się wtedy więcej niż od każdej gospodarki kierowanej, która nie zawsze musi stawiać sobie szczegółowe zadania i wchodzić w drobiazgową reglamentację. Lecz i odwrotnie, gospodarka planowa niekoniecznie musi być kazuistyczna. Nie wydaje mi się, aby było obecnie celowe usztywnianie pojęcia «gospodarka planowa». Chęć świadomego zajęcia się sprawą dobrobytu powszechnego jest niewątpliwa. Jest ona poważnym impulsem do szerzenia się gospodarki planowej w przyszłości. Postęp badań rzeczywistości społeczno-gospodarczej i przestrzeganie zasad indywidualnej wolności gospodarczej będą warunkowały zakres i głębokość interwencji, zależnej od stopnia szczegółowości stawianych zadań. Może się jednak przede wszystkim okazać, że, nie zmieniając istoty gospodarki planowej — to znaczy planowego rozwiązywania zagadnień, podnoszenia kultury materialnej społeczeństwa — można będzie w znacznej mierze realizować stawiane zadania przy pomocy akcji uświadamiania i perswazji. A wtedy większy nacisk zostanie położony na same zadania (nie wyłączając, oczywiście, czasu ich urzeczywistnienia) niż na przymusowość wykonania. I w tych warunkach gospodarka planowa będzie tylko nowym etapem dotychczasowego rozwoju, wcale nie przekreślającym zasady wolności osobistej i wcale nie prowadzącym do niewolnictwa. Planiści nie muszą przekształcać państwa w piekło, mówiąc, że pragną by było ono niebem. Oczywiście, w

tak pojętej gospodarce planowej nie mieściłyby się plany zbyt szczegółowe, bo takie plany, pomijając ocenę możliwości ich realizacji, wymagają w każdym razie dużego przymusu i szczególnej izolacji danego gospodarstwa od świata. Nie musi również gospodarca planowa w wolnym społeczeństwie wykluczać działania wolno-konkurencyjnego mechanizmu rynkowego tam, gdzie ten mechanizm może z pożytkiem funkcjonować, dając spontaniczne wykonanie zadań planu.

## 8. POGLĄD NA OGÓLNE ZASADY TAKTYKI

Teoria ekonomii coraz bardziej zatracza swój dawny charakter filozoficzny i staje się coraz bardziej wiedzą o charakterze instrumentalnym. Na zmianę tę silnie reaguje, rzecz zrozumiała, polityka ekonomiczna. Polityka ekonomiczna oddala się od sporów politycznych i doktrynalnych. Można z wielu objawów sądzić, że ta właśnie tendencja wystąpi jeszcze wyraźniej w przyszłości. Polityka gospodarza jest sztuką osiągania praktycznych rezultatów. Obrona przed sztywnością, narzucaną przez doktrynę, była zawsze normalną, samorzutną reakcją polityki gospodarczej, stającej wobec konkretnych potrzeb rzeczywistości. Nawet doktrynerzy miękli, na co jest wiele dowodów, biorąc w swe ręce kierownictwo polityki gospodarczej państwa, stawali się ustępliwi wobec tego zespołu zagadnień, które stwarzało życie. Wydaje się, że tym bardziej, gdy teoria ekonomii zaczyna dawać dyspensę od doktryny filozoficznej, zwłaszcza od doktryny filozoficznej, starającej się wyjaśnić całokształt zjawisk społeczno-gospodarczych na podstawie niewielu, zbyt uproszczonych elementów, polityka gospodarza skorzysta z tego skwapliwie, zajmując się jak najbardziej skutecznym rozwiązywaniem konkretnych problemów, posługując się różnymi środkami i wyzyskując różne elementy gospodarstwa oraz różne właściwości psychologiczne gospodarującego człowieka i społeczeństwa.

Zanim przejdę do dalszych uwag, pragnąłbym przypomnieć zasadę prymatu moralności wobec polityki i ekonomii oraz zasadę prymatu polityki wobec ekonomii. Celem polityki jest harmonijny rozwój całego społeczeństwa, obrona jego, stąd wynikających, wszechstronnych interesów, wśród których na czoło wysuwają się interesy niematerialne. Stąd, nie może istnieć praktycznie tzw. «ściśle ekonomiczne» ujmowanie zagadnień gospodarczych. Zasady moralne nie powinny być topione w frazeologii doktrynerskiej. Muszą stale znajdować swój konkretny wyraz w formułowaniu zadań i doborze środków oraz w codziennych rezultatach polityki gospodarczej. Na przykład, nieustanna realizacja postulatów sprawiedliwości społecznej z codziennymi, coraz większymi jej wynikami, a nieodłącznie z tym, podnoszenie godności człowieka i rozszerzanie sfery jego swobody i niezależności — powinno być uważane za nieprzemijającą cechę każdej polityki gospodarczej.

Wydaje się wobec tego dalej, że ogólne cele polityki gospodarczej polegają na zapewnieniu każdej jednostce, myśląc przede wszystkim o jednostkach najbardziej dotychczas upośledzonych, jak najlepszych warunków materialnych niezależności i pełnego rozwoju kulturalnego. Jest jasne, że cele te muszą być urzeczywistniane w dwóch płaszczyznach równoległe — podnoszenia dochodu społecznego i jego podziału. Zadanie pełnego zatrudnienia, które mniej więcej od lat trzydziestych bieżącego stulecia wysunęło się na czoło zadań polityki gospodarczej, na daleką metę jest zadaniem pośrednim, gdyż, pomijając ściłą zależność podniesienia dobrobytu najszerszych warstw ludności od pełnego zatrudnienia, można sobie wyobrazić taką sytuację, iż przy pełnym zatrudnieniu pożądane i możliwe do urzeczywistnienia podniesienie poziomu kultury materialnej wszystkich warstw społeczeństwa, lub też warstw upośledzonych, nie będzie jeszcze osiągnięte. I wreszcie, jest zrozumiałe, że nie sposób osiągnąć stanu naprawdę powszechnie wysokiego dobrobytu (wykluczam więc, że bieda nie może zniknąć) w ciągu krótkiego czasu. Chodzi o to, aby maksimum tego, co jest możliwe do zrobienia w danym okresie, zostało zrobione. Polityka gospodarza — uczciwa — nie powinna postulować się wykrętem, że niepowodzenia są potrzebne dla przyszłych triumfów. Można wyrazić wątpliwość, czy społeczeństwo zdobędzie się kiedyś na zdolność bezstronnej oceny — czy w danym okresie możliwe maksimum zostało zrobione przez politykę gospodarza. I pod tym względem nie należy rezygnować z optymizmu, a mianowicie jest to możliwe przy podniesieniu ogólnej kultury społeczeństwa, rzetelności w życiu publicznym, wiedzy o sprawach gospodarczych itp., a niemając rolę może odegrać oczyszczenie języka, jakim mówi się o sprawach społeczno-gospodarczych, z frazeologii doktrynerskiej.

Przytoczę obecnie parę typowych pytań, które stają codziennie przed polityką gospodarza, liczącą się zawsze w swoim działaniu z przesłankami, wynikającymi ze struktury i sytuacji koniunkturalnej.

Do takich należy pytanie — gdzie, jak oraz kiedy należy interweniować, gdy chodzi o realizację danego szczegółowego zadania, będącego pochodną zadań trwalszych i bardziej ogólnych. Odpowiedź na pytanie — gdzie i jak należy interweniować — oznacza wybór dziedziny życia gospodarczego, w której powinna wystąpić interwencja, co zwykle narzuca już wybór środków. Na przykład czy dla przewyciężenia zahałowań w żywieniu należy interweniować w kierunku zwiększenia płac i wzrostu, dzięki temu, siły nabywczej na rynku, czy też zastosować inne postępowanie, interweniując w kierunku obniżki poszczególnych składników kosztów produkcji, a w konsekwencji obniżki cen.

Można wymienić inne podobne pytanie: czy w analogicznej sytuacji dążyć do poprawy obrotów gospodarczych przez podniesienie względnie utrzymanie cen artykułów rolniczych, czy

też odwrotnie, lepiej jest zwrócić uwagę na poprawę siły nabywczej miast. Biorąc przykładowo zagadnienie bardziej szczegółowe, można przytoczyć pytanie: czy lepiej jest wpuścić do kraju przywóz odpowiednich towarów z zagranicy, gdy jest konieczna obniżka cen tego rodzaju towarów na rynku wewnętrznym, czy też lepiej podjąć wspomnianą obniżkę cen na drodze administracyjnej. Czy należy dążyć do poprawy cen artykułów rolniczych na drodze zakupów interwencyjnych i premiowania wywozu, czy też skuteczniej i zdrowiej można to osiągnąć przez uruchomienie wielkich robót publicznych (przynajmniej się do pobudzenia siły nabywczej na artykuły rolnicze na rynku wewnętrznym), albo czy roboty publiczne, czy też interwencja banku emisyjnego (obniżka stopy procentowej, zakupy papierów wartościowych na rynku) jest potrzebna dla spowodowania wzrostu obrotów i produkcji. Oczywiście, odpowiadając na pytanie — gdzie należy interweniować — nie chodzi o wybór pomiędzy interesami warstw społeczno-gospodarczych, a o decyzję, w którym miejscu należy interweniować, aby najłatwiej i najlepiej osiągnąć zamierzony rezultat. Wybór miejsca interwencji decyduje o powodzeniu.

Ostrożność nakazuje posługiwanie się raczej paru środkami dla osiągnięcia zamierzonego celu. Stąd przeważnie lepiej jest interweniować w paru miejscach. Dla zobrazowania tej konieczności użyję popularnego przykładu, że, jeśli polityka gospodarcza pragnie utrzymać w ryzach ceny i dążyć do określonego zaopatrzenia wszystkich warstw ludności, nie ograniczy się na ogół do administracyjnej reglamentacji cen, lecz również zajmie się ilościową reglamentacją podaży oraz reglamentacją siły nabywczej, to znaczy popytu.

Pytanie — kiedy należy interweniować — można rozumieć dwójako. Po pierwsze, kiedy wogóle należy interweniować. Z interwencją to tak, jak ze zbiorami przy szybkim dojrzewaniu: nie można sprzątać zielonego zboża, a gdy zbiór jest spóźniony, zboże zaczyna się sypać. Trzeba uchwycić właściwą chwilę interwencji, aby nie było za wcześnie lub za późno. Najtypowszym przykładem jest przykład przedwczesnych interwencji ograniczających w fazie ożywienia, albo spóźnionych interwencji ograniczających w fazie kontrakcji, lub też odwrotnie — spóźnionych interwencji pobudzających w fazie kontrakcji, kryzysu i depresji. Po drugie, z zasady zespołowego użycia środków wynika pytanie — w jakim momencie (i stąd w jakiej kolejności) ma być użyty każdy z poszczególnych środków. Cytowany przykład robót publicznych i interwencji banku emisyjnego jest chyba najlepszy dla ilustracji tej właśnie zasady. Gdy życie gospodarcze jest ogarnięte marazmem i panuje powszechny brak optymizmu w ocenie perspektyw ożywienia, trzeba przede wszystkim zacząć od robót publicznych w walce z bezrobociem i w dążeniu do zwiększenia obrotów i produkcji. Producent nie zacznie zwiększać produkcji i zatrudnienia, gdy życie gospodarcze jest ogarnięte przewlekłą depresją. Nie skorzy-

sta on nawet ze znacznie potanionego kredytu, tak jest ogarnięty pesymizmem, co do możliwości ruszenia życia gospodarczego. Jest rzeczą charakterystyczną, że często w okresie przewlekłej depresji istnieje duża płynność w bankach, które narzucają się producentom z propozycjami potanionego kredytu. Nie chcą oni jednak z tego korzystać. Muszą mieć bowiem jakieś minimalne szanse, że opłaci się im zaciągnięcie kredytu, zwiększenie zatrudnienia i produkcji, że ich produkcja spotka się nabywcą na rynku i znajdzie zbyt. Te szanse daje im państwo, zatrudniając bezrobotnych przy robotach publicznych i wprowadzając w ten sposób siłę nabywcą na rynek. Dopiero w następnej kolejności lub równolegle, można zastosować środki zwiększenia płynności finansowej na rynku i obniżenia stopy procentowej. Zła synchronizacja interwencji byłaby marnotrawstwem czasu i środków, gdyż środki drugiej kategorii działają dopiero wtedy efektywnie, gdy zostały już zastosowane lub są równolegle stosowane środki pierwsze. Mogą zresztą nawet zupełnie nie wydać rezultatów, bez uprzedniego przygotowania gruntu przez środki pierwszej kategorii.

Gdy mowa o działaniu przy pomocy zespołu środków, trzeba oczywiście pamiętać o współzależności poszczególnych elementów życia gospodarczego, powiedziałbym, o pożądanej harmonii elementów gospodarstwa narodowego. Z tego wynika pozytywna zasada, że w użyciu środków polityki gospodarczej należy również przestrzegać harmonijności. Żądaniem elementarnym jest żądanie unikania sprzeczności w działaniu, a więc i w doborze środków. Następnym żądaniem jest żądanie uwzględniania wszystkich elementów gospodarczych, które powinna objąć interwencja, i wszystkich środków, które należy użyć, aby zamierzony rezultat mógł być jak najsprawniej osiągnięty. Można powiedzieć, że żądanie to prowadzi do sformułowania swego rodzaju zasady minimum, lub zasady rezultatu działania krańcowego w polityce gospodarczej. Jeśli zostało przygotowane prawie wszystko, aby osiągnąć dany cel, postawione zadanie nie zostanie dopóty rozwiązane, dopóki nie został spełniony chociażby jeden z wymaganych warunków. I jeszcze inaczej, jeśli w realizacji postawionego zadania występuje nie zwykłe zaniechanie spełnienia któregoś z niezbędnych warunków, lecz brak środka, który mógłby to spełnienie zapewnić — ten właśnie środek decyduje o rezultacie końcowym. Wreszcie, jeśli wszystkie środki w nierównym stopniu mamy do dyspozycji, o efekcie końcowym decyduje ten środek, którego mamy najmniej. W polityce gospodarczej popełnia się często błąd lekceważenia tej zasady. Biorę przykład jaskrawy tego błędu, wyraźnie ilustrujący zasadę, a mianowicie politykę ekspansji kredytowej, prowadzonej przy niedostatecznym zapewnieniu podaży bądź wykwalifikowanych rąk roboczych, bądź surowca, albo przy braku niewyzyskanej zdolności wytwórczej urządzeń. Trzeba pamiętać, że niebezpieczeństwo błędu, o którym mowa, jest o wiele większe w gospodarce kierowanej aniżeli w gospo-

darce wolnej, gdzie dyspozycja jest rozproszona i wskutek tego trzeba nagminności błędów, aby jego skutki dorównywały ilościowo skutkowi błędów w gospodarce kierowanej.

Nie można wyprowadzać wniosku, że właściwie jest zgromadzenie wszelkich możliwych środków i uderzenie lawiną przy pomocy tych środków na wszystkich możliwych odcinkach życia gospodarczego. Konieczny jest nie tylko właściwy kompleks środków, lecz i właściwy ich podział. Wiązą się z tym jeszcze dwa dalsze zagadnienia, a mianowicie zagadnienie dawki oraz zagadnienie rezerw, które nazwałbym rezerwami manewrowymi.

O ile chodzi o dawkę, to na pewno można by wypowiedzieć opinię, że rezultaty wcale nie są proporcjonalne do użytych środków, a często przy użyciu mniejszych dawek można osiągnąć większy rezultat. Interwencje nie tylko więc dlatego zawadzą, że są przedczesne, lub spóźnione, albo że są robione ze zbyt małą siłą, lecz również dlatego, że są zbyt gwałtowne i przesadne. Zbyt ostra interwencja może nawet wywołać efekty wprost przeciwne do zamierzonych. Na przykład, pewna wyżka płac może przyczynić się do ożywienia ogólnogospodarczego poprzez wzrost siły nabywczej na rynku. Zbyt mała wyżka płac w stosunku do potrzebnej, albo zbyt odcinkowa, może nie dać absolutnie żadnych rezultatów ogólnogospodarczych. Wreszcie, za duża wyżka płac może wytworzyć takie dysproporcje w strukturze kosztów produkcji albo w stosunku do kosztów produkcji za granicą, że zamiast spodziewanych objawów ożywienia, wystąpią objawy kontrakcji. Tacy zwolennicy protekcjonizmu, którzy chcieliby wszystko chronić nieprzebytym murem celnym, zapominają niekiedy o tym, że nadużywanie dawki protekcjonizmu niweczy dodatni wpływ ochrony celnej na rozwój produkcji krajowej. A ten dodatni wpływ — mówiąc w wielkim skrócie — może wystąpić tylko wówczas, gdy rezultatem protekcjonizmu nie jest poważny spadek importu i powszechna wyżka cen na rynku wewnętrznym. Z drugiej strony, im dokładniejszy staje się filtr ochrony celnej w stosunku do przywozu towarów z zagranicy, tym donioślejsze są głosy za szerszą ochroną. Dlaczego? Dlatego, że tego rodzaju przesadna ochrona zaczyna w pewnym momencie działać już wyraźnie paraliżująco na życie gospodarcze, uchodzi jednak nadal uwagi fakt, że lekarstwo szkodzi, ponieważ przekroczyło się leczniczą dawkę. Zadne gospodarstwo, a tym mniej, im jest mniejsze, nie może obyć się bez klapy wywozu towarów za granicę. Utrudniając import, utrudnia się równocześnie eksport, a ilości krańcowe wytwórczości, ciężące na rynku, zatruwają normalne funkcjonowanie gospodarstwa narodowego, wywołując szereg skutków wtórnych, które w rezultacie splatają się w ogólną depresję.

Polityka gospodarcza działa na podstawie hipotez. Dlatego, aby uniknąć niespodzianek, zapewnia sobie wykonanie zadania, działając w tym samym kierunku przy pomocy paru dobrze dobranych środków. Zbliżone znaczenie posiada zagadnie-

nie rezerw, które możemy również związać z realizacją zasady minimum w polityce gospodarczej. W przedsiębiorstwie prywatnym rezerwy finansowe chronią przed bankrutstwem. Rezerwy wyrobów gotowych i surowców, rezerwy zdolności wytwórczej urządzeń produkcyjnych, rezerwy dewizowe, rezerwy skarbowe, gromadzone w okresie dobrej koniunktury, warunkują możliwości manewru polityki gospodarczej. Państwo, które stale nie dba o tego rodzaju różne rezerwy, nie może prowadzić naprawdę skutecznej polityki gospodarczej, może, na przykład, w pewnym momencie przerwać działanie tylko dlatego, że wystąpiły nowe, nieprzewidziane okoliczności. Hipoteza okazała się fałszywa. Użyte środki okazały się niedostateczne dla osiągnięcia zamierzonego celu, chociaż wydawało się, że na pewno wystarczą. Rezerwy, o których nie pomyślano przedtem, pozwoliłyby na manewr, doprowadzający do kompletnego osiągnięcia. Z polityką bez rezerw — na miarę stawianych do realizacji zadań — spotykaliśmy się chyba najczęściej przy okazji interwencjonizmu w kierunku wyżki lub niżki cen. Brak rezerw finansowych zmuszał, na przykład, do przerywania w pewnym momencie interwencjonizmu, co zamiast projektowanej wyżki, wywoływało uwielokrotnioną niżkę. Przy interwencjonizmie w kierunku odwrotnym, przerywanie działania wskutek braku rezerw towarowych, powodowało zupełną utratę panowania nad rynkiem i kompletną anarchię cen. Bez rezerw dewizowych, a przy konieczności pokrywania za granicą zapotrzebowania na urządzenia wytwórcze i surowce, polityka ekspansji kredytowej może spowodować katastrofę pieniądza zamiast pożądanego kroku naprzód w postępie gospodarczym kraju.

Szczególną uwagę należy zwracać na skutki wtórne w polityce gospodarczej. Chodzi o to, aby polityka gospodarcza stwarzała w każdym etapie zamierzone sytuacje, będące punktem wyjścia realizacji zadań następnego etapu. W ten sposób polityka gospodarcza daje w rezultacie konsekwentną linię rozwoju. Jeśli natomiast występujące skutki wtórne, zjawisko zresztą normalne realizacji każdego określonego zadania, zamiast sprzyjać konsekwencji polityki gospodarczej, będą ją odwracały od obranej linii — nastąpi niepotrzebna strata czasu. Lecz skutki wtórne mogą nawet zmusić do rezygnacji z przyjętego kierunku, zniweczyć osiągnięte już rezultaty, i skierować całą uwagę polityki gospodarczej właśnie na walkę z nimi. To zagadnienie występuje przy każdej okazji, lecz, oczywiście, łatwiej jest zauważyć skutki wtórne, oceniając dłuższy okres działania polityki gospodarczej. Niebezpieczeństwo ujemnych skutków wtórnych jest chyba tym większe, im głębiej sięga interwencja polityki gospodarczej. Tym dokładniej więc należy oceniać możliwości i charakter skutków wtórnych, gdy polityka gospodarcza zamierza głębiej interweniować. Jeśli polityka gospodarcza interweniuje powierzchownie, na przykład w dawnym stylu klasycznym, nie może stawiać przed sobą wielkich zadań do realizacji, lecz również nie potrzebuje obawiać się niebezpieczeństwa ujemnych

skutków wtórnych, których przewidzenie wymagałoby wszechstronnej i gruntownej analizy. Jeśli, powiedzmy, polityka gospodarcza manipuluje stopą dyskontową, nie może mieć nadziei, że w ten sposób wywrze duży wpływ na podaż kapitału, poziom cen itp. w kraju, lecz nie potrzebuje również obawiać się, że wystąpią takie skutki, które zamiast poprawy układu elementów gospodarki narodowej (jak płace, inne koszty produkcji oraz ceny) w kierunku ożywienia — pogorszą ten układ, wywołując depresję lub chaos. Od interwencji głębszej, na przykład dewaluacji pieniądza, można spodziewać się więcej, ale i większe jest niebezpieczeństwo ujemnych skutków wtórnych. Wreszcie największe jest niebezpieczeństwo ujemnych skutków wtórnych, gdy interwencja jest bardzo głęboka. Jeśli dochód z pracy utrzymywany jest na bardzo niskim poziomie, ujemnym skutkiem wtórnym takiej polityki może być obniżenie wydajności pracy i produkcji, zubożenie społeczeństwa oraz spadek przyrostu, a nawet bezwzględnej liczby ludności. Przymusowa kapitalizacja, drastycznie obniżająca siłę nabywczą ludności na dobra spożywcze, może wpłynąć hamująco na procesy inwestycyjne, gdy przy powzięciu danej decyzji właśnie chodziło o rozwój inwestycji. Stworzenie sztucznej rozpiętości cen na niekorzyść artykułów rolniczych może wpłynąć ograniczająco na rozwój produkcji przemysłowej, gdy ideą przewodnią utrwalenia takiej struktury cen mogło być właśnie pobudzenie rozwoju przemysłu itp. W związku z powyższymi uwagami można dojść do wniosku, że charakter skutków wtórnych określa — w pewnym sensie — granice interwencjonizmu.

Nie jest moim celem wyczerpanie wszelkich zasad taktyki polityki gospodarczej, jakie można lub warto sobie wyobrazić. Po wyczerpaniu teoretycznych pod tym względem możliwości, zawsze pozostanie masa zasad «niewykrytych», których tajemnicę zachowa sobie życie praktyczne. Dwie są zalety dobrej polityki gospodarczej: konsekwencja i elastyczność. Rozumiem przez to, że polityka gospodarcza dąży do z góry wytkniętych celów, dostosowując swoje postępowanie do bieżącej sytuacji, co ją właśnie zbliża do tych celów. Gdybyśmy się więc starali ukuć z zasad taktyki system — powstałoby nowe obciążenie elastyczności polityki gospodarczej. Rzuca się w oczy, że umotywowana zasada wiąże się ściśle z inną umotywowaną zasadą, zazębia się o nią lub znacznie się z nią pokrywa, że z jednej zasady wynika bezpośrednio inna itp. Jest to jeszcze jednym dowodem, jak dużej wiedzy i doświadczenia wymaga prowadzenie dobrej polityki gospodarczej. Jak, równocześnie, niebezpieczny jest taki — niewątpliwie łatwiejszy — sposób myślenia, który można by nazwać «biegunowym», gdyż opiera się z reguły na wyborze jednej z dwóch skrajnych możliwości, leżących na dwóch przeciwstawnych biegunach. Taki sposób myślenia prowadzi więc zdecydowanie albo do wyboru totalnego etatyzmu, albo ustroju, opartego całkowicie na prywatnej własności, albo precyzyjnej, integralnej gospodarki planowej, albo

systemu wolnej gry sił, inflacji, albo deflacji itp. Gdy tymczasem życie społeczne nie znosi «czystych form» i najlepiej odpowiadają mu formy mieszane, będące odpowiednikiem jego różnorodności. Tak na przykład, wydajna gospodarka nie będzie na pewno posiadała czystej formy gospodarki wolnego zysku, kontrolowanego zysku, lub kontrolowanych potrzeb.

Na zakończenie uwag, zawartych w tym punkcie, chciałbym jeszcze raz przypomnieć o zależności polityki gospodarczej, formułowanych zadań i dobieranych środków — od stopnia poznania rzeczywistości. Na przykład, jeśli polityka gospodarcza dąży do wyrównania rozpiętości w czasie cen poszczególnych artykułów, co tak często występuje, jako zadanie polityki gospodarczej — musi posiadać dokładne wiadomości o stanie podaży i popytu i szereg informacji o tendencjach, jakie w tej dziedzinie mogą wystąpić. Brak materiału, pozwalającego na dokładną ocenę stanu faktycznego, może doprowadzić do tego, że rezultatem akcji będzie pogłębienie rozpiętości. Jeśli polityka gospodarcza chce posługiwać się tak delikatnymi impulsami (a bardzo cennymi w realizacji zadań polityki gospodarczej), jak tak zwane impulsy krańcowe, musi również wiele wiedzieć, a może jeszcze więcej — o życiu gospodarczym. Do przykładów tej kategorii należy mała zwyżka cen, wywołująca znaczną podaż dodatkowych towarów o krańcowych kosztach produkcji, mała zniżka stopy procentowej, wywołująca znaczny ruch inwestycyjny itp. (Oczywiście, wyzyskiwanie impulsów krańcowych wymaga nie tylko dokładnej znajomości rzeczywistości, lecz również dokładności w kalkulacji, występującej u producentów, kupców i spóżywców). Doskonałość interwencji będzie więc wzrastała, im dokładniejsze będzie poznanie rzeczywistości, między innymi, pozwalające na ścisłą ocenę skutków już przeprowadzonej interwencji, a to dla bardziej ugruntowanych wniosków na przyszłość.

## 9. PLAN PRACY

Każda systematyka może dawać powody do krytyki. Nie jest chyba możliwy taki podział środków polityki gospodarczej, aby środki, zaliczone do jednej grupy, nie nadawały się pod pewnym względem również do innej. Wynika to stąd, że życie gospodarcze narodu jest nierozdzielną całością i jego polityka gospodarcza jest, lub musi być, również nierozdzielną całością. Poszczególne zadania polityki gospodarczej ściśle się z sobą wiążą i również środki polityki gospodarczej ściśle się z sobą wiążą. Nie sposób jest uniknąć, w braku klasyfikacji, która usunęłaby częściowe pokrywanie się poszczególnych tematów, powtarzania ich w paru rozdziałach, lub nawiązywania w jednym rozdziale do środków omówionych już w innym.

Powtarzam, że zadanie, jakie sobie postawiłem w tej pracy polega na ułatwieniu wytworzenia sobie ogólnego poglądu na środki działania polityki gospodarczej. Z tego powodu trzeba

zdobywać się na pewną syntezę. Zgubienie się w opisie różnorodnych szczegółów może sprawić, iż praca ta nie da ogólnego poglądu na środki polityki gospodarczej. Będzie odrzucona z niechęcią przez tych, dla których jest przeznaczona. To tak, jakby czytelnik szukał pracy, dającej mu pogląd na styl epoki w architekturze, a znalazł tylko opis fragmentów architektonicznych, jakie są spotykane w tej epoce. Sądzę, że ujmując zagadnienie, w miarę możliwości, syntetycznie, można jednak osiągnąć cel praktyczny — cel przewodnika w spotykanej codziennie przez każdego obywatela problematyce wykonania takich lub innych zadań przez politykę gospodarczą. Chciałbym znaleźć złoty środek. Doprowadzić do kompromisu pomiędzy potrzebą służenia zadaniu wytwarzania sobie ogólnego poglądu na całość środków działania polityki gospodarczej a potrzebą użyteczności konkretnej, praktycznej — orientowania się w bieżących zagadnieniach sposobu realizacji. Zdaję sobie sprawę, że pogodzenie to nie jest łatwe. Przed autorem pracy tak pomyślanej, jak ta, stoi wiele trudności, na przykład ryzyko, że gdy upraszcza, uprzystępnia temat, lecz staje się nieścisły, a omówienia jego tracą wartość praktyczną.

Następny rozdział\*) jest poświęcony niektórym zagadnieniom układu elementów gospodarki. Ma on właśnie służyć syntezie w wytwarzaniu sobie poglądu na działanie gospodarki, a więc na zadania polityki gospodarczej i środki ich realizacji. Zwiększony stopień abstrakcji w traktowaniu tematów w tym rozdziale, pozwala nie tylko na bardziej syntetyczne ujęcie istotnych problemów gospodarki, lecz również daje okazję do pewnego ćwiczenia w rozumowaniach, użytecznych w sprawach polityki gospodarczej. Pierwsza część tego rozdziału poświęcona jest paru pojęciom, używanym co krok przy traktowaniu tematów ekonomicznych. Sądzę, że dobrze jest je wyjaśnić, czy też przypomnieć. I właśnie na początku tego rozdziału, gdyż w nim będą one występowały najczęściej. Druga część wspomnianego rozdziału poświęcona jest zagadnieniu optimum podaży pracy i kapitału. Układ tych czynników posiada podstawowe znaczenie z punktu widzenia poziomu i postępu gospodarki. W trzeciej części zajmuję się układem elementów — wynagrodzenie czynników produkcji oraz cena — jak również konsekwencjami tego układu. Rozpatrując, związane z tym, teoretyczne zagadnienia, posługuję się hipotezą konkurencji zupełnej, to znaczy założeniem, przy którym występuje najkorzystniejszy układ wspomnianych elementów. Nie przywiązuję znaczenia do tego, że wspomniany układ jest realizowany przy idealnym teoretycznym — i to tylko dodatnim — działaniu sił wolnej konkurencji. Dzięki założeniu wolnej gry sił, możemy dojść do wniosku w sprawie najkorzystniejszego, powiedziałbym najwydatniejszego w konsekwencjach, układu elementów: — wynagrodzenie czynników produkcji i cena. Korzystam więc z przydatności

\*) Rozdział ten ukaże się dopiero w wydaniu książkowym.

tego założenia, bo w danym wypadku chodzi mi właśnie o te wnioski końcowe, a nie o praktyczne możliwości ich realizacji. Jeśli inną metodą można by było sobie wytworzyć pogląd na tego rodzaju, teoretycznie najkorzystniejszy, układ, byłaby ona do zaakceptowania. Ten układ jest nieosiągalnym celem, do którego dążymy, wiedząc, że wolna konkurencja do niego nie doprowadzi. Może doprowadzić interwencjonizm, pozostawiając wolnej grze sił rolę wybiegu w metodzie konstruowania poglądu na teoretyczne optimum. W tejże części mówię o układzie konkurencji niezupełnej, jako przeciwstawieniu teoretycznego układu, opartego na hipotezie konkurencji zupełnej. W czwartej — ostatniej części rozdziału — zajmuję się niektórymi zagadnieniami rozdziału dochodu społecznego. W poprzednich dwóch częściach zwracałem uwagę na problem wydajności gospodarki, lecz równoległe występuje sprawa rozdziału dochodu, nawet, jeśli wydajność gospodarki miałyby być narażona na szwank. Dlatego, nie można poprzestać w tej części syntetycznej tylko na tematach, związanych raczej ze sprawą wzrostu dochodu.

Właściwe omówienie środków polityki gospodarczej zamykam w dwóch rozdziałach — trzecim i czwartym. Rozdział trzeci jest poświęcony środkom, które służą oddziaływaniu na gospodarkę, jako całość. Rozdział czwarty — środkom interwencjonizmu odcinkowego. U podstaw tego rozróżnienia jest następujące rozumowanie.

Współczesna gospodarka posiada wiele elementów sztywnych, a co najmniej mało elastycznych. Trudno przypuszczać, by ten stan rzeczy miał ulec zmianie w przyszłości. Raczej będzie wzrastała sztywność gospodarki. To niewątpliwie utrudnia procesy dostosowawcze. Współczesna polityka gospodarcza stara się zaradzić temu brakowi elastyczności i zdolności adaptacyjnej. Stara się wyciągać wnioski z doświadczenia, że nie wystarczy interwencja odcinkowa, by życie gospodarcze szybko odzyskiwało swoją dynamikę.

Z drugiej strony, przy interwencji odcinkowej powstaje zagadnienie koordynacji poszczególnych działań interwencyjnych, takiej koordynacji, by w każdym wypadku zostały wywołane właściwe efekty we właściwym czasie. Każdy z tych efektów ma o tyle znaczenie z punktu widzenia dynamiki gospodarki, o ille towarzyszą mu równocześnie inne, w innych dziedzinach, i to ściśle określone. Zagadnienie to jest trudne do rozwiązania. Można powołać się na bogate doświadczenie z lat trzydziestych, gdy zupełnie zawodziły obniżki składników kosztów i cen, przeprowadzane w poszczególnych branżach. Miały one doprowadzić do zdynamizowania gospodarki przez przewyciężenie «martwych punktów» i ułatwienie procesów dostosowawczych. W języku potocznym akcja ta była nazywana deflacją cen, płac, budżetu państwa itp.; wiemy zresztą, że niesłusznie, ponieważ deflacją jest zasadniczo zmniejszenie obiegu środków płatniczych. Otóż, współczesna polityka gospodarcza dąży do utrzymania aktywności gospodarki, jako całości, przy pomocy in-



fłacji i deflacji, czyli zwiększania i zmniejszania obiegu pieniężnego. W ten sposób głównie stara się rozwiązać problem przystosowania gospodarki, jako całości. Skoro nie można uelastycznić innych elementów gospodarki, pozostaje jedyny ratunek w systemie pieniężnym i kredytowym. Gdyby nastąpiło skostnienie tego systemu, współczesna gospodarka byłaby skazana na wieczną depresję. Na skutek zmian w obiegu pieniężnym występują pożądane zmiany innych elementów gospodarki. Nie znaczy to, by nie był potrzebny interwencjonizm odcinkowy. Odgrywa on rolę pomocniczą. Ułatwia osiągnięcie wyników, które przy działaniu ogólnym nie występują tu i owdzie lub występują opornie, jak również wzmacnia wyniki, które zostały już osiągnięte. Niektóre środki interwencjonizmu pieniężno-kredytowego, a raczej środki te, gdy występują w skromnych dawkach, można zaliczyć do kategorii interwencjonizmu odcinkowego. Nie komplikujmy już jednak tego podziału.

Rozdział trzeci składa się z pięciu części: (A) system pieniężno-kredytowy, (B) regulowanie obrotów pieniężnych z zagranicą, (C) ekspansja (kontrakcja) pieniężna i kredytowa, (D) roboty publiczne i zasiłki dla bezrobotnych, (E) kapitalizacja przymusowa i reglamentacja siły nabywczej.

Rozdział czwarty traktuje o środkach interwencjonizmu na: (A) rynku pracy, (B) rynku towarowym oraz o środkach — (C) regulowania obrotów towarowych z zagranicą i (D) bezpośredniego oddziaływania na produkcję.

Aby nie powtarzać się, nie powiem już nic więcej, jaki środek, w którym rozdziale i z jakiego powodu został umieszczony. Wyjaśnienie tego wyniknie samo przez się z treści dalszych rozdziałów. Zresztą nie należy zapominać, że środki polityki gospodarczej wymieniam przykładowo i jestem daleki od wyčerpywania ich rejestru. Natomiast, dla oświetlenia sprawy wyboru innej systematyki, chciałbym przytoczyć parę klasyfikacji środków polityki gospodarczej, które można spotkać, przypominając, że interesują nas głównie środki, a zadania są dla nas tylko tłem. Pragnąłbym jednak zaznaczyć, iż nie uważam, by klasyfikacja, przyjęta w tej pracy, była lepsza od innych. Po prostu wydaje mi się, iż bardziej odpowiada zadaniom, jakim praca ta ma służyć. Co najwyżej, przytoczone poniżej przykłady mogą właśnie świadczyć, że o idealną klasyfikację jest dość trudno.

Występuje na przykład klasyfikacja według dziedzin gospodarki narodowej, jak dziedzina gospodarki rolniczej, przemysłowej, handlowej itp., ze szczegółowszymi podziałami, jak dziedzina produkcji roślinnej albo produkcji hodowlanej itp. Istnieją jednak działy gospodarki wspólne, których nawet dla celów opisowych czy analitycznych nie sposób rozdzielić bez rezultatu; a następnie, żadne zagadnienie nie jest wyłączną własnością danego działu gospodarki, chociaż może ono wiązać się głównie z postępem w tym właśnie dziale. Mówiąc na przykład o sprawie cen artykułów rolniczych, poruszamy nie tylko za-

gadnienie gospodarki rolnej, lecz i sprawę dochodów realnych ludności miejskiej, sprawę płac i kosztów produkcji przemysłowej itp. Działając na odcinku cen artykułów rolniczych, sens tego działania będziemy mogli dopiero wówczas ocenić, gdy występujące rezultaty porównamy z innymi elementami gospodarki narodowej, gdyż chodzi o wzajemny stosunek do siebie poszczególnych elementów, a pożądany stosunek osiąga się interweniując (ewentualnie nawet w kierunku utrzymania *status quo*) w paru dziedzinach gospodarki a nie w jednej. Cóż, na przykład, przyjdzie rolnikowi ze zwyżki cen rolniczych, jeśli na tyle wzrosną równocześnie ceny artykułów przemysłowych, że pochłoną zwyżkę cen rolniczych. Jest to jednak tło dalsze. Chodzi o to, że zadaniom w danej dziedzinie służą różne środki i te środki mogą być użyte do realizacji zadań w szeregu dziedzin.

Podział według charakteru środków posiada te same wady i nie wyłącza analogicznych zażeń. Może jest jeszcze o tyle gorszy, że wysuwając na czoło pokrewieństwo samych środków, grozi pewnym zatarciem związku z celami, jakim środki (nieciekawe, jeśli są brane w oderwaniu) mają służyć. Tego rodzaju klasyfikacja przyjmuje nagłówki: polityka cen, polityka płac, polityka podatkowa itp., albo system cen, system płac, system podatkowy itp. Możemy spotkać się jeszcze z szerszymi ugrupowaniami według charakteru środków. Na przykład, środki polityki handlowej, pieniężnej i morskiej są zaliczane do grupy interwencjonizmu «zewnątrznego», środki polityki cen, środki bezpośredniej reglamentacji produkcji lub spożycia — do grupy interwencjonizmu «wewnętrznego», wreszcie środki polityki kredytowej, fiskalnej i taryfowej — do grupy tzw. «właściwego» interwencjonizmu. Jeszcze inna klasyfikacja rozróżnia środki pośredniego i bezpośredniego interwencjonizmu. Zdradza ona wrażliwość na «wtrącanie się» państwa do spraw gospodarczych. Na koniec, spotyka się również klasyfikację, grupującą środki polityki gospodarczej po prostu według działów administracji państwowej.

Gdyby środki polityki gospodarczej były traktowane w rozwoju historycznym, to wówczas byłoby usprawiedliwione przyjęcie na przykład takiej klasyfikacji, jak tradycyjne środki interwencjonizmu oraz środki nowe, albo względnie nowe, jakie rozwinęły się na tle nowożytnych zmian w pojęciu interesu publicznego, w którego imieniu występuje państwo. Interes warstw upośledzonych, interes bezpieczeństwa państwa itp. dają podstawy do podziału środków według zadań. Charakter danego interwencjonizmu w dziedzinie struktury byłby punktem wyjścia podziału środków według ich pokrewieństwa.

Może najogólniejszym podziałem byłby taki podział środków, który uwzględniłaby poszczególne stadia tworzenia się i podziału dochodu społecznego. Przy nim również trudno jest uniknąć powtarzania się, a może nawet byłoby ono większe. Systematyka ta nie byłaby jednak na tyle prosta, aby można ją przyjąć w tej pracy.

Stanisław GRYZIEWICZ.

## Raffles i panna Blandish

Niemal w pół wieku po pojawieniu się w powieści angielskiej «amatora-włamywacza» Raffles'a, pozostanie on nadal jednym z jej najbardziej znanych bohaterów. Prawie każdy wie, że grał w kriketa w reprezentacji Anglii, że miał garsonierę w Albany, że okradał domy w Maifair, w których bywał gościem. Właśnie dlatego on i jego wyczyny stanowią odpowiednio tło do rozpatrzenia bardziej nowoczesnej powieści kryminalnej jak: *Nie ma orchidei dla panny Blandish* (No orchids for Miss Blandish). Wszelki wybór tego rodzaju bywa z konieczności dowolny — mogłem równie dobrze wybrać *Arsène'a Lupin* — ale w każdym razie *Nie ma orchidei* i książki o Raffles'ie\*) mają jedną wspólną cechę: są to książki kryminalne, które rzucają więcej światła na złoczyńcę, niż na policjanta. Można je zestawić dla celów socjologicznych. *Nie ma orchidei* przedstawia uświetnioną zbrodnię w 1939, *Raffles* w wersji 1900 roku. Chodzi mi tutaj o olbrzymią różnicę w moralnej atmosferze obu książek i, co zapewne za tym idzie, o zmianę w postawie opinii w stosunku do tych spraw.

W obecnej chwili urok *Raffles'a* polega częściowo na atmosferze epoki, częściowo zaś na technicznej doskonałości tych opowiadań. Hornung był pisarzem bardzo sumiennym i w swoim zakresie bardzo zdolnym. Jego książki zaimponują każdemu, kto dba o dobrą robotę literacką. Tym niemniej istotny pierwiastek dramatyczny w *Raffles'ie*, to co sprawia, że aż po dzień dzisiejszy pozostaje on postacią przysłowiową, (niedawno jeszcze jeden z sędziów orzekł w sprawie o rabunek, że oskarżony jest wcieleniem Raffles'a), to fakt, że chodzi o *gentlemana*. Raffles jest nam przedstawiony — i autor kładzie to czytelnikowi do głowy w niezliczonych fragmentach dialogu i przypadkowych uwagach — nie jako uczciwy człowiek, który zeszedł na bezdroża, ale jako wykolejony wychowanek *Public School*. Jeśli odczuwa on jakiegokolwiek wyrzuty sumienia, są to wyrzuty o

\*) *Raffles, A Thief in the Night* i *Mr. Justice Raffles* — przez E. W. Hornunga. Trzecia z tych powieści jest niewątpliwie nieudana, a jedynie pierwsza z nich oddaje prawdziwą Rafflesowską atmosferę. Hornung napisał szereg powieści kryminalnych, zazwyczaj wykazując tendencję do sympatyzowania z przestępcą. Ciesząc się powodzeniem książka, w rodzaju *Raffles*, jest *Singaree*.

charakterze niemal towarzyskim, znieśli «starą szkołę», utracił prawo wstępu do «przyzwoitego towarzystwa», wyzbył się swojej pozycji «amatora» i stał się zwykłym szubrawcem. Nie wydaje się, żeby Raffles czy Bunny mieli silną świadomość tego, iż kradzież jest zła sama w sobie, chociaż Raffles stara się raz usprawiedliwić przypadkową uwagą, iż «rozdzielił dóbr i tak jest całkowicie źle przeprowadzony». Uważają się oni nie za grzeszników, ale za renegatów czy wyrzutków, po prostu za ludzi, którzy wyszli ze swojej sfery. Zaś nasze pojęcia moralne są wciąż tak pokrewne pojęciom Raffles'a, że istotnie widzimy coś paradoksalnego w jego sytuacji. Klubowiec z West-Endu — włamywaczem! Czyż to samo nie jest już sensacją? A gdyby blacharz albo właściciel sklepu spożywczego okazał się włamywaczem? Czy byłoby w tym coś samoistnie dramatycznego? Nie — chociaż pozostałaby intryga «podwójnego życia», zbrodni, pokrytej pozorami czciogodności. Nawet Charles Peace, w swoim księżowskim kołnierzyku, wydaje nam się mniejszym hipokrytą, niż Raffles w swym brązowym spencerku.

Raffles ma być oczywiście wytrawnym sportowcem, i to że jego ulubioną grą jest kriket, jest niewątpliwie rysem dobranym bardzo trafnie. Pozwala to autorowi przeprowadzać niekończące się analogie pomiędzy pewnymi sztuczkami Raffles'a w tej grze i jego sprytem jako włamywacza, a także służy do wyraźnego określenia charakteru jego przekroczeń. Kriket nie jest w gruncie rzeczy bardzo popularną grą w Anglii — o wiele popularniejszą jest np. piłka nożna — ale jest pewną wybitnie zaznaczoną cechą charakteru Anglików, ich skłonności do wyższej oceny «formy», czy «stylu» aniżeli powodzenia. W tej grze, osiągnięcie sportowe mniejszej miary może w oczach prawdziwego miłośnika kriketu uchodzić za «lepsze» (to znaczy szlachetniejsze) niż drugoczący sukces na punkty. W krikecie, jak w bardzo niewielu innych grach, amator może przewyższyć gracza zawodowego. Jest to gra obfitująca w stracone nadzieje i nagłe, dramatyczne zmiany szansy, zaś jej reguły są tak luźno określone, że ich interpretacja pozostaje po części kwestią etyki. Dlatego w języku angielskim mówi się o uczynkach moralnie nieładnych, które jednak trudno określić jako wręcz nieuczciwe, że to *nie cricket*. Gra ta zajmuje masę czasu i jest raczej kosztowna, to też w kriketa grają przeważnie członkowie klasy uprzywilejowanej, lecz cały naród przejął się szeregiem pojęć ściśle związanych z kriketem, jak «dobra forma», «fair play» itd. Popularność kriketa spadła jednocześnie z upadkiem angielskiej tradycji, która wymagałaby «oszczędzania powalnego przeciwnika». Nie jest to gra dwudziestego stulecia i nie lubi jej większość nowoczesnie usposobionych ludzi. Hitlerowcy, np., z dużym nakładem trudu zabrali się do wykorzeniania kriketu, który zaczął się rozpowszechniać w Niemczech przed i po pierwszej wojnie światowej. Hornung, czyniąc z Rafflesa zarówno gracza w kriketa jak i włamywacza, nie tylko dostar-

czał mu wiarogodnej maski, zaznaczał również najostrożniejszy moralny kontrast, jaki mógł sobie wyobrazić.

Raffles, w niemniejszym stopniu jak *Wielkie oczekiwania* (Great Expectations) Dickensa lub *Czerwone i czarne* Stendhala jest historią, osnutą na tle snobizmu, i wiele zyskuje na pewnej chwiejności pozycji społecznej samego Rafflesa. Bardziej prymitywny pisarz byłby z gentelmana-włamywacza uczynił członka rodziny lordowskiej, albo przynajmniej baroneta. Raffles jednak pochodzi z wyższych sfer klasy średniej i arystokracja przyjmuje go jedynie z powodu jego osobistego uroku. «Bywaliśmy, ale nie należeliśmy do towarzystwa», oświadczył on Bunny'emu pod koniec książki, oraz: «interesowano się mną z powodu kriketa». Zarówno on jak i Bunny uznają bez zastrzeżeń walory «towarzystwa» i obaj chętnie pozostaliby w nim na zawsze, gdyby udało im się zdobyć tak wielki łup, by móc na nim poprzestać. Ruina, która im wciąż zagraża, jest tym straszniejsza, że «należą» oni jedynie połowicznie do towarzystwa. Książę, który siedział w więzieniu, pozostanie nadal księciem, podczas gdy zwykły «światowiec», raz zniesławiony, przestaje nim być na zawsze. Ostatnie rozdziały książki, kiedy Raffles został zdemaskowany i żyje pod przybranym nazwiskiem, są prześiąknięte atmosferą zmierzchu bogów, co nastrojem przypomina wiersz Kiplinga *Gentlemen w szeregach*:

«Szeregowiec dziś zwyczajny,  
Co miał kiedyś własną stajnię» itd.

Raffles należy teraz nieodwołalnie do «kohorty straceńców». Może on nadal dokonywać udanych włamań, ale nie ma powrotu do raj, którym jest Piccadilly i klub M.C.C. Zgodnie z kodeksem *Public Schools* pozostaje jeden sposób rehabilitacji: śmierć na polu bitwy. Raffles zginie walcząc przeciwko Boerom (wytrawny czytelnik przewidziałby to od początku) i w oczach zarówno Bunny'ego, jak i Stwórcy, fakt ten przekreśla jego zbrodnie.

Raffles i Bunny nie mają oczywiście żadnych wierzeń religijnych, ani prawdziwego kodeksu etycznego, po prostu posiadają pewne zasady zachowania, które stosują na wprost świadomie. Ale na tym właśnie polega głęboka moralna różnica pomiędzy Rafflesem i *Nie ma orchidei*. Raffles i Bunny ostatecznie są gentelmenami i nie zgwałcą tych niewielu zasad, które szanują. Pewnych rzeczy tu się «nie robi» i nawet myśl, że można zrobić inaczej, niemal że nie powstaje. Raffles np. nie nadużyje gościnności. Może dokonać kradzieży w domu, w którym jest gościem, ale ofiarą padnie inny gość, nigdy gospodarz. Nie popełni morderstwa\*), unika gwałtu w miarę możliwości i woli

\*) W rzeczywistości Raffles zabił człowieka i jest mniej lub więcej odpowiedzialny za śmierć dwóch innych. Lecz wszyscy trzej zamordowani byli cudzoziemcami o nader karygodnym zachowaniu się. Pewnego razu Raffles zamierza również zamordo-

kraść nie będąc uzbrojonym. Uważa przyjaźń za rzecz świętą, mimo że niemoralny jest rycerski w stosunku do kobiet. Będzie działał w sposób więcej ryzykowny, aby postąpić bardziej «sportowo», niekiedy z czysto estetycznych pobudek i nade wszystko posiada niezwykle silne uczucie patriotyczne. Uroczyście obchodzi diamentowy jubileusz królowej Wiktorii («przez sześćdziesiąt lat Bunny, byliśmy pod rządami najlepszego monarchy jakiego widział świat»), posyłając jej pocztą starożytną złotą czarę, którą ukradł w British Museum. Kradnie, po części z pobudek politycznych, perłę, którą cesarz niemiecki posyła jednemu z nieprzyjaciół W. Brytanii, a gdy w wojnie z Boerami zaczyna się Anglikom niepowodzić — jedyną jego myślą jest przedostać się na front do pierwszej linii. Na froncie demaskuje szpiega kosztem wyznania swej tożsamości i ginie chwalebnie od boerskiej kuli. W tej kombinacji zbrodni i patriotyzmu podobny jest do nieledwie współczesnego mu Arsène'a Lupina, który również wyprowadza w pole niemieckiego cesarza i oczyszcza swą mocno zaszarganą przeszłość, zapisując się do Legii Cudzoziemskiej.

Należy zauważyć, że w nowoczesnej skali przestępstwa Raffles'a wydają się bardzo drobne. Dla niego biżuteria wartości 400 funtów jest doskonałym łupem. Mimo że opowiadania te trafiają do przekonania realizmem szczegółów, zawierają bardzo niewiele elementu sensacyjnego — mało trupów, prawie wcale krwi, żadnych zbrodni seksualnych, żadnego sadyzmu, ani śladu perwersji. Wydaje się, że powieść kryminalna, zwłaszcza ta, która ma wyższe ambicje, nabrała wiele krwiożerczości w ciągu ostatnich dwudziestu lat. W niektórych wczesnych romansach detektywistycznych nie ma nawet morderstwa. Nie wszystkie powieści, w których występuje chociażby Sherlock Holmes, opierają się na morderstwie, a nieraz nawet brak w nich przestępstwa w znaczeniu prawnym. To samo z powieściami Johna Thorndyke'a, podczas gdy w opowiadaniach Maxa Carradosa w ogóle prawie mordów nie ma. Od 1918 jednak powieść detektywistyczna, w której nie ma morderstwa, stała się rzadkością i nagminnie wykorzystuje się w tych powieściach najbardziej obrzydliwe szczegóły sekcji zwłok i ekshumacji. Niektóre z opowiadań, których bohaterem jest Peter Wimsey, wykazują chorobliwe zainteresowanie trupami. Cykl opowiadań Rafflesa, napisany z punktu widzenia przestępcy, jest o wiele mniej antyspołeczny niż wiele nowoczesnych powieści, napisanych z punktu widzenia detektywa. Cykl ten pozostawia wrażenie pewnej chłopiękości. Należy on do epoki, w której władze mieli pewne zasady, mimo że traf chciał, że były to zasady głupie. Hasłem tych ludzi było «tego się nie robi». Granica którą przeprowadzali pomiędzy złem a dobrem jest równie bezsen-

wać jakiegos szantażyste. Jednakoważ, według konwencji przyjętych w powieściach kryminalnych, zabicie szantażysty «nie liczy się wcale».

sowna jak polinezyjskie tabu, ale przynajmniej, podobnie jak przy tabu, posiada tę zaletę, że przestrzegają ją wszyscy.

Tyle o Rafflesie. A teraz nurka w gnojówkę. Powieść Jamesa Hadley Chase'a *Nie ma orchidei dla panny Blandish* została wydana w r. 1939, ale doczekała się szczytowej popularności w r. 1940, w czasie bitwy o Wielką Brytanię i w okresie Blitzu. Oto w zarysie osnowa tej powieści:

Miss Blandish, córkę milionera, porywają gangsterzy, których bezpośrednio potem wylapuje i wybija do nogi, większa i lepiej zorganizowana banda. Trzyma ona Miss Blandish w zastawie, żądając od jej ojca okupu miliona dolarów. Bandyci chcą ją zabić natychmiast po otrzymaniu daniny. Ale przy życiu utrzymuje ją przypadkowy zbieg okoliczności. Jednym z członków bandy jest młody człowiek imieniem Slim, który jedyną przyjemność w życiu czerpie z wbijania noży w cudze brzuchy. Będąc dzieckiem «kształcił się» krając żywe zwierzęta zardzewiałymi nożyczkami. Slim jest impotentem, ale ma pewną słabość do panny Blandish. Matka Silma, która jest prawdziwym mózgiem bandy, widzi w tym jedyną szansę usunięcia jego impotencji i postanawia więzić Miss Blandish tak długo, dopóki Slimowi nie uda się jej zgwałcić. Po wielu wysiłkach i perswazji — połączonych z biciem panny Blandish gumową rurą — dochodzi wreszcie do zgwałcenia. Tymczasem ojciec panny Blandish wynajął prywatnego detektywa, któremu przy pomocy łapówek i tortur oraz przy współdziałaniu policji, udaje się otoczyć i wystrzelać całą bandę. Slim ucieka z panną Blandish i zostaje zabity, zgwałciwszy ją przedtem po raz ostatni, zaś detektyw zamierza powrócić do rodziny. Ona jednak tak zasmakowała przez ten czas w pieczyotach Slima,\*) że czuje się niezdolna do życia bez niego i wyskakuje z okna drapacza chmur.

Aby pojąć pełne znaczenie tej książki należy rozpatrzyć uważnie pewne, zawarte w niej elementy. Przede wszystkim jej fabuła niezmiernie przypomina powieść Williama Faulknera *Sanktuarium* (Sanctuary). Po drugie nie jest to, jak można by przypuszczać, utwór grafomana półinteligenta, ale rzecz literacko świetna, niemal bez jednego zbytecznego słowa i bez fałszywej noty, po trzecie cała książka, zarówno opowieść jak i dialogi, została napisana w amerykańskiej angielszczyźnie; widocznie autor, który o ile wiem, nigdy nie był w Ameryce, potrafił duchowo przenieść się do podziemnego świata amerykańskiego. Wreszcie, jak oświadczają wydawcy, sprzedano nie mniej niż pół miliona egzemplarzy tej książki.

Podałem już streszczenie fabuły, lecz sama powieść jest o

\*) Można dorozumieć się innego znaczenia końcowego epizodu. Być może, iż Miss Blandish ma być po prostu w ciąży. Ale interpretacja, którą podałem wpraw, wydaje się bardziej dostosowana do brutalności górującej w całej powieści.

wiele wstrętniejsza i brutalniejsza, niż można by przypuszczać. Książka zawiera osiem opisów morderstw ze wszystkimi szczegółami, niezliczoną ilość przypadkowych zabójstw i porażeń, ekshumację (specjalny nacisk położono na smród), flagelację panny Blandish, przypiekanie drugiej kobiecie papierosami, scenę powolnego rozbierania się do naga, obraz tortur trzeciego stopnia o niesłychanym okrucieństwie i wiele innych szczegółów tego samego rodzaju. Autor liczy na wielką erudycję seksualną u czytelników (np. scena w której jeden z gangsterów, zapewne masochista, doznaje spazmu rozkoszy w momencie kiedy go ktoś przebija nożem) i przyjmuje całkowite zepsucie za pewnik, zaś bezwzględny egoizm za normę ludzkiego zachowania. Detektyw jest prawie równie skończonym draniem jak gangsterzy i działa niemal w imię takich samych pobudek. Podobnie jak tamci, ugania się on za «pięciuset papierkami». Fabuła książki wymaga, by p. Blandish dążył do odzyskania swej córki, ale poza tym takie cechy jak przywiązanie, przyjaźń, życzliwość, czy nawet zwykła grzeczność nie są wogóle brane pod uwagę. Nie wchodzi też właściwie w grę normalne życie płciowe. Ostatecznie jedynym motywem, działającym poprzez całą powieść — to żądza władzy.

Zważmy, że nie jest to książka pornograficzna w zwykłym znaczeniu tego słowa. W odróżnieniu od innych książek, opisujących seksualny sadyzm, nacisk położono tu na okrucieństwo, nie zaś na przyjemność. Slim, gwałciiciel panny Blandish, «ma zaślinione, obwisłe usta» to jest obrzydliwe, celowo obrzydliwe. Sceny opisujące okrucieństwo wobec kobiet są stosunkowo pobieżnie traktowane. Momenty szczytowe książki, to znęcanie się mężczyzn nad innymi mężczyznami: wybija się tu na pierwszy plan torturowanie gangstera Eddie Schultza, którego inni gangsterzy przywiązują do krzesła i biją gumowymi pałkami, a gdy udaje mu się wyzwolić z więzów, łamią mu ręce. W innej książce Chase'a *Nie będzie już teraz tego potrzebował* (He won't need it now) bohater, który ma być człowiekiem sympatycznym, a nawet szlachetnym, depcze czyjąś twarz i po wgnieceniu ust swojej ofiary, miażdży je wierząc kilkakrotnie obcasem. Nawet o ile nie zdarzają się tego rodzaju wypadki, duchowa atmosfera tych książek pozostaje zawsze ta sama. Cały ich temat — to walka o władzę i zwycięstwo silniejszego nad słabszym. Wielcy gangsterzy likwidują mniejszych również bezlitośnie, jak szczupak w stawie pożera inne ryby; policja załatwia się ze zbrodniarzami również okrutnie jak rybak ze szczupakiem. Jeżeli, ostatecznie, człowiek staje po stronie policji przeciwko gangsterom to jedynie dlatego, że policja jest lepiej zorganizowana i potężniejsza od gangsterów, dlatego że w gruncie rzeczy obrona prawa jest ponętniejszą «robotą», niż zbrodnia. Siła jest prawem: *Vae victis*.

Jak już wspominałem, *Nie ma orchidei* przeżywała okres szczytowy w r. 1940, mimo że z powodzeniem wystawiano ją na scenie jeszcze nieco później. Ludzie upatrywali w tej sztuce

czynnika, który by odwracał ich uwagę od bombardowania. Na początku wojny ukazał się w tygodniku *New Yorker* rysunek człowieczka, stojącego przed gazetami o sensacyjnych nagłówkach: «Wielka bitwa czołgów w północnej Francji»; «Wielkie powietrzne walki nad Kanałem La Manche»; «Wielka bitwa morska na Atlantyku» itd., itd. Człowieczek mówił: «Proszę o sensacyjne przygody». Człowiek ten był przedstawicielem milionów otumanionych ludzi, dla których świat gangsterów i ringu bokśerskiego jest bardziej «życiowy», bardziej «morowy» aniżeli wojny, rewolucje, trzęsienia ziemi, głody i zarazy... Z punktu widzenia czytelnika sensacyjnych opowieści, opis londyńskiego Blitzu, czy też walki europejskich ruchów podziemnych wydałby się mdły jak lukrecja. Skądinąd jakąś drobną strzelaniną w Chicago, z jakimś półtuzinem trupów, uważałby za wyczyn niesłychanie dziarski. Ta postawa umysłowa jest szeroko rozpowszechniona. Żołnierz, tkwiący w błotnistym okopie, gdy mu nad głowę świszczą kule z karabinu maszynowego, stara się przepędzić nudę czytając powieść o amerykańskich gangsterach. Co sprawia, że ta opowieść tak go podnieca? Nic innego jak właśnie fakt, że ludzie strzelają do siebie z karabinów maszynowych! Ani ten żołnierz, ani nikt inny nie widzi nie nadzwyczajnego w tym zbiegu okoliczności. Przyjmuje się jako pewnik, że imaginacyjna burda jest bardziej wstrząsająca od prawdziwej.

Tłumaczy się to tym, że w prawdziwym życiu bywa się zazwyczaj bierną ofiarą, podczas gdy w awanturkowej opowieści można myśleć o sobie jako o czołowej postaci, wokoło której kręci się cała akcja. Ale sprawa nie jest tak prosta: należy tu pamiętać o ciekawym fakcie, że *Nie ma orchidei* to powieść napisana w angielszczyźnie amerykańskiej, może z pewną ilością technicznych usterek, lecz na ogół bardzo zręczna.

W Ameryce istnieje olbrzymia literatura mniej więcej tego samego pokroju co *Nie ma orchidei*. Oprócz książek, jest ogromna ilość brukowych, sensacyjnych czasopism, przystosowanych do różnych gatunków wyobraźni, ale o podobnym klimacie duchowym. Kilka z tych czasopism zajmuje się zwykłą pornografią, ale ogromna większość obliczona jest na sadystów i masochistów. Pisma owe sprzedawane są w Anglii w cenie 3 pensów za sztukę\*) i cieszyły się znaczną popularnością, lecz zapas ich wyczerpał się w czasie wojny, a nie pojawiła się na ich miejsce żadna zadawalniająca namiastka. Ukazują się obecnie angielskie naśladownictwa tych brukowców, ale nie dorównują oryginałom. Jeśli chodzi o brutalność, angielskie filmy o bandytach pozostają daleko w tyle za amerykańskimi. A jednak kariera p. Chase jest dowodem, jak głęboko sięgają wpływy amerykańskie. Nie tylko on sam żyje wyobraźnią w podziemnym świecie Chicago, i dlatego może liczyć na setki tysięcy czytel-

\*) Pisma te są jakoby importowane do W. Brytanii jako balast okrętowy, co przyczynia się do ich niskiej ceny i zmiełoszonego wyglądu.

ników, znających dokładnie najbardziej nieoczekiwane wyrażenia gwary, którą posługuje się ten świat. Widocznie istnieje wielka ilość Anglików zamerykanizowanych nie tylko pod względem języka, lecz również i zapatrywań moralnych, gdyż *Nie ma orchidei* nie wywołało publicznego protestu. Książkę wycofano z obiegu dopiero wtedy, gdy późniejszy utwór Chase'a *Miss Callaghan comes to grief* zwrócił na niego uwagę władz. Sądząc z przypadkowych rozmów, prowadzonych w owym czasie, zwykli czytelnicy byli mile podbechtani nieprzyzwoitościami jakie zawiera *Nie ma orchidei*, ale nie widzieli niż zdrożnego w tej książce jako całości. Nawiasem mówiąc, wielu ludzi myślało, że jest to dzieło pisarza amerykańskiego, powtórnie wydane w Anglii.

Sprawą, przeciw której zwykły czytelnik *powinien* był protestować i z pewnością byłby zaprotestował kilkadziesiąt lat temu, jest dwuznaczny stosunek do zbrodni. Z całej książki wypływa wniosek, że zbrodniarz jest godny potępienia jedynie dlatego, że przestępstwo się nie opłaca. Lepiej opłaca się być policjantem, ale nie ma moralnej różnicy, skoro policja używa na wskroś zbrodniczych metod. W książce takiej jak *Nie będzie już tego potrzebował* rozróżnienie pomiędzy przestępstwem i działalnością antyprzestępczą prawie całkowicie zanika. Jest to nowym podejściem w angielskiej powieści kryminalnej, która dotychczas rozgraniczała dobro i zło bardzo wyraźnie i w której w ostatnim rozdziale na podstawie ogólnego porozumienia, zwyciężyła cnota. Książki angielskie, wychwalające zbrodnię (rozumie się zbrodnię nowoczesną, piraci i rozbójnicy to inna sprawa) należą do rzadkości. Jak już starałem się wykazać, nawet taka książka jak *Raffles* rządzi się nakazami potężnych «tabu» i rozumie się jasno od początku, że *Raffles* będzie musiał wcześniej czy później odpokutować za swoje przestępstwa. W Ameryce, tak w życiu jak i w powieści, skłonność do tolerowania zbrodni, a nawet admiringowania zbrodniarza tak długo jak mu się powodzi, zaznacza się o wiele wyraźniej. W gruncie rzeczy ta właśnie postawa umożliwiła rozkwit zbrodni na tak wielką skalę. Książki, które napisano o Al Capone, niewiele różnią się od tych, które opiewają wyczyny Forda, Stalina, lorda Northcliffa i reszty tej bandy «milionerów z byłych sprzedawców gazet». Cofając się o osiemdziesiąt lat znajdziemy, że Mark Twain niewiele się różnił w swoim stosunku do obrzydliwego bandyty Slade'a, który zamordował dwadzieścia osiem osób i w ogóle do straceńców Dzikiego Zachodu. Powodziło im się, «doszli do czegoś» — dlatego ich podziwiał.

Książka typu *Nie ma orchidei* nie ucieka jak dawniejsza zwykła książka kryminalna z nudnej rzeczywistości w świat przyciśniętych. Tu poluje się głównie na okrucieństwo oraz seksualne zбочenie. *Nie ma orchidei* jest przesiąknięta żądzą władzy, co jest nieznanym czynnikiem w *Raffles*'ie i powieściach o Sherlocku Holmesie. Skądinąd nie mam zamiaru dowodzić, że postawa Anglików wobec zbrodni jest o tyle szlachetniejsza od postawy

Amerykanów. Jest ona zbyt zżyta z kultem siły, co ujawniło się coraz bardziej w przeciągu ostatnich lat dwudziestu. Pisarz godny uwagi z tego punktu widzenia — to Edgar Wallace, zwłaszcza w tak charakterystycznych jego książkach jak *Mówca* (The Orator) oraz opowiadania *Mr. J. G. Reeder*, Wallace był jednym z pierwszych autorów kryminalnych, który zerwał ze starą tradycją prywatnego detektywa — i główną rolę w swoich powieściach wyznaczył agentowi Scotland Yard'u. Sherlock Holmes jest amatorem, który problemy swoje rozwiązuje bez pomocy policji, a nawet, jak w wcześniejszych utworach, wbrew stawianym przez nią przeszkodom. Ponadto, podobnie do Lupin'a, jest on na wskroś intelektualistą, a nawet naukowcem. Z zaobserwowanych faktów wyciąga logiczne wnioski, i umysłowość jego jest nieustannie przeciwstawiana mechanicznej rutynie policjantów. Wallace uważał to za obrazę policji, nie zgadzał się z tą postawą i w kilku artykułach specjalnie się wysiłał, by zdemaskować incognito Holmesa i nazwać go właściwym imieniem. Ideałem jego był detektyw-inspektor, który chyłta złoczyńców nie dzięki swym walorom intelektualnym, lecz dlatego, że jest członkiem wszechpotężnej organizacji. Stąd ciekawy fakt, iż w najbardziej typowych powieściach Wallace'a «poszlaki» i «dedukowanie» nie grają żadnej roli. Przystępca ponosi klęskę bądź skutkiem niewiarogodnego zbiegu okoliczności, bądź dlatego, że policja, w jakiś tajemniczy sposób, z góry już wie wszystko o zbrodni. Z samego tonu powieści Wallace'a wynika, że jego podziw dla policji jest po prostu kultem brutalności. Detektyw ze Scotland Yard'u jest uważany przez niego za wszechpotężną istotę, podczas gdy przestępca to wyrzutek społeczeństwa, którego wolno zwalczać wszelkimi środkami, tak jak skazanych na śmierć niewolników w rzymskich igrzyskach. Jego policjanci zachowują się o wiele brutalniej niż prawdziwi brytyjscy policjanci — biją ludzi, nie będąc sprowokowani, ostrzeliwiają ich dla postrachu itd. — zaś niektóre z jego opowiadań wykazują przeraźliwy intelektualny sadyzm (np. Wallace chętnie tak kieruje sprawami, aby jego «czarny charakter» zawisł na szubienicy w sam dzień ślubu bohaterki). Jest to jednak sadyzm na modłę angielską: to znaczy bezwiedny, zewnętrznie nie posiadający cechy seksualności i utrzymany w granicach prawa. Publiczność brytyjska toleruje surowe prawo kryminalne, podniecają ją potwornie niesprawiedliwe rozprawy sądowe o morderstwach, lecz, bądź co bądź, jest to lepsze niż tolerowanie lub podziwianie zbrodni. Jeśli ktoś już musi czcić jakiegoś brutalą, niechże to będzie raczej policjant niż gangster. Mimo wszystko Wallace wciąż jeszcze ulega pojęciu, że czegoś «się nie robi». W *Nie ma orchidei* można robić wszystko co doprowadzi do władzy, nie istnieją w tej książce żadne bariery, wszelkie motywy zostają bezwstydnie obnażone. Chase jest w tym samym stopniu groźniejszym symptomem niż Wallace, w jakim pozwalająca na wszystkie chwytły wolna walka amerykańska, jest niebezpieczniejsza od

boksu, lub faszyzm bardziej złowrogi od kapitalistycznej demokracji.

Wzorując się na *Sanktuarium* Williama Faulknera, Chase tylko zapożyczył samą intrygę; atmosfera obu tych książek różni się wyraźnie. Chase w rzeczywistości rządzi się innymi przesłankami i ten szczególny wypadek naśladownictwa ma jedynie symboliczne znaczenie. Symboliczne, jeśli chodzi o ciągły proces upowszechniania pewnych pojęć, proces odbywający się szybciej w epoce druku. Chase'a nazywano «Faulknerem dla mas». Jednak określenie «Carlyle dla mas» byłoby właściwsze. Jest to popularny pisarz, — wielu jest takich w Ameryce, ale w Anglii wciąż należą oni do rzadkości — który dostosował się do prądu, znanego pod nazwą «realizmu», czyli modnej doktryny, że siła jest prawem. Narastanie «realizmu» było zasadniczą cechą intelektualnej historii naszego wieku. Dlaczego tak się stało — to pytanie skomplikowane. Związek pomiędzy sadyzmem, masochizmem, kultem powodzenia, kultem władzy, nacjonalizmem i totalizmem — to olbrzymi temat, który bywał poruszany tylko bardzo powierzchownie i samo wzmiankowanie o nim uważane jest za pewnego rodzaju nietakt. Weźmy chociażby pierwszy nasuwający się przykład. Sądzę, że nikt nie zwrócił uwagi na pierwiastki sadyzmu i masochizmu w dziełach Shaw'a, a tym bardziej nie wysunął myśli, że może to mieć pewien związek z podziwem Shaw'a dla dyktatorów. Porównywano często faszyzm do sadyzmu, lecz prawie zawsze czynili to ludzie, którzy nie widzą nic zdrożnego w najbardziej niewolniczym bałwochwalstwie Stalina. W rzeczywistości liczni intelektualiści angielscy, którzy całują Stalina w dupę, nie różnią się od tych, mniej licznych, którzy hołdowali swego czasu Hitlerowi i Mussoliniemu, ani od ekspertów «wydajności» zalecających w latach 1920-tych «dynamizm», «rozmach», «indywidualność», i «ucz się być drapieżnikiem» — ani też od starszego pokolenia intelektualistów z Carlyle'm, Creasey'em i resztą, którzy nisko klaniali się niemieckiemu militaryzmowi. Wszyscy oni wielbią i zwycięskie okrucieństwo. Ważne jest, by zdać sobie sprawę, że kult siły bywa połączony z zamiłowaniem do okrucieństwa i złośliwości, popełnianych *jako sztuka dla sztuki*. Tyrana podziwia się najbardziej, jeśli jest on równocześnie krwawym rzezimieszkiem, zaś «cel uświęca środki» w rzeczywistości przegradza się wielokrotnie w «środki same siebie uświęcają, pod warunkiem że są wystarczająco ohydne». To ujęcie zabarwia światopogląd wszelkich sympatyków totalizmu i tłumaczy chociażby istotną radość, z jaką wielu angielskich intelektualistów powitało pakt hitlerowsko-sowiecki. Był to krok tylko wątpliwie korzystny dla Związku Sowieckiego, lecz całkowicie niemoralny i przez to samo godny podziwu; tłumaczenia, liczne i sprzeczne, mogły zostać dorobione później.

Do niedawna charakterystyczne, awanturnicze opowiadania

narodów anglo-saskich przedstawiały bohatera, toczącego nierówną walkę z *przeciwnościami*. Tak było od Robin Hood'a aż po marynarza Pop-eye. Może podstawowym mitem świata zachodniego jest opowiadanie o wątłym chłopczku który zabija olbrzymów («Jack — the Giant-killer»). Aby jednak unowocześnić ten mit, trzeba by mu kazać zabijać karłów, i istnieje już dziś pokaźna literatura, która uczy lub każe wnioskować, że należy trzymać stronę człowieka silnego przeciwko słabemu. Niemal wszystko co pisze się obecnie na temat polityki zagranicznej — to po prostu wariacje na ten temat, zaś od kilkudziesięciu lat popularne powiedzenia, w których brana jest w obronę strona słabsza, stają się przedmiotem drwin każdego człowieka o pretensjach intelektualnych. Względnie nowe jest uznanie niegdyś obowiązujących zasad według których: a) dobro jest dobrem i zło pozostaje złem, niezależnie od tego która strona zwycięża, b) należy uszanować słabość. Pojęcia owe znikają również w popularnej literaturze. Kiedy po raz pierwszy, mając lat dwadzieścia, czytałem powieści D. H. Lawrence'a, zdziwiło mnie, że postacie jego nie dzielą się na «złe i dobre», zaś Lawrence wydaje się sympatyzować z każdą z nich na równi. Wydało mi się to tak niezwykle, że czułem się całkowicie zdezorientowany. Dziś nikomu nie przyszłoby na myśl szukać w poważnej powieści bohaterów i czarnych charakterów, ale w powieściach popularnych nadal bożyszciami liberalnej inteligencji angielskiej były postacie stosunkowo sympatyczne. Pomiędzy Holmes'em i Fenner'em z jednej strony, Abrahamem Lincolnem i Stalinem z drugiej, istnieje równie wielka przepaść.

Nie należy wyciągać zbyt wiele wniosków z powodzenia książek pana Chase'a. Może to tylko sporadyczny objaw, wywołany mieszaniną nudy i brutalności, którą wniosła wojna. Jednak, o ileby te książki miały na dobre zakorzenie się w Anglii, miast być na wpół zrozumiałym importem z Ameryki, istniałyby poważne powody do konsternacji. Wybierając *Raffles'a* jako tło dla *Nie ma orchidei*, umyślnie podałem książkę, która, na ówczesne stosunki, była moralnie dwuznaczna. Jak to już podkreśliłem, *Raffles* nie ma prawdziwego kodeksu moralnego, ani religijnych wierzeń, z pewnością brak mu świadomości społecznej. Posiada tylko całą gamę odruchów — system nerwowy rzekomego gentlemana. Wystarczy wzbudzić któryś z jego odruchów (sprężyna do naciśnięcia zwie się «sport», «kompan», «niewiasta», «król i ojczyzna» itp.) — aby móc sprawdzić z góry przewidzianą reakcję. W książkach Chase'a nie ma gentlemanów, ani nietykalnych dziedzin. Panuje całkowite rozprężenie, Freud i Macchiavelli dotarli już na przedmieścia. Porównując sztubacką atmosferę pierwszej powieści z okrucieństwem i zepsuciem drugiej, musimy uznać że snobizm, podobnie jak hipokryzja, daje pewną rękojmię przyzwyczajności co, z punktu widzenia społecznego, nie zostało dostatecznie ocenione.

Z upoważnienia autora  
tłum. Teresa JELEŃSKA.

## Arkusze poetyckie

### The Spelling of Love

1

*El elokwentne Lawina liter  
z listw alfabetu wylana  
Tylko L wargo-lite  
sylabizuje samo  
la li la la  
li  
Zali  
Love Lubość lęku nie oddali  
Zaklnie li linie swoim lali  
la li la la  
Ale  
L jest przecież ramieniem krzyża  
Pion-Poziom na nim wisi stałe  
i jak drogowskaz niebo zbliża  
aż w czteroramiennej chwale  
Love i Lubość równe znajdują szale.*

2

*Ranek nieśmiały jak wyznanie  
rumieni się aż poza klamki,  
aż po leniwe krawędzie ubrań.  
Zaraz się usnwiech stanie,  
strzępiastymi kolorami  
w ramionach otwartego okna jak w objęciach mamki.  
O — zbyt miękkie to poranne ramię.  
Objaw się wreszcie, biały kołędniku, w zaryglowanej snami  
[bramie,  
o wieszczu stuków-podzwieków, rozganiaczu mgielnych mirażu:  
mleczarzu!*

## 3

Śnieżne przedrzecze  
 śnieżne zarzecze  
 to gwiazdy zacinają wprost w twarz  
 gdy dwa mosty jak w pochwach miecze  
 bezdźwięczną pełnią straż

Tędy na skrzyżowaniu cieni  
 gdzie drogowskazem wiatr  
 idziemy niebem osniewieni  
 młodsi o światło gwiazdnych lat.

Masz pochmurny szal na ramionach  
 z frędzlami mgły  
 a noc w szal twój i w Chelsę siecze  
 gdy pod mostami barki jak nieruchome kry  
 gdy pod barkami rzeka ku ujściu przechylna  
 śnieżne przedrzecze  
 śnieżne zarzecze

## 4

Nisko pełzają we mgle  
 psie-kocie dnie,  
 a na każdym mokra obroza,  
 jak gdyby z nagła smycz Boża  
 dotknęła ziewających den.

Po dnach tych Ogar Wielki węszy sen.

## 5

Ileż pochmurnych dni obmurowuje miasto!

I tylko światło twoich oczu,  
 i tylko dotyk twoich oczu.

Idąc zamykasz koła magiczne,  
 mówiąc rozginasz koła magiczne  
 nad każdym słowem:

## 6

O JAK ORION  
 (zaklęcie mitologiczne)

Okrągłeje ogrom  
 opodal  
 o otrzeć się oń

Orion okwiatom otwiera oczy  
 Orion to oda  
 optyczna skroń  
 w orbicie owalnych orgii  
 Olbrzym ongi oslepty co na obte poluje obłoki

O oby O oby  
 oby oś orbu worana w okraglejący ogrom  
 opodal oto  
 pozwoliła otrzeć się oczom o  
 opętane O  
 O jak Orion

Potoki planet przecież po to  
 patrz  
 opływają oparnymi sploty

Orion — orionowe ostrokoły  
 (ongi olbrzym oslepty ongi oczodoły)

Ogni się ogni  
 odzywa  
 oda w odwiecznych ogrodach  
 o na o — o na o — ogniwa  
 Orion jak O  
 Orion jak O

dogorywa

## 7

Gdy kochankowie zmęczeni  
 wypukłym dotykiem nocy  
 ocierają się gniewnie o szorstką szerść światła,  
 popołudnie, — przegięte w monotonny plusk  
 niedokręconych kranów godzin —  
 przeciągając się, ziewa, łasi i sepleni.

Potem się noc obrzuca z gwiazd jak z tusk,  
 a Bóg aż po pas w ciszy mściwej bródzi —  
 zazdrośny  
 o zwierzęce natchnienie pół-anielskich dusz;  
 więc klóci nasze oczy z naszymi słowami,  
 a nasze ręce z naszymi wargami —  
 i knebluje nam serce mdłymi pytaniami:

Cóż . . . cóż? cóż!



## 8

Zawisnąć nad przepaścią oczu  
przejęty w kolor,  
w pytającą znużeniem zieleń,  
aż pozarzęsna otworzy się furta,  
o żarliwe zazdrosna zasuwę.

Kolory pojmować, gdy bolą,  
chyba za wiele —  
bo wzrok się nagle obsuwa jak burta.

Zagaś więc szept i ze słów sens skreśl jak nągtówek.

## 9

Gdy wiatr ostatnią zdmuchnie w serau świecę  
i twarze pomarszczone wywiesi za szybą,  
żeby mi mżyły kuliste symbole,  
ponawlekąte na rzemienie deszczu, —

wtedy twarz jedną,  
korzeniem makabrycznym do topielca w rzece  
przywiązana i pachnąca rybno,  
w swe oczy szkliste jak w kleszcze  
chwyci — i wysię mój wzrok  
ssawkami wiatru.

Mądrzejszy o bezżenice,  
wnikliwszy o stłatę mrok  
spojrzę —  
prorok wytupionych symbolów,  
widmo ukamienowanych słów —  
w równoczesność twojego i mojego serca,  
w komorę szczelną, gdzie wiatr zdmuchnął świecę,  
zdmuchnął takt rytmicznego patrolu:

przecucie się wolno wwierca,  
aż do najciemniejszych pokładów ciała,  
do kopalni, — zawalonych chodników,  
pod którymi umarliśmy, zdradzeni przez noc  
na tysiące sercowych lat przed naszą nocą.

To noc topielców tamta twarze mi przywiata,  
korzeniami przywiązane do błędnych ogników  
na rzece, na cmentarzu niepogrzebanych grzechów.

Z każdego dnia, z każdego krzyku,  
z neodkupionej głębi wyspanych przez wiatr oczu  
podnoszę się ja — ślepiec, i pod deszczu strzechą.

po omacku w twą przeszłość stąpam i w mą przyszłość,  
wciąż zazdrosny o ciemność, którą mnie przedziela,  
i o twarze, wywieszane za szybą  
w czterech dądzyscie niewymiernych rogach.

W każdej twarzy rysy przyjaciela  
i wroga.

## 10

For the rippling twilights of hours,  
za szyby nabrzęte blaskiem, framugi turkotem nabrzmiate:  
deo gratias.

Za wielokropki deszczu, za międzywiersze wiatru,  
For the uplifted eyebrows of darkness at the door of teatru:  
deo gratias.

Za wydrążone w duszności przeciągi na gniewnych stacjach  
i za memento mori w trupio-palczastych akacjach:  
deo gratias.

For the combs of the moon in your symphonic hair,  
za święte lux in tenebris, za rąk tych natchniony ster:  
deo gratias.

## 11

O, te niedomówienia kolorów  
w drzewach październikowych,  
to niezaradne pylenie się słońca —  
i puchu płodny opad.

Na włosach twoich niedomówienia wieczoru,  
gdy niezaradnym pyleniem się mowy  
pała puch płodny w cieśninach ciała.

Przez rozdział ostatni jesieni przechodzi senne mrowie.  
Zamknąć tom ten. Za oknem latarnia — jak postowie!

Chelsea, jesień 1946 — jesień 1947.

Jerzy PIETRKIEWICZ.

## Pieśń dla Symeona

Panie, hiacynty rzymskie kwitną w wazonach,  
A zimowe słońce skrada się mimo śnieżnych wzgórz;  
Uparta zima opór stawia.  
Lekkie me życie, czeka na wiatr śmiertelny,  
Niby piórko na wierzchu mej dłoni.  
Pamięć po kątach, a w słońcu kurz  
Czekają na wiatr co ziębi ku martwej ziemi.

Pokój twój daj nam.  
Spędziłem lata krocząc po tym mieście,  
Dotrzymując wiary i postu, zaopatrując ubogich,  
Przyjmując i udzielając zaszczytów i wygód.  
Nie odszedł nikt nigdy odepchnięty od mych drzwi.

Kto dom mój wspomni, gdzie będą mieszkać dzieci mych dzieci,  
Gdy przyjdzie czas żałości?  
Ścieżkę koźlą obiorą i jamę lisią,  
Uciekając od obcych twarzy i obcych mieczy.

Nim nadejdzie czas sznura, bicia i narzekania  
Pokój twój daj nam.  
Nim nastaną stacje góry spustoszenia,  
Nim nadejdzie godzina pewna macierzyńskiego smutku,  
Teraz w tę życiodajną porę zgonu,  
Zezwól niech Dziecię, nie mówiące jeszcze i nie wymówione  
Zasłę pociechę Izraela [Stowo  
Temu, co ma osiemdziesiąt lat i jutra nie ma.

Wedle słowa twego.  
Wystawiać Cię będą i cierpieć w każdym pokoleniu  
We chwale i pośmiewisku,  
Światło na świetle, wchodząc na świętości szczeble.  
Nie dla mnie męczeństwo, ekstaza myśli i modlitwy,  
Nie dla mnie ostateczne widzenie.  
Pokój twój daj mnie.  
(A serce twe własne przeniknie miecz,  
Twe także.)  
Znużony jestem mym własnym życiem i życiem tych, co przyjdą  
[po mnie,  
Umieram w mej własnej śmierci i śmierci tych, co przyjdą po  
Puść, Panie, sługę twego [mnie.  
Albowiem oczy me oglądały zbawienie twoje.

Przełożył AV.

## Ze «Złotej Hramoty»

### Hellada Scytyjska

#### 1

Szumi siny Skamander do wtóru stepowych Wernyhor  
i śniade stopy Nauzykom omywa wśród wiklin.  
W niebie już rosta melodia, lecz tu było cicho,  
leżeliśmy w cieniu, a tak już do cudów nawykli,  
żeśmy mówili: Witaj! —, kiedy tuż po nade mną  
we mgłach i chmurach przystanął król Agamemnon  
i ku polom  
mierzchnącym, deptąc dzikie puszczańskie wino,  
przeszedł srebrnotuki Apollo  
pod rękę z Pawłem Tyczyną.

Nim rzewny wieczer na cichych wotyńskich sielankach  
wspart się, napój gwiazdzisty lejąc z sinego dzbanka,  
widać było już kurzawę, a w pyłe goniący oklep  
nadzy parobcy ciskali wótcznie,  
aż echo zagrało w borach,  
i jęta ziemia boleśnie, gdy krwawy Patrokles  
uderzał ciężką głową, wleczony za wozem Hektora.

Goni bogini po świeżych zwycięzcy śladach,  
jęczy chór Oceanid, smuci się Thetis,  
na tryznach przy stosach jodłowych nie zasypia Iliada,  
zbudzona wstaje z popiołów i przez groby stuleci  
idzie mosiężną stopą,  
wyrok bogów za włosy ją wywłókt;  
już nąptwa stałą bagnietów ku nowym okopom,  
zawodzi głosem Andromach w Putywlu,  
ostro w spżu wycina litery twardym wersefom,  
garściami wydziera wełnę obłokom burym,  
aż biegacz maratoński jeszcze raz upadnie przed metą  
i zapłaczą panny trojańskie  
nad zwłokami Symona Pellury.

#### 2

Oj, zagrały śród stepu bandury dalekie,  
legły skrzydła anielskie na lasach i głuszach.

Nota autora: Wiersze poniższe wyjęte zostały z niewydanego tomu pt. *Złota Hramota*, który miał się ukazać jesienią 1939 roku. Pisałem je zatem przed wojną z wyjątkiem «Przesłania», które powstało pod bezpośrednim wrażeniem klęski wrześniowej i okupacji Wołynia i Ziemi Czerwieńskiej przez Moskali.

*Któryż raz o swe pieśni zabłąkane wśród piekieł  
upomina się głos Orfeusza!*

*Burydyka usnęła, nocne marzy i dziwy  
pogrążyły ją w kwieciu, w marzeniu, w szeleście...  
Nie budź jej, bo nie zbudzisz, bandurzysto mój siwy!  
Ty, barwinku,  
po ziemi się nie ściel...*

*Cienie widzeń urocznych po powiekach jej błędzą,  
nurtem snu kołysana, w ciemną głąb się zanurza,  
ani wie, że już niebem z nawistego mostądzu  
idą błyski i zbiera się burza.*

*Jeszcze matka Demeter nad nią w biegu się schyli,  
jeszcze liść srebrnej wierzby do ust się przyklei,  
a już koniom bojowym, gdy zaprzęga je Filip,  
rwie spod kopyt ostry wiew Cheronei.*

*Obudzona zbyt późno, biegła stopą bosą,  
huczał step oszalały w kwadrygach i taczankach,  
na spotkanie cwałującym kamiennym herosom  
wiatr pozywał jej wstęgi u wianka.*

## 3

*Śnią się sny, brzęczą pszczoły w cieniowych pasiekach,  
leniwy wiew na łustach, ciężki miodu plaster.  
Nad białym Partenonem, nad dyszącym miastem  
przechodzi mroczne widmo Peryklesa,  
a Dniepr spieniony, nieobeszta rzeka  
dziś jak wyrobnik w elektrowniach obcych.*

*Idą z hucznym śpiewaniem achajscy parobcy,  
niosą torsy sprężyste w wyszywanych koszulach.  
Wyszyłbyś takim ścięciem ciężki płaszcz dla króla,  
zacisnąłbyś te pięści na spiżowych dzidach!  
Gdy każda dziewczka piersi ma, jak Artemida,  
a chłop Pryjama gestem wspiera dłoń o posoch,  
same dęby się chyliły ku zwichrzonym włośsom,  
jeno pleść wieńce. W kijowskich ulicach  
odgłosem miedzi homerycki rytm  
ciszę podsieni rwał jak błyskawica,  
i boski oddech Sapho w pnących różach kwitł  
na przedmieścia ganeczkach. Zanim zmierzch jak całun  
przykrył Helladę,  
jeszczem w pyłe znalazł  
ślad twojego sandału,  
sowioka Pallas!*

*Spłynie, kołujące w srebrnych gwiazdozbiorach,  
w mroku opustoszała zacichła agora,  
stoki gór w ciemnych gajach,  
jak w czehryńskich lasach.  
Oto chyli się kurhan starego Tarasa,  
egejska fala, szumiąc, sunie mu ku stopom  
i biały dom w topolach świeci jak Akropol.*

*Świt zetrze późne gwiazdy i rosą opadną  
na poblądzie trojandy. Stepowym Ariadnom,  
gdy zgrzebne płótno bielą w czereśniowym sadzie,  
zaduma na powiekach spuszczonej się kładzie,  
i odchodzą, nie wiedząc, że w gęstwinie stoi  
bóg Ares z ciężką tarczą i w złocistej zbroi.*

## 4

*Stąłem, wsparty o poręcz nad szeroko rozlaną Wisłą,  
łuna brunatna pełza nad moim miastem.  
Wydzwoniły mi w nocy wszystkie godziny dwunaste,  
konstelacjami wiecznymi niebo zabłysło,  
otoczyło widmami, otworzyło mroki na oścież.*

*Oto grecka falanga po warszawskim maszeruje moście,  
Dniepr szumi w nurcie wiślanym,  
a może Skamander lśni się...?  
Bajdaki kozackie płyną, pluszczą miarowe wiosła,  
biorą mnie mocno pod ręce Achilles i mądry Jarosław,  
król Bolesław wychodzi naprzeciw w kirysie,  
uderza szczerbłem we wrota, jak w złotą sławę,  
i już się Kijów zamienia w stary achajski Wawel,  
i Apollo, Perun gromowładny  
groźną chmurą na mój kraj opada...*

*Zejdź na nas, śpiewająca, huczająca,  
Hellada,  
Scytyjska Hellada!*

## Poetom ukraińskim

*Gdy jednodniowych zwycięzców prowadzą do Capitolium  
i warkot werbli się niesie ku wszystkim odwachom,  
wbrew narodowi, hucznemu głośną swawolą,  
usta poetów milczą, zdjęte żałobą i strachem.*

*Potem nadchodzi noc. I znów tej nocy naprzekór  
wznosi się śpiew fanatyczny, cierpkiej podobny kłótni,  
śpiew, co jak skalpel drąży w sercu mrocznego wieku  
i do uspiionych przemawia najgroźniej i najokrutniej.*

Trwożna jest nasza pieśń, jak kotująca jaskółka,  
nad którą niebem gradowym zwiśla żelazna epoka,  
jednak niesiemy ją dalej i w zmierzchających zaułkach  
mijamy się często ze sobą,  
poznając po głuchych krokach.

I nieraz, kiedy się ziemia pochyla ku gwiazdozbiorom  
i świeci próchno na marmurowych posągach,  
styszymy, wolno przechodząc przez puste Forum,  
wasz przytłumiony głos, jak naszej chwale uraga.

Znamy te gorzkie nuty, mroczne zaklęcia te same,  
co naszą jesień zatruty, zwilgotą i mglistą,  
śpiew obłąkany troską, groźny i gniewny lament,  
strofy wydarte z ksiąg wszystkim Ewangelistom.

I niejednemu z nas wydaje się prościej i słodziej,  
jak niegdyś, jak teraz wy,  
krzykiem wołać swą wolność świętą,  
niżli z posępną twarzą błąkać się w głuchym narodzie  
i dusze budzić z niewoli, gdy z rąk niewole odjęto.

Bo łatwo butom żołdaka głosić triumf i chwałę,  
cieszy się tłum, gdy ulicznik na palcach gwizdnie,  
lecz, gdy się skroń znużona pochyli nad foliatem,  
księgi proroków świadczą przeciw własnej ojczyźnie.

Więc, skoro każdy czyn zaprzecza dawnym gloriom,  
a słowo, w pustkę rzucone, mniej niż płacz dziecka znaczy,  
zanim nadejdzie burza, w tej pieśni, jak w krematorium,  
na popiół płoną rojenia dumy i czarnej rozpaczy.

Lecz pamiętajcie to jedno: Kiedy żelazni edykci  
wbijali nowe słupy nad rozrzuconą mogiłą,  
gdy huczał twardy krok i głośny okrzyk — *Vae victis!* —  
rozległ się koło szafotu,  
tych naszych pochwał n i e b y ł o !

### Epitaphium generałowi Tarnawskiemu

Był nam wrogiem i myśmy wrogami mu byli.  
Bośmy się nienawiścią braterską popili  
i, rozum utraciwszy, niepomi na przeszłość  
tym zawsze nasyceni, co już w krew nam weszło,  
tyle tylko chwytamy w pogrzebowych nutach,  
ile nam naszeptuje ciężka nasza buta  
i gniew szumiący w głowach, jak mroczna otruta.

A był żołnierzem zacnym i umarł w honorze.  
Więc starzy towarzysze nad śmiertelnym łóżem

ślubowali mu wierność do samego zgonu  
i trumnę przy jęczącym wtórze helikonów  
nad skronie wywyższywszy, prowadzili w wieczność.

Tam mu już od hałasu ludzkiego bezpiecznie,  
tam nie słyszy, jak tłuszcze nierozumne suną  
oddawać hołd bezmyślny wrzaskliwym trybunom,  
jak pisarkowie wielbią faszystowych proroków,  
ryjąc dwudniową sławę na nietrwalej cegle.

Uśpionemu w spokoju i cmentarnym mroku  
krajobraz się przed okiem otwiera rozległy.  
Teraz, kiedy się nad nim dni powolne przędą,  
lepiej przyjrzeć się z dala popełnionym błędom,  
zbrodniom wzajemnych bojów, bratobójczych czynów  
i, odrzucając z piersi gorzki liść wawrzynu,  
poznać wreszcie to wszystko, co nam jest zakryte.

Czemuż, zwiedzeni blaskiem w spiżu kutych liter,  
zwlekamy mu ostatnią nadstać waletę?  
Trumny nie zarzucimy przemożnym dekretem  
i karki, sztywne w pysze, głów nam nie wywyższą.  
Oto szedł całe życie drogą nam najbliższą,  
aleśmy się minęli i, wadząc kto bardziej  
jest w domu gospodarzem, rozeszli w pogardzie.

A teraz nad zamglonym brzegiem Acherontu  
stoimy, znów przywdziałwszy złotolity konfusz,  
i — próżni sławy — butą dławiąc się niewczesną,  
przywołujemy duchy, które ani wskrzesną,  
ani słyszą, zakute w milczenie jak w pancierz.  
I usta przepalone w conocnej hulance  
zapominają mowy..

Wiatr dmie przeraźliwie,  
sypie na świeże groby pozostałe igliwie,  
rozmiata wstęgi wieńców po cmentarnych głazach,  
a na progu miast naszych stanęła zaraza,  
trza by biec, dzwonić alarm, lecz już nie potrafią  
uniesić się drętwe ręce... I na epitaphium  
stać nas tylko..

## Na czarnym szlaku

Widzisz — mrok. Słyszysz — wiatr. To odwieczna spuścizna.  
Ciężkim skrzydłem owionie, uderzy ku brwiom.  
Jeśli kroku nie cofniesz, do tej nocy się przyznasz,  
toś na zawsze osądził sam siebie i skazał,  
wilkiem skoczy do krtani,  
zapieni się krwią  
potowiecka trująca zaraza.

Przy stepowych ogniskach, w bitewnych okazjach  
osmałity nas wiatry paląco i srogo.  
Silnym dymem koczowisk zbliżata się Azja,  
pieśń samotna i samotny strach,  
jak otruta uroczna, jak gorzki samogon,  
zakręciło, poniosło we łbach.

I opadli nas czarci wilkołacy przekłęci,  
dali oczy tęskniące, mroczny czar, śpiwny dar,  
wkołysali w tętent, w świst szabel i cięciw,  
na kresowych zagnieździli się fortach;  
w samo serce ojczyzny szlak nogajski się wdarł,  
czarną krwią bulgocąca aorta.

Podkradała się noc, uwodząca, chozarska,  
w żyty tchnęła stodyczą, uniosta jak powódź...  
Koń kosmaty najeżdżej u bramy zaparskał,  
wszedł do świątyn kosooki bisurman.  
Tylko krzyk się odezwał — i znowu, i znowu  
nad głowami ponosi, jak surma.

Lecą wiatry pontyjskie po stepach i wodach,  
kraczą orły budziackie do żeru i ścierwa,  
i zatruta niewolą ukraińska uroda  
prosto w ślepią zagłada i pyta:

— Ktoś zacz? —

— żeś się upił przed bojem, na czas nle poderwał,  
jeszcze przyjdzie żałoba i płacz.

Czarna horda podchodzi pod zamkowy częstokół,  
jadowitym tumanem napętza do wrót.  
A ty, senny, przy ogniu kotyszysz się w mroku  
i nie dojrzysz, zgubiony w zaśpiewach i trenach,  
gdy żelaznym dywizjom wskaże drogę na Wschód  
wyciągnięta dłoń Mackensena.

I germańskie żelazo i arkan Azjaty  
śnią się strofom zdławionym przez mgłę naszych lat,  
i w hulaszce beztrójce, w oparach pijatyk

stoi kraj od żołnierza starego do dziecka...  
Tak im gra, uwodząca i gorzka jak czad,  
nieucichła, zła pieśń potowiecka.

## Prześlanie

Tak nas upiory nie na próżno straszą.  
Zwalił się z konia jeździec, zanim zbroi dopiął.  
I naszą wolność, tak jak wolność waszą  
znowu zasypuje jeszcze ciepły popiół.

Nie słyszał głosu przestróg nikt — bo któżby...  
Na placu stanął mówca, wkoto było pusto  
i śmierć, idąca śladem ciemnej wróżby,  
obydwie ręce uniosła ku ustom.

Ale naprzekór kodeksom z żelaza,  
co nawisty jak chmura nad zdeptanym krajem,  
warga żałobna sili się przekazać,  
że pieśń umiera, lecz się nie poddaje.

Niech więc uderza w krzyk naprzeciw Fatum  
i niech te gorzkie słowa, których fasz nie zbrukał,  
rzucone ponad głowy mrocznym latem,  
usłyszysz serce szczęśliwszego wnuka.

A kiedy wiatr epicki zwycięskim wyprawom  
śpiew upojenia wsączy w żyty,  
zaświadczył przed światem, najdumniejsza sprawo,  
że moje pieśni ciebie nie zdradziły.

Józef LOBODOWSKI.

## Bolesław Miciński

1911-1943

«Jest czas wszystkimu; czas rodzenia i czas umierania; czas sadzenia i czas wycinania tego, co sadzono; czas zabijania i czas leczenia, czas rozwalania i czas budowania». Takie słowa Eklezjasty z Pisma św. cytował Bolesław Miciński w swej książce *Podróże do piekieł*, wydanej w r. 1937.

Bolesław Miciński, jak większość jego rówieśników, nie znał w życiu owego gnuśnego spokoju, jakim chlubią się narody i pokolenia bogate, syte, żyjące w państwach o zabezpieczonych granicach i utrwalonym ustroju. Od dzieciństwa musiał żyć w świecie targanym niepokojem i sprzecznymi dążnościami, w świecie, w którym pośród zgliszcz i ruin klócono się o to, co ma stanowić fundamenty przyszłej budowy. Ów wewnętrzny niepokój twórczy, bo szczery i szukający prawdy za wszelką cenę, nienawidzący fałszu, zakłamania i frazeologii, a goniący za uchwyceniem istotnych cech naszego życia — ów niepokój stał się przyczyną znamienitych przemian w duszach pierwszego pokolenia Polaków, wychowanego w niepodległej Rzeczypospolitej. Jak marszałek Foch we wszystkich dyskusjach strategicznych i politycznych zadawał najpierw pytanie: «O co chodzi właściwie w tej sprawie?» — tak oni, owi młodzi Polacy, mający szczęście oddychać powietrzem wolności, nie zadowolili się samą biologiczną radością istnienia, lecz pytali wciąż: «Po co człowiek żyje?» podobnie jak nie przestawali na samym fakcie, że Polska jako państwo istnieje, lecz pytali wciąż: «Jaka

### DZIEŁA:

*Chleb z Getsemane* (1933) — poezje — nakł. bibl. «Zeb».  
*O deformacji rzeczywistości w sztuce* — praca magisterska u Tatarzkiewicza.

*Podróże do piekieł* (1937) — nakł. «Prosto z mostu».  
*Portret Kanta i trzy essaye o wojnie* — (1947), Instytut Literacki w Rzymie.

*Podstawy filozoficzne psychoanalizy* (1938) — nakł. «Verbum».  
 Ponadto niewydane:  
*Dyżurny filozoficzny* (1939), studium o Schopenhauerze, zbiór recenzji poetyckich w «Prosto z mostu», praca o Julianie Apostacie (1942).

ma być Odrodzona Polska i jakim celem ma służyć?»

Na pierwsze pytanie po długich często szukaniach, walkach i schodzeniach na manowce, większość wybitnych ludzi z owego pokolenia, śladem św. Augustyna znalazła odpowiedź w osobie Chrystusa i Ewangelii. Wśród nich był także Bolesław Miciński; dlatego jedyny zbiorek jego młodzieńczych poezji nosi tytuł «Chleb z Getsemane», dlatego w jego «podróżach do piekieł» znalazło się tak charakterystyczne zdanie: «Bo i czymże jest człowiek bez Boga? Jest sam — rzeczywistość przecieka mu przez palce».

Chrześcijaństwo wszakże stało się dla Micińskiego o wiele bardziej, niż dla tyłu jego rówieśników, naprawdę «chlebem duchowym». Mając tak rzadki w Polsce umysł o własnościach filozoficznych, nie uległ pokusie «pychy rozumu», która tyłu młodszych od niego uwiodła, lecz wierzył głęboko w prawdziwość słów Mickiewicza:

«Rozumie ludzki, tyś mały przed Panem,  
 Tyś kroplą w Jego wszechmogącej dłoni».

Z chrześcijańskiego poglądu na świat i z wrodzonej dobroci, szlachetności duszy, płynął jego stosunek do ludzi. Wierzył w człowieka. Stąd zapewne pochodził ów dziwny fenomen w naszych czasach nienawiści i pogardy, że Bolesław Miciński liczył serdecznych przyjaciół wśród ludzi z biegunowo przeciwnych obozów politycznych i ideowych; nie zrzekając się nigdy swego sądu i przekonania, umiał szanować cudze zdanie, do czego wysoka kultura umysłowa wielce mu pomagała. Wierzył, jak tyłu nas wierzy dzisiaj, w nadejście wspaniałej epoki *humanizmu chrześcijańskiego* i odrodzenia naszej cywilizacji, a sam w swoim życiu stał się jak gdyby owego nowego humanizmu prekursorem.

Był humanistą przez głęboką miłość do Grecji i Rzymu, do kultury klasycznej, a także w tym znaczeniu, że interesowały go wszystkie dziedziny wiedzy i kultury: świetny krytyk poetycki łączył wytrawny smak artystyczny z rzadką u krytyków zdolnością odczuwania cudzego entuzjazmu, obcej prawdy życiowej. Dlatego jego sąd, choćby najsurowszy, tak wysoko cenili młodzi poeci, bo mogli spodziewać się bezstronności, wolnej od wszelkich wpływów koteryjnych i wskazania właściwej drogi twórczej. Z przyjaźni z wielkim Karolem Szymanowskim, z młodymi kompozytorami polskimi Palestrem, Maciejewskim, Szałowskim, Spisakiem oraz pianistami Witoldem Małcużyńskim i Konstantym Regameyem, wyniósł ukochanie i znajomość muzyki, sztuki odpowiadającej tak dobrze głębiom jego psychiki. Malarstwo, rzeźba, architektura, filozofia, psychologia, historia, teatr, literatura, nawet medycyna — wszystkim interesował się żywo i można rzec bez przesady, nie zdradzał dyletantyzmu w żadnej z tych sztuk i umiejętności.

«Jest czas rozwalania i czas budowania»; Bolesław Miciński,

znalazłszy trwały fundament w chrześcijaństwie, należał do tych, którzy budują, zaczynając od siebie, od własnej osobowości. We współczesnym sobie pokoleniu należał do ludzi, którzy na pytanie, jaka ma być odrodzona Polska, odpowiadali bez wahania: wielka, potężna moralnie, materialnie i umysłowo. Ów program wielkiej Polski, pojęty nie polityczno-partyjnie, lecz ideowo, cywilizacyjnie, program Polski promieniującej kulturalnie na całą Europę środkową, związanej zaś mocno z kulturą zachodnią, chrześcijańską i rzymską, zbliżył go, pomimo różnic w zapatrywaniach, do powstałej w r. 1935 w Warszawie grupy *Prosto z Mostu* pod kierownictwem Stanisława Piaseckiego, zamordowanego przez Niemców w 1941 r. Tym, co zbliżało najbardziej Micińskiego do grupy *Prosto z Mostu* stała się chyba wspólna troska o zdobycie należnego miejsca Polsce w cywilizacji europejskiej, o zachowanie samodzielności naszego narodu wobec Niemiec i Rosji nie tylko w zakresie politycznym, lecz także ideowym, myślowym, filozoficznym. Trzeba było uodpornić młode pokolenie polskie na filtrujące wciąż przez granicę zachodnią i wschodnią wpływy hitleryzmu i komunizmu przez ukazanie w nowej szacie i w zastosowaniu do nowej epoki odwiecznych dążeń polskich. W pracy owej, Miciński przodował przez absolutną nieustępliwość przy strzeżeniu idei, które uważał za typowo polskie: poszanowania godności i wolności ludzkiej, sprawiedliwości społecznej, związanej z istotną, przeżyta wewnętrzną demokracją społeczną, szerzenia idei chrześcijańskich w środkowej i wschodniej Europie. Pod sam koniec życia myślał o pisaniu rozprawy o polskim stylu życia i naszym charakterze narodowym. Niestety, śmierć nie pozwoliła Micińskiemu na napisanie dzieła, do którego był jak mało kto w Polsce, powołany i przygotowany.

Walkę o swe ideały pojmował Miciński nieco inaczej, aniżeli większość swych rówieśników: mniej przywiązany do hałaśliwej jej postaci, stroniący od brutalności współczesnego życia, bardziej liberalny w dobrym, chrześcijańskim nie-politycznym znaczeniu tego słowa, brał gorący udział w boju ideowym, dzielącym dziś cały świat na zacięcie atakujące się obozy. A rozumował słusznie, że nie tylko od zwycięstwa na polach bitew, czy w warsztatach fabrycznych, lecz także od triumfu pewnego typu cywilizacji zależy w znacznej mierze przyszłe ukształtowanie się Polski i świata. Miciński, dziecko Ukrainy, z samej granicy cywilizacji europejskiej, był przeciw z tą kulturą, jak mało kto z naszego pokolenia, ściśle związany. Czciiciel myśli platońskiej, znawca Descartes'a, Maine de Biran'a i Bergsona, uczeń Chevalier'a, kochał głęboko kulturę francuską i tę Francję wieczną, nad której poniżeniem i zwyrodnieniem współczesnym bolał niezmiernie.

Złe wszakże, nieprawdziwie wyszłaby sylwetka duchowa Micińskiego, gdybyśmy go uznali za czystej wody intelektualistę, filozofa i miłośnika książek, oderwanego od świata, odgrodzo-

nego od aktualnych problemów chwili. Przeczy temu jaskrawo jedna jego pasja, radowanie się rzeczą *par excellence* nowoczesną, społeczną, a przeznaczoną dla tłumów, tj. radiem. Kiedy dane mu było zbliżyć się do kierowania centralą programową Polskiego Radia przez kilka miesięcy przed wojną, włożył w ową pracę cały swój zapał i mądrość; widział w sieci radiowej jakby ożywczy zbiór strumieni, rozprowadzających soki kultury narodowej do najdalszych komórek zbiorowego polskiego ciała po to, aby je nie nudząc uczyć i bawiąc wznosić na wyższy szczebel cywilizacji. Pomysły jego reform radiowych, istotnie śmiałe i rzeczowe, niestety częściowo tylko zrealizowane wskutek wybuchu wojny, odkrywały w Micińskim nieznaną dla wielu ludzi talenty społecznika, trzeźwego organizatora i człowieka umiającego trafiać równocześnie do elity i do mas. Świadczą one jeszcze silniej o bogactwie wewnętrznym jego osobowości. Wszystko też, cokolwiek tu się mówi o Micińskim, stanowi tylko część tego, co o nim powiedzieć można, tak różne strony jego psychiki ukazują się raz tym, to znów innym oczom jego przyjaciół, znajomych i kolegów. Taka różnorodność natury, to także jedno z wybitnych cech jego humanizmu.

Wszyscy ci, którzy znali Micińskiego, w ostatnim, wypełnionym chorobą, okresie jego życia, zbyt łatwo zapominają, że był to przed kilku laty zaledwie człowiek jak gdyby zupełnie inny: pełen werwy, życia energii i pomysłowości, pracowity i wytrwały, świetny wykładowca, (wszak nie bez powodu stał się najmłodszym prelegentem na zebraniach urządzanych przez Polską Akademię Literatury i nie bez powodu zyskiwał tak często, wbrew zakazom, oklaski u swych uczniów w gimnazjum), jeszcze świetniejszy polemista w dyskusjach i czasopismach, inicjator wielu prac kulturalnych, narzucanych swemu otoczeniu, pedagog z zamiłowaniem i talentem, czy to w charakterze nauczyciela gimnazjalnego, czy asystenta przy katedrze prof. Tatarkiewiczza.

Jest wszakże jedna sprawa, która z życia Bolesława Micińskiego czyni coś zupełnie odrębnego, jedyne, coś, co odróżnia go od rówieśników, towarzyszy pracy i jego pokolenia. To jego nieubłagany, długi, złożony z drogo zapłaconych, przelotnych zwycięstw i ciężkich, fatalnych klęsk — bój z «przemocną rzeczywistością» (jak ją sam nazywa w *Podróżach do piekieł*), bój z ciałem własnym o siły do życia, bój ze światem i jego tragicznością, w istocie rzeczy — bój ze śmiercią. W swym krótkim życiu nie zaprzestał Bolesław Miciński swego straszliwego boju ani na chwilę. Zbierał wszystkie siły fizyczne i duchowe, aby się uzbroić, ustępował tylko krok za krokiem w nierównym zmaganiu się, które wryło piętno na całej jego twórczości. Pochylony wciąż nad zagadnieniem *au-dela*, nad sprawami życia nadzmysłowego, względnie stanu przejściowego między życiem a śmiercią, podróżował w myśli nie tyle do piekła pogańskiego wraz z Homerem lub chrześcijańskiego wraz z Dantem, ile na

tamtą stronę świadomości ludzkiej — jeśli tak wolno się wyrazić. Nie znaczy to, aby Miciński poddawał się pesymizmowi; zbyt zdrową na to miał naturę, za dużo poczucia humoru, zbyt kochał dzieci, przyrodę, Dickensa i Prusa, za bardzo był katolikiem. Swój bój ze śmiercią toczył samotnie, zawzięcie, lecz pogodnie, ze świadomością niebezpieczeństwa, lecz z niezachwianą ufnością; pogodnie też, pomimo wielkich cierpień fizycznych, przeszedł do tamtego, lepszego świata.

Wlokło się przecież za nim ciągle przeświadczenie Schelera, że tragiczność życia stanowi zjawisko uniwersalne, obiektywne, niezależne od jednostki ludzkiej; mocował się z nią po chrześcijańsku; ale nie bez powodu ważną część swej książki poświęcił skargom i filozofii biblijnego mędrca cierpiącego: Hioba.

«Jest czas budowania i czas rozwalania»; tych, którzy w niewiści burzą lub zgniłe kładą fundamenty, czeka los najtragiczniejszy: odtrącenie od źródeł szczęścia, wieczna pogoń za diaboliczną chimera. Nie boją się takiego losu dla Micińskiego pełne żalu po zmarłym dusze jego przyjaciół i tych z sielskiego dzieciństwa i tych z lat nauki i bojowania, towarzyszy pióra i murów uniwersyteckich i tych, co we «Francji ziemi cudzej» musieli patrzeć na ostatni akt tragedii.

Witold NOWOSAD.

## Polski Teatr Białorusi Zachodniej

We wrześniu 1939 r. «wróciły na łono macierzy sowieckiej odwieczne rosyjskie ziemie Białorusi i Ukrainy Zachodniej». Takie było urzędowe określenie aneksji polskich ziem wschodnich.

Ziemie te w ciągu niespełna 2 lat przeszły wszystkie kolejne etapy, którym uległy kraje sowieckie na przestrzeni 22 lat: upaństwowienie ziemi i nieruchomości, przemysłu i handlu, daleko już w 1941 r. posuniętą kolektywizację, masowe przesiedlanie ludności i terror N.K.W.D. Do tego dołączyła się rusyfikacja szkolnictwa i administracji, przeprowadzana ostrymi, chirurgicznymi cięciami. Nic dziwnego, że społeczeństwo polskie na tych terenach, składające się w dużej części z uciekinierów z ziem zachodnich, często bez środków do życia, bez oparcia w rodzinie i przyjaciółach, przemieszane gęsto mniejszościami narodowymi jak Białorusini, Ukraińcy i Żydzi, które w masie ustosunkowały się w pierwszej chwili życzliwie do sowieckiej inwazji, że społeczeństwo to, otrzymując raz po raz ciosy, godzące w jego istnienie, nie wykazało takiej zawziętej odporności w stosunku do okupanta, jak to się działo w okupacji niemieckiej. Bo zresztą i warunki były inne. Z Rosją nie prowadził nikt wojny o zabrane tereny, a w perspektywie mieli Polacy jedynie katownię N.K.W.D. i podróż w zaplombowanych wagonach bydłocych na rozległe tereny Azji, z których nie wracają ani żywi ani umarli.

Pośród tego gwałtownego załamywania się i zanikania wszystkich elementów życia polskiego na ziemiach okupowanych przez czerwoną armię i N.K.W.D., jedyną placówką, która się ostała, były teatry polskie. Zostały one upaństwowione, podlegały sowieckim komisariatom sztuki, otrzymały rosyjską dyрекcję, ale w zakresie repertuaru i angażowania artystów zachowały coś w rodzaju samorządu. O ile wiem, narzucono tym teatrom jedynie dwie sztuki sowieckie lub w duchu sowieckim napisane: «Bartosz Głowacki» Wasilewskiej, graną we Lwowie i «Optymistyczna Tragedia» — sztukę z żelaznego repertuaru rewolucyjnego, wystawioną w Białymstoku.

Teatrów tych było, o ile mi wiadomo, cztery. Lwowski teatr, zorganizowany najwcześniej, jako że artyści tamtejsi nie zostali całkowicie rozproszeni przez wojnę, teatr Węgierki w





Patrząc na te panie w krynolinach i panów w białych pończochach i pantoflach z brylantowymi klamrami, zapomnieli widzowie na chwilę o tragedii, która rozgrywała się ciągle wokół nich. Dopiero żołnierze sowieccy z karabinami na ramieniu, zatrzymujący wracającą z teatru publiczność, przypomnieli o panującej w tym pokojowym kraju godzinie policyjnej i obecności ogromnego garnizonu «bratniego» wojska w mieście.

Następną premierą było «Dożywocie» Fredry. Jacek Woszczerowicz, grający Łatkę, poszedł za swoją wrodzoną skłonnością do szarży. Jego Łatka nie miał w sobie nic ludzkiego. Był chciwością samą w sobie.

Węgierko wracał z upodobaniem do swego warszawskiego repertuaru. W próbach był «Pygmalion» Shawa. Tytułową rolę grał oczywiście sam reżyser, Elizę Doolittle, kwiatiarke, miała tym razem kreować Irena Borowska. Do roli pani Higgins sprowadził Węgierko ze Lwowa, zagnaną tam przez wojnę doskonałą aktorkę ze starszego pokolenia, partnerkę swoją z wielu sztuk, granych w Polskim Teatrze w Warszawie i w krakowskiej Bagateli.

Muszę tu nadmienić, że Irena Borowska ranna była w 1939 roku w czasie obrony Grodna dosyć poważnie w nogę. Leżała przez długi czas w szpitalu w Grodnie, polscy lekarze otaczali ją troskliwą opieką i serdeczną sympatią. Obecnie chodziła już wcale dobrze, utykając lekko na nogę i podpierając się laską. To nie, że rola wymagała ogromnego wysiłku, a chodzenie sprawiało jeszcze ból. Chodziła po scenie, szczęśliwa, że wyzdobyła się z łóżka po wielomiesięcznej chorobie i mogła znowu grać.

Węgierko reżyserował z żarliwością niemal religijną. «Pygmalion» został wyczelowany jak cacko. Każdy dialog był perłką, każda scena pełna i doskonała. Dekoracje projektował i robił jednocześnie tenże sam młody dekorator, który przedtem opracował sceniczne ramy dla «Intrygi i Miłości». W akcie drugim sitting-room pani Higgins był istnym cackiem, pełnym skońca i kwiatów, które z ogródka zaglądały przez małe szybki do pokoju.

Przed każdą premierą odbywał się tzw. «prosmotr» czyli pokaz Komisariat sztuki w Mińsku przysyłał delegatów, żeby «przyjęli» sztukę. «Pygmalion» wywołał zachwyty. Reżyserские zasługi Węgierki rosły w ich oczach po każdej premierze. Trzeba przyznać, że uwagi robili niekiedy zupełnie do rzeczy. (Węgierko wyreżyserował np. w ten sposób drugi akt, że pani Higgins siedziała lub stała przez cały czas za małym, stylowym biurkiem). Dlaczego taką świetną aktorkę schowaliście za stołem?» zapytał jeden z członków komisji. «Jest on wprawdzie stylowy i ładny, ale szkoda każdego ruchu takiej doskonałej artystki»).

W maju 1940 roku przyjechała nareszcie z Taszkontu mityczna dyrektorka. Było to sensacją dla całego zespołu. Jak wygląda? — «Jak kucharka z mieszczkańskiego domu...» mówili

ci, którzy ją pierwsi ujrzeli. Przyjechała w zniszczonym przedpotopowego kroju kostiumie i w szaliku na głowie. Ma podobno trzydzieści lat, a wygląda na czterdzieści pięć. Brak jej przednich zębów.

«Kucharka z mieszczkańskiego domu» ujęła jednak energicznie w ręce ster teatru. Na wstępie wezwała cały zespół na zebranie i wyłożyła główne zasady «savoir-vivru» sowieckiego. Nie wolno pluć na podłogę, w obrębie gmachu teatralnego należy zdejmować kapelusze, trzeba kłaniać się znajomym itp.

Potem zajęła się repertuarem. «Intryga i Miłość» oraz «Pygmalion» zyskały jej uznanie. Natomiast koncert, który przygotowywał Węgierko i «Optymistyczna Tragedia», będąca w próbach i reżyserowana przez dawnego dyrektora, zostały zakwestionowane.

Koncert miał się składać z 2 części. Pierwszą stanowiły inscenizowane piosenki ludowe o doborze dość przypadkowym. Druga miała przypominać nieco akt II «Wyzwolenia», scenę Konrada z Maskami. Miała to być recytacja wybranych fragmentów ze Słowackiego, Wyspiańskiego i Rostrawskiego przez poszczególnych aktorów, rozrzuconych na ciemnej scenie. Reflektor oświetlał każdorazowo przemawiającego artystę.

Pierwszą część odrzuciła dyrektorka jako pozbawioną głębszej wiążącej idei, druga została później połączona z występami śpiewackimi i robiła duże wrażenie.

Co do «Optymistycznej Tragedii», była to sztandarowa i bardzo popularna w Rosji sowieckiej sztuka, osnuta na tle wydarzeń rewolucyjnych. Do zbuntowanej załogi jednego z okrętów floty czarnomorskiej przysłana zostaje młoda komisarka. Zdziczała załoga przyjmuje ją drwinami. Jeden z marynarzy pozwala sobie nawet na zbytnią poufałość i zostaje z miejsca zastrzelony. Jest to wyzwalający wstrząs dla załogi. Odwaga dziewczyny zaczyna budzić szacunek. Jedni mniej, drudzy bardziej gorąco stają po jej stronie. Są tacy, którzy gotowi są oddać za nią życie. Załoga wraz z komisarką opuszcza okręt i przedziera się przez stępy czarnomorskie. Na drodze swej spotykają oddział niemiecki, następuje starcie i zwycięstwo, ale bohaterska komisarka ginie od kuli.

Sztuka sama w sobie dosyć słaba, ale daje duże pole do popisu utalentowanemu reżyserowi. Łomakina widziała ją w wielu teatrach sowieckich i zdecydowała, że w koncepcji dyrektora nie może iść. Oddała ją Węgierce do reżyserowania. I tutaj ujrzeliśmy arcydzieło sztuki reżyserkiej. Przede wszystkim Węgierko przerobił wraz ze swymi pomocnikami bardzo licze tłumaczenie. Oddał rolę komisarki Irenie Borowskiej. Ilustrację muzyczną zamówił u bardzo utalentowanego kompozytora, uciekiniera z Łodzi, Henryka Jabłonia. A potem zaczął opracowywać scenę po scenie. Efekt był niezwykły. Powstało misterium, coś, co przypominało nieco, nie w treści oczywiście, ale w nastroju, «Nieboską».

W prologu, na tle pełnej udręczenia, a jednocześnie jakby

ukrytej groźnej siły muzyki, której powolny rytm znaczyły bębny, przesuwali się przez pokład okrętu w długim szeregu marynarze. Jakby przeszedłszy morze cierpień i nadludzkim wysiłkiem zdobywszy zwolnienie, opowiadali w krótkich, urwanych, rytmicznych zdaniach swoje udręki. Dramatyczna, nabrzmiała cierpieniem muzyka nadawała ich słowom jakąś niezmierną, ogólnoludzką głębię. Była w ich słowach i muzyce powaga wielkich dokonań dziejowych.

Premiera «Optymistycznej» odbyła się znacznie później, dopiero w Białymstoku.

Nastroj w teatrze był ciężki... W okresie, kiedy formował się zespół, bezustannie ktoś ostrzegał kogoś przed kimś. Ponieważ nie jestem skłonna do ulegania masowym sugestiom, śmiałam się z tych ostrzeżeń i zbliżałam się zawsze do takich ulegających osłracyzmowi, rzekomych konfidentów N.K.W.D. Cieszyłam się też serdecznie, kiedy para aktorów, których unikano jako konfidentów, uciekła przez zieloną granicę do Warszawy.

Przyszedł okres paszportyzacji. Można było wziąć paszport, można też było zapisać się na powrót do okupacji niemieckiej: należało wybierać. Sprawę tę dyskutowali aktorzy gorąco. Po kwietniowych łapaniach i wywożeniach nikt nie miał zaufania do dobrotliwego reżymu. Zdecydowano brać paszporty. Kiedyś to się przecież musi skończyć! — myśleli wszyscy.

Na wyjazd zapisał się tylko rekwizytor teatralny, który pochodził z Wilna i tam chciał wracać wraz z rodziną. Był to zawzięty komunista, Żyd. Przymawiał on często w zjadliwy sposób aktorom, że «skończyły się już polskie porządki!» I on też jeden padł ofiarą nowych, niepolskich porządków. Został wywieziony z żoną i z dziećmi w czerwcu, w olbrzymim transporcie jako «wrag naroda». W straszliwym upale trzymano ich przez tydzień w rozpalonych wagonach, bez wody, czekając na skompletowanie transportu.

Przedtem jeszcze przeżył teatr kampanię francusko-niemiecką i klęskę Francji. Ludzie szaleli. Siedzieli przy radiu słuchając coraz bardziej przerażających komunikatów. Potem opadły wszystkim ręce. Co pozostało? Anglia? Ale czy Anglia się utrzyma? Czy nie nas już nie wyzwoli z tego piekła?

Otrzymaliśmy paszporty «z paragrafem». Znaczyło to, że jako uciekinierzy nie możemy mieszkać w pobliżu granicy ani w większych miastach. Co będzie dalej? Ale dla teatru mają bolszewicy specjalne względy. Póki tworzyliśmy zespół, nie groziło nam wywiezienie. Przed łapaniami nocnymi wydano nam tzw. «sprawki», czyli zaświadczenia, że pracujemy w teatrze, ale strasznie było słuchać w nocy warkotu samochodów, tupotu uciekających i goniących ich żołnierzy, wrzasków: «Stoj!»

Z początkiem lipca wyjechał teatr na gościnne występy do Pińska. Warunki podróży były oczywiście okropne. Wielokrotne przesiadki, nocleg pod gołym niebem na stacji, brud w wagonach. Ale myśleliśmy wówczas o wywiezionych w zaplombowanych wagonach i nikt nie narzekał.

Pińsk był miastem wymarłym kiedy przyjechalśmy do niego w lipcu 1940 r. Trzykrotne wywożenie zdzięsiatkowało ludność polską. Ci, którzy się ostali, bali się mówić po polsku na ulicach. Efekt przyjazdu Teatru Polskiego był niezwykły. Na pierwszym spektaklu koncercie, kiedy artyści poczeli recytować zespołowo «Odeę do Młodości», na widowni rozległ się głośny płacz. Polska mowa i polska poezja, rozbrzmiewające znowu publicznie na deskach scenicznych wobec całej gehenny i beznadziejności tych udręczonych ludzi, były wstrząsem olbrzymim.

Węgierko przeżył wówczas wielką chwilę. Zrozumiał, że zasługa jego namiętnych wysiłków przekracza granice dokonań artystycznych, że wkracza w ramy obywatelskiego czynu narodowego.

Nie interesował się jednak wcale polityką i losami wojny, zagłębiając się w swoim transie artystycznym. Udało mi się kiedyś złapać w radio transmisję z Berlina triumfalnego wjazdu Hitlera po zwycięskiej kampanii we Francji. Słuchałam ze ściśniętym sercem radosnego ryku tłumów, stłumionego łzami radości głosu speakera, który mówił o tym «niepojętym wydarzeniu» (*das unbegreifbare Geschehnis*). A potem przemawiał długo Hitler, sławiąc ponad wszystko męstwo i poświęcenie żołnierza niemieckiego. Idąc do teatru, cała wstrząśnięta jeszcze tym przeżyciem, spotkałam Węgierkę i opowiedziałam mu o tym, co słyszałam. Patrzył na mnie uważnie, ale miałam wrażenie, że moje słowa spłynęły po nim bez śladu. Dla niego były to rzeczy mniej ważne niż dekorację i kostiumy do następnej premiery. Zrozumiałam, że człowiek ten żyje tylko i wyłącznie teatrem. Wszystko inne staje się dopiero wówczas ważne, kiedy zaczyna mu przeszkadzać w jego pracy artystycznej, a Francja była przecież tak daleko! Pomyślałam wtedy również, że gdyby temu człowiekowi po śmierci zaproponowano niebo bez teatru i piekło, w którym mógłby zorganizować teatr dla potępieńców i szatanów, wybrałby bez chwili wahania piekło.

Po wielkich sukcesach artystycznych w wyludnionym Pińsku, teatr pojechał dalej na gościnne występy do Białegostoku. Otrzymaliśmy pomieszczenie w pięknym gmachu, położonym w parku, w pobliżu dawnego pałacu Branickich, zajmowanego obecnie przez władze sowieckie. I tutaj, dzięki wielkiemu szcunkowi, jaki Węgierko zdobył u władz sowieckich swą pracą artystyczną, otrzymaliśmy «bazę». Był spór o ten gmach między teatrem białoruskim i naszym, lecz Węgierko i Łomakina zwyciężyli. Pozostaliśmy tam aż do połowy kwietnia 1941 roku.

Na Białystok przypadł okres szczytowych osiągnięć teatru, premiera «Wesela Figara» i «Optymistycznej». Teatr był zawsze pełen. Wielu Polaków nie chodziło wprawdzie do teatru, zmuszeni byli bowiem ukrywać się, inni uważali pójście do teatru, kierowanego przez bolszewików, w dodatku w tak tragicznym momencie dziejowym, za czyn niepatriotyczny. Inni przychodzili, stęsknieni do polskiego słowa na scenie. Żydzi, przepelniający więcej niż w 70% miasto, bywali obowiązkowo

na każdej sztuce. Nawet Rosjanie przychodzili na polskie sztuki. Drukowano dla nich specjalne programy w języku rosyjskim, zawierające streszczenie sztuki. Byli przeważnie zachwyceni. Mieli tylko jedno złe przyzwyczajenie: przychodzili z małymi dziećmi, nawet oseskami. «Kapłan» Węgierko nie mógł znieść takiego traktowania bóstwa-sztuki. Bileterom nakazano, żeby nie wpuszczano nawet generała z niemowlęciem.

Nie będę się tu rozpisywała o trudnościach mieszkaniowych i gospodarczych teatru. Wystarczy nadmienić, że kwatery, przydzielane nam przez władze miejskie, były czasem nie do zamieszkania, trudności aprowizacyjne duże, brak mydła i odzieży. Nie wypłacano nam pensji w porę, sprzedawaliśmy zatem resztę laszków przywiezionych z domu. Aktorzy chodzili w zimie w dziurawych butach. Z trudem zdobywaliśmy opał. Rozbudowana nadmiernie administracja teatru działała nieudolnie. Pieniądże przeznaczone na pobory ginęły podobno w dekoracjach i kostiumach. Tak przynajmniej twierdzili antagoniści Węgierki, czemu ja zresztą nie wierzyłam. Węgierko, lepiej uposażony od innych, dawał pożyczki na wieczne nieoddanie. Każdemu, kto suszył mu głowę osobistymi sprawami, starał się pomóc mimochodem, zatopiony w swej wizji artystycznej.

Jak było naprawdę, trudno powiedzieć, sądzą jednak, że była to raczej wina Łomakinej. Zaobserwowaliśmy wszyscy, że dyrektorka w niczym nie przypominała już służącej z mieszczańskiego domu. Sprawiała sobie kilka par eleganckich pantofli, dwa srebrne lisy, kilka kostiumów, zespół artystów ofiarował jej ogromny flakon francuskich perfum. Zgnilizna burżuazyjna skorumpowała już tę ideową komunistkę. Na zebraniach «prof-sojuzu» padały gorzkie słowa ze strony co śmielszych aktorów i pracowników technicznych.

Węgierko był poza tym wszystkim. Montował dwie premie-ry: «Pannę Maliczewską» Zapolskiej i «Wesele Figara» Beaumarchais'a.

«Pannę Maliczewską» reżyserowała Jabłonkówna z pomocą Węgierki. Tytułową rolę grała młodziutka, utalentowana aktorka, Michalska, przywieziona z Grodna. Ta beznadziejnie ponura sztuka nie cieszyła się taką frekwencją jak «Pygmalion» czy później «Wesele Figara». Publiczność rozumiała ją często opacznie, uważając leciwego uwodziciela za ofiarę, a uwiedzioną dziewczynę za wyzyskiwaczkę.

Przed premierą «Figara» teatr pracował bez «wychodno», tzn. bez świąt i odpoczynków. Żelazna wola Węgierki trzymała wszystkich w karchach, chociaż po kątach narzekali co niemiara.

Sztuka została wypracowana jak klejnocik osiemnastowieczny. Obrotowa scena ułatwiła pracę reżysera i dekoratora. Sami aktorzy patrzyli z rozkoszą na tę feerię pełną lekkości i wdzięku.

Rolę tytułową grał oczywiście Węgierko. Był lekki i dowcipny. Jedynie w słynnym monologu zabrzmiał głucho jeszcze ale groźnie grzmot nadchodzącej burzy rewolucyjnej. Hrabinią była Irena Borowska. Grała tę rolę wykwiśnię i z właściwym

sobie, niepokojącym, chłodnym wdziękiem. Wyglądała ślicznie. Zuzanna była znana przed wojną pieśniarka, którą losy w dziwny sposób przygnały do tego teatru. Przyszła wraz z mężem przez zieloną granicę na stronę bolszewicką. Rozpatrzywszy się w sytuacji, postanowili wracać. Zostali ujęci na granicy. Mąż powędrował do więzienia i na Sybir. Ona, przechorowawszy utratę ukochanego człowieka, zgłosiła się do Węgierki i została przyjęta z otwartymi ramionami. Była przemiłą Zuzanną ze swoim trochę naiwnym wdziękiem.

«Prosmotr» nie zadowolili władz mińskich. «Sztuka wystawiona świetnie — mówili. — Ale za mało w niej ducha rewolucyjnego. Toż to istna sielanka!»

Na dwa dni przed premierą «Figara» spotkał Węgierkę, jako reżysera i nas, jako zespół, ciężki cios. N.K.W.D. zaarrestowało nam trzech aktorów, w tym ojca i syna, którzy mieli grać w «Figarze». Syn miał nieszczęście wejść do gabinetu dyrektorki w chwili, kiedy N.K.W.D. czekało już na jego ojca. Zabrali go także, a na uwagę Łomakiny, że chłopak ma grać rolę Cherubina w sztuce, której premiera będzie za dwa dni, uspokojono ją, że chłopiec dziś jeszcze wróci do teatru. Oczywiście nie wrócił wcale.

Premiera została odłożona i odbyła się później w nastroju ogólnego przynębienia. Przygotowywaliśmy właśnie przedstawienie kukiełek na zbliżające się urodziny Węgierki. Napisane już były wszystkie teksty, ale w związku z tym przykrym wypadkiem, projekt został zaniechany.

Drugim niemiłym wydarzeniem było zwolnienie przez Łomakinę dawnego dyrektora. Był on wprawdzie o tyle w lepszym położeniu od nas wszystkich, że nie będąc uciekinierem, nie był zagrożony wywiezieniem, ale stracić pracę nie jest bezpiecznie w reżimie sowieckim.

W Białymstoku powiększył się nasz zespół. Chcąc ratować ludzi od wywiezienia, zaangażował Węgierko szereg aktorów z dawnego teatru Krukowskiego, który został wówczas zamknięty. Był między nimi Stanisław Znicz z żoną.

Węgierko przygotowywał teraz «Optymistyczną». «Prosmotr» był jednym wielkim sukcesem. Cieszyliśmy się z tego względu na Węgierkę, bo sztuka była nam duchowo obca, a przez niechęć do bolszewików wielu nawet niemiła.

Nie wspominałam tu jeszcze o najboleśniejszym bodaj udręczeniu, które było naszym udziałem oprócz zmartwień politycznych, trudności finansowych itd. Dla właściwego uświadomienia politycznego przysyłano nam do teatru politruków. Spędzeni jak owce na widownię, słuchaliśmy ze ściśniętym sercem jak wszystko, co nam było drogie, mieszano z błotem. Okazywało się wówczas, że w Polsce nie było nic prócz krwopijców-panów. Panowała najokropniejsza ciemnota, nie było szkół i podręczników, nie było opieki lekarskiej. Słyszeliśmy, że «białopolaki» mordowali ludność białoruską, że marzyli o Polsce od Bałtyku po morze Śródziemne. Dowiedzieliśmy

się jednej tylko rzeczy ciekawej od wyjątkowo inteligentnego politruka, który mówił do nas o polityce zagranicznej. Usłyszeliśmy od niego, że jego marzeniem jest, by Sowiety sięgały po Gibraltar. Na nasze zdumione spojrzenia odpowiedział z filuternym uśmiechem: «Tak, takie mam imperialistyczne marzenia...»

Dla przeciwwagi interesowaliśmy się gorliwie losami wojny. Ustalił się zwyczaj, że ja to właśnie chodziłam słuchać audycji z Londynu nadawanej wieczorem, notowałam najważniejsze wiadomości i biegłam z nimi do teatru. W którejs z garderob schodzili się ciekawi i wysłuchiwali chciwie nowin.

Zdarzyło się raz podczas cyklu przedstawień «Optymistycznej», że nie mogąc zupełnie zrozumieć audycji Polskiego Radia z Londynu (bolszewicy przeszkadzali w słuchaniu «pilowaniem drzewa»), zostałam dłużej i wysłuchałam francuskiego, niemieckiego i w końcu rosyjskiego komunikatu. Przyszłam na ostatni antrakt. Spragnieni wiadomości aktorzy zbiegli się tłumnie, a fryzjer, mały, zasuszony człowieczek zauważył dobrotliwie: «Chyba nigdy jeszcze tylu mężczyzn nie czekało na panią z utęsknieniem, jak dzisiaj». Roześmiałam się. Miał słuszość. Nigdy jeszcze nie czekało na mnie z utęsknieniem czterdziestu mężczyzn. Kiedy skończyłam sprawozdanie, jeden z aktorów zapytał z rozpaczą: «No dobrze, Niemców pobije Anglia, ale co będzie z tymi?»

Pobyt naszego zespołu w Białymstoku dobiegał końca. Do gmachu teatru miał przyjechać na lato na gościnne występy zespół białoruski. My mieliśmy najpierw jechać do Brześcia nad Bugiem, potem do Mińska, stolicy «Zachodniej Białorusi». Był jeszcze projekt wyjazdu do Moskwy, ale już na dalszym planie.

Brześć, podobnie jak Pińsk, był opustoszały. Oprócz miejscowej ludności polskiej, wywieziono stamtąd mnóstwo uchodźców, którzy koczowali na ulicach w oczekiwaniu na otwarcie granicy. Zebrano ich z ulic jak niepotrzebne śmiecie i wywieziono w głąb Rosji. Pozostała głównie ludność żydowska.

W Brześciu nad Bugiem, podobnie jak w r. 1940 w Pińsku, teatr miał nieszczęsne powodzenie. Niedobitki polskie wyszły ze swych nor, żeby usłyszeć po raz pierwszy od 1939 r. Mickiewicza i Fredrę, odetchnąć polską atmosferą. Znowu był płacz na widowni, a ludzie, którzy wchodząc do teatru porozumiewali się po rosyjsku, wychodzili, mówiąc śmiało po polsku.

W tym czasie «wybuchła» sprawa dyrektorki. Biedna Łomakina przebrała miarę. Zarabiała stosunkowo niewiele (900 rubli), a miała duże obowiązki, matkę i córeczkę na utrzymaniu. A przy tym chciała się «obsprawić» i wstawić brakujące zęby... Nie wyjechała z nami do Brześcia. Władze zatrzymały ją w Białymstoku. Przrzekała przyjechać później, ale zawieszono ją w czynnościach. Zjechała jednak do nas niespodziewanie i zwołała zebranie «profsojuzu». Patrzyliśmy na nią ze zdumieniem. Ta dawniej tak spokojna i pewna siebie kobieta była zupełnie wytrącona z równowagi. Powiedziała nam wówczas, że

władze mińskie szkodzą jej w Moskwie, że zrobiono jej zarzut jakoby teatr był «gniazdem kontrrewolucji». A my przecież najlepiej wiemy, że to podła insynuacja. Przywiązała się do naszego teatru! W ciągu krótkiego czasu nauczyła się nieźle po polsku. Czytała Mickiewicza i Słowackiego w oryginale. Chciała nawet spełnić wielkie marzenie Węgierki i wystawić trzecią część Dziadów. Ale na próbie czytanej zgłosiła zastrzeżenie. Nie, — tego cenzura nie przepuści! «Braciom zmarłym w Archangielsku...» — pisze w dedykacji Mickiewicz. Temat był zbyt aktualny. Wystawiono więc jedynie fragment w ramach koncertu, a mianowicie «Salon Warszawski». «Jelonka», entuzjastyczna wielbicielka wielkiej naszej poezji, darowała za ten fragment naszej dyrektorce nawet dwa srebrne lisy i trzy kostiumy oraz niewypłacone pensje.

Władze mińskie inaczej się jednak zapatrywały na tę sprawę. Łomakina opuściła Brześć tego samego dnia, a nazajutrz przyjechali delegaci z komisariatu sztuki w Mińsku. I wtedy zobaczyliśmy, jak nielitościwie\* i szybko likwiduje się w tym reżimie upadłe wielkości. Łomakina miała duże stosunki w Moskwie i załatwiała ważniejsze sprawy teatru ponad głowami władz mińskich. I teraz oto dopadli ją i wzięli odwet. Zwołano zebranie całego zespołu. Dowiedzieliśmy się wszyscy, począwszy od Węgierki a skończywszy na pracownikach technicznych, że nasza dyrektorka była nieuczciwa, że wprowadziła do finansów teatru okropny chaos, że nie miała prawa przyjeżdżać do Brześcia, że do teatru nie wróci, a zespół otrzyma innego dyrektora, który «wyprowadzi teatr na czyste wody».

Wkrótce potem Łomakina została aresztowana. Nie miała szczęścia.

Niedługo potem wyjechałam z Brześcia do teatru kukiełek w Nowogródku. O dalszych losach teatru miałam wiadomości od mojej matki, która pozostała w zespole Węgierki i pojechała z nim do Mińska. Zespół pomieszczono w bożnicy, przerobionej na teatr po rewolucji. Recenzje były średnie. Za mało ducha rewolucyjnego...\*) Pierwszego dnia wojny teatr dostał bombę,

\*) «...Szczytem naszych sukcesów było spotkanie z Moskiewskim Teatrem Artystycznym» w Mińsku. Aktorzy tego osławionego teatru latali do nas w czasie każdego wolnego u siebie aktu. Toporkow powiedział, że co prawda umieją oni grać sztuki z życia sowieckiego («byłowyje»), ale pojęcia nie mieli, że można tak prostymi środkami osiągnąć potężne napięcie w sztukach romantycznych. Ze można przez 20 minut prowadzić dialog prawie bez ruchu, a na widowni ludziom od tego ciarki chodzą po krzyżu. I pomyśleć, że to mówił reżyser teatru, o którym fama głosiła że jak żaden inny potrafił wywoływać nastroje! Malarz i dekorator Kissinow robił nam szaloną reklamę. Widać było jak są oni wszyscy — uczniowie meiningencyków — stęsknieni do kultury zachodniej i od tej kultury odzwyczajeni. Noszenie kostiumu rococo to dla «ich» aktorów problem nie do przewyciężenia, a o ilustracjach czy szychach z tego okresu (bodaj o Fragonardzie) pojęcia nie mają... A obok tych zachwyków i dytyrambów ludzi, którzy naprawdę na sztuce się znali, wygłupiania i donosy «krytyków». Do mnie przyczepił się Gerszenzon że gram Elżę w «Pigmalionie»

która wybuchła na scenie, raniła ciężko jednego z aktorów i zniszczyła dekoracje. Teatr przestał istnieć.

Po zdobyciu miasta przez Niemców dwie aktorki, władające jako tako językiem niemieckim, wystarały się u komendanta placu o przepustki dla całego personelu i wszyscy wyruszyli z Mińska. W powrotnej drodze, między Mińskiem a Baranowiczami, do wagonu zajmowanego przez zespół teatru wszedł niemiecki żandarm i zaryczał: *Juden raus!*...

Pracownicy techniczni teatru wyszli bez słowa. Tych prawdopodobnie wykończyli Niemcy natychmiast: załatwiali te sprawy szybko. Reszta pojechała dalej. Matka moja przywędrowała piechotą z Baranowicz do Nowogródka, skąd pojechałyśmy we trzy do Warszawy.

Węgierko ukrywał się dłuższy czas jako organista u proboszcza w pobliżu Białegostoku. Później, kiedy Niemcy zbyt mocno deptali po piętach, proboszcz, chcąc go ratować, wysłał go furmanką w inne okolice. Na nieszczęście furmankę zatrzymało Gestapo. Indagowany Węgierko załamał się i przyznał do tego, że jest Żydem. Został natychmiast aresztowany.

Koledzy próbowali go ratować. Irena Borowska, której mieszkanie w Warszawie ocalało, sprzedawała obrazy i dywany i oddawała pieniądze jakiemś szantażyście, który podjął się Węgierkę uwolnić. Minął długi czas. Sprawa nie posuwała się wcale, a szantażysta przychodził bezustannie po pieniądze. Życzliwi doradzili Borowskiej, żeby odprawiła owego szantażystę, bo Węgierko z pewnością dawno już nie żyje. Posłuchała tej rady i w kilka dni potem została zamordowana w swym mieszkaniu w obecności drugiej kobiety, która u niej mieszkała.

Gdzie dosięgła śmierć Węgierkę, jaką gehennę przeszedł przedtem, nie dowiemy się chyba nigdy. Teatr polski stracił w nim doskonałego aktora, niezwykle sumiennego i ciągle rozwijającego się reżysera i wspaniałego pedagoga.

J. B.

wbrew wskazówkom partii (!!! — dosłownie!), a komisarce w «Optymistycznej Tragedii» niezgodnie z bolszewickimi tradycjami. Byli ogromnie zaskoczeni i zaniepokojeni, że można wywierać wpływ na ludzi nie ogniem trzech karabinów maszynowych i łoskotem podkutych buciarów, lecz odwagą ruchu i głosu i ciepłem wewnętrznym. Bo przecież mało które przedstawienie miało bez płaczu na widowni. Niedawno na ulicy Mińska zatrzymała mnie jakaś starsza pani i podziękowała mi za przeżycia, jakich nie miała od lat... Pracowaliśmy w zwariowanym tempie, bo tylko oszołomienie artystyczne, jakiemu ulegli wszyscy, gwarantowało nam życie. Przychodzili do nas się uczyć i nasz tam przymusowy pobyt pokazywał im samym całą idiotyczność ich antyeuropejskiej propagandy. Zараżali się bakcyłem Zachodu i, ach! jakże się czuli wobec tego Zachodu nieporadni, wykrzykując jednocześnie o granicach na Atlantyku. Biedni ludzie! i żalowałibyśmy ich wszyscy, gdyby nie to, że byli tak niewolniczo pokorni wobec «prawidłstwa», które coraz wyraźniej patrzyło w naszą stronę. Jeszcze parę miesięcy a... skończyłoby się wycieczka polarna...» — pisała później Irena Borowska w swoim pamiętniku.

## Scherzo «Infernalnej»

Znalazłem w którejś noweli Lawrence'a porównanie krajobrazu dotkniętego zniszczeniem wojennym z rozbitą szybą. I nie spotkałem dotąd porównania doskonalszego. Bo jest w nim to, co stanowi istotę wojny: nagłe, bezwzględne przekreślenie zwykłego, ludzkiego życia.

Kiedy we wrześniu 1939 roku znalazłem się na polach Mokotowa, ponad którymi świstały pociski niemieckie, zobaczyłem rzecz, której nie zapomnę do śmierci. Przybity do rusztowania budującego się domu, drgał na jednym tylko gwoździu świeżo malowany plakat blaszany, polecający jakąś firmę budowlaną z podaniem adresu i telefonów. W powietrzu furkały kule, przeciągle gwizdały pociski, a plakat złowieszczo buczał, podrygiwał jak ptak okrutnie postrzelony i daremnie zrywający się do lotu. Ten plakat już nic nie znaczył. Jego świeżość i wypisane na nim wyrazy były bolesnym bezsenssem. Natomiast miał on sens nowy i bardzo wyraźny. Jego niema, uragliwa tortura znaaczyła, że skończyło się moje zwykłe, ludzkie życie. Że schodzę do chłodnego lochu, w którym panuje ciemnia i że wszystko jest tam *inaczej* niż być powinno.

W pobliżu były założone miny — biedne polskie miny. Posuwałem się po tym polu minowym, idąc «mimo wszystko» tam, gdzie uważałem, że woła mnie obowiązek. Szedłem z głębokim przeświadczeniem, że jest jednak w moim zachowaniu coś bohaterskiego. Głupstwo wierutne, bo miny były obliczone na czołgi.

Warszawa po wejściu Niemców przypominała wielki, przeciekający sagan z brudną wodą. Ludzie snuli się sennie, dźwigając tobołki, worki, teczki napełnione kartoflami, jarzynami, czasem mięsem i stoniną. Noce były ciemne i wilgotne, lepkie błoto na ulicach, a sznury całe zmęczonych nóg ludzkich cupały po nim wśród nieustannej krzątanimy. Psy-żebraki walewały się po ulicach. Niektóre miały swe stałe posterunki i wyraźnie prosiły o wsparcie. Widywało się też psy rasowe w kagańcach, psy-widma. To właściciele luksusowych mieszkań puszczały tak na powolne zdychanie swych pupilów — przez dobre serce. Bo jakże to «przyjacielowi» w łeb strzelić! Ulice zakwitły jak spod ziemi wyczarowanymi różnokolorowymi kapturkami, pokrywającymi kobiece głowy. Pierwsza biedna kreacja mody wojennej. Wkrótce zaczęły krążyć (wobec rekwizycji i wybicia po-

głowa końskiego) ryksze rowerowe. Upokarzające, niewolnicze. Czulo się na karku przyspieszony, gorący oddech kierowcy, wynajmującego się za ileś tam złotych jako zwierzę pociągowe. Jakiś maskaradowy szal padł na ludzi. Wszyscy byli poprzebieranani na sportowo. Czapki-cyklistówki wyparły kapelusze, wysokie buty — miejskie obuwie, «pumpy» — zwykłe spodnie. W tym stroju jakoś lepiej, stosowniej było spotykać kłeskę. Nie było światła, wody, komunikacji tramwajowej. Wszystko to stopniowo wróciło. Ale to było już inne światło, inna woda, inne tramwaje. Wojenne.

Warszawa odstoniła swoje zbeszczeszczone oblicze. Zrozumiałem teraz co to znaczy zobaczyć kawał jesiennego nieba w ramie wyszczerbionego łuku murów zamiast znanego mi od lat architektonicznego fragmentu. Po mieście chodziłem z lękiem i z ciekawością. Z tą ciekawością głuchą i ponurą, z którą człowiek po raz pierwszy wchodzi do prosektorium. Już wtedy mówiono, że Warszawy «nie ma», że ją nam zniszczono. Już wtedy...

Rozwinęło się nowe życie murów i płotów, pokrytych jak łuskami wysypki drżącymi na wietrze karteczkami, które informowały przechodnia, że na Widok krawcowa przyjmuje zamówienia ze swoich i powierzonych materiałów, że na Wspólnej szewc reperuje solidnie obuwie. Na płotach i murach domów zakwitła też prasa. Była to vegetacja przelotna, trwała może tydzień do pojawienia się pierwszego numeru *Nowego Kuriera Warszawskiego* z wybitym czerwoną nagłówkiem. Ta zwidowa plakatowana prasa przypominała dawną tylko tytułami i ich układem graficznym: *Robotnik*, *Warszawski Dziennik Narodowy*, *Kurier Polski*. Tekst był wspólny (tak!). Antagoniści spotykali się w ramach nowej, uproszczonej problematyki: «Co trzeba robić?». Jednobrzmiący artykuł mówił o wprawianiu szyb i uprzątaniu gruzu. Makabryczna reszka czegoś, czego nie ma i nie będzie. Dzień wczorajszy stał się nagle odległy jak czasy Batorego czy Jagiellonów. Felieton z *Gazety Polskiej* przypadkowo znaleziony, wrzusał jak wyrwana karta Biblii szarozpatackiej.

Z plakatów padło na Warszawę pierwsze nazwisko niemieckie: dr dr Otto. Rozporządzenia praktyczne, spokojne. Nigdy już potem nie spotkałem się z nazwiskiem podwójnego doktora Otto, nadreńczyka podobno.

Pamiętam pierwszy, krzyżący nonsens niemiecki, z którym się zetknąłem. Było to na Mokotowskiej. Dwujęzyczny plakat obwieszczał, że pobieranie za chleb (kartek jeszcze nie było) ceny przewyższającej normę urzędową będzie karane śmiercią kupującego i sprzedawcy. Pod plakatem stał człowiek z workiem pełnym chleba. Kupiłem bochenek za cenę, która powinna była być ceną jego, sprzedawcy, i mojego życia. Co do siebie wiem, że bohaterem nie jestem. Nie jest wykluczone, że nie był nim również sprzedawca. A przecież dokonaliśmy transakcji z wzorowym spokojem. Po prostu obwieszczenie nic nie znaczyło,

jak olbrzymia większość niemieckich rozporządzeń okupacyjnych. Do końca błądzili w ciemnościach. Próbowali je czasem przekrzywić. Ale jak można przekrzywić ciemności? Zwłaszcza, kiedy się samemu je wytwarza.

Warszawa pierwszych dni wojny i okupacji skojarzyła mi się z pewną sceną, która rozegrała się kiedyś na jej bruku. Zemdlała starsza, elegancka pani, którą od dawna znałem z widzenia. Zebrał się tłum. Zaczęto ją cucić. I zobaczyliśmy jej brudne, barchanowe *dessous*. Okropne *dessous* Felicjanowej Dulskiej. Mit o elegancji rozwiął się nagle. Zrozumieliśmy, że był grą pozorów, zwykłą bujdą.

Coś podobnego było z Warszawą po pierwszych ciosach, zadanych przez wojnę. Jakże cieniutka, głupia, dęta była warstewka jej blasku, jej zamożności. Znikła jak cień. Została pani z lisem na szyi, w dziurawych pończochach, z paznokciami umalowanymi «na mięso», wyjękująca skargi na los za swe zniszczone, «lüksusowe» mieszkanie. Ale to było bez znaczenia. Znaczyła baba dźwigająca ser krwi i słoninę w zawiniątku, znaczył wóz, zaprzężony w karłowatego konika, wiozący produkty ze wsi. To była polska zamożność, ta prawdziwa. Niezmierzona, niewyczerpana do końca. Mimo ssącej pompy rekwizycyjnej, Warszawa — i cała Polska, lepiej była zaprowiantowana niż w latach pierwszej wojny światowej.

Ukazały się już obwieszczenia urzędowe o dokonanych egzekucjach. Jeszcze raczej improwizowane. Pamiętam zawiadomienie o surowej karze, która spadła na jakąś kobietę za to, że żołnierza niemieckiego nazwała «krwawym psem» (*ein Bluthund*). Te literacko-informacyjne akcenty potem znikły do szczętnie. Zapanował stalowy, zbluzgany krwią schemat.

W pamięci mi zostanie na całe życie pewien afisz żółty. Na murach pozostał długo, obrastając w ołówkowe komentarze, to ponure to frywolne, ale niezmiennie wrogie. Nie mogę odżałować, że go swego czasu nie przepisałem. Było to coś w rodzaju programu politycznego, pojętego rzeczywiście bardzo «szeroko». Informowano nas kim jesteśmy, a bardziej jeszcze kim nie jesteśmy i nigdy nie będziemy. Po błyskawicznej porażce wrześniowej i znając Niemców, nikt naturalnie nie oczekiwał, że uderzą w ton przyjazny, a bodaj suchno-pojednawczy. Ale w tym afiszu było coś więcej. Był w nim zadatek paraliżu politycznego, który już od pierwszego strzału zaczął toczyć organizm Rzeszy. Z państwowością polską załatwiono się w tym osobliwym manifestie, jak ze spalaniem śmieci lub tępieniem szczurów. Był to fenomen niespotykanej ślepoty politycznej. Te dwa plakaty: ów z zapowiedzią kary śmierci za przekroczenie ceny na chleb i ten «polityczny», żółty, wyrażały jasno jedną myśl: nie widzą nic, nie rozumieją nic.

A tymczasem mroź siekł nas jak toporem. Słyszało się śpiew maszerujących oddziałów niemieckich Dobry, czysty, wyuczony. Wciąż ten sam motyw: radosny, a przecież mroźny jakiś.

Na ulicy widać było co krok siwego, nieraz brodatego nie-

mieckiego emeryta, przebranego w schludny, migdałowego lub grochowego koloru, mundur. Ta patriarchalna policja porządkowa, ci tatusie niemieccy regulujący ruch uliczny z wysepek na jezdniach rodzajem raketki, jaką widuje się w ręku naczelnika stacji — znikli wkrótce zupełnie. Nosili na piersiach metalowe półksiężce. Byli widać czymś w rodzaju «straży obywatelskiej». W tym kręceniu się po ulicach Warszawy umundurowanych starków było coś specjalnego. Ton jakiegoś *chez soi*: że niby na dobreśmy tu wleźli, skoro zjechali nasi starzy. Niemcy przypatrywali się Warszawie, Warszawa — im. Zapaśnicy zamieniali dopiero pierwsze chwytty, patrzeli sobie w oczy, usiłowali przeniknąć swe zamiary.

Tramwaje zgrzytały po zmarzłych szynach, żelaziwo buforów nago i głucho się tłukło w mroźnym powietrzu. Już nas przeczucano z miejsca na miejsce: to do przyczepnego wagonu, to znów do motorowego. Zastygały bariery. Sypały się pierwsze odpowiedzi polskie, dorywcze, przypadkowe. Na szybie wagonu tramwajowego, pokrytej tegim szronem, kiepsko wyrysowany profil Piłsudskiego, z którego ust wylatuje propozycja dla władz okupacyjnych niemiła i niekorzystna. To znów kontur szczytów górskich, pociągnięty kopiowym ołówkiem (już po Gwiazdce było) z wyglądającą zza nich uśmiechniętą gębą słońca, obwiedzonego półkolistym napisem: «Im słońeczko wyżej, tym Sikorka bliżej». Wyobrażano sobie sprawę prosto i, że tak powiem, jednotorowo.

Przepowiednie były chlebem powszednim. Wybór ogromny, na wszystkie gusty. Pesymizm był w nich też taktownie reprezentowany. Finał zawsze gwarantowany. Obok przepowiedni kwitły zakłady. «No już ja ci mówię, w maju pękną». — «A ja ci mówię na przyszłą jesień». — «Zobaczymy. Zobaczymy». — Zobaczyli. Przedtem z okazji przegranego przez jedną stronę zakładu, obie strony napiły się wódki. Mogła to być cukrówka lub żytniówka. Bywał koniak, calvados, whiskey. Zależnie od kieszeni. Królował bimber. — Kto wynalazł słowo «bimber»? Czy wogóle takie słowa ktoś wynajduje? Czy nie rodzą się raczej z jakiejś zbiorowej maligny, że śniących wnętrzości narodu?

Czapy śniegu leżały na ruinach. Poczwarne zwaliska rozbitego zamku łamały szlachetny profil stolicy. Tylko nietknięta kolumna Zygmunta strzegła skarbów Starego Miasta — aż do sierpnia 1944 roku.

Wojna zamazała rysunek życia. Pływaliśmy w mętnej cieczy, której osad powoli opadał na dno. Przyszły rzeczy złe i straszne. Znane, wielkie i ważne. Ale ja o nich pisać nie będę. Zagłębiał się w tę warstwę wydarzeń wojennych, które graniczą poprzez kruche przepierzenie codzienności z wielką grozą wydarzeń. Błache to może opowiadanie, ale i trudne. A trudne dlatego, że choć temat mały, ale poezja w nim huczy.

Mieszkanie warszawskie szukało swego nowego wyrazu. Stary straciło. Nawet tam, gdzie zniszczenie było minimalne, albo

wcale go nie było, poprzestawiano meble, kupiono się na ciasniejszej przestrzeni, likwidowano luksus. Bibelot stał się nie-taktem. Gołe malowane amorki w pokoju o temperaturze 3°—4° poniżej zera (normalnej w wyjątkowo mroźnych pierwszych latach wojennych) miały ekspresję jakiejś demonicznej szykany. Coraz bardziej rozpięta się majestat kuchni. Kuchni z dużym, ciepłym piecem i z rozłożystą blachą. O mieszkaniu myślano z rzewnością jak o chorym, którego skoki temperatury śledzi się z napięciem i niepokojem. Bo nie było nic mniej pewnego niż mieszkanie, odkąd zaczęły się przegrupowania ludności. Tłum, zbity i milczący, słuchał z zapartym oddechem nowych dekretów, dotyczących rozmieszczenia ludności w mieście. Były to pierwsze, łagodne, masowe egzekucje w wydaniu popularnym. *Eine Vorschule*. Twarze odchodzących spod głośnika radiowego, których nowy dekret pozostawiał na miejscu, promieniowały skupionym wyrazem dziękczynienia za cud.

Któregoś rana służąca przyniosła mi dwie wiadomości: że Chiny, sprzymierzone z Galicją, wypowiedziały wojnę Niemcom — i że widziała przed chwilą na ulicy pana z dziwną, niebieską gwiazdą na ramieniu. O ile do pierwszej wiadomości odniosłem się z głębokim niedowierzaniem, o tyle druga wydała mi się od razu prawdopodobna. Takiego właśnie pana zobaczyłem za godzinę ja sam. Do dziś pamiętam — nie miał wcale typu semickiego. Mógł się śmiało wymigać. Chciał widocznie być «w porządku z przepisami». Ach, tak. —

Przez krótki czas wychodziła koncesjonowana gazeta żydowska. Artykuły jej były ostrożne i przewidujące. Umarł właśnie prof. Samuel Dickstein, o którym gazeta umieściła dobrze napisany nekrolog. Słyszało się wtedy o rabinie Czerniakowie. Ale nie długo trwał ten stan, jak się później okazało — idylliczny. Jeszcze czas jakiś krążył jednowagonowy tramwaj dla Żydów z wielką pięcioramienną gwiazdą u szczytu. W niedługim czasie zaczęła się robota poważna, seryjna, systematyczna. Nastął okres, który przetrwał aż do końca okupacji niemieckiej, kiedy spotkanie Żyda na ulicy było sensacją dla warszawianina. Mówiono sobie «widziałem Żyda» tak, jak się mówiło w początkach rozwoju lotnictwa «widziałem aeroplan». Zniknęli ludzie z gwiazdami na ramionach. Ukazywali się tylko czasem oficjalni przedstawiciele ghetta dla spełnienia jakichś specjalnych zleceń. Nosili na sztywnych opaskach z lśniącej masy czysto wybite gwiazdy syjońskie. A przecież był czas, krótki co prawda, (przed utworzeniem ghetta), kiedy różni arcywaniacy udawali Żydów, uzurpowali sobie pięcioramienną gwiazdę. Wówczas chroniło to od wywiezienia na przymusowe roboty, do których Żydów nie pociągano. Wielka to pani Koniunktura, wielka.

Z cudów zadękowania zacytuję tylko jeden. Mały, rudy Żyd przetrwał najsroższą dla swego ludu burzę dziejową jako właściciel kramiku z dewocjonaliami koło jednego z kościołów warszawskich, wśród gromnic z malowanymi różyczkami, koron cier-



niowych na Wielkanoc, obrazków i krzyżyków. Było w tym sukcesie coś z prostoty odkryć newtonowskich.

Introdukcja Wielkiej Symfonii Infernalnej rosła, potężniała, grzmiała akordami coraz głębszymi, coraz zajadłej i natarczywej rzucając wyzwanie Losowi. Nie pójde jej szukać na tych ciemnych drogach, ominę tragiczne rozpadliny, mroczne przepaści. Pozostanę przy scherzu.

Momentem przelomowym w życiu warszawianina była pierwsza noc z obowiązkowym zaciemnieniem. *Bekanntmachung* głosiła, że rozporządzenie o zaciemnianiu miast Rzeszy rozciąga się z dniem dzisiejszym na miasto *Warschau* (zawsze *Warschau*, również w tekście polskim). Odtąd wrogowie spotykali się w ciemnościach. Tyle że biegnące tramwaje przecinały mroki smugami przyćmionego światła niebieskich żarówek. I stała się Warszawa podobna do dna tajemniczego oceanu, którego mieszkańcy szukają się już nie oczami, ale nerwami, skórą, instynktem. Pętla nienawiści spęczniała jeszcze, nowa a straszna zuchwałość wyjrzała z pieczar głębokich warszawskich nocy. Waż nienawiści z nową, nieznaną dotąd siłą zagrał pierścieniami swych mięśni. Zer tajemnicy ustokrotnił jego siły.

Stałem na przednim pomoście przyczepnego wagonu tramwajowego. Mknęliśmy po pustych przestrzeniach Żoliborza. Młodzieniec, który znalazł się koło mnie, nagle, bez żadnej widocznej przyczyny, przesadził barierkę po stronie przeciwnej wyjścia i utonął w ciemności. Tramwaj nagle się zatrzymał. Jakis ruch, niepokój, rozbite nawoływania. Huknął strzał. A ja zobaczyłem wyszczerzone, białe zęby zbiega, jak kły młodego wilka. Znał teren, sądząc z chaotycznych przekrzykiwań zaalarmowanych Niemców. Działał pod skrzydłami geniusza nocy.

Nastał wreszcie okres przedostatni. Okres różowego plakatu. Wszystko na świecie się normuje, porządkuje, stabilizuje. Również nienawiść, walka — i śmierć. Wszelka «literatura» dawno już wyparowała z walk polsko-niemieckich. Żadnych *Bluthund*ów i innych tego rodzaju subtelności. Niemcy wypracowali dokładny schemat działania. W każdej walce istnieje pewien regulamin i walkarze dążą zawsze do stworzenia kodeksu. Zasady gry sprecyzowały się i zaostrzyły. Były to zasady niezmiernie proste. Brano zakładników najczęściej już oskarżonych o należenie do ruchu oporu. Umieszczano ich ponumerowane nazwiska w kolumnach, oświadczając poniżej, że ci oto właśnie ludzie zostaną rozstrzelani w razie powtórzenia się aktów terroru. Akty terroru powtarzały się z punktualnością nieomylną — i egzekucja uliczna, którą rozciągano w czasie i otaczano straszną, makabryczną pompą (zwożenie skazańców, izolowanie itp.) zmiatała całą listę. Aż do następnego razu, do nowego plakatu Jakby walczące strony mówiły sobie «do zobaczenia w nowej łunie krwi». I — dziwna rzecz — miało się wrażenie, że była w tym strasznym porządku jakaś *ulga*.

Nareszcie wiedziało się już na pewno o co chodzi.

Nareszcie Nienawiść ukazała się tłumom naga, wspaniała w

swej żądzy zimnej i bezgranicznej. Jedno tylko było niepojęte: że my, niemi świadkowie dramatu, wciąż jeszcześmy żyli. Podczas jednej z egzekucji, wobec zatarasowania ulic, których pierścienia nie mogłem przekroczyć, schroniłem się do znajomych, w których mieszkaniu przesiedziałem z godzinę, zanim «wszystko» się nie uciszyło. Rozmawialiśmy. Tak, jednak rozmawialiśmy.

Musieli przecież ludzie sprawić sobie jakieś oczy, by patrzeć się na to, co się działo. Znaleźć to wznieśnienie z którego infernalna panorama, oglądana co dnia, miałaby jakiś sens, bodaj najbardziej oddalony od teraźniejszości. Tego rozwiązania szukano na dwóch drogach.

Podwórka warszawskie przeobraziły się w prawdziwe *chapelles ardentes*, stały się improwizowanymi kaplicami, do których schodzili się na modły mieszkańcy domu i przechodnie z ulicy. Dużo było w tych ołtarzykach pomysłowości dekoracyjnej. Ojcem tego osobliwego kultu religijnego, rozwijającego się na tle wielkiego dramatu narodowego, był ksiądz, który w kościele Karmelitów (na Zjeździe) urządził (w okresie Wielkiej nocy pierwszego roku okupacji) grób Chrystusa ze starej porzuconej broni, półopalonych krokwi, skręconego płomieniem żelaziwa. Groby, jedna z piękniejszych tradycji katolickich, z biegiem czasu nabrały wyrazu słodko-konwencjonalnego. Klęczące dziewczęta w bieli z welonami, duszny doniczkowy ogródek hiacyntów, czuwający różowolicy anioł, sam Chrystus, choć spowity w całun śmiertelny, przecież sprowadzony do symbolu — wszystko to nakazywało widzowi ciszę, ale nie budziło grozy. Ten ksiądz od Karmelitów jakby cofnął wieki, wstrząsnął kajdanami czasu, postawił nas znowu oko w oko z nadludzko realną męką i śmiercią Chrystusa.

Nie miały podwórkowe ołtarzyki tej grozy, ale miały wielką rzewność. Rzewność, będąca szlachetnym płodem rozpacz, nad którą wyrósł płomienny kwiat wiary. Widziało się groby z posążkiem Matki Boskiej z Lourdes w głębi, obraz Częstochowskiej lub Ostrobramskiej nieraz malowany przez domorostłego artystę. Zieleni, świecie, kwiatów tyle, że aż grały światłem i świeżością wiosenną te wysepki wiary na burzą miotany morzu śmierci. Niemcy chodzili markotni, ale opanowani, zagadywali, obserwowali. Czasem z głuchą jakąś rezerwą w głosie pytali, dlaczego to te ołtarzyki tak rosną a rosna, po domach, po skwerach. Dlaczego? Odpowiedź padała zawsze ta sama: modlimy się o pokój. — O pokój? Hm, intencja bardzo godziwa... Nie słyszałem, by kogoś aresztowano za urządzenie ołtarzyków. Na owym księdzu od Karmelitów położyli jednak łapę. Motyw: nieoddanie broni w przepisowym terminie...

Takie było pierwsze powiązanie krwawej tragedii egzekucji ulicznych z duszami ludzi żyjących. Droga druga biegła od czarnego bieguna Warszawy. Od domów gier hazardowych, do których dostęp miał każdy z niemiłym co prawda obowiązkiem wpisania swej «godności» do książki odwiedzających. To dla

«kieszeniowców». Człowiek «zwykły» szedł na peryferie miasta (Żoliborz, Mokotów), gdzie na placach rozsiadły się potężne baby karuzel z kręcącymi się konikami, z obłądnie na żelaznych linach fruującymi gondolami. Te dwa rodzaje rozrywki (hazard i karuzela) cieszyły się już nie pełną rezerwą tolerancją władz jak modły publiczne, ale owszem, otwartym poparciem. Muzyczka, schrypnięta i skrzekliwa, grzała swym mechanicznym basem, a ludzie fruwali w karuzelowych łódeczkach jak pijani, pojedynczo, parami, w trójkę, tonąc w oparach tępego zapomnienia. Bo o zapomnienie ostatecznie chodziło.

— A jeść, panie dobrodzieju, trzeba! — powiedział mi raz z mentorskim akcentem w głosie właściciel małej, podwarszawskiej cegielni. Słowa jego olśniły mnie. Nie, bym miał dotąd niedoceniać nauki, zawartej w tej apostrofie, ale ze względu na słów tych pointę agitacyjną. Albowiem pan ów skłaniał mnie do wspólnych wyjazdów na szmugiel. Mogłem być zresztą tylko współnikiem doskakującym. Zadekowany jako kelner w lokalu, cieszącym się przywilejem goszczenia w swych murach Niemców (co miało różne awantaże, m. in. wymigania się od wywozu na roboty do Rzeszy) — miałem czas ograniczony. Mogłem reflektować tylko na stopień członka-korespondenta wielkiej akademii szmuglerskiej.

Szmugiel był istotną częścią składową życia polskiego pod okupacją. Wypełniał luki złośliwego nonsensu gospodarczego, w który wtrąciły nas okupacyjne rozporządzenia żywnościowe. Struktura tego nonsensu była zastanawiająca. Faktem jest bowiem niezaprzeczoną, że nie było na obszarze Gubernii Generalnej ani jednego człowieka (mówię o Polakach naturalnie), który by żył zgodnie z aprowizacyjnymi przepisami niemieckimi. Kartki polskie dawały pewną ilość (kiepskiego) chleba (zwanego popularnie «dźwiękowcem»), trochę marmelady. Tłuszcz, mięso, cukier były niespodziankami, które spadały na nas niezmiernie rzadko, w ilościach mikroskopijnych. Człowiek najlojalniej nawet ustosunkowany do władz okupacyjnych musiał, jeżeli żyć chciał wogóle, sabotować obowiązujące przepisy gospodarcze, co czyniło się zresztą zupełnie jawnie. Wszelkie próby przekonania Niemców o konieczności zreformowania ich systemu, a raczej wprowadzenia go tam gdzie panował przypadek i samowola, nie dawały wyników. Wy tłumaczenia gospodarczego nonsensu okupacyjnego są dwa: polskie i niemieckie. Polacy mówili (przekonywująco), że wywołany chaos gospodarczy ma na celu pogrążenie społeczeństwa naszego w tak gwałtowną, ryzykowną, pochłaniającą czas i nerwy walkę o byt, żeby nie stało już sił na politykę, to znaczy na ruch oporu. Niemcy, którzy naturalnie nie przyjmowali tego tłumaczenia, twierdzili (nie bez znajomości naszych gustów), że gdyby nawet wprowadzili kartki zapewniające ludności racjonalne wyżywienie, czarny rynek istniałby dalej, dokonywując, być może, transakcji bardziej luksusowych. Skoro więc on w tym kraju jest złem koniecznym, na cóż budować system nierealny. Dodaj-

my do tej subtelnej eksplikacji motyw bardziej prosty: że istniejący bezład i szal rekwiwicyjny dawały doskonale okazje łada umundurowanemu Niemcowi do sutego zaprowiantowania się na dziko i wysyłania paczek z prezentami do Reichu «po cenie kosztu» — a zdaje się uchwycimy główną sprężynę logiki tego szaleństwa.

Nie robiłem tzw. kokosów na szmuglu. Ale zaraz poczułem przypływ (łatwy) gotówki i tłuszczu. Szmugiel był dla mnie poza tym źródłem ożywczych wzruszeń, których pozbawiało mnie życie w Warszawie. Dość było wyjechać poza miasto, aby pojęcie «kraj» odzyskało dawny, żywy koloryt. Okupacja obejmowała całą Polskę, ale miała swoje węzły i luki. Węzły — to miasta. Luki — to wieś, osady podmiejskie. Tu było zwykłe życie. W kleszcze przepisów ujęte — naturalnie — ale działanie tych kleszczy nie było już tak precyzyjne. Prawda życia polskiego miała tam swój zwykły oddech. Jako szmugler-amator, nie mający czasu przy swych zajęciach kelnerskich na pracę «systematyczną» wybierałem najchętniej trasy podmiejskie.

Już wyjście z domu rano o pół do piątej zapierało dech w piersiach. Nietyle z obawy przed patrolem niemieckim (godzina policyjna obowiązywała do piątej), ile z oczekiwaną schadzki. Schadzki z nocą polską. Pod jej granatową kopułą mknęły pierwsze, zaspane jeszcze tramwaje. Konduktor drzemie na ławce, miejsc jak lodu. Jeszcze świecą się niebieskie żarówki. Po ulicach suną ostrożnie (niechby kto zaryzykował jazdę kawalerską!) dwukonne długie wozy, obciążone niewonną a niezawodną rekoltą dzienną spracowanych organizmów ludzkich. Gwiazdy błędna, a w myśli jedno tylko: zdążyć! Na szóstą pod most na Pradze. Guziół niepokoju dusznego naciska nerwy, ale czuwają oczy, chłonące widok uspiętej Warszawy. Śpi czujność niemiecka, śpi demon walki gdzieś tam roztawiwszy swe czujki na peryferiach jawy. Miasto jak dziecko ciepłe od rozkoszy spoczynku, wtulone w kołdry i poduszki, odsłania swój wdzięk rzewny, bo nieświadomy w tym rozchyleniu sennym własnego piękna. Zaraz, za godzinę zrzuci z siebie ten urok, przywołane do życia «prawdziwego» nakazami dnia.

Zdyszany, siadam w wagonie kolejki podmiejskiej. Szpetna, pogruchołana sylwetka Warszawy odbija się w Wiśle w tym samym spokojem i precyzją, z jakimi kiedyś odbijało się piękno jej murów staromiejskich, opiewane przez Gomulickiego i Or-Ota. Głosy z nocy, jeszcze ochryple, odzywają się z rzadka i leniwie. Zimno, szyby tu i ówdzie powybijane, część okien zabita dyktą lub deskami. Grunt, że się jedzie. Naprzeciw mnie siadła kobieta chuda, stateczna. Oczy jak chabry wyblakłe. Czarna, koronkowa chusteczka oblega głowę i twarz, a gruba, czysta chusta chroni od zimna jak z drzewa wystruganą figurę. Twarz łagodna, wężłowate ręce specjalistki od procesji, zarzynania kur i mycia okien. Skądże ją ja znam? Ach wiem, Grombecki! Dla niego, zda się, Pan Bóg stworzył tę jakąś Janową czy Stanisławową. Schludna jest i spokojna, jak chustami

poruszy, gromniczny jakiś zapach z nich polecą i zaraz widzisz zielony, drewniany kuferek, z którego je dobyła. Oczy błękitne w twarzy woskowej ze złotawym połyskiem, niezmacony w sobie mają spokój i ład już na całe życie przesądzony.

Dowiaduję się, że zachrypnięty kocmołuch w brudnej kaczubai, z włosami sterczącymi jak szczotka do szorowania sedesów — jest patronem naszej ekspedycji. Że to on czuwa nad całością. Przekonałem się później, jak znakomicie to robi. Wie zawsze na której stacji biorą, czy można śmiało jechać z powrotem, czy raczej przesiąść się na elektryczną, czy wysiąść w Grochowie i szukać szczęścia w komunikacji tramwajowej, czy po prostu skakać w biegu, rzucając pakunki do rowu. To się robiło w ostateczności, kiedy «czarni» kręcili się źli jak osy, w humorach wyraźnie nieprzystępnych. Wtedy nasz szef, wiecznie schrypniętym swym głosem, rzucał w tłum swoich ludzi hasło najgroźniejsze ze swego repertuaru: «Ratujta się rodzina!» Zwalniał nas tym niejako od przysięgi na posłuszeństwo. To znaczyło, że już nam siedzą na karku, że odbierają dziś wszystko i wszystkim, że idą z psami, które poszczują na każdego opornego, że będą kopać i bić pałkami. I że on szef już żadnej odpowiedzialności za nas i za nasz towar nie bierze. Rób co chcesz: skacz, wypchaj się słoniną i kiełbasami, licząc że w zamęcie zapomną cię pomagać, przypraw sobie, jeśliś kobieta, sztuczne piersi z dwóch okrągło toczonych babek sadła, siadź pod oknem i udawaj znudzonego suchotnika, którego nie na świecie nie obchodzi. Słowem myśl i działaj.

Jako szmugler-amator nie mam tylu i tak udratyzowanych kart w swojej karierze jak moi starsi w hierarchii zawodowej koleldzy. Wspomnienia moje są raczej liryczne.

Na małych dworcach kolejki Grochowskiej witają mnie pijane rzędy starych, karłowatych drzew. Wyglądają te drzewa jak zastygłe, porośnięte grubą stoniową skórą fale podczas kapryśnego wiatru, rozstrzelonymi podmuchami wzbijającego słupy wodne. Grube są, baniaste i guzłowate u podstawy, krępe, wczesnie w ziemię upartym, skostniałym uchwytem rozpaczcy. Rozumiem: to bohaterkie postacie męczenników, którzy przetrwali długi okres tortur. Od małości znęcał się nad nimi łada gamoń podmiejski, obtrząsając młode pieńki, łamiąc pędy, później huśtając się na podrostłych nieco gałęziach. Skatowane drzewo zdane było na własne tylko siły, na własną moc przetrwania. Ten sękaty rząd weteranów, powychyłanych sztywno w różne strony — to oporni, to ci, którzy się nie dali! Oni, najdzielniejsi, podobni do kart Goyowskich, trzymają straż honorową na tych śmiesznych stacyjkach, nędznych, nagich, do kości spróchniałych biedą, nie, *bidą* podwarszawskiego życia. Między sękatymi, poczwarnie krótkimi konarami tych pijanych patriarchów spostrzegam mały plakat, przyklejony do ściany «banhofu». Krzywo, z zastygłymi łzami kleju, ręką widać nerwową, działającą w pośpiechu. Wytężam wzrok. Nekrolog generała Sikorskiego! — Długo, długo mókł na deszczu i slocie,

zanim go zdarła ręka okupanta. Oczy szmuglerów widzą go, głowy się odwracają, usta coś szepczą, a wzrok jest niespokojny, pytający... Mijają stacyjki prędko. Czasem «stacją» jest wagon towarowy na zielono pomalowany, bez podwozia, kuso i śmieśnie wbity w ziemię.

Posuwam się samowarową kolejką na płaszczyźnie tak idealnie wyrównanej, jakiej wyobrazenie spotkać chyba można tylko w podręcznikach geografii z kulistym słońcem u góry i człowiekiem z rozkrzyżowanymi ramionami, rzucającymi na ziemię cień wzorowo-wyraźny. Dla mnie jest ta płaszczyzna rozśpiewaną łąką poezji. Te, półka podmokłe i rude jesienią, łacie jak srokata kobyła zimą, śpiewne i niebiańskie wiosną. Bez wiedzy kwitnie kępami, chłopaki go rwą bezlitośnie, zielona krew ścieka z ufamanych pędów i gałęzi. Konduktor z złoto-zielonkawych oczach, «smolipysk» warszawski, zatknął sobie też kiść bzu za ramię od torby z biletami, tuż koło tkwiącego w małej skórzanej pętelce brudnego kopiowego otówka. Jakaś zabójcza piękność z Falenicy czy Wawra mruga do niego i zamieniają się ryzykownymi dowcipami na temat sterczącej gałązki bzu. Ano, wiosna. Ach, i ten obrazek znałem już, tak jak tamtą tercjarkę ściągniętą z płótna Grombeckiego. Wiem już, wiem: Prusa nowele warszawskie. Nie wypłacimy się nigdy z długu wobec nich wszystkich: malarzy, poetów, muzyków, którzy, jak optyk szkła «dobrali» nam oczy i uszy, aby stały się wrażliwe na najbardziej niespodziewane uroki Ojczyzny.

W szynach kowaliki stukają kiedy mijamy budowle i milkną, jak tylko wjeżdżamy w pole. Przenoszę się wspomnieniem znowu w jesień. Dojeżdżamy do miejsca przeznaczenia. Biegnę już uliczkami mieściny. Spocone szyby małych okienek, kwiaty w żelaznych emaliowanych garnkach. I — proszę tylko pomyśleć — *fuksja*. Powiniennem napisać monografię o tobie. Bo niesiesz na sobie, fuksjo, cały ciężar poezji suteryny, jesteś magnolią poddasza, sterczykiem przedmieścia. Twoje ciężkie, zwisające, bordo-fioletowe kielichy, mają rysunek wymuszony i niegustowny. Jest w tobie bogactwo bez wspaniałości i secesyjność *avant la lettre*. Czy czasem nie jesteś po prostu pierwszą nagrodą prowincjonalnej szkoły zdobniczej (dział aplikacji) z tymi wypukłymi, amarantowymi pęknięciami na tle fioletu, z czerwonożykowanymi, drobnymi, ciemno-zielonymi listkami? Zawsze odświeżna, *endimanchée*, korelatywnie nieodzowny kanapy «dwanowej» w małomieszczkańskim saloniku z podłogą malowaną na czerwono i «landszaftami» na ścianach. Nie znam rośliny bardziej klasowej, głębiej żytej ze środowiskiem ludzkim, któremu służy.

A teraz, po tym potoku oskarżeń, wyciągam do ciebie, fuksjo, dłoń pojednania. Jesteś strażniczką poczciwego życia skromnych ludzi. Gdzieżbym miał o tym zapomnieć! Twoje najwinnie romantyczne kielichy, które widzę przez zapoconą szybę okienka znaczą, że Stasiek ma podzielowane buty, że Helcia nie mar-

nuje się na ulicy, ale chodzi do szycia, że ojciec zarabia i jest co jeść, a mama wszystkich was dzielnie opiera. Bo nie stałabyś tak godnie w okienku, prowincjonalna strojnisko, gdyby im tam czarty harcowały po garnkach, a życie szło źle, na opak. Nie stałoby wtedy ręki, która by co dnia podlewała cię i pilnowała twej piękności. Bądź zdrowa, fuksjo, i pamiętaj o nich.

Śpieszę się. Szmugler śpieszy się ciągle. To uciekając przed pościgiem «czarnych», to drałując na pociąg po błocie i piasku. Biegniemy kłusa do naszych dostawców. Najwyżej godzina czasu. Tłoczmy się w izbie zakopconej, brudnej, przylegającej do wędzarni, wśród krzyku, rwetesu, nerwowego pośpiechu z rachunkami na prędcie pisanymi na kawałku zatłuszczonego papieru. Wreszcie pakiet związany, rzucony do worka. Jest! Biegnę równym, przyczajonym krokiem, z psią czujnością wśród krajobrazu najuboższego jaki znam i najczarowniejszego jaki znam. Domki małe o skrzypiących drzwiach, porozrzucane wśród usypisk i kurhanów piaskowych. Psy — znam je co do jednego — podmiejskie półdzikie kundły z różnokolorowymi oczami, sentymentalne i nieufne, raz groźnie szczekające z powarkiwaniami, to znów rzucające się na mnie z czułościami, na które dość odpowiedzieć najłżejszą wzajemnością, aby zaplątać się w obłąkańczą orgię i spóźnić na pociąg. Biegnę, udając obojętność.

I znowu jestem w wagonie. Towar wiozę dobry, niefarbowany (b. ważne!). Sumuję pozycję: zamówienie wykopane. Wracam z ładunkiem wspomnień. Przez uchylone drzwi izby, w której «odchodzi» handel, zobaczyłem jeszcze raz olbrzymiego terrakotowego jelenia, pomalowanego olejno na kredensie, ogromnie *moderne*. Przy stole siedział, jak zawsze, «wujo» w czapce, wiecznie milczący, spełniający w domu moich dostawców jakąś rolę cicha, ale niezupełnie pasywną. Jestem dobrej myśli, nie przeczuwam wyspy (jako szmugler nauczyłem się, jak wielu innych, cenić przeczcucia). Jedna mnie czeka gorycz. Przez okna wagonu zobaczę dziko powyrywane łysiny w ciele zbitym lasów sosnowych, ciągnących się wzdłuż torów. Wszystko wytłumaczalne. Wyrąb masowy młodych drzewek do wykładania dróg na błotnistych obszarach Rosji, dwie srogie zimy, tak srogie, że i starzy sroższych nie pamiętali. To można jeszcze przeboleć, zgryźć w sobie. Ale własne złodziejstwo i niszczytelstwo bezmyślne! Goni mnie jego widmo z tych dzikich wyrębów. Chude, rozchwiane w różne strony świata sosny wawerskie wciąż jeszcze żyją. I to dobrze. Na jednej ze stacji widzę na ziemi ułożoną z białych kamieni i cegieł brzydka mozaikę: olbrzymia swastyka otoczona zębątem kołem. Twórców jej, do niedawna wesoło spacerujących po tych okolicach, zmiołła fala wojny. Krwawia gdzieś pod Smoleńskiem czy Wiazmą.

Wiem, że zaraz przyjdą do wagonu śpiewać chłopcy. I śpiewają głosami, jak rozbite garnki, różne piosenki okolicznościowe, patriotyczne najczęściej i zajadle antyniemieckie. Refren:

«Zwycięży orzeł biały, zwycięży polski lud», z nieodzownym załamaniem głosu, nigdy nie zawodzi. Zaraz sypią się złotówki. Raz dostał nawet od niemieckiego żołnierza. Nie rozumiem do dziś, że te śpiewy uchodziły bezkarnie. I to w pociągach, gdzie roiło się od szpiclów, tajniaków, Volksdeutschów. Nie słyszałem, by którego ze śpiewaków aresztowaną lub obito. Produkcje nie były zresztą wyłącznie militarno-patriotyczne. Program romantyczny (tęsknoty, fiolety, mgły i kominki) reprezentowała blondyneczka z banjo w subtelnym rączkach, osoba kształtna choć niewielka, o spojrzeniu tak bezpośrednim i dogłębnym, że zaraz nie pojedyncze złotówki, ale grubsze banknoty zaczynały odchodzić. Ofiarodawcami byliśmy naturalnie my, słabi zawsze mężczyźni. I był jeszcze klasyczny, staroświecki repertuar działowski. Przychodził schludny, wysoki, suchy dziadek, zaśpiewał krótko i pobożnie, po czym głosem obrzędowym prosił o wsparcie, motywując tę prośbę nędzą, starością i złym stanem zdrowia. Wyniki finansowe mierne. Ale on, jak każdy specjalista kochający swój zawód, nie skompromitowałby się nigdy niewczesną jakąś modernizacją. Każdy śpiewak miał swoją publiczność. Wyciskaczką złotówek z supełków chusteczkowych babul była wysoka, dostojna wdowa w żałobie, reprezentująca repertuar najbardziej straceńczy, że tak powiem eschatologiczny, bez wyraźnego zabarwienia politycznego, za to z «sokołem» śniącym ostatni sen przed bitwą, z sierotami deptanymi przez życie, z matkami zarabiającymi praniem na dzieci (pożądane jest, aby dzieci były niewdzięczne i okrutne), ścięrającymi sobie palce do krwi. Tę samą żałobnicę widywałem na ulicach Warszawy wraz z drugą damą, też gidia w żałobie: śpiewały patrząc sobie w oczy, głosami strasznymi, ale z głębokim poczuciem cichego tragizmu. Fortuny na pewno nie zbiły (mogło to się udać owej grzesznicy z banjo). Nad poklask tłumu stawiła twórczość mniej efektowną, ale uderzającą w nuty «głębsze» — i zarobek skromny ale stały. Oparły się o element oszczędny, niezamożny, ale fanatycznie wierny swym wybrańcom. I była jeszcze śpiewaczka obłąkana, tańcząca wśród ławek, zwracająca się z wybuchami strasznego, wariackiego śmiechu do poszczególnych osób, kończąca swoje występy jakimiś zwierzeniami osobistymi, w których plątała się rozpacz, szal i szyderstwo. Podobno ofiara Gestapo. Zwykle ktoś wstawał, wciskał jej co mógł do ręki i delikatnie wypychał z wagonu.

Gęby moich towarzyszy promieniają. Dzień był «jak lala». Starszy jegomość zwaszecia z białym na oku, wśród ciszy, która zapada stopniowo w miarę rosnącego zainteresowania jego narracją, opowiada nam o największym wycynie szmuglerskim, jakim nasz stan mógł się pochlubić. Tym większym, że pointę miał raczej artystyczną niż komercyjną. Ktoś przewoził z Łowicza do Warszawy całą świnię. Volumen, którego nie można ukryć. Wziął się na sposób. Zarzniętą świnię ubrał w chusty, buty, ryj uciął, pysk przewiązał zapaską. I taką posadził w kącie wagonu. Świnio-baba trzymała na swym łonie kobiałkę

z własnym odcieciem, zawiniętym w szmatę, ryjem. Całość: «okropnie bolą zęby». Aliści na którejś stacji nagrzmieili czar- ni. Zli jak szerszenie, kazali «w trzy miga» opróżnić wagon, to- bołki powyrzucać na peron. Wszyscy usłuchali rozkazu z wyjąt- kiem jednej odpornej baby w kącie przy oknie. A kiedy syczący ze złości «czarny» dał jej potężnego kuksańca w bok, rycząc «rauss!!» — baba bezwładnie zwała się na ziemię. Ryj potoczył się pod ławkę, a spod kiecek ukazał się rozpruty, wypatroszony brzuch świński. Podobno ten świński epizod uratował wtedy całą wyprawę, podobno nie odebrali nic, po- dobno oglądali, pękając ze śmiechu, jąja przewożone w para- solkach, kiełbasy wtulone między pośladki. Podobno prosili najgrzeczniej, żeby się ujawnił inscenizator świniobaby, które- mu wszystko-wszystko gotowi «darować». — Takie to były na- sze Janosiki podwarszawskie.

Grochów już za nami. Dojeżdżamy do mostu. Na niebie wi- dzę wielki, gęsty, leniwie nawisły kołtun dymu. Zastały, koty- sze się wolno jak morze unoszone rytmem budzącej się burzy. Rozpostarł się nad północną dzielnicą Warszawy i trwa już długo, wciąż zasilany świeżym pokarmem spalanej systematycz- nie dzielnicy. Warkocze rozpuścił żółto-ceglaste daleko po nie- bie. Wolno rozplywają się w niezmiernych obszarach błękitu, podobnie jak najstraszniejsze karty dziejów rozplywają się w nieskończonym żywiole czasu i zapomnienia. Patrząc na ten czarny zgęstec zgrozy. W tej chwili wymowa jego jest całkowi- cie jednoznaczna: «dowiozłem towar». Bywa czasem (choć rzadko) odbieranie na samym dworcu u wyjścia. Ale oto widzę już znany mi różowy plakat egzekucyjny, czyli «przeszedłem strefę niebezpieczną». Tak, właśnie tak. —

Idę ulicami Warszawy już pewnym krokiem. Ze mam spory toboł w rękę, więc co? Może niosę bieliznę do prania. Oddział niemiecki maszeruje jezdnią i śpiewa doskonale wyuczoną, za- wsze tę samą, mroźną pieśń. Spostrzegam teraz, że mundury żołnierzy nie są wcale «zielone». Nie, to jest kolor o wiele sub- telniejszy. Kolor marynowanych śledzi w słoju z zielonkawego szkła, skąpanych w smakowitych pomyjkach z pływającymi krążkami cebuli. Właśnie dziś widziałem taki słoć na oknie u moich dostawców.

Co za rozkosz, po lękach i niepokojach nieodłącznych od szmuglu powiedzieć sobie wreszcie «sprzedałem!» Życie mi się uśmiecha.

Światła dziś nie ma. Głupstwo. Za to mamy wspaniałą kola- cję: kiełbasa z kartoflami i sosem pomidorowym. Świeca stoi w jednym z ocalałych lichtarzy na małym, kuchennym stole. Jej płomień łamię nasze olbrzymie cienie na linii zetknięcia sufitu ze ścianą. Kładę wytartą i wylataną bonżurkę, jestem śród swoich najbliższych. Jakiś dobry duch mną się opiekuje, bo oto przyniesiono mi portwajn w butelce kształtu ściętej ce- bulastej kopuły. Pływają w nim sadze starości, niby jakaś dziw- na fauna, poczynająca żyć za każdym wstrząśnięciem. Nie pi-

łem tak znakomitego portwajnu. Zrabowany — no oczywiście — chyba z księżęcej jakiejś piwnicy.

Cudny dzień. Nie będę potrzebował wstawać o trzeciej nad ranem, żeby się kąpać (jedyna pora kiedy można złapać gaz). Wyszoruję się w drewnianej balii. Mam przecież węgiel! Nie ja jeden przeżywałem takie chwile, ale nikt nie powiedział, że to było szczęście. Dlatego ja to dziś mówię za tamtych mruków.

I tak nam płynęło życie pod stalowym kloszem okupacji, w którym cierpliwość, zajadłość i przemyślność ludzka poprzebi- jały wentyle umożliwiające nam przetrwanie.

Któreś nocy spadły na Warszawę bomby sowieckie. Wybie- rałem się na szmugiel. Rakiety, oświetlające jak wielkie świece przyklejone do nieba, spływają wolno ku dołowi, groźnie roz- dzierając ciemności i ukazując świat nowy, straszny i radosny. Jest w nim coś z pierwszych dni stworzenia. Wybuchła bom- ba gdzieś blisko. Podniósł się słup ognia z dymem, a domy, na- gle skompromitowane, poniżone i drżące, zbiły się jak stado owiec objętych paniką. Nalot był raczej improwizowany, peda- gogiczny. Po odkryciu katyńskim miał swoją wymowę politycz- ną: jak nas przestaniecie kochać, no to... my wiemy co robić. Wynik realny: zniszczenie jednej dzielnicy Powązek, gdzie spiętrzyło się rumowisko kamieni, trumien i pozótkłych kości ludzkich, nagle wypędzonych z lochów na chłód i stotę.

Do szmuglu stanąłem z bolącą głową od nieprzespanej nocy, rumoru, krzątany. Myślałem sobie: no, ale dziś pojedziemy jak po maśle. Po nalocie *sowieckim* nie będą przecież odbierać. Gdzie tam! Odbierali, wściekali się, bili pałkami. Może to było przewidziane rozkładem zajęć tygodniowych? A któżby śmiał naruszyć tak piękną rzecz jak «rozkład zajęć» z powodu jakie- gos tam nalotu! No tak, ma się talent albo go się nie ma.

Przeszedłem się po mieście, z lękiem wypatrując nowych zniszczeń. Przechodząc koło ruin pałacu Błękitnego, zobaczy- łem wciąż jeszcze wystający z resztek sypiących się murów herb Zamoyskich, zgadując raczej niż widząc wrytą pod nim dumną dewizę Jelliczyków: *To mniej boli*. Historia powtarza się jednak.

Front choć daleki, zbliżał się gwałtownymi rzutami. Komuni- katy głosiły wciąż to samo: że wszystkie ataki odparte i że ja- kiś ważny punkt obronny znów przez Niemców porzucony. Ja- sne było, że sprężyna szybko się rozkręca i że to jest proces już nieodwracalny.

Któręś popołudnia spotkałem koło Jabłkowskich Staśkę. Zналиśmy się od bardzo dawna. Od lat nie rozmawialiśmy ze sobą. Dziś ona podeszła do mnie. Twarz miała starą i pooraną. Staśka — to był mój kalendarz. Patrząc na nią, oceniałem wła- sne posuwanie się po nieublaganej linii czasu. Była nastrojona lirycznie, mówiła w tonie pożegnalnym. W początku wojny sprzedawała *Nowy Kurier Warszawski*. Długo tego nie było. Po komunikatach przesadnie wystawiających siłę niszczycielską niemieckich łodzi podwodnych, Staśka ciskała się po ulicy.

wykrzykując, że Anglicy z braku okrętów wojennych żeglują po morzach i oceanach w baliach. Ktoś doniósł. Sprzedaż gazety jej odebrali, a tajniak Volksdeutsch dał jej szturchańca w nos po zwięzłym «przesłuchaniu» i zakrwawioną puścił na ulicę. Płuła, mówiąc o tym, wytrząsała bladą pięścią i klęła najgorszymi słowami. Położyłem jej rękę na ramieniu. Stare konie jesteście Staśka, co!

Czoło jej ściągnęło się w harmonijkę, brwi podniosły z wyraźną dezaprobatą, górną wargę uchyliła po psiemu, pokazując zęby szare i próchniejące. Nie patrzyła na mnie. Zrozumiałem zaraz, że powiedziałem rzecz niestosowną i w bardzo złym guście. Mój nietakt nie zdołał przekreślić jej przyjaźni, ale rozmowa szybko się urwała na wzajemnych życzeniach szczęścia — i życia.

Widziałem ją raz jeszcze, może miesiąc później. Znowu koło Jabłkowskich. Z głośnika padały rąbane słowa komunikatu o nowych stratach sowieckich, o nowych, wciąż bliższych zachodu pozycjach niemieckich. Stałem pod głośnikiem, wśród małej grupy słuchaczy. Staśka przesunęła się przede mną o jakie dziesięć kroków może. Cicho jak cień, jak ryba w głębinowych mrokach oceanu. W swym nieproporcjonalnie dużym do jej wzrostu kapeluszu o polach szerokich, falujących jak pletwy omdlewające i bezsilne — płynęła w stronę Alei. Mignęła mi cytrynowa żółcizna jej twarzy. Nie zatrzymałem jej. Nie zatrzymuje się ducha.

Potem nie działało się już nic co mógłbym włączyć do Scherza. Zaczął się Infernalnej finał. Powstanie.

Karol ROGALINSKI.

## Półuśmiech zażenowania

OD AUTORA. Fragment poniższy wyjęty jest z części pierwszej dużego utworu pt. „Słowo o bitwie”, który obecnie mam na warsztacie (o ile warsztatem pisarskim nazwać można biuro wojskowe, gdzie pracuję jako kancelista, mając dla siebie czasem parę godzin późnego wieczoru). Nie będzie to powieść w ogólnie przyjętym znaczeniu tego wyrazu, tylko fikcja wyrastająca z rzeczywistości. Zamiarem autora jest nadanie „Słowu o bitwie” swoistej formy, odpowiadającej możliwie najlepiej założeniom tematycznym i artystycznym dzieła. Utwór ma mieć objętość ponad 200 stron druku, z czego mniej więcej 1/3 jest napisana. Tempo realizacji całości, niestety, nie zależy od autora ani od jego najlepszych chęci. Rekwizyty użyte w robocie pisarskiej nie powinny skłaniać czytelnika do zbyt pochopnych wniosków, np. do przypuszczeń, że chodzi tu o jeden z utworów tzw. „literatury karpackiej”. Moja bitwa toczy się wprawdzie w pustyni — powiedzmy gdzieś w Afryce —, ale ten ubogi krajobraz wybrano jedynie po to, aby uwolnić się od opisywania malowniczych gór, lasów, ruczajów itp. przedmiotów terenowych, wymagających skomplikowanej metaforyki, i tym swobodniej skupić uwagę na człowieku. Podobnie pierwsza osoba liczby pojedynczej, użyta w tym fragmencie, nie koniecznie oznacza, że ma to być utwór autobiograficzny (przypominam, że inne fragmenty, drukowane w dwutygodniku „W Drodze”, w „Wiadomościach”, „Junaku” i „Gazecie Polskiej” w Jerozolimie, pisanie były w trzeciej osobie). Rzędy kropek w tekście oznaczają miejsce, z którego — dla skrócenia fragmentu — usunięto relację ppor. Bylickiego. Opowieść jego daje szerokie spojrzenie na początek bitwy, na jej założenia ogólne, jej scenarię i wreszcie obraz oficera na tle nacierającego batalionu. Następujący po tej relacji drukowany tu tekst jest korelatem, jak gdyby komentarzem rzeczywistości ujawnionej przez Bylickiego.

Ten szpital nie jest biały. A raczej tak, ale tylko z zewnątrz. Dawne koszary jakiegoś pułku piechoty, poszarpane bombami i pociskami ciężkiej artylerii, są bielone jak wszystkie budynki — ściślej: wszystkie ruiny — w tym mieście.

Fragment powieści pt. «Słowo o bitwie».

Ale wewnątrz szpital jest szary, bezbarwny, nijaki.

Nie ma tu żadnej białości. Nie pływa między łózkami pełna nadziei, skrzydlata łódź — śnieżnobiały kornet dobrej siostry Szarytki. Nie bieleją pochylające się nad cierpiącymi ludźmi ciche postacie pielęgniarek w powłóczystych fartuchach — tu w ogóle nie ma żadnej kobiety. Nie znajdziesz tu szafek, foteli i innych figielków, tryskających polerowaną bielą czystości. Nie ma tu białej pościeli: brak ludzi do prania bielizny, brak odpowiednich urządzeń, a woda potrzebna do picia, do zmywania ran i twarzy.

I tak szafują tu isticie po wielkopańsku tym drogocennym płynem: po przybyciu z pustyni dostałem całą miskę — tak, miskę! — wody; ciepłej, parującej, rozkosznej wody. Przyniósł ją puciułowaty sanitariusz w mundurze — bez białego kitla — dobry kolega, frontowy lapiduch. Lekarze też nie chodzą w fartuchach: w zwyczajnych battle-dressach, choć podobno do operacji wkładają jednak białe, rytualne szaty.

Tak: nie jest tu, nie może być biało — to szpital przyfrontowy w pustynnym kraju. Ale jest dobrze.

Są łózka! Prawdziwe, półpolowe, rozpusztne miękkie, nieprzyzwoicie wygodne łózka. I dach nad głową: prawdziwy dach — część składowa solidnego domu z cegieł. A pod głową walek zastępujący poduszkę, pod ciałem miękkie materace wyłożone czystymi kocami, a zamiast puchowych kołder w płóciennych podpinkach — lekkie i ciepłe australijskie pledy. Czy to nie dosyć?

To jest więcej niż dosyć: to rozkosz. Warto żyć, aby leżeć w takim prawdziwym łózku. Nie czuć karabinu, gniotącego parcianym pasem ramię, ani ładownic na piersiach, ani ciężkich granatów pozatykanych za pas. Nie kopać rowów, nie ładować na lory skrzynek z amunicją, nie zrywać się w nocy na służbę, nie dzwigać Vikersa, nie padać pod ogniem za kępy suchorostów. Nic, tylko leżeć. Leżeć w łózku.

Nie na ziemi, nie na drzwiach nakrytych kocami, nie na samochodzie lub pod nim w czasie ofensywy, nawet nie na łózku — w łózku. Być wtulonym w łózko siatkowe, uginające się przyjemnie pod ciężarem ciała, wszędzie miękkie, wszędzie przytulne. I wiedzieć, że można tak leżeć cały dzień: bez pobudki, bez nawoływań, bez alarmów; że nawet w czasie nocnego bombardowania nie potrzeba nigdzie wychodzić, że w razie czego można sobie umrzeć wygodnie, bez butów: w łózku. To jest dużo, bardzo dużo.

Jest dobrze, coraz lepiej.

Najpierw była Humana — dziwne, długie natarcie z tym, jak się okazuje, złamanym żebrem, ranny Jurski, Bylicki, Chłostek i tylu innych, zabity Storzycki, Nowak i ilu ich tam jeszcze; potem pościg i postój na szkarpie, i odpoczynek w kotlinie na pustyni. Coraz gorzej z żebrem, z płucami i sercem, słabość w kościach, bóle w kolanach — i tamto, i owo.

Później lekarz batalionowy, wysunięty punkt sanitarny Bry-

gady, gdzieś w pustynnym wąwozie (tam już spaliśmy na noszach, w namiocie). Wreszcie samochód i szpital, I łózko. Miska wody. Dobrzy lekarze, sanitariusze. Już chyba nie może być lepiej.

Dwa tygodnie minęły od owego 15-go stycznia — od bitwy pod Humaną.

Dziś przywieźli mnie do szpitala. Przed wieczorem. Było jeszcze jasno.

O własnych siłach zszedłem z wozu, ściągnąłem zredukowane do minimum bambette i po wstępnych formalnościach (szybkich i krótkich — to nie szpital na tyłach), powolutku, na raty przydygowałem toboły przez długi dziedziniec na salę.

Tu powitał mnie stary znajomy: strzelec Darda — sanitariusz z naszej kompanii. Ewakuowany zaraz po Humanie jako chory, wyleżał się trochę, a teraz pomaga przepracowanej szpitalnej obsłudze. Roboty w bród: nawieźli rannych ze dwie kompanie, potem przybyli chorzy i poharatani w samochodowych kraksach.

Na tej sali prawie sami swoi. Patrzę na pierwsze łózko i oczom nie wierzę: ta obrośnięta na czarno, jakby spuchnięta gęba — to chyba Norden? Tak, na pewno: nie może mówić, ale poznał mnie, gdy pochylilem się nad łóżkiem; na dnie przymglonych bólem oczu drgnęła iskra uśmiechu. Więc żyje, więc nie zabity! A myśmy go już opłakali: dwie serie — w brzuch i płuca — to nie zabawka.

Jurski wciąż nieprzytomny. Leży po prawej stronie, prawie naprzeciw Nordena. Wczoraj była trzecia operacja: ciągle jeszcze bardzo wątpliwe czy się wygrzebie, a o transporcie na tyły nie ma mowy — nie zniósłby podróży.

Nie wolno podchodzić do łózka; sanitariusze kręcą się ciągle koło niego, co chwila dostaje zastrzyki. Ułożono go jakoś dziwnie: nogi w górę, nad łóżkiem szklana bańka, z której coś splywa gumową rurką.

Spojrzałem z daleka na twarz dowódcy: cichą i nieruchomą, o oczach zapadniętych, jak gdyby odwróconych, jakby w siebie samego wpatrzonych. Ten człowiek prowadził nas do natarcia. Padł w dziesiątej minucie od pierwszych pocisków artylerii.

Zanim poczciwy sanitariusz przygotował mi łózko i przyniósł ową miskę wody do mycia, wiedziałem już, że ta sala jest straszczaniem Humany. Ci ludzie przynieśli tu ze sobą całą bitwę: każdy z nich to żywy fragment tego dziwnego przyżycia, które ciągle jeszcze jest dla mnie zamazaną plamą — czymś niepojętym, niezrozumiałym.

Jest tu plutonowy Miziński z Batalionu, jest podchorąży Darski z karierów, jest strzelec Chłostek, którego usiłowałem opatrzyć w polu, jest Dejnuik z drugiej kompanii, malarz Turkuł bez ręki i mnóstwo innych, których nazwisk nie pomnę, jest nawet jakiś Włoch — jest wreszcie dowódca mego plutonu, podporucznik Bylicki.





licki obrugał nas. Uczynił to jednak nieszczerze, jakoś niemrawo, bez złości. Krępował się.

Wtedy zdziwiło mnie to trochę. Zarejestrowałem fakt, nie szukając przyczyn. Teraz rozumiem go doskonale. Nie musi być przyjemnie mieć w plutonie adwokackiego zdechlaka, ironicznego inteligenta; kpiarza, nie popadającego wprawdzie w konflikty z wojskową dyscypliną, ale o którym nigdy nie wiadomo co myśli, który jakoś zawsze pozostaje poza zasięgiem tzw. moralnego wpływu.

Bylicki dbał o ludzi. Dbał i o mnie.

Pod Humaną... Kto wie, może on uratował mi życie pod Humaną...

Jechaliśmy z Andrzejkowiczem na wozie innego plutonu i gdy kompania wylądowała się, aby zająć podstawę wyjściową do natarcia, porucznik Średnicki chciał nas obu zabrać na patrol bojowy.

Mnie było wszystko jedno. Byłem tak przegrany, tak doskonale apatyczny, że gdyby mnie wówczas wsadzono na jakąś żywą torpedę, pojechałbym bez wahania i bez zapału. Ale nasz porucznik się uparł, że mamy iść z plutonem. I poszliśmy z plutonem.

Elegancka, jasno beżowa kurtka skórzana Bylickiego była mi drogowskazem podczas całego natarcia. I — bądźmy szczerzy — jeśli cokolwiek podziwiałem wówczas, w tym wariackim biegu na przelaj, to jego, tylko jego.

Że jest przystojny i zgrabny jak rzadko, że doskonale wygląda w mundurze — to wiedziałem od dawna. Ale tak padać, tak padać!

To było wprost nieprawdopodobnie piękne: to było marzenie, rozkosz dla oczu, rozmiłowanych w cielesnej kulturze i w cyrkowych wyczynach.

Bylicki padał wprost idealnie. Lekko, z wdziękiem, a zarazem celowo i mądrze. Gdyby obmyślano balet imitujący natarcie, błagałbym Bylickiego, aby zagrał rolę solową. On nawet nie wie jak wielkim jest artystą.

Niestety, nie mogłem go naśladować. Bardzo bolało mnie żebro. Nie padałem prawie wcale, aby uniknąć bólu. Zresztą niełatwo jest padać, gdy człowiek dźwiga w rękę tak niezręczny przyrząd jak karabin, a w ładownicach, na piersiach i za pasem ze dwadzieścia kilo granatów i amunicji.

I jeszcze jedno. Oczywiście widziałem, że strzelają fatalnie. Koło mnie robiły się wielkie dziury od pocisków, pióropusze dymu i piasku zasłaniały mi co chwila Bylickiego. Potem słyszałem świst kul i czułem grudki ziemi skaczące na spodnie. Ale — co tu dużo gadać — wiedziałem, że te wszystkie odłamki i pociski nie są dla mnie.

Choć nocy poprzedniej śniły mi się doły, byłem pewien, że to nie dla mnie, że nie będę zabity, nawet ranny. To nie było przypuszczenie, przecucie — to była pewność absolutna, nie

podlegająca dyskusji. Teraz widzę to jasno: *wiedziałem, że muszę przeżyć tę wojnę.*

Może dlatego całe to natarcie wydawało mi się — zwłaszcza z początku — raczej głupim kawałem, niepoważną imprezą, złośliwym «dręczeniem zwierząt».

Toteż, biegnąc jak piesek za Bylickim, nie troszczyłem się o kule. Gniewało mnie okropnie, że kazano na płaszcze wzięć skóry, że nie mam swobody ruchów, że muszę dźwigać tak dużo amunicji.

Gdy wyrwaliśmy się z ognia artylerii, byłem już bardzo zmęczony. Zaczynało mi brakować oddechu. Coraz więcej ludzi widziałem przed sobą — coraz mniej z tyłu. Ustawałem.

Na szczęście porucznik był ciągle w polu widzenia. Podążałem za nim ostatkiem sił. Nagle pojąłem, że albo zmniejszą ciężar własny, albo szlag mnie trafi i nie dojdę do włoskich okopów.

Co prawda nie odczuwałem żadnej chęci zabijania Włochów, ale bałem się zostać w tyle, albo, broń Boże, zabić.

Wahałem się jeszcze. W pobliżu poprzecznej drogi dopędził mnie Kłokoczka i przypadł tuż koło mnie. Postanowiłem zaściągnąć rądy.

— Serce mi nawala. Nie mogę dalej — chyba wyrzucę część amunicji. Jak pan myśli?

Kłokoczka nie chciał zająć stanowiska.

— Nie wiem — rzekł, i pognął dalej. Był w dobrej formie.

Ostrożnie odczepiłem od pasa cztery angielskie granaty i położyłem na piasku. Ulżyło nieco. Potem, gdy Florek z erkaemem zniknął mi z oczu i widząc, że nikt z sąsiadów nie posiada Breny, zrzuciłem ładownice z sześcioma magazynkami: były już niepotrzebne.

Teraz mogłem iść dalej — sto naboju do kb. w płóciennych taśmach i parę granatów w kieszeniach to drobiazg.

Wkrótce dopadłem Bylickiego i trzymając się o jakie dwa-dziesiąt kroków za nim, podziwiałem znów jego wspaniałe padanie, a nawet mogłem już sobie pozwolić częściej na luksus naśladowania mistrza.

Oczywiście była to nędzna parodia. Zbolałe płuca wykluczały wykonanie bojowego «padnij». Od czasu do czasu — widząc, że porucznik leży i nie potrzeba go ścigać — podpierałem się karabinem jak laską i przykładałem ostrożnie, lewym bokiem do ziemi. Odpoczywałem trochę, aby za chwilę podnieść się znowu i iść dalej za beżową skórą, nie wiadomo dokąd i którą.

— Zabij mnie! zabij! Boli! boli! — — — Mamo! — Zosiu!  
— — — Nie odchodź! Daj zastrzyk — albo zabij! — już —  
nie wy-trzy-mam...

To z lewej strony sali.

Prawie przy drzwiach leży tam młody chłopczyna z trzeciego

baonu z okropnie poharataną twarzą. Dostał z pół kilo odłamków: w głowę, w piersi, w brzuch, w nogi. Chyba od kilku pocisków.

Pielęgnuje go piegowaty lapiduch z perkatym nosem. Nie odchodzi. Zapalił świeczkę. Ale nie może dać zastrzyku: już i tak było za dużo. Trzyma go za rękę, mówi jakieś dobre wyrazy, przemawia jak do brata, tłumaczy.

Biedak krzyczy jeszcze, ale już ciszej: uspokaja się zwolna pod psychiczną narkozą przyjaźni.

Zbudził się Miziński, Norden postępuje z cicha. Chrapają nie funkcjonuje — widać przewrócił się na bok.

Nie śpi także Bylicki. Poruszył się na łóżku, szuka czegoś na pace, zastępującej nocny stoliczek.

A potem był ten obraz, który widzę zawsze, gdy ktoś powie «Humana». Myślę, że zostanie: to już nie fotograficzna migawka — to stempel odbity na mózgu jakimś niezniszczalnym tuszem.

Nawet nie zdawałem sobie sprawy, że jesteśmy tak blisko: może sto pięćdziesiąt, może dwieście metrów od włoskich pozycji.

Wtedy nie wydawało mi się to wszystko zabawne. Ogień maszynowy był przesadnie silny, strzelała znów niemiecka artyleria i moździerz. Musiałem jednak kłaść się dość często, bo ciągle padał Bylicki. Dławiła mnie wściekłość na naszą artylerię, że nie uspokaja łobuzów, na tych draniów, że strzelają za dużo, na Bylickiego, że zmienił kierunek i zmusza mnie wciąż do padania.

Poza tym stawało się jasnym, że za chwilę trzeba będzie strzelać, potem dopaść jakichś okopów, rzucać granaty, mordować jakichś ludzi. Co za głupie i niesmaczne zajęcie!

Z pewnością nie patrzyłem wtedy na świat od strony humorystycznej. Miałem wszystkiego dosyć. Stanowczo dosyć. Już nie łazić, nie padać, nie zdobywać. Po prostu nie być. Albo solidnie odpocząć.

Tak, z pewnością nie byłem kandydatem do krzyża walecznych. Choć nie bałem się wcale.

I nagle przyszło wybawienie. Przyszła ta migawka, ten stempel.

Bylicki podnosił się właśnie do dalszego skoku. Już oderwał ręce od ziemi, już zbalansował ciało na lewej nodze, już miał rzucić w przód prawą — gdy nagle padł z powrotem na piasek i zaczął ryczeć nieludzkim głosem.

W pierwszej sekundzie, zanim doszedł mnie przeszywający krzyk bólu, sądziłem, że padł umyślnie. Nawet to ostatnie «padnij» było pełne olimpijskiej poezji — nieuchwytnego, naturalnego czaru.

Tylko wycie było okropne. Porucznik wył przeciągle, tarzając się po ziemi.

Nie cieszyłem się, że Bylicki jest ranny. Nie, bynajmniej: nie jestem taki podły. Ulgę — kto wie — może radość sprawił mi fakt, że ja jestem najbliższym rannego. Że muszę się nim zająć. Że należy, wypada — tak, po prostu *wypada* to zrobić.

Nawet Kłokoczka był tego zdania. Gdy leżałem już przy wodocy, zatrzymał się chwilę przy nas.

— Niech pan zostanie, ja idę dalej — powiedział. Może wiedział, że byłem już wykończony.

Nadbiegający Florek także nie zdziwił się, że leżę przy poruczniku i oglądam jego nogę. Przeleciał koło nas jak wariat: czerwony, zadyszany, podniecony w najwyższym stopniu. Miał błędny wzrok. Wykrzykiwał liczne przekleństwa. Nagle podniósł karabin i zaczął strzelać w górę: Panu Bogu w okna.

Już wtedy wydało mi się to bardzo zabawne — już wiedziałem, że mogę sobie odpocząć.

Potem przemknął koło nas Garbicz z tomiganem pod pachą: pochylony, zręczny — rzekłbyś myśliwy, tropiący zwierza. Za nim Lasocki — jak lis na polowaniu: ostrożny, ale uporczywie dążący naprzód — spokojnie, z premedytacją — sportowo.

Ja leżałem przy Bylickim. Dla mnie natarcie było skończone. Obejdzie się bez jednego — pomyślałem wówczas i odpocząwszy ździebko, poszedłem szukać sanitariusza.

Skrzypnęły drzwi wejściowe. Wszedł doktor Greter. Przystanął przy łóżku Jurskiego. Świeci latarką, bada puls, szepcze coś do służbowego sanitariusza. Odchodzi. Sylwetka lekarza bezszelestnie przesuwa się przejściem pomiędzy łózkami. Światło jego latarki padło na moment na mego sąsiada z prawej. Głowa Chłostkowa wyskoczyła z ciemności, jakby wniesiona na srebrnym półmisku.

Strzelec Chłostek. Dobry żołnierz. Spokojna, uśpiona głowa w kręgu elektrycznego światła. Banalna głowa pocziwego, dziesięciomorgowego chłopca spod Radomska. Widziałem tę głowę w innych okolicznościach: nie na półmisku — w misce.

Gdy odchodziłem od Bylickiego, aby szukać sanitariusza, kule i odłamki gwizdały nie więcej i nie mniej niż poprzednio. Porucznik denerwował się bardzo i krzyczał, abym padał — nie wiedział, że naprawdę nie mogę.

Udałem, że nie słyszę jego ostrych upomnień i tak szybko, jak mi pozwalało zmęczenie, posuwałem się w kierunku, gdzie przed chwilą zauważyłem Dardę, kłęczącego nad jakimś ranym. Po drodze natknąłem się na Chłostka.

Leżał nieruchomo. Myślałem, że zabity i byłbym go minął, gdyby nie coś w rodzaju słabego okrzyku, którym zdawał się być wzywać pomocy. To zgłuszone wezwanie wychodziło z ziemi.

Chłostek leżał płasko na brzuchu, zda się przyklepiony do

twardej w tym miejscu pustyni. Tylko głowa, przekrzywiona nieco w moim kierunku, spoczywała niżej, w doraźnie wygrzebanym, dość głębokim dołku. Profil twarzy rysował się wyraźnie w tym kunsztownym wgłębieniu, otoczony jego krawędzią jak aureolą. Ta głowa była w misce.

I chciała tam pozostać. Na próżno wraz z Dardą, który nadszedł za chwilę, błagaliśmy Chłostka, aby się odwrócił i umożliwił nam odnalezienie rany. Na próżno kłamaliśmy, że już nie strzelają w tę stronę. Bez skutku tłumaczyliśmy, że w tej pozycji nie możemy go opatrzyć.

Chłostek nie chciał się ruszyć i powtarzał w kółko jęklwym głosem:

— Nie dam głowy, nie dam, nie dam.

Z oczu rannego wyzierał lęk pierwotny, niemal zwierzęcy.

Musieliśmy odwrócić go siłą. Zasłoniłem go od strony ognia, głowę zastawiłem hełmem. Uspokoił się nieco. Pojękiwał i mówił płaczliwie:

— Brzuch zepsuty, noga zepsuta — nie dajcie zepsuć głowy — nie dajcie zepsuć głowy.

Darda działał szybko i sprawnie. Zdarł z zamazanego krwią brzucha niedość mocno zawinięty bandaż i stwierdził, że nie było tam rany. Chłostek był ranny w nogę, poniżej kolana. Tylko w nogę.

Sanitariusz poprawił opatrunek i pobiegł dalej do ciężko rannych. Sunął wielkimi krokami, bez hełmu, w rozwianym płaszczu, z torbą przerzuconą przez ramię. Nie padał: śpieszył się bardzo. Może i on wiedział, że nie będzie zabity?

Chłostek, poczuwszy się wolnym od przytrzymujących go ramion, odwrócił się z nieporadnym pośpiechem i schował twarz do dziury. Nakryłem ją hełmem. Odchodząc spostrzegłem, że dłonie rannego są podrapane i szare od piasku.

Nie wiedziałem, nie wiem, i chyba nigdy nie pojmę jak mógł wygrzebać rękami tak głęboką i foremną miszkę. Fakt, że wygrzebał: była mu bardzo potrzebna.

U Bylickiego instynkt życia działał inaczej. Porucznik nie grzebał się w twardym piasku: turlał się po nim, unosząc wyżej prawą nogę, aby uchronić ją od urazu. Przed chwilą padał jak baletnica — teraz toczył niezręcznie swe obolałe ciało w kierunku włoskich stanowisk.

Spostrzegłem to z daleka, dopadłem go i zatrzymałem w sposób kategoryczny. Położyłem się przy nim. Poczęstowałem go papierosem, podałem ogień. Próbowałem wciągnąć go w rozmowę, skierować uwagę na przebieg natarcia.

Bylicki nie dbał o to. Nic nie mówił. Nie jęczał. Zaciął zęby i patrzył na mnie. W tym spojrzeniu był ból, ale było jeszcze coś więcej — chyba coś, co dotyczyło mojej osoby. Co to być mogło?

Ha, ha, ha! To na prawdę byłoby zabawne! Może Bylicki

podziwiał moją «odwagę», moją «pogardę śmierci»?

Ha, ha, ha! To nie jest całkiem wykluczone. Przecież on nie wiedział, że ja wiedziałem, że nie będę zabity. On nawet nie wiedział, że nie padałem trochę z lenistwa, a więcej z powodu złamanego zębra. On nie mógł wiedzieć jak bardzo byłem przegrany i jak szczerze zadówolony z możliwości pozostania przy nim. On nic nie wiedział.

Namówiłem go, aby leżał spokojnie i nigdzie się nie kulał.

Sprowadziłem mu samochód. Udało się, bo wóz prowadził Jurek, warszawiak otrząskany z ogniem. Nie zawahał się ani na moment, gdy złapałem go po długim (trochę za długim jak na mój gust) biegu. «Bez nerw» wykręcił szybko, podjechał, pomógł mi wrzucić Bylickiego jak kluskę do mocno już zapchanego samochodu, wskoczył do szoferki, dał gazu.

Na miejscu, gdzie leżał przed chwilą porucznik znalazłem papierosa. Zgasł już — był w dziewięciu dziesiątych zdalny do dalszego użytku. Bylicki nie mógł go wypalić.

Znowu skrzypnęły drzwi wejściowe. Ktoś z łżej rannych wysuwa się na podwórze. Przewracam się na bok, sięgam ręką po chlebak. Szukam papierosów.

— *Mecenasie* — słyszę nagle głos Bylickiego z przeciwległego łóżka — niech pan zapali *me go* papierosa. Mam Craveny z korkami. Niech pan łapie.

Pełna paczka Cravenów spada na moje łóżko.

Jest ciemno. Nie widzę twarzy porucznika. Ale widzę uśmiech — tak, półuśmiech *zażenowania*, którym przywitał mnie w szpitalu.

Więc jednak chodziło o tego papierosa.

Może Bylicki zauważył, że był to ostatni papieros. A może tylko wstydył się, że nie zdołał go wypalić.

Janusz JASIEŃCZYK.

# Najnowsza historia Polski

## Zapiski Ambasadora Rogera Raczyńskiego

dotyczące przejścia Naczelnych Władz Polskich  
do Rumunii i rezygnacji b. Prezydenta R. P.  
Prof. Ignacego Mościckiego.

15 września 1939 r. otrzymałem za pośrednictwem Konsula Buynowskiego z Czerniowiec wezwanie przyjazdu do Kut do min. Becka. Telefon odebrałem około godz. 18-tej.

16 września 1939 r. wyjechałem pociągiem do Czerniowiec.

17 września 1939 r. przybyłem do Czerniowiec około godz. 7-mej 30 rano. Ponieważ samochód konsularny nie był gotów, wyjazd do Kut nastąpił około godz. 9-tej. Wziąłem 2 samochody i jechałem w towarzystwie wojewody Bityka. Samochód konsularny pozostał przy moście po stronie rumuńskiej, celem zapewnienia powrotu.

Po polskiej stronie mostu granicznego spotkaliśmy wicedyrektora

Internowanie Rządu R. P. i kryzys prezydencki we wrześniu 1939 r. jest sprawą mało znaną i na ten temat krąży do tej pory szereg informacji fragmentarycznych, supozycji czy plotek nie zawsze zgodnych z rzeczywistością o często krzywdzących dla wielu osób. Drukowane do tej pory materiały w «Kulturze» są tego najlepszym dowodem.

Celem ostatecznego wyjaśnienia tego ważnego faktu historycznego, drukujemy zapiski śp. Ambasadora Rogera Raczyńskiego, zrobione bezpośrednio w tym okresie.

Postać Rogera Raczyńskiego — jednego z ciekawszych i wybitniejszych postaci Polski współczesnej, jego stanowisko i rola jaka w rozwiązaniu tego kryzysu odegrał, robia z tych zapisków dokument historyczny pierwszorzędnej wagi. Z tych suchych, beznamiętnych kartek przebija obiektywizm historyka i dalekowzroczność męża stanu, tak rzadka w tym okresie chaosu i rozpętania namiętności.

tora M.S.Z. Kobyłańskiego i paru innych urzędników, którzy rozmawiali z przedstawicielami rumuńskich władz granicznych. Stało tam sporo samochodów ciężarowych i osobowych czekających już na przepuszczenie na stronę rumuńską.

Około godz. 11-tej dotarliśmy do urzędu gminnego w Starych Kutach, gdzie się zatrzymałem, podczas gdy wojewoda Bityk pojechał dalej do kwatery Naczelnego Wodza z zamiarem powrotu do Lwowa.

W urzędzie gminnym spotkałem płk. Tadeusza Schaetzla, wicedyrektorów Michała Łubieńskiego, Józefa Potockiego oraz szereg innych urzędników M.S.Z., którzy poinformowali mnie o przejściu wojsk sowieckich, o dramatycznej rozmowie Grzybowski-Mołotow i wytworzonej inwazją sowiecką o godz. 4-tej z rana nową sytuacją.

Około godz. 14-tej przybył min. Beck z kwatery Naczelnego Wodza, gdzie konferował z marszałkiem Śmigłym i premierem Sławoj-Składkowskim.

Po dalszym oczekiwaniu przez blisko pół godziny, przyjął mnie min. Beck. Zaledwie wymieniliśmy kilka słów — zameldowano przyjazd Prezydenta Rzeczypospolitej, dla którego w międzyczasie przygotowywano śniadanie. Następuje przerwa w rozmowie. P. Beck wita Prezydenta R. P., po czym udaje się na dłuższą konferencję z ambasadorem francuskim Noëlem. Dopiero po jej zakończeniu p. Beck przyjmuje mnie ponownie. W bardzo krótkiej rozmowie udziela mi polecenia szybkiego powrotu do Czerniowiec i zażądania stamtąd telefonicznie od Ministra Spraw Zagranicznych Gafencu *droit de passage* dla Pana Prezydenta R. P. i Rządu.

W międzyczasie ambasador rumuński przy Rządzie Polskim Grigorcea znajdował się po stronie rumuńskiej w jednym z pogranicznych budynków rumuńskich, gdzie załatwiał z władzami lokalnymi sprawy przepuszczenia kolumny samochodów ministerialnych i rosnącej stale masy uchodźców. Słyszałem, że Grigorcea miał być przyjęty przez min. Becka o godz. 5-tej pp. Spotkałem Grigorcea w chwili wyjazdu, wsiadając do samochodu. Wyjazd z Kut nastąpił około godz. 16-tej samochodem w towarzystwie kpt. Jerzego Niezbrzyckiego, który udawał się z ramienia Sztabu do Czerniowiec i Bukaresztu.

Opuszczając Kuty nie miałem żadnych informacji o tym jakoby do tego czasu podjęte były rozmowy czy pertraktacje z kompetentnymi czynnikami rumuńskimi w sprawie przejścia na terytorium Rumunii Naczelnych Władz Polskich.

Przyjazd mój do Czerniowiec do Konsulatu nastąpił po godz. 18-tej. Otrzymałem telefoniczne połączenie z ministrem Gafencu dopiero po godz. 20-tej. Przypuszczam, że trudności uzyskania połączenia spowodowane były zajęciem linii przez rozmowy ambasadora Grigorcea, który komunikował się z Bukaresztem po swym spotkaniu z min. Beckiem.

W mojej rozmowie telefonicznej z min. Gafencu wykonałem ściśle instrukcje p. Ministra Spraw Zagranicznych, zgłaszając

oficjalną prośbę o zapewnienie *droit de passage* dla Pana Prezydenta R. P. i Rządu. Pan Gafencu odpowiedział, że rumuńska Rada Ministrów zastanawiała się o godz. 11-tej rano nad wytworzoną sytuacją i że Król i Rząd postanowili udzielić Panu Prezydentowi i Rządowi Polskiemu gościny na ziemi rumuńskiej. Na moje powtórne żądanie nie gościny, lecz prawa przejazdu, otrzymałem od pana Gafencu wymijającą odpowiedź. W każdym razie Gafencu należało, aby Rząd polski skorzystał z ofiarowanej gościny. Wobec powyższego, postanowiłem wyjechać najbliższym pociągiem do Bukaresztu aby tam kontynuować pertraktacje. Okazało się jednak, że pociąg z Czerniowiec do Bukaresztu, wychodzący normalnie o 10-tej wieczór, został odwołany na skutek masowego przesuwania wojsk rumuńskich ku granicy polskiej.

Około godz. 1-szej w nocy udało mi się spotkać w Czerniowcach, w hotelu, wiceministra Spraw Wewnętrznych gen. Marinescu, który do tej pory oczekiwał na szosie przy wjeździe do miasta na kolumnę samochodów Pana Prezydenta i członków Rządu, aby ich powitać. Samochody skierowane jednak zostały inną drogą, wobec czego gen. Marinescu już się z nimi rozminął.

18 września powróciłem do Bukaresztu z bardzo znacznym opóźnieniem około godz. 17-tej. Postanowiłem przed nawiązaniem dalszych rozmów z rządem rumuńskim konsultować ambasadora francuskiego i posła angielskiego, aby na podstawie posiadanych przez nich informacji zorientować się w sytuacji. Odwiedziłem ambasadora francuskiego o godz. 18-tej.

P. Thierry zakomunikował mi, że 17-go września między godz. 10-tą a 11-tą z rana poseł niemiecki Fabrizius dokonał wobec min. Gafencu bardzo stanowczej *démarche*, oświadczając, że gdyby Rząd polski przeszedł na terytorium rumuńskie, to winien być bezwzględnie w Rumunii zatrzymany. W przeciwnym razie poseł niemiecki zagroził wyciągnięciem przez Rzeszę ostatecznych konsekwencji w stosunku do Rumunii (wojna).

Powyższe wystąpienie niemieckie nastąpiło więc w jakie 6 godzin przed rozmową między min. Beckiem a ambasadorem Grigorcea w Kutach, w toku której Min. Spraw Zagranicznych zamierzał załatwić sprawę tranzytu Naczelnych Władz Polskich przez Rumunię.

Określając sytuację jako wysoce groźną, ambasador francuski oświadczył mi, że rząd rumuński, jego zdaniem, w żadnym wypadku nie zgodzi się na wyjazd Naczelnych Władz Polskich i że sprawa stałaby się dopiero aktualna gdyby rząd rumuński zdecydował się na rewizję swej proklamowanej uroczystości polityki neutralności.

Opuściwszy ambasadę francuską, miałem jeszcze 20 minut czasu do spotkania z posłem angielskim, wyznaczonego na godz. 19-tą. Kazałem się więc dalszą drogą, aby w międzyczasie rozważyć wytworzone położenie. Doszedłem do wniosku, iż w

obliczu nowych faktów o których się dowiedziałem, najważniejszą sprawą staje się uratowanie ciągłości najwyższych legalnych władz Rzeczypospolitej, zatrzymanych już faktycznie na terytorium stosunkowo słabego i zaskoczono szybkością katastrofy polskiej państwa neutralnego. Uświadomiłem sobie, że najpilniejszym moim zadaniem, któremu wszystkie inne należałoby podporządkować, będzie nawiązanie kontaktu z Prezydentem Mościckim i skłonienie go do odwołania w myśl przepisów konstytucyjnych następcy w osobie marszałka Śmigłego-Rydza (internowanego jako Naczelnego Wodza) i naznaczenie na jego miejsce kogoś spośród działaczy polskich, znajdujących się już na obczyźnie.

Gdy poseł angielski potwierdził mi w całej rozciągłości informacje i opinie udzielone przez ambasadora Thierry, zdecydowałem podzielić się z nim główną moją troską co do utrzymania legalnej ciągłości Najwyższych Władz Polskich dla umożliwienia organizowania dalszego oporu polskiego na terytorium alianckim. Poinformowałem posła angielskiego o przepisach naszej Konstytucji, przewidującej w czasie wojny wyznaczenie przez Prezydenta Rzeczypospolitej zastępcy.

Sir Reginald Hoare utwierdził mnie w przekonaniu, że należy szukać wyjścia z nader krytycznego położenia właśnie po tej linii.

Postanowiliśmy zastanowić się nad tym zagadnieniem jeszcze raz nazajutrz rano, wspólnie z ambasadorem francuskim. Ustalono więc spotkanie w ambasadzie francuskiej na ósmą rano, w dniu 19 września, przed moją wizytą u min. Gafencu.

Dnia 19 września odbyła się wspomniana konferencja we 3-ch w ambasadzie francuskiej, przy czym uznano jednogłośnie, iż trzeba dążyć przede wszystkim do zabezpieczenia ciągłości władz naczelnych. O godz. 11-tej przyjął mnie min. Gafencu w M.S.Z., nie ukrywając głębokiego żalu i wzruszenia z powodu tragicznych wypadków.

Nie szukając żadnych uzasadnień prawnych oświadczył mi z całą szczerością, że znajduje się w niesłychanie ciężkim położeniu (*un cas de force majeure*). Jest mu niezmiernie ciężko i przykro, że musi na razie zatrzymać Pana Prezydenta i Rząd Polski w Rumunii, nie mogąc narazić swego kraju na nierówną wojnę z Niemcami, która musiałaby się skończyć równie katastrofalnymi rezultatami jak w Polsce. Rząd rumuński musiał ulec w tym wypadku przemożnemu naciskowi niemieckiemu, obawiając się zarazem niebezpieczeństwa inwazji sowieckiej, które jest tym realniejsze, że nie ma żadnych sprawdzonych informacji co do zamierzeń Sowietów względem Rumunii na najbliższą nawet przyszłość.

Wyraziwszy ze swej strony przekonanie, że rząd rumuński, pomimo ciężkich wydarzeń ostatnich dni, okaże mi pełne poparcie dla utrzymania przyjaznej współpracy polsko-rumuńskiej, poprosiłem min. Gafencu o umożliwienie mi natychmiast-

towego zgłoszenia się do Pana Prezydenta Rzeczypospolitej w nowym miejscu zamieszkania, na które wyznaczono pałacyk królewski w Bicz.

P. Gafencu skomunikował się w mej obecności telefonicznie z premierem Calinescu i udzielił mi pozytywnej odpowiedzi z tym, że wyjazd mój do Bicz nastąpi nazajutrz rano.

19-go wieczorem udałem się do b. Min. Spraw Zagr. p. Augusta Zaleskiego, który w międzyczasie przybył do Bukaresztu i zamieszkał w hotelu Athenée Palace. Poinformowałem p. Zaleskiego o zamierzonym wyjeździe nazajutrz rano do Bicz, celem skłonienia Pana Prezydenta Mościckiego do wyznaczenia nowego zastępcy na miejsce marszałka Rydza-Śmigłego i sugerowanie mu konieczności zgłoszenia rezygnacji możliwie jak najprędzej.

Pan Zaleski uznał bez wahań, że powyższa koncepcja jest słuszną i jedynie celową oraz zapytał się czy miałbym kogoś na oku, jako najbardziej wskazanego kandydata na stanowisko nowego Prezydenta R. P., przewidując, że sprawa ta wypłynie w mojej rozmowie z Prezydentem Mościckim.

Odpowiedziałem, że nie wiem kto z wybitnych Polaków zdołał dotąd przekroczyć granicę, że narzuca się nazwisko Ignacego Paderewskiego, że niestety nie ma wiadomości co się dzieje z gen. Sosnkowskim i że wśród poważnych kandydatów widziałbym również osobę długoletniego Ministra Spraw Zagranicznych, czyli właśnie mego rozmówcę p. Augusta Zaleskiego. Niezależnie więc od tego jakby się p. Zaleski do tej myśli ustosunkował, nalegam nań usilnie, aby przyspieszył jak najbardziej swój wyjazd do Paryża i nawiązał tam natychmiast kontakt z naszą Ambasadą, gdzie powinno się skryształizować nowe nasze centrum dyspozycyjne. Ulegając mim perswazjom p. Zaleski obiecał mi przyspieszyć możliwie formalności wyjazdowe.

20 września rano wyjechałem samochodem do Bicz wczesnym rankiem, mając przed sobą 450 klm. bardzo złej drogi, przeważnie w górskim terenie. Dotarłem na miejsce dopiero około godz. 17-tej. W pałacyku zajmowanym przez Pana Prezydenta i najbliższe jego otoczenie powitał mnie Szef Kancelarii Cywilnej, min. Stanisław Łepkowski, którego poinformowałem o celu mojej podróży. P. Łepkowski powiedział mi wówczas, że poprzedniego wieczoru, czyli bezpośrednio po zainstalowaniu się w Bicz, poruszył już z Panem Prezydentem zagadnienie zabezpieczenia ciągłości suwerennej władzy Rzeczypospolitej i wyznaczenia nowego zastępcy. Po krótkiej wymianie zdań, p. Łepkowski wprowadził mnie do gabinetu Pana Prezydenta, który wydał mi się bardzo zmęczony i przygnębiony.

Prezydent rozpoczął rozmowę od zapytania jak oceniam sytuację i jakie przywożę wiadomości.

Zreferowałem szczegółowo przebieg mej rozmowy z min. Gafencu oraz streściłem informacje i opinie uzyskane od przedstawicieli Francji i Anglii.

Reasumując oświadczyłem, że w wytworzonej koniunkturze uważam za najważniejsze i najpilniejsze salwowanie ciągłości legalnej władzy Głowy Państwa, co umożliwi i ułatwi nasza Konstytucja. Zaznaczyłem wreszcie, że według mego zdania, które odosobnione nie jest, Pan Prezydent musiałby odwołać desygnację marszałka Śmigłego-Rydza, wyznaczając nowego następcę spośród osobistości polskich, przebywających zagranicą, a mogących liczyć na harmonijne współdziałanie z rządami alianckimi. Wspomniałem też, że po dokonaniu tego ważnego aktu, mogącego mieć dla naszych interesów decydujące znaczenie, Pan Prezydent powinienby wyciągnąć konsekwencje w stosunku do własnej osoby.

Prezydent odpowiedział, że tę myśl przedkładał mu już poprzedniego dnia p. Łepkowski i że on ze swej strony czekał na zobrazowanie przeze mnie sytuacji aby powziąć swe ostateczne decyzje. Tu Prezydent zaczął wspominać różne ważne momenty polityczne z przeszłości, względnie z osobistego swego życia i wreszcie zapytał mnie czy nie wiem gdzie się obecnie znajduje gen. Sosnkowski. Poinformowałem Pana Prezydenta, że poszukiwałem specjalnie gen. Sosnkowskiego i muszę niestety stwierdzić, iż ani w Rumunii ani na Węgrzech go nie ma, co sprawdziłem telefonicznie przed wyjazdem z Bukaresztu, rozmawiając z postem Orłowskim w Budapeszcie.

Poruszywszy różne uboczne tematy, Pan Prezydent Mościcki zadał mi pytanie, jakich widzę kandydatów na jego następcę, gdyż według jego wiadomości mało kto z wybitnych osobistości opuścił kraj. Wymieniłem nazwiska Ignacego Paderewskiego, kardynała Hlonda, ministra Zaleskiego i wojewody Raczkiewicza.

Co do wszystkich prof. Mościcki wyraził z różnych względów wątpliwości. Jeśli chodzi o Ignacego Paderewskiego, którego uważał za najbardziej odpowiedniego kandydata, to zaznaczył, że ze względu na bardzo podeszły wiek i zły stan jego zdrowia nie będzie go można obarczyć tak ciężką misją. O kardynale Hlondzie powiedział natomiast, że chociaż historia przyznaje specjalną rolę polskim Prymasom, to ze względu na purpurę kardynalską wyniknąć by mogły bardzo znaczne trudności i skrupowania. Co do dwóch następnych nazwisk wypowiedział się niejasno, wskazując jak trudna jest jego decyzja i jak wielkiego wymaga zastanowienia. Wówczas p. Łepkowski, który asystował przy całej rozmowie, zwrócił się do Prezydenta z zapytaniem, czy nie chciałby samotnie rozważyć całości zagadnienia — po czym opuścił razem ze mną gabinet.

Pozostaliśmy przez dłuższy czas we dwójkę z p. Łepkovskim, po czym powrócił on do Pana Prezydenta i pozostał z nim blisko godzinę. Po upływie tego czasu zostałem znów wezwany do Pana Prezydenta, który powiedział mi tylko, że chce pracować z p. Łepkovskim i przygotować szereg pism, wobec czego zostanie u siebie, prosił natomiast żonę, aby zeszła na wspólną kolację, po zakończeniu której wezwie mnie znów do siebie.

Wezwanie to nastąpiło dopiero około godz. 23-ciej. Zostałem w gabinecie Prezydenta p. Łepkowskiego. Prezydent wręczył mi bez dalszych wyjaśnień dużą zapieczętowaną kopertę i polecił wysłać ją najpewniejszą drogą i możliwie szybko do ambasadora Łukasiewicza w Paryżu. Prezydent dodał, że gdy otrzymam od p. Łukasiewicza jakiegokolwiek wiadomości «o rodzinie Koneckich», bym je natychmiast przetelefonował do Bicazu, gdyż są to umówione zdania.

Prezydent nie poinformował mnie co się w kopercie znajduje ani też nie wspomniał na kogo padł jego wybór. Polecił mi równocześnie zachować zarówno przeprowadzone z nim rozmowy, jak i wszystko czego byłem świadkiem w najściślejszej tajemnicy, nie komunikując o tym nikomu, nawet Premierowi czy też min. Beckowi.

W tym momencie p. Łepkowski zwrócił uwagę na niewłaściwe pomieszczenie Głowy Państwa w Bicazie, kładąc nacisk na trudny dojazd, bliskość granicy sowieckiej, jak również węgierskiej i wynikające stąd niebezpieczeństwa w razie nagłej agresji sowieckiej.

Prezydent Mościcki przerwał mu bardzo stanowczo, zaznaczając, że rozumie drażliwą sytuację Rumunii i że nie chce stwarzać jakichkolwiek trudności swoją osobą królowi i rządowi rumuńskiemu. Zakazuje mi więc bezwarunkowo podejmowania jakichkolwiek kroków w kierunku zmiany miejsca pobytu, uważając, że wobec katastrofy w jakiej się Polska znalazła, osobiste jego losy są najzupełniej obojętne.

*Nazajutrz 21-go września* wyruszyłem z Bicazu do Bukaresztu, dokąd dotarłem około godz. 16-tej, jadąc bez przerwy.

Ponieważ w tym okresie ambasada nasza była dosłownie zalana uchodźcami, którzy poza tym zwartą masą oblegali nasz urząd, uznałem za wskazane złożyć zaraz otrzymaną od Prezydenta kopertę w ambasadzie francuskiej, uważając, że istnieją tam lepsze warunki bezpieczeństwa. Zajechałem więc bezpośrednio do ambasady francuskiej, gdzie przyjął mnie ambasador Noël, który w międzyczasie dojechał był z Czerniowiec do Bukaresztu. Odbierając ode mnie wiadomą kopertę, p. Noël poinformował mnie o zabójstwie premiera Calinescu, który nie całe trzy godziny temu padł ofiarą zamachu emisariuszy Żelaznej Gwardii.

Na ile tego zamachu grozić mogły jak najdalej idące komplikacje wewnętrzne i zewnętrzne, toteż ambasador Noël obiecał mi, że dostarczy jak najprędzej prezydencką kopertę do Paryża, zabierając ją osobiście, gdyż wyjazd jego do Francji przewidywany był w ciągu najbliższych 48 godzin.

*Dnia 22 września* otrzymałem przed południem telefon z Bicazu w sprawie natychmiastowego uzyskania przyjazdu do Bukaresztu min. Łepkowskiego. Pozwolenie to uzyskałem bez zwłoki od p. Gafencu, który i, tym razem skomunikował się z premierem, gen. Argescanu.

P. Łepkowski przybył do Bukaresztu znacznie po godz. 24-tej, będąc wielokrotnie zatrzymywany po drodze dla sprawdzenia dokumentów, co tłumaczyło się aktywnością policji rumuńskiej, utrudniającej dojazd do stolicy wobec toczących się dochodzeń po zabójstwie Calinescu. Zaraz po przyjeździe p. Łepkowski poinformował mnie, że Prezydent Rzeczypospolitej polecił mu wyjechać najbliższym pociągiem do Paryża. Pytał mnie również czy nie mamy wiadomości o gen. Sosnkowskim i w związku z tym telefonował do Budapesztu do posta Orłowskiego.

Następnie p. Łepkowski połączył się telefonicznie z ambasadorem Wieniawą-Długoszowskim w Rzymie. Prosił go, by oczekiwał nań na dworcu w Mediolanie i przygotował się na ewentualną wspólną z nim podróż do Paryża.

*23 września rano* wystawiono w Ambasadzie p. Łepkowskiemu nowy paszport dyplomatyczny, z którym udałem się osobiście o 8,15 rano do min. Gafencu, nalegając nań, by z ważnych względów państwowych zgodził się na wyjazd p. Łepkowskiego do Francji. P. Gafencu kazał natychmiast wystawić p. Łepkowskiemu wizę. Zdołaliśmy otrzymać jeszcze w ambasadzie francuskiej wizę wjazdową, natomiast nie było już czasu na otrzymanie wizy jugosłowiańskiej. Nie mniej przeto p. Łepkowski wyjechał o godz. 10,05 Simplonem do Paryża, a wiza jugosłowiańska przekazana została w drodze telegraficznej na granicę.

Przy pożegnaniu p. Łepkowski prosił mnie usilnie, bym nie opuszczał Bukaresztu do chwili jego przyjazdu do Paryża, skąd mogą być zaraz wiadomości «o rodzinie Koneckich».

*25 września* przed południem nadeszły różne telefoniczne i telegraficzne komunikacje z ambasady w Paryżu świadczące o tym, że zajęto się tam już sprawą tworzenia naszego nowego ośrodka władz państwowych. Później nadszedł tajny telegram «światissime» następującej treści: Proszę zakomunikować natychmiast Panu Prezydentowi R. P. «wszyscy zdrowi Podkomitet» telegrafować natychmiast naszą drogą czy w sytuacji Pana Prezydenta zaszyty zmiany. (—) Wieniawa Długoszowski podpisał Łepkowski.

Po przetelefonowaniu tej depezy do Bicaz otrzymałem stamtąd następującą komunikację do natychmiastowego przetelegrafowania do Paryża: «Proszę poprosić Wieniawę ażeby się zajął rodziną Koneckich (—) Kryński (—) Hartman». Równocześnie adiutanci Prezydenta poinformowali mnie telefonicznie, że Pan Prezydent chciałby wysłać jednego z nich do Bukaresztu do króla z listem, który miałby być doręczony w mojej obecności, w pałacu.

*26 września* od rana podejmowałem różne kroki i załatwiałem liczne telegramy w związku z projektowanym przyjazdem adiutanta z Bicazu. Udałem się w tej sprawie do min. Gafencu, który nie uznał za możliwe udzielić na to swej zgody, chociaż odwo-

ływał się przedtem do premiera i do Pałacu. Oświadczył mi, że będzie najlepiej gdy Pan Prezydent odda zapieczętowaną kopertę do króla prefektowi królewskiemu w Bicaz, który dostarczy zaraz ten dokument najpilniejszą i najpewniejszą drogą do Bukaresztu.

Interweniowałem wówczas w Pałacu i przekonałem się, że sprawa była bezpośrednio referowana królowi. I adiutant króla płk. Russescu oświadczył mi definitywnie, że przyjazd adiutanta z Bicazu uznany został za niemożliwy i że co najwyżej Pałac mógłby się zgodzić, aby list Prezydenta przywiózł jeden z cywilnych urzędników lub członków jego świty. Skoro zakomunikowałem powyższe telefonem do Bicazu dowiedziałem się, że Prezydent Mościcki jest z takiego postawienia sprawy przez stronę rumuńską bardzo niezadowolony i zaleca mi kontynuowanie dalszych starań.

\* Około godz. 15-tej zatelefonował do mnie ambasador francuski, abym był łaskaw zejść jak najprędzej do ambasady, gdyż ma mi niezmiernie pilną i ważną sprawę do zakomunikowania. Pojechałem zaraz do ambasady francuskiej. Ambasador Thierry przyjął mnie w swym biurze. Przed nim na biurku leżała notatka napisana na maszynie. Bardzo przejęty ambasador oświadczył mi, iż otrzymał bezpośrednie polecenie od premiera Daladier złożenia *ustnego* oświadczenia p. Prezydentowi Mościckiemu, że jednak rozumiejąc, iż nie ma szans uzyskania pozwolenia na jazdę do Bicaz doszedł do wniosku, iż może mnie tylko przekazać tę komunikację, prosząc o jak najszybsze podanie jej do wiadomości Prezydenta.

Komunikacja ta brzmiała niemal dosłownie jak następuje:

«Rząd francuski został poinformowany przez Ambasadora R. P. w Paryżu, że Prezydent R. P. desygnował swego Ambasadora w Rzymie jako ewentualnego swego następcę. Proszę natychmiast (d'urgence) zakomunikować ustnie p. Mościckiemu, że Rząd francuski nie mając zaufania do wyznaczonej osoby nie widzi ku żywemu swemu żalowi możliwości uznania jakiegokolwiek rządu powołanego przez gen. Wieniawę (*se voit quant à lui à son vif regret dans l'impossibilité de reconnaître*).

Teraz dopiero zrozumiałem istotny sens tajnej depechy z Paryża Nr 26, która nadeszła do Ambasady poprzedniego wieczoru i została przetelefonowana do Bicazu. Treść jej była następująca: «Proszę zakomunikować natychmiast p. Prezydentowi R. P. *«rodzina Koneckich w porządku»*. Odpowiedzi p. Prezydenta R. P. *«będę oczekiwać dzisiejszej nocy (—) Łukasiewicz»*. Tak więc dopiero przez ambasadora francuskiego dowiedziałem się po raz pierwszy o wyznaczeniu gen. Wieniawy. Stawało się też zrozumiałe dlaczego z Bicazu nalegano tak stanowczo na otrzymanie zezwolenia na przyjazd do Bukaresztu adiutanta p. Prezydenta.

Skomunikowałem się teraz powtórnie z min. Gafencu, prosząc go o zgodę na natychmiastowy mój wyjazd do Bicazu.

Wróciwszy do Ambasady zastałem tam następującą komunikację z Ambasady R. P. w Paryżu: «*Proszę zakomunikować komu należy, że Bolesław gotów wszystko wykonać prosi jednak profesora o rozważenie czy inny wybór nie byłby w danej sytuacji wskazanym.*»

Połączyłem się możliwie jak najprędzej telefonicznie z Biczem, zapowiedziałem swój przyjazd, podałem do wiadomości p. Prezydenta ostatnią komunikację paryską oraz dodałem, «*że nastąpiło veto francuskie na Bolcia.*»

Około godz. 18-tej wyjechałem z Bukaresztu w towarzystwie rady Jerzego Giedroycia do Bicazu. Dotarliśmy na miejsce dopiero 27. IX. około 3-ciej z rana. Zajechaliśmy do hotelu.

27 września rano zgłosiłem się wcześniej do p. Prezydenta. Był on bardzo zatroskany i rozpoczął rozmowę od ubolewania nad stanowiskiem zajęтым przez rząd francuski. Oświadczył, że bardzo nieszczęśliwym jest fakt weta francuskiego przeciw Wieniawie, gdyż zdecydował się na tę desygnację pod ściśle określonymi warunkami, od przyjęcia których był uzależnił to wyznaczenie.

P. Prezydent wyjaśnił dalej, że zostało ustalone, iż gen. Wieniawa wyznaczy ze swej strony iłoży natychmiast swój urząd w ręce ostatecznego kandydata, którego miał mu definitywnie wskazać Prezydent Mościcki.

P. Prezydent tłumaczył tę skomplikowaną procedurę tym, że wobec nikłej ilości działaczy polskich znajdujących się w danej chwili na Zachodzie mógł w pewnym momencie znaleźć się tam właściwszy kandydat od tych, którzy na razie stoją do dyspozycji. Znając gen. Wieniawę, jako człowieka honoru, miał zupełną moralną pewność, że zobowiązania swego dotrzyma i że dołoży wszelkich starań dla utrzymania ciągłości najwyższej władzy.

Ze swej strony starałem się wytłumaczyć Prezydentowi Mościckiemu całą delikatność powstałej sytuacji i wskazywałem na konieczność jak najspieszniejszej ostatecznej decyzji. Poza argumentem, iż współpraca nasza z aliantami musi być bezwzględnie podjęta, kładłem nacisk na niebezpieczeństwo stworzenia jakiegoś faktu dokonanego ze strony Niemców w związku z dającym się przewidzieć lada moment upadkiem broniącej się jeszcze Warszawy.

Rozmowy moje z prof. Mościckim przeciągnęły się przez szereg godzin przed i po południu i nie pozwalały, pomimo wszelkich usiłowań z mej strony, stwierdzić do czego Prezydent zmierza.

Nie zdołałem uzyskać niczego więcej jak tylko obietnicę, że decyzja nastąpi w ciągu najbliższych trzech dni.

Chcąc przyspieszyć ostateczne załatwienie sprawy pozwoliłem sobie zasugerować, że telefonuję do Paryża, celem uzyskania nazwisk ewentualnych dalszych kandydatów, jacy w międzyczasie dojechać mogli do Anglii czy Francji.



W przerwie obiadowej zauważyłem przy wspólnym stole Dyr. M.S.Z. Tomira Drymmera z małżonką, którzy ze Slanic przyjechali na kilka godzin do Bicz.

Wyruszyłem do Bukaresztu w towarzystwie p. Giedroycia pod wieczór i dojechałem do stolicy 28 września wczesnym rankiem.

Dnia 28 września zapoznałem się w Ambasadzie z szeregiem nowych depeš i komunikacji z Paryża. 26. IX, już po moim wyjeździe do Bicz, Ambasada otrzymała telegram od ambasadora Łukasiewicza, który zapytywał czy się porozumiałem z p. Prezydentem i nalegał na natychmiastową odpowiedź, jakie są jego decyzje. Radca A. Poniński oddepeszował na to odwrotnie, że znajduję się u Prezydenta, skąd powrócę nazajutrz oraz dodał, że Ambasada nie otrzymała do tej pory żadnej przesyłki od p. Prezydenta. 27. IX. Ambasador Łukasiewicz prosił telegraficznie zawiadomić p. Prezydenta, że według ostatniego komunikatu Prezydenta Starzyńskiego, Warszawa będzie musiała zakończyć walkę prawdopodobnie nazajutrz.

Informacja ta została odwrotnie przekazana do Bicz.

Ze swej strony nadałem 28 września następującą pilną depeszę do Paryża:

«W związku z wytworzoną sytuacją wskutek sprzeciwu rządu francuskiego p. Prezydent nie wysłał listu do Króla. Prosi o zatelegrafowanie nazwisk ewentualnych kandydatów, których by Francja i Anglia i pewno akceptowały. Obiecuję decyzję za 2 do 3 dni».

Dnia 29 września rano otrzymałem na ten telegram szczegółową odpowiedź podpisaną przez mego brata Edwarda Raczyńskiego, gen. Wieniawę-Długoszowskiego, min. Łepkowskiego i Amabasadora Łukasiewicza.

#### Treść następująca:

«Spośród wybitnych Polaków zagranicą Hlond, Raczkiewicz i August Zaleski jak przypuszczamy nie spotkaliby się z opozycją Francji. Anglia zajmuje w tej sprawie stanowisko neutralne. Wiek i zdrowie Paderewskiego są poważną przeszkodą dla jego kandydatury. Co do Hlonda wszelkie dane, że nie mógłby przyjąć wyznaczenia. Pozwalamy sobie więc przedłożyć kandydaturę Raczkiewicza jako b. Marszałka Senatu i Prezesa Związku Polaków Zagranicą. Ma on największe szanse penetracji opinii polskiej. Nie uważamy za możliwe uprzedniego oficjalnego uzgadniania kandydatów z rządem francuskim i angielskim i sądzimy, że trzeba ponieść pewne ryzyko.

Poprzednie zarządzenie p. Prezydenta zostało ogłoszone w wydanym tutaj kolejnym numerze *Monitora Polskiego*, który wprawdzie nie został rozpowszechniony, natomiast doręczony rządowi francuskiemu i angielskiemu. W ten sposób zarządzenie to uprawomocniło się. Wobec tego następne alternatywne zarządzenie p. Prezydenta R. P. należałoby wydać w sposób przewidziany 17 bm. w Kutach.

W tekście anulowałoby się zarządzenie o Wieniawie-Długoszowskim z tej samej daty. Po otrzymaniu za pośrednictwem Ambasadora R. P. w Bukareszcie decyzji p. Prezy-

denta R. P. nowe jego zarządzenie opublikujemy również w *Monitorze Polskim*.

Otrzymawszy powyższą komunikację, porozumiałem się bezzwłocznie z min. Gafencu, aby go uprzedzić, że muszę natychmiast wyjechać do Prezydenta, na co otrzymałem pozwolenie. Wyjechałem o godz. 14 z minutami w towarzystwie attaché ambasady Bronisława Sobańskiego i około godz. 23-ciej sianąłem przed pałacykiem w Bicz. U wejścia oczekiwał tam na mnie adiutant Prezydenta Kryński i oświadczył, że przed przeszło godziną odebrał nagłą telefon od radcy Ponińskiego z Bukaresztu, który mówił z ambasadorem francuskim i z ramienia ambasadora francuskiego p. Thierry nalegał, abym niezależnie od godziny przyjazdu do Bicz połączyłem się telefonicznie z ambasadą francuską w Bukareszcie, gdyż ambasador francuski ma mi bardzo ważną komunikację rządu francuskiego natychmiast przekazać. Celem odbycia tej rozmowy uzyskano specjalne zarządzenie władz rumuńskich nie zamykania tej nocy połączeń telefonicznych z Biczem.

Udałem się zaraz do merostwa, skąd jedynie można było telefonować. Uzyskanie połączenia z Bukaresztem mimo zarezerwowania linii trwało stosunkowo bardzo długo.

Nie wiedziałem wówczas wcale, że otoczenie Prezydenta zostało przez radcę Ponińskiego ogólnikowo poinformowane o treści tej ważnej komunikacji.

Radca Poniński mianowicie oświadczył, że ambasador francuski na skutek specjalnych instrukcji z Paryża gotów jest byćże nocy wyjechać w jego towarzystwie do Bicz, celem spieszenia koniecznej decyzji, po którą ja udałem się do Bicz.

Kiedy połączono mnie z Bukaresztem nieco po północy, rozmawiał ze mną najpierw ambasador Thierry, stwierdzając, że mówi w obecności Ponińskiego, któremu odczytał poprzednio otrzymane z Paryża takst.

Ambasador oświadczył, że mówi bezpośrednio z polecenia premiera Daladier: *primo* grono poważnych Polaków zgrupowanych dokoła Ambasadora R. P. w Paryżu wysunęło, niezależnie od rządu francuskiego propozycję kandydatury b. marszałka Senatu Władysława Raczkiewicza, *secundo* rząd francuski wita tę kandydaturę z całą zyczliwością i stwierdza, że Rząd powołany przez p. Raczkiewicza będzie uznany i będzie mógł korzystać z wszelkich przywilejów na terytorium francuskim, *tertio* wobec otrzymanych wiadomości o nowym porozumieniu sowiecko-niemieckim rząd francuski nalegałby, aby p. Prof. Mościcki powziął natychmiastową decyzję, gdyż obecna sytuacja grozi poważnymi komplikacjami.

Następnie zamieniłem jeszcze kilka słów z radcą Ponińskim.

Prosiłem adiutanta Kryńskiego aby poinformował natychmiast p. Prezydenta o otrzymanych z Bukaresztu wiadomościach i powróciłem z nim razem do domu zajmowanego przez Prezydenta, gdzie przygotowano mi nocleg. Po upływie dłuższego cza-

su zgłosił się do mego pokoju kpt. Kryński z nowym telefonogramem, otrzymanym od radcy Ponińskiego z Bukaresztu.

Komunikacja ta, zrobiona na podstawie tajnego telegramu ambasadora Łukasiewicza opiewała, że kandydatura p. Władysława Raczkiewicza została definitywnie ustalona i że sprzeciwu nie będzie.

P. Łukasiewicz prosi o depezę lub telefon, że p. Prezydent dziękuje za zajęcie się rodziną Koneckich.

Poprosiłem adiutanta aby natychmiast podał tę komunikację do wiadomości Prezydenta, gdyż nie ma chwili czasu do stracenia.

Po pewnym czasie zameldował się znów adiutant, prosząc «abym powoli się ubrał i przyszedł do Prezydenta».

Zastałem prof. Mościckiego w szlafroku, lecz rzeźkiego i bardzo spokojnego. Robił wrażenie człowieka, któremu kamień spadł z serca. Oświadczył mi na wstępie, że za poprzednią bytnością nie dał mi decyzji pomimo usilnych moich nalegań, gdyż chciał się jeszcze skomunikować z premierem Sławoj-Składkowskim, co też uczynił za pośrednictwem Drymmera. Następnie telefonował ze Sławojem, który w toku rozmowy powtarzał stale dwa nazwiska: Zaleski, Raczkiewicz — Raczkiewicz, Zaleski.

Ustalenie w Paryżu kandydatury p. Władysława Raczkiewicza, jako definitywnej, wita Prezydent z prawdziwym zadowoleniem i nie ma co do niej żadnych zastrzeżeń. Ciężka ta sprawa została więc pomyślnie załatwiona.

Tu p. Prezydent Mościcki zaczął mówić na temat projektowanego listu do króla, z którym powstało tyle trudności i radził się czy wobec zmienionej już sytuacji warto jeszcze taki list pisać i wysyłać.

Odradziłem listu do króla i skorzystałem z tej sposobności, aby przypomnieć prof. Mościckiemu potrzebę zgłoszenia rezygnacji. Prof. Mościcki zasiadł przy biurku i odezwał się mniej więcej w tych słowach «piszmy, niech pan dyktuje». Treść dokumentu, który powstał w tych niezwykłych okolicznościach brzmiała jak następuje:

*«Niniejszym pismem rezygnuję z urzędu Prezydenta R. P. Bicz, dnia 30 września. I. Mościcki».*

Dowiedziałem się później, że tejże nocy Ambasada R. P. w Bukareszcie otrzymała z Biczu polecenie wysłania do p. ambasadora Łukasiewicza w Paryżu, w imieniu Prezydenta R. P., wiadomości następującej treści: *Dziękuję za zajęcie się rodziną Koneckich.*

Otrzymałszy z rąk prof. Mościckiego autograf jego rezygnacji, udałem się na spoczynek.

30 września rano prof. Mościcki wezwał mnie znów do siebie aby się pożegnać. Zgłosił wówczas życzenie wyjazdu do Szwajcarii i prosił o zajęcie się tą sprawą.

Po krótkiej tej rozmowie wyjechałem zaraz do Bukaresztu,

gdzie przybyłem do południu. Zatelegrafowałem natychmiast do Ambasady w Paryżu: «Wróciłem z Biczu z pismem p. Prezydenta następującej treści: *niniejszym pismem rezygnuję z urzędu Prezydenta R. P. Bicz, dnia 30 września. I. Mościcki».*

Dokument wysłałem w dniu 2 października specjalnym kurierem do Paryża na ręce p. Ambasadora Łukasiewicza za Nr 420/39. Odnośna koperta zaadresowana była do p. Prezydenta R. P. Władysława Raczkiewicza.

30 września otrzymałem telefonogram od premiera Sławoj-Składkowskiego ze Słanicu, że Rząd, dowiedziawszy się o rezygnacji prof. Mościckiego, zgłosił *in corpore* swą dymisję i składa hołd nowemu Prezydentowi R. P. Tekst tego telefonogramu przekazałem 1-go października telegraficznie do Paryża z prośbą o zakomunikowanie p. Prezydentowi R. P. Raczkiewiczowi.

Bukareszt, maj 1940.

## Na rumuńskim rozdrożu

### (Fragmenty wspomnień)

#### III

...Nie zapomniano oczywiście i o naszej botoszańskiej grupie. Po kilku zapowiedziach i odwołaniach wyjechaliśmy wreszcie 4 października. Mieliśmy się ulokować już na dłużej w jakiejś dalekiej, nikomu nieznannej Orsovie nad Dunajem. Wysłani na przód kwatermistrze załatwić mieli wszystkie formalności.

..Podróż była ciężka i przykra. Od kilku już dni padał deszcz, przechodzący czasami w gwałtowną ulewę. Fatalne rumuńskie drogi rozmokły i pełne były błota, kryjącego w sobie niebezpieczne wyboje. Samochody nasze — poczciwe warszawskie autobusy — grzęzły tu do połowy kół... Częste przymusowe postoje trwały długo. Wieczorem dopiero dotarliśmy do Focsani, gdzie uprzedzony rumuński Czerwony Krzyż czekał na nas z przygotowanym noclegiem i posiłkiem. Jak wszędzie — tak i tu — na całej zresztą drodze — społeczeństwo rumuńskie okazywało nam bardzo dużo serdeczności i życzliwości. Ludność wiejska — jeśli zatrzymywaliśmy się gdziekolwiek — obsypywała nas owocami, znosiła dla nas chleb, ser, mleko. W miasteczkach działo się to samo — często nawet w sklepikach i kawiarniach nie chciano brać od nas pieniędzy. Ale.. wśród tych jasnych wspomnień tkwią posępny obrazem szubienice, na których dla postrachu, przez wiele dni, kołysały się na wietrze ciała członków «Żelaznej Gwardii», powieszonych w drodze represji za zamach na Calinescu. Widzieliśmy kilka takich szubienic w mijanych miasteczkach. Prasa ówczesna mówiła o 346...

...Po noclegu w Focsani — żegnani najserdeczniej przez panie z Czerwonego Krzyża — wyruszyliśmy o świcie w dalszą podróż. Dzień był słoneczny, drogi lepsze, toteż przed wieczorem jęszcze dotarliśmy do Ploesti. Mieliśmy zanoćować tu, ale władze nie chciały nas przyjąć i kazały nam «jechać dalej». Po kilku godzinach — chyba około dziesiątej wieczorem — stanęliśmy w Pitesti. Wiadomości — nie dobre. Jeden z przybyłych tu na nasze spotkanie kwatermistrzów opowiada, że Orsova — niewielka miścina — wchłonawszy już paruset uchodźców

polskich — nie ma miejsca dla nas. Gdzie indziej — takie same przepelnienie. Można by się ulokować tu — w Pitesti — ale prefekt ani słuchać o tym nie chce. Oświadczył brutalnie, że ma już dość «polskich przybłądów», na uwagę zaś, że mówię do urzędników służby zagranicznej kraju sojuszniczego, — odparł po chamsku: *La Pologne n'existe plus*. Nie chciał zgodzić się nawet na nasz nocleg w mieście, każąc «wynosić się czym prędzej». Z pomocą nieoczekiwaną przysłał jednak ludność miasteczka. Mimo późnionej pory — do kawiarni, gdzieśmy czekali na «wyrok» pana prefekta — zbiegli się poczciwi Rumuni, zapraszając do siebie. Inni udali się z protestem do prefektury. W rezultacie — każdy z nas stawał się na kilka dni gościem jakiegoś rumuńskiego domu. Nas z Marysią prawie przemocą — bo po kłótni z innymi Rumunami — zagarnął dla siebie jakiś bardzo poczciwy grubas; z gestów jego — nie z niezrozumiałych słów — wynikało, że jest oburzony nie tylko na prefekta — groził pięścią, szarpał się za uszy, by pokazać, na co według niego zasłużyli Anglicy i Francuzi za swój we wrześnie stosunek do Polski. Wśród tych potępień zaprowadził nas przez ciemne uliczki do siebie. Zamożny dom, miła pani, dwie dorastające córeczki. Nie wiem, czy matka mogłaby okazać nam więcej serca i ciepła. Czekająca na nas kąpiel, czysta pościel, obfita kolacja — w pokoju przy łóżku kosz owoców, czekolady, słodyczy... Przez cztery dni dom cały żył tylko troską o nasze wygody. Wypytywano, co mieć chcemy na obiad, a co na kolację, wywożono autem na spacer daleko za miasto. Porozumiewaliśmy się z rodzicami przy pomocy małej, zaczynającej dopiero mówić po francusku córeczki. Zaproszono więc parokrotnie na obiad Rumunów, mówiących po francusku. Pan domu — w przededniu naszego wyjazdu — przyszedł do mnie z «wielką prośbą» — czy nie mam w walucie polskiej tysiąca złotych, bo musi właśnie w złotych komuś za coś zapłacić. Był to wzruszający w swej treści podstęp, bo gdy mu dałem bezwartościowe już właściwie dwa banknoty polskie — usiłował zmusić mnie do przyjęcia 50 tysięcy lei, bo tyle wypadało według przedwojennego kursu. Gdyśmy po czterech dniach pobytu — musieli wyruszyć w dalszą drogę, dom cały zerwał się o piątą nad ranem. Po wspólnym śniadaniu — odprowadzono nas mimo ulewnego deszczu do naszych autobusów. Służąca przyniosła tu olbrzymią paczkę na drogę — drób, wędliny, ser, owoce, ciasta, czekoladę, wino, koniak...

Brutalny prefekt postawił na swoim — nie pozwolił nam tu zostać. W niechęci swojej do nas — aby się jak najprędzej nas pozbyć — ułatwił Kawalcowi i kwatermistrzom poszukiwanie miejsca dla nas. W rezultacie wypadł dla nas niezbyt już stąd odległy Turnu-Severin. Miasto dość duże, czyste, starannie na ogół utrzymane. Szeroki, majestatyczny Dunaj tworzył tu granicę państwową — na przeciwnym pustym brzegu była już Jugosławia. Ulokowano nas na przydzielonych przez policję kwaterach, za które mieliśmy sami już płacić. Ludność, jak

wszędzie, w stosunku do nas przyjazna, życzliwa, nawet serdeczna. I tu przez dłuższy jeszcze czas w sklepikach i po kawiarniach często nie chciano przyjmować od nas pieniędzy lub wpychano nam do rąk jakieś bezpłatne dodatki. Nie mogliśmy też narzekać na stosunki z władzami. Prefekt w każdej sprawie w pierwszej chwili, bałkańskim zwyczajem, na wszelki wypadek odpowiadał: nie! Ale po paru minutach rozmowy godził się już na wszystko. Był to jeden z nielicznych w Rumunii przykładów, gdzie można było bez łapówki uzyskać prawie wszystko, co się chciało w sprawach osobistych i zespołowych. Gorzej było z policją — komisarz jej widział w nas bogate dla siebie żerowisko.

Licząc na dłuższy pobyt — przystąpiliśmy od razu do organizacji życia zespołowego. Sytuację naszą materialną trudno byłoby nazwać świetną — każdy z nas wymienić mógł tylko 300 zł. Wypłacono nam wszakże w lejach ostatnią — zredukowaną zresztą — gażę za październik. Rumuni zapowiedzieli, że — mając w zastawie jakąś niewielką część złota Banku Polskiego — zaczną od listopada wypłacać zasiłki po 100 lei dziennie na osobę. Nie było to wiele, ale na skromne życie wystarczyć mogło w zupełności.

W wynajętym lokalu utworzyliśmy swój, pożałuj Boże! — klub. Zorganizowaliśmy własną kuchnię. Panie podzieliły role między sobą — jedne gotowały, inne sprzątały i usługiwały do stołów w czasie posiłków. Niebawem powstała też nasza «kawiarnia», funkcjonująca po południu i wieczorami. Kawalec przez brata swego, pracującego w konsulacie w Budapeszcie, sprowadził sporo książek polskich. Kupiliśmy aparat radiowy, zaczęliśmy wydawać w maszynopisie codzienny «przegląd wiadomości». Na mnie spadał przy tym obowiązek zorganizowania akcji odczytowej. Kawalec — jako szef naszego zespołu — siłą tego faktu został delegatem powstającego w Bukareszcie Centralnego Polskiego Komitetu Pomocy. Skupieni w Turnu-Severin Polacy, a było ich poza naszym zespołem — kilkuset, w różnych swoich sprawach zgłaszali się do tej delegatury. «Klub» nasz był więc stale obleżony przez tłumy interesantów i petentów. Za zgodą nas wszystkich Kawalec, nie mający jeszcze żadnych funduszy na akcję charytatywną — ludzi naprawdę biednych i głodnych kierował do naszej kuchni. Zdarzały się dni, gdy wydawaliśmy po 50 i nawet więcej obiadów bezpłatnych. Dla «klubu», liczącego około 120 członków, musiało to być poważnym obciążeniem, ale nikt z nas oczywiście żadnego sprzeciwu nie zgłaszał; zbuntowały się tylko niektóre panie, nie chcąc obcym gościom usługiwać. Gorzej, że ta nasza w poczuciu społecznego obowiązku udzielana pomoc została najopaczniej zrozumiana przez otoczenie. Wielu rodaków — bez najmniejszych ku temu podstaw — łącząc w jedno delegaturę Komitetu z naszym klubem — domagało się dla siebie posiłków bezpłatnych. Odmowy — nieuniknione przy tak masowym zgłaszaniu się — wywoływały często przykre awantury. Raz wybito nam

szyby, kiedy indziej — w początku listopada, gdy Rumuni zwlekali z wypłaceniem pierwszego zasiłku — tłum awanturników zdemolował naszą kuchnię i wyważył drzwi do spiżarni, gdzie — wbrew pogłoskom o niewiarogodnych zapasach — znalazł tylko worek ziemniaków i kilka główek kapusty. Rozbito nam przy tej «okazji» nasze radio. Wyróżniła się w tym znana już nam z Botosani, bardzo przездzona, ale jeszcze dość liczna gromada awanturniczych pocztowców.

...O Polsce — o jej życiu pod okupacją — dowiadaliśmy się tylko z radia. To, co nadawano wówczas po polsku z Londynu i Paryża czy Tuluzy, było niekończącym się makabrycznym opisem ogromu zniszczeń i ofiar, nędzy, chorób, cierpień i udręczeń wśród ruin i mogił, poniewierki, prześladowań, mordów. Nie każdy z nas mógł tego słuchać. Jeden z kolegów słusznie nazwał to «moralnym rozpianiem ludzi na krzyżu». Gdy żyliśmy pod tak potwornym ciężarem nieszczęścia, gdy serca i dusze pełne były męczącego niepokoju i trwogi — z głośnika radiowego padały co dzień kamienie, zabijające w niejednym resztki nadziei i ufności. *Vae victis!* Wpływ tej nieudolnej propagandy był tak wielki, że — pamiętam — gdy zaczęły wreszcie przychodzić pierwsze kartki, a potem i listy z Warszawy, ludzie z odcieniem radosnego zdumienia stwierdzali, że jednak nie wszyscy tam zginęli, że ocalała niejedna rodzina, że uratował się niejedyn dom — niejedna ulica i dzielnica!... Czyż potrzeba było uczyć tą drogą Polaka nienawiści do Niemców? Ta — nieudolna — propaganda była w dodatku jednostronna. Mówiono przede wszystkim i prawie zawsze tylko o Niemcach. O Rosji — o życiu polskim pod okupacją sowiecką — mówiono mało. Właściwie — nie mówiono nic. Czy było to skutkiem słabszego dopływu wiadomości z bardziej hermetycznie zamkniętego obszaru? Czy działała nieświadoma być może jeszcze ręka tych potencjalnych agentów Moskwy, których — jak to pokazały wypadki późniejsze — pełno było, niestety, w otoczeniu Sikorskiego...

Z Paryża wogóle nie było wiadomości pocieszających. Wszyscyśmy uznawali nowy rząd polski za jedyną prawowitą władzę. Wszyscyśmy gotowi byli zapomnieć o dzielących nas różnicach, czy przepaściach nawet — i skupić się wokół tego rządu — w jednym wielkim ogólnonarodowym wysiłku obronnym. Wszyscyśmy gotowi byliśmy oddać do jego dyspozycji naszą wiedzę, doświadczenie, siły, krew, nawet życie. Nikt nie sądził, aby w tak ciężkim okresie zagrożenia narodowego, można było prowadzić jakąś walkę z tym rządem — zwłaszcza na gruncie obcym. Na walkę więc, na porachunki nie czas w obliczu narodowego nieszczęścia i toczącej się, tak ciężkiej dla nas wojny. Dopóki wojna trwa — trwać musi *treuga Dei*...

...Ale trudno nam było o poczynaniach tego rządu dowiadywać się bez rosnącego stale zdumienia, bez pogłębiającego się co dzień niepokoju. Rozumieliśmy wszyscy, że w polityce, zwłaszcza w ogniu wojny, liczą się przede wszystkim siły materialne.

Rzecz jasna — po tragicznym wrześniu, po klęsce, po całkowitym rozbiciu naszej armii i po wyparciu władz naczelnych z kraju — pozycja Polski wśród aliantów musiała bardzo poważnie się obniżyć. Czuliśmy jednak, że przekształca się to w niehamowany «zjazd po równi pochyłej» — i coraz dalej poza granice, jakie usprawiedliwić czy uzasadnić można było naszą klęską. Rząd nie hamował tego niebezpiecznego procesu, nie zatrzymywał go, przeciwnie — w dużej mierze przyczyniał się do jego przyspieszenia i pogłębienia.

Bo wszystko, co z dalekiego Paryża napływało do naszego Turnu-Severin, wszystko świadczyło coraz wymowniej, że nowy rząd pozwolił od razu, z miejsca, zepchnąć siebie na pozycję trzeciorzędna, na stanowisko ubogiego krewnego. Dźwięczał w radio coraz głośniejszy niebezpieczny kompleks niższości, tryskała nadmierna, niezdrowa, ślepa wiara w doskonałość obcych wzorów, w nieomyślność obcych doktryn, metod, środków. Ubogi krewny — z jego wynaturzonym zaufaniem, z jego pojednawczością, uległością, zgodą na wszystko! Do czegoż to doprowadzić mogło? Suwerenność nosi się w sercu, nie szuka się jej po korytarzach obcych potęg. W korytarzach takich znaleźć można tylko liberię lokaja. I gdy ktoś godzi się czy chce podawać panu płaszcz — bierze w napiwku, brać musi zarówno 2 złote, jak i 20 groszy. Może się cieszyć, że dostał więcej, martwić, że dano mu mniej. Ale upominać się o swe prawa? żądać? krzyknąć? — w razie potrzeby uderzyć pięścią w stół? Oczywiście — po klęsce, w zmiennej sytuacji, postulaty polskie musiały być bardziej elastyczne, niż przed katastrofą, teraz wszakże ta «elastyczność» wynaturzała się w upokarzającą formę — ślepego serwilizmu...

...Z ludzi, tworzących rząd i stojących tuż przy nim — oświście znałem niewiele. Ale dźwięk skupionych tu nazwisk budził roje niewesołych, niepokojących reminiscencji historycznych. Przypominały się dobrze mi znane ze studiów czasy pierwszej wojny światowej, Legionów, krakowsko-piotrkowskiego N.K.N., jego słynnego departamentu wojskowego i inspektoratu werbunkowego — przypominały się też czasy późniejsze — rok 1920 — i pierwsze lata naszej niepodległości. Iluż to ludzi w tej przeszłości — nie wierząc w siebie, nie wierząc w społeczeństwo, w naród i kraj — stawiało wszystko na obcą kartę — z początku austriacką, potem niemiecką, wreszcie francuską? I iluż to tych niefortunnych graczy siedziało teraz w naszym rządzie i dookoła rządu? Starałem się nieraz w swych niespokojnych myślach przeliczyć, kto z jego członków miał naprawdę choć trochę doświadczenia w pracy państwowej? Wynik tych obliczeń prowadził niezmiennie do stwierdzenia, że olbrzymią większość jeśli nie ilościową, to gatunkową w ramach rządu tworzyli ludzie, mający za sobą jedynie długie okresy pracy w różnych komitetach z epoki pierwszej wojny światowej. Wracał też do polskiego działania politycznego styl «komitetyowy». Jeden z przyjaciół w liście z Paryża stwierdzał, że pre-

mierem polskim nie jest Sikorski, tylko — ambasador Noël. Inny z przyjaciół — na marginesie wiadomości o wymianie wizyt między Sikorskim a Beneszem — ubolewał, że — niestety — Czeși, mając tylko «komitet» — postępują tak, jak gdyby mieli rząd, Polacy zaś — mając rząd — zachowują się tak, jakby reprezentowani byli przez «komitet»...

Kompleks niższości w stosunku do obcych łączył się tu z przerażającym lekceważeniem wszystkiego, co polskie. Objawiało się to w kilku formach. Przede wszystkim — w bezrozumnym przekreślaniu całego dorobku ostatnich kilkunastu lat. Całkowita negacja — odrzucenie całego dorobku państwa! Według krzyków z Paryża — w okresie tym nie było nic prócz wielkiego i jaskrawego błędu. Teraz się zacznie nowa Polska i jej nowa polityka. Wszystko, co było dotąd — było złe, było tylko jednym pasmem głupstw, teraz dopiero zacznie się działanie rozropne, przewidujące, rozsądne, mądre. Nie dostrzegano w tej megalomanii szkodliwości takiego nonsensu, nie rozumiano nawet bezpośredniego niebezpieczeństwa w takim przewróceniu karty w księdze najnowszych dziejów Polski i rozpoczęciu wszystkiego od nowej, czystej strony. Bo czyż nie było to zachętą zarówno dla wrogów, jak i przyjaciół, by również śpieszyli tu z własnym piórem? Jeśli Polska ma być nowa i wszystko w niej nowe — to dla czegoż miałyby obowiązywać stare umowy, dawne prawa i obowiązki? Dlaczego — jeśli wszystko było błędem — za bezbłędne uważać sprawy granic i sprawy stosunku innych krajów do Polski?

Linia polityczna państwa — jego własna, odrębna racja stanu jest zabarwiona cechami narodowego charakteru interpretacją narodowych czy państwowych celów, potrzeb, konieczności. Wyrasta ona z głębi wieków i w głąb wieków ucieka. Zawsze i wszędzie — w Anglii np. czy we Francji, po największych nawet wstrząsach rewolucyjnych — biegła w tym samym kierunku, co przez wieki poprzednie. Nawet komuniści rosyjscy odziedziczyli ją w spadku po obalonym caracie. Nie można łamać jej bezkarnie. Kto ją złamać próbuje — nie zadziwi świata, co najwyżej — własnymi rękoma zbuduje pomnik własnej małości i głupoty. Rumak, na którego tacy nowatorzy każą wsiadać narodowi, a który — według bezapelacyjnych twierdzeń — ma lekko przeszkoczyć wszystkie przeszkody, okazuje się zawsze Rosynantą Don Kiszota — ślepą, kulawą, dychawiczną szkapą, która — jeśli nie zawozi narodu na ementarz, to dlatego jedynie, że sama w połowie swej drogi pada. Któraż z dwóch linii polskich — tamta przedwojenna, czy ta powrzesniowa — była słuszna? Która była dalszym ciągiem, a która nieobliczalnym skokiem w bok? Nie myślę przytaczać tu dowodu prawdy. Prawda jest oczywista — tak, jak oczywista jest różnica między Piłsudskim a Sikorskim.

...Zmieniano linię polityczną... Arogancka pewność siebie spletała się, nie — raczej się zlewała ze ślepa, głucha nietole-

rancją, tym niebezpieczniejszą, że uzbrojoną we wszystko, co dać mogła pełnia władzy. Jakżeż często w tym cichym Turnu-Severin wracał do mnie i jak natrętnie dźwięczał przed stu laty przez Mochnackiego rzucony okrzyk, że jeśli Polska zginie, to nie dla braku cnót heroicznych, lecz tylko dzięki «terroryzmowi nierozumu»...

...Zmieniano linię, a ileż było przy tym w stosunku do poprzedniej gwałtownych zarzutów, ile namiętnych oskarżeń i potępień — jakie wrzaski prokuratorskie! Toczyły się fale oszczerstw, obelg, zniewag, inwektyw — rosły grudy błota i stopy śmieci! Z jakąż to zawziętością i zaciekłością, z jak dziwnym i niepoczytalnym zapalem obdzierano nasze wczoraj z wszelkich elementów zasługi, z wszelkich cech mądrości, wielkości i bohaterstwa! Tak, — i bohaterstwa! Bo nie oszczędzano i wrześnie — naszej bohaterskiej walki i oporu w całkowitym osamotnieniu. W walce tej nie widziano nic prócz niedoświadczenia, niekompetencji, zaniedbań i nawet zdrady. Widziano tylko bezgraniczną hańbę. *C'est une folie de manger des glands quand on a du blé*. Istotnie, trzeba być szaleńcem, by upijać się aż do obłądzenia urojoną hańbą — gdy dookoła pełno realnych klejnotów. Ileż w tym mimowolnej — ale przecież niewątpliwej pomocy dla wrogów, w ich propagandowym wysiłku, ileż ciężkich kłód, rzucanych nieopatrznie pod nogi własne — ileż tu argumentów dla przebiegłych przyjaciół i dla lekceważących protektorów! I jaki to niepoczytalny szturm do polskich serc i umysłów, by osłabić w nich obraz Polski, wydrzeć z nich wartości moralne, pchnąć je bezrozumnemu ku przepaści zwątpienia i abnegacji. I cóż to dawano ludziom — wzamian za te wszystkie druzgotane stare, mocne spoidła?..

Wywieszono obłudnie hasło «jedności narodowej» — w rzeczywistości zaś rozwinięto sztandar maksymalnego partyjnictwa, polityki manifestacyjnej wojny domowej — polityki porachunków i zemsty osobistej. Tym celem służyć miała powstająca w Paryżu «komisja dla rejestracji faktów i zbierania dokumentów», mających obciążyć «sprawców kłęski» i «winiwawców» — wykazać ich «zbrodniczą lekkomyślność», ich «bezgraniczną głupotę». Tworzono przy powstającym wojsku obóz karny, do którego zamykano ludzi za to tylko, że mieli odwagę mieć swoje przekonania i nie chcieli, nie byli w stanie się zhańbić przez pospolitą zdradę wobec siebie samych przede wszystkim. Orgie oskarżeń i donosów. Gospodarze — Francuzi patrzają na to ze zgorznięciem: *Drôle de nation!* — mówi jeden z nich, wysoki urzędnik z Quai d'Orsay, — *ils sont venu ici en mendiant et la première chose qu'ils ont réclamé c'était des tribunaux et des camps de concentration!*...

W bliższym nas Bukareszcie nie było lepiej. Szalał Poniński i Zakrzewski. «Czarna lista» osób «niepożądanych», podejrzanych, szkodliwych — rosła, wydłużała się bez końca. Kto na tę listę trafił — wyjechać z Rumunii nie mógł, bo ambasada i konsul francuski wydawał wizy tylko na podstawie kartki pole-

cającej z ambasady polskiej. Zamykało to dla wielu drogę nie tylko do służby Polsce, ale i do walki o nią, walki, która jest bezspornym prawem każdego. Rządy wszakże Ponińskiego i Zakrzewskiego to tylko «miłe złego początki». Bo oto gdzieś w październiku pojawił się w Bukareszcie profesor Kot. Przybywał ze Lwowa, spod okupacji sowieckiej. Drogę przez zieloną granicę miał ułatwioną, bo przyjaciele z Paryża postarali się o najpewniejszych przewodników i przygotowanie najbardziej bezpiecznych warunków. Zaraz po przybyciu przystąpił Kot do pracy. Rozpoczął się na naszych oczach budowanie zapowiadanej «nowej Polski». Symbolem jej stawał się przemysłny aparat, pociągający ludzi do upodlenia. Rozpoczęło się od mobilizacji spryciarzy, kombinatorów, intrygantów. Stworzono z nich wewnątrz społeczeństwa uchodźczego gęstą sieć szpiegostwa — istne rojowisko tajnych i jawnych agentów — z systemem podglądań, podsłuchiwań, śledzeń i badań, donosów, paszkwili, oskarżeń, insynuacji — a wszystko to z pokusą natychmiastowej nagrody w formie pieniężnej, posadki w biurze, wyższego nawet stanowiska. Kot — po zmontowaniu takiego aparatu, — udał się do Paryża, by stać się tam nie tylko wszechpotężną emnencją, ale i głównym motorem deprawacji w życiu uchodźstwa. W Bukareszcie pozostał K. Aleksandrowicz, przybyły ze Lwowa z Kotem jednocześnie. Działać tam też zaczęła niebawem — pod prezesurą Piernikowskiego — filia paryskiej Komisji Badawczej, która tą samą drogą — zachęcania do zdrady i delatorstwa oraz obietnicy nagrody — zbierała materiały, mające obciążać nie tylko «sprawców kłęski wrześnieowej». Śledztwa, przestępciwania, protokoły — zbieranie wszelkich plotek i pogłosek, kłamstw, domysłów i pospolitych bredni nawet w takich sprawach, jak zaginięcie Zagórskiego i śmierć żandarma Koryzmy.

Jak się ustosunkowało społeczeństwo uchodźcze do takich przejawów mającej nadejść «nowej Polski»? Przede wszystkim — jak wyglądało to społeczeństwo?

Niestety, — do bardzo nielicznych wyjątków należały tu jednostki silne, mające tylko jedno słowo i nie uzależniające swych przekonań od tej czy innej koniunktury, jednostki, które wyjść mogły z katastrofy wrześnieowej wprawdzie z sercem zranionym i krwawiącym — ale bez rewolucji wewnętrznej, z nienaruszonym światem dawnych przedwojennych poglądów, wierzeń i zasad. Dołączać będą do nich z czasem nie o wiele liczniejsi «zmarłychwstańcy» właściwie — ludzie słabsi, którzy pod ciężarem katastrofy i doznanych wrażeń ugną się i załamią, przeżyją straszliwy okres chaosu w głowie a popłochu w uczuciach, chwiać się będą, jak trzcina na wicherze, ostatecznie jednak ochłoną i otrząsną się z tych pierwiastkowych wrażeń i z uczuciami syna marnotrawnego wracać zaczną do swej pierwotnej postawy. Jedni i drudzy stanowić będą mniejszość — znikomą, ale przecież odporną i nawet nieprzystępną w rozlewającym się coraz szerzej morzu moralnego zdżyczenia. Zespół o wiele liczniejszy tworzyli zwykli oportuniści, którzy już i da-

wniej — w dobach jawnych czy ukrytych kryzysów umieli bardzo łatwo i zręcznie przechodzić z jednej strony na drugą, zachowując dotychczasowe zdobycze i przywileje i sięgając zręcznie po nowe. Teraz pośpieszą zrobić to raz jeszcze. Przejorni i roztropni — jak dawniej, tak i teraz — nie spalą wszystkich mostów za sobą, bo i ktoś może wiedzieć, jakie zmiany jutro przyniesie? Zostawia więc sobie różne furtki, gromadzić będą różne listki figowe, okoliczności rozgrzeszające, usprawiedliwienia wymowne — bogaty, wypróbowany, niezawodny snop sztucznych światła i cieni. Tuż za nimi — obok nich — toczyła się wrzaskliwa gromada serwilistów i lizusów, podleców i nikczemników, zawsze sprzedając gotowych swe «najświętsze przekonania», sprzedając całe «sumienie» nie za łyżkę stawy nawet, lecz za różnicę między łyżką stawy skromnej — a stawy trochę lepszej. Pozostała, olbrzymią większością tworzył tłum ludzi małych i szarych, zamykających przekonania swe i zasady właściwie w miernej trosce o kawał chleba i dach nad głową. Każdy tu oszołomiony jest nagłą katastrofą, przytoczony ciężarem narodowego i osobistego nieszczęścia, przybity i zdruzgotany. Każdy — przyzwyczajony od lat do własnego kąta i comiesięcznej pensji, teraz zaś wyrzucony na szerokie gościńce «świata», na obcy, obojętny bruk — znękany jest i bezradny, bezbronny całkowicie wobec niepewnego jutra i strasznych jego spraw, zatrwożony — jak dziecko, zablakane w ciemnym lesie czy mgłę. Myśli o chlebie i dachu, wzrokiem szuka przede wszystkim tych, którzy wyciągną doń misę pełną jada...

Poszukiwanie winnych jest procesem nieuniknionym po każdej klęsce i katastrofie. Tak było zawsze i wszędzie — i nie tylko w Polsce. Zawsze i wszędzie — z rzadka istotni, najczęściej domniemani tylko sprawcy nieszczęścia stać muszą pod publicznym piętrzem, pod ciosami zewsząd lecących zarzutów i oskarżeń.

Czasami — bezpośrednio po klęsce, na świeżych jeszcze jej gruzach — oburzenie, gniew, rozpacz uderzają w winnych czy w uznanych za winnych łoskotliwym piorunem rewolucji. Niekiedy — częściej — kłębią się, pienią, fermentują długo, przez pokolenie całe, nieraz — dłużej, aż do nowego wstrząsu. Zawsze jednak — i w pierwszym, i w drugim wypadku — spotykają się i splatają ze sobą dwie siły — nierówne, różniące się swoją treścią, zgodne wszakże w kierunkach. Jedna z nich — to osobista rywalizacja przeciwników, którzy — nieraz słusznie — sądzą, że potrafiliby rozsądniej, a więc i lepiej pokierować biegiem spraw. Siła druga wyrasta z oszołomienia zawiedzionych w swoich nadziejach «szerokich warstw». Literatura nasza, zgodnie z prawdą historyczną z postacią wielkiego króla, Władysława IV, związała pełne gorzkiej prawdy słowa: «Nic się prędzej nie odmienia jak afekta pospolitej rzeszy — tłumna miłość na bystrym koniu jedzie i łatwiej we wzgardę się odmienia niżli dzień w noc»... Wielki król, dźwigający na swym czole cztery korony, nie był w dziejach naszych wyjątkiem...

A skoro tak było zawsze, skoro tak było wszędzie, to i teraz — po naszym wrześnie — nie mogło być inaczej. Tym razem wszakże zatoczyło to krąg znacznie szerszy, niż kiedykolwiek — bezprzykładny. Nigdy dotąd i nigdzie zmiana sytuacji politycznej i wyrosła stąd zmiana poglądów i ocen nie pociągała za sobą tak głębokiego załamania się i tak gwałtownego kruszenia się podstaw moralności i etyki — nigdy i nigdzie nie pchała ludzi z taką siłą do tak jaskrawej deprawacji.

Dlaczego tak się stało?

Spójrzmy na ludzi, trzymających upragnioną przez bezdomny tłum misę z jadem.

Nie najbardziej to światli «duchowi wodzowie» krajowej opozycji, nienajlepsi politycy, domorośli wizjonerzy, deklamujący fanfaroni, niezrównani mistrzowie autoreklamy — ludzie — że użyję Berentowego określenia — o widnokregu zamroczonego krańcówą nienawiścią. Bo przecież — wychodząc z Polski — wynieśli w swojej torbie na tułaczkę po ziemi cudzej przede wszystkim wspomnienie swoich kiedyś zawiedzionych nadziei, ambicji i rachub, niewyżytych pasji, zadawnionych uraz, upartych uprzedzeń i niezałatwionych porachunków. Teraz właśnie chcą z tym багаżem swoim zrobić porządek. Zawsze mi się zdawało, że ludzie ci nie rozumieli, a nawet jakby nie dostrzegali wcale rozwijającego się dramatu dziejowego. Widzieli przede wszystkim, że oto jakiś potężny huragan zmiotł nagle zienawidzoną «sanację». Zajawszy jej stanowiska — troszczyli się przede wszystkim o to, by swą pozycję umocnić, przeciwnika powalonego już dobić. Gdy szła burza — gdy świat stary konał, a nowy się rodził — oni ciągle byli zamknięci w ciasnym podwórczku.

W klęsce, która ciężarem nieporównanego nieszczęścia spadła tak nagle na naród i kraj — ujrzeni wymarzoną dla siebie podstawę, — w nastrojach, przez tę klęskę zrodzonych — w psychozie oskarżeń, sądzenia, potępienia dostrzegli wytęsknioną wodę na swój niesławny młyn. Ileż to siły i energii pochłonęła tutaj próba pogłębienia i rozszerzenia tych nastrojów w wyrzucenym z ojczyzny tłumie powrześniowych rozbitków! Tej nieobliczalnej akcji nie można tłumaczyć tylko oszołomieniem powrześniowym czy srodze doświadczonego uczuciem patriotycznym. Działała tu polityczna krótkowzroczność, głęboka dezorientacja, rażąca ignorancja, nierzadko zaś i pospolita głupota — przede wszystkim zaś i zawsze obawa, by w dalszym rozwoju wydarzeń nie stracić spadłych niejako z nieba stanowisk, tek i tytułów na rzecz poprzedników właśnie.

Ponure plony tej akcji były tym większe, że przy nowym — emigracyjnym — rządzie tworzyć się zaczął od razu niebezpieczny zespół współpracowników. Każdy nowy rząd — każda nowa władza — demoralizuje pewny gatunek ludzi. Każdy nowy rząd — wbrew swej woli najczęściej, wbrew swoim intencjom — działa, jak potężny magnes, na tkwiące w społeczeństwie, najmniej wartościowe elementy. Od siły moralnej rządu zależy

większy czy mniejszy dopływ tych elementów. I trzeba stwierdzić, że rząd polski na emigracji nie hamował wcale i nie myślał hamować tego dopływu. Przeciwnie — drzwi i okna na ścieżaj otwierał, w złudnej nadziei, że zdoła z lizusów i delatorów stworzyć tak potrzebny dla siebie «aparatus polityczny».

Wypełnili oni szalenie wszystkie ośrodki — wszystkie urzędy i komórki, wdarli się na niejedno stanowisko wpływowe i kierownicze nawet, — i wyczuwając dobrze, czego życzy sobie nowy ich Olimp — tworzyli nowy «styl życia» — «nowej Polski».

Sztandar maksymalnego partyjniactwa nigdy i nigdzie nie wznosił się tak wysoko, jak za tych parysko-angerskich czasów. Nigdy i nigdzie nie było więcej kłamstwa i obłudy w hasła «jedności narodowej».

...W okresie naszego pobytu w Turnu-Severin obrzydliwe to błoto jeszcze nie docierało do nas bezpośrednio. Echa jego wszakże grały coraz mocniej. W końcu października nowy rząd udzielił «aż do czasu powrotu normalnych warunków» bezpłatnego urlopu wszystkim urzędnikom, którzy opuścili kraj. Urlopowani mogli być powoływani do nowego «szczępłego» aparatus państwowego w drodze przez zawarcie z nimi «umowy o pracę w służbie państwowej». Reakcja była bardzo silna — oburzenie, przynębnienie, popłoch. Dla olbrzymiej większości był to cios, druzgocący brutalnie wszelkie rachuby i nadzieje na jakieś spokojne, zabezpieczone przetrwanie. Czuli się — w swej bezradności — jak zagnęta, a po wrześniu już po raz drugi, wyrzuceni na bruk. Zrozumieli też dobrze najistotniejszą tendencję tego zarządzenia: nowy rząd, niszcząc aparaturę państwową, w uproszczony sposób, za jednym zamachem pozbywał się «elementów niepożądanych». Zapowiedź możliwości zawarcia nowych umów stawała się sitem, przez które przecisnąć się mogły jednostki bezbarwne, potulne, przerażone swoim losem, strachliwe, pokurczone psychicznie. Spowodowało to rozbitcie zgodnego dotąd naszego zespołu na trzy nierówne części. Mniejszość — niezbyt zresztą mała — nie widząc dla siebie miejsca w służbie w nowych warunkach i w nowej atmosferze — wykreślała z wszelkich swoich rachub zarówno ambasadę w Bukareszcie, jak i centralę w Paryżu. Młodszy wśród nas nie tracili jeszcze nadziei na wyjazd do szeregów wojska, paru starszych odkładało decyzję na później. W grupie drugiej — dość szczupłej — służyli najczęściej: «prosić nie będę, powołają do służby — dobrze, a jeśli nie, lub jeśli każą włączyć w to ich błoto — zostają tu, bo przecież i tu żyć można». Pozostała większość — bezradna i bojąca się jutra — nie przestawała patrzeć z nadzieją w stronę Bukaresztu. Jedni wysyłali błagalne listy do znajomych, kolegów czy przyjaciół, którzy zdążyli już gdzieś — jakoś — o coś się zaczepić. Inni — w tajemnicy, lub udając chorobę — znikali nagle na kilka dni: w Bukareszcie w ambasadzie

godzinami czatowali na schodach, sterczeli po korytarzach, prosili, błagali, zaklinali, przekonywali; — z jakąś mglistą obietnicą wracali do Turnu-Severin, czekali na listy i po pewnym czasie znikali znów. Ci żyli wśród nas z hasłem na ustach: — «trudno, trzeba i z tym się pogodzić!»... Wszyscy prawie uważali się za «urzędników tylko» — cóż ich obchodzić mogą jakieś walki wewnętrzne, wszystko jedno — kto rządzi na górze, aby tylko mieć «papierki do załatwienia». Niektórzy — bardziej szczerzy — zwierzali się czasami: «przekonania? poglądy? — konwenanse? — wszystko to rzeczy piękne, ale, panie kolego, — przecież ten bagaż na nie się tu przydać nie może! — Nie ułatwi borykania się ze złymi wiatrami, tylko przyspieszy opadnięcie na dno... Trzeba jakoś żyć, jakoś przetrwać, jakoś przez to wzburzone morze dopłynąć do spokojnego brzegu»... Zdarzały się wypadki całkowitych, nagłych metamorfóz: ktoś pewnego dnia «nagle» przychodził do «przekonania», że się «mylił» przez całe życie, że dopiero teraz dojrzał prawdę — poczuł w sobie ideowe pokrewieństwo z rządzącym kierunkiem...

Ale i ci nawet — skłonni do najdalszych kompromisów i największego naginania sumienia — nie byli pewni aż do ostatniej chwili sukcesu w swych zabiegach. Toteż — tkwiąc jeszcze wśród nas — zachowywali się dyskretnie — nawet z pewnym zażenowaniem, dbając usilnie o utrzymanie pozorów, że nie się właściwie w stosunkach nie zmienia — że wszystko jest, jak dawniej. Toteż mimo wyraźnego rozbitcia naszego zespołu, żyliśmy bez zgrzytów, bez tarć i burz. W długich dyskusjach — nawet najbardziej gorących — nie przekraczano nigdy granic, zakreślonych przez dobre wychowanie...

...W trwających bez końca dyskusjach borykano się najczęściej z dwoma problemami — naszej przedwojennej polityki zagranicznej i kampanii wrześniowej. Słyszało się nieraz zastrzeżenia i wątpliwości co do naszej linii postępowania w stosunkach międzynarodowych — gdy ktoś odśladniał jakiś fragment własnych doświadczeń czy spostrzeżeń. Na ogół jednak panowała zgodna opinia, że w istniejącym układzie sił i stosunków była to polityka nie tylko słuszna, ale i jedyna możliwa. Wrzesień miał swoich gorących obrońców, ale o wiele więcej namiętnych nieraz prokuratorów. Wałęsał się i tutaj gesty czad powszechnego wówczas «pózcucia hańby». Prawda — Westerplatte, Warszawa, Modlin, Kutno, Hel «ratowały honor Polski» — szary żołnierz w bezprzykładnym bohaterstwie wznosił się ponad poziom najwspanialszych polskich tradycji — ale oficerowie!... ale wyżsi dowódcy!... Wspaniała armia rozbita w ciągu trzech tygodni! Wódz uszedł!... wstyd i hańba!... Zawsze przeciwstawiałem się tej fali. Nie myślałem o adwokatomaniu marszałkowi śmigłemu — po prostu odzywało się i burzyło we mnie głęboko obrażane poczucie narodowej godności i dumy...

...W jakimś tygodniu po przybyciu do Turnu-Severin zacząłem w porozumieniu z Kawalcem montować akcję odczytową w naszym «klubie», ale i dla «szerszej publiczności» spoza naszego



grona. Niełatwo wszakże było o prelegentów. Ludzie pod różnymi pretekstami uchylali się od publicznych wystąpień w obawie, jak zostanie to przyjęte przez ambasadę w Bukareszcie. Po długich namowach i targach — paru kolegów zgodziło się przemawiać na «tematy obojętne». Jeden wykazywał bezsens podziału Śląska przez traktat wersalski i uzasadniał konieczność przyłączenia do Polski po wojnie całego tego obszaru. Drugi — w oparciu o obserwacje własne — mówił o nastrojach, panujących w Niemczech w ostatnich miesiącach przed wybuchem wojny i o lęku ludności niemieckiej przed wojną. Ja wygłosiłem parę odczytów. W pierwszym — otwierającym nasze «zebrania dyskusyjne» — podjąłem próbę walki z poczuciem «hańby wrzesniowej», wywodząc, że błędną jest droga szukania źródeł klęski wyłącznie wewnątrz Polski. W drugim odczycie, który i dla wielu kolegów był rewelacją, odstąpiłem pewne szczegóły o projektowanej wojnie przewencyjnej z Niemcami w r. 1933. Wreszcie — 11 listopada — w dniu święta niepodległości — mówiłem do wypełnionej szczelnie sali o marszałku Piłsudskim. Poprzednio — w końcu października — zgłosiłem się do mnie z propozycją odczytu internowany w obozie wojskowym porucznik Bronisław Kuśnierz, późniejszy w Londynie minister. Wiedziałem o nim tyle tylko, że był kiedyś jakimś opozycyjnym posłem na sejm, teraz — w Turnu-Severin — dochodziły do mnie echa jego publicznych wystąpień w obozie. Uprowadziłem go o nastrojach, panujących w naszym gronie, i wspólnie wyeliminowaliśmy «kwestie drażliwe». Gdy po paru dniach wystąpił z odczytem — odnieśliśmy wrażenie, że nie był do niego przygotowany. Była to dość nieudolna improwizacja na poziomie zbyt popularnej pogadanki dla żołnierzy. Nas — zorientowanych przeciw nieźle w sprawach międzynarodowych — raził zbyt uproszczony tryb rozumowania, zaskakiwały też wnioski zgola nieoczekiwane. Wywodził np. że katolicyk Włochy nigdy nie przystąpią do wojny po stronie Niemiec, z niezwykłą pewnością zapowiadał koniec wojny na najbliższą wiosnę, z zachwytem mówił o potędze naszych zachodnich aliantów — wystarczy parę raidów lotniczych, by Rzesza legła w gruzach i na kolanach błagała o pokój. Błogostawieni nainni duchem!...

...Marysia w ciągu października nawiązała łączność listowną z siostrą swoją, przebywającą od paru lat we Włoszech. Oddźwięk był oczywiście natychmiastowy. Zapraszano nas na stały pobyt do Rzymu lub Neapolu, przysłano pieniądze, a wkrótce potem — wszelkie zaświadczenia, potrzebne dla uzyskania wizy włoskiej. Zawiadomiono mnie również, że paru dziennikarzy amerykańskich w Rzymie szuka dla swoich pism artykułów o polskiej polityce i o kampanii wrzesniowej...

Przystąpiłem bezwzględnie do pracy nad tymi artykułami. Zaczynałem też pisać swój «wojenny pamiętnik», w oparciu o swój dziennik, prowadzony w formie skondensowanych notatek, ale bardzo systematycznie od końca lata r. 1933. Wyłaniała

się przy tym potrzeba pewnych uzupełnień. Z Sewerem Sokółowskim, który w tym czasie odwiedził nas parokrotnie, przyjeżdżając z niedalekiego Baile-Herculane — przegadałem niejedną noc, bo poprzednio był on w Slanicu, przed wojną zaś — jako wicedyrektor Gabinetu Ministra, związany osobistą przyjaźnią z Beckiem, miał nieograniczony dostęp do wielu najpoufniejszych nawet spraw...

...Dowiedziałem się też od niego, że w Baile Herculane przebywa z grupą internowanych generałów kilku moich dawnych kolegów z Wojskowego Biura Historycznego. Skomunikowałem się z majorem Ottonem Laskowskim i kpt. Wiktoorem Brummerem, wydającymi tam na powielaczu «Wiarusa na Obczyźnie», i w początku listopada pojechałem z Marysią i z Kawalcem do nich. Warunki mieli ciężkie, choć było to przed okresem jeszcze ostrzejszych rygorów, jakie zastosowano po ucieczce gen. Kossakowskiego. Wyjeżdżać nigdzie nie pozwalano, rozstawione gęsto posterunki rumuńskie nie wypuszczały poza szlaban nikogo. Z internowanymi tu członkami zdymisjonowanego rządu komunikować się nie wolno. Poczta jest ostro cenzurowana. Zaofiarowałem więc Laskowskiemu i Brummerowi swoją pomoc w kolportażu ich «Wiarusa» — na razie miałem zabrać poważną paczkę z ostatnimi numerami, później co jakiś czas przyjeżdżać do nich lub kogoś dosyłać.

Ale nie tylko «Wiarus» był celem mojej wizyty tutaj. W rozmowach z generałami szukałem wyjaśnienia dla pewnych kwestii w wielkiej sprawie wrzesnia. Indagowani — chętnie dzielili się swymi wiadomościami. Były to ciekawe, nieraz barwne opisy fragmentów, świadczących o bohaterstwie świetnego naszego żołnierza, o dzielności dowódców — o spełnionym przez nich obowiązku. Padły najczęściej nazwiska Andersa, Bortnowskiego, Kutrzeby, Rómmla, Grzmot-Skotnickiego, Włada. Dopiero tu dowiadywałem się o Klebergu i Kocku. Ale i tu — w tych rozmowach — uderzała nieporadność w tłumaczeniu przyczyn klęski. W kilku wypadkach przerucano całkowitą odpowiedzialność na barki marszałka Rydza. Najsilniej — najostrzej wystąpiło to w długiej mojej rozmowie z generałem Berbeckim. Według niego — przegraliśmy kampanię z tych samych powodów, co i w r. 1830. Nie było wodza. Żaden naród — mówił — nie może mieć aż takiego szczęścia, by genialni ludzie rodzili się jeden po drugim. Cóż Rydz? Grał w bridge'a, mieszał się do polityki wewnętrznej i zagranicznej, a wojsko zaniedbywał. Musieliśmy tu wysłuchać długiego wykładu gen. Berbeckiego o tym — jak zdały, a raczej jak nie zdały egzaminu poszczególne oddziały sztabu. Nie szczędził pochwał i uznania tylko dla wyszkolenia i moralnego wychowania żołnierza. Poza tym — wszystko poniżej poziomu! Była przy tym długa i dość namiętna — jak na starszego pana — filipika — o konspiracji w wojsku. Zaniepokoili go — w okresie Zaolzia — stan naszego lotnictwa. «Panie drogi — wołał — przecież wtedy ściągano maszyny nawet z cywilnych aeroklubów!» Gdy zatroskany — złożył raport,

żądając wyjaśnień — odpowiedziały mu jakieś «bubki żółedne» z Dwójki bardzo staranną inwigilacją. «Mnie, panie, śledzono!... Co robię, dlaczego się interesuję!»... Mówił nam też o jakimś publicznym swoim wystąpieniu w Poznaniu — mowy, wygłoszonej tam, nie pozwolono opublikować w prasie. Zaskoczony takimi stwierdzeniami — zawartą w nich goryczą i niewątpliwym przejawskrawieniem faktów — przypomniałem mu dyskretnie, że przecież sam — jako prezes Ligi Obrony Powietrznej Państwa — każdą swoją mowę radiową zaczynał i kończył okrzykami: «niech żyje marszałek Śmigły!» — dlaczego teraz ma dla niego tylko tak ostre słowa? Usłyszałem w odpowiedzi, że nie wolno było podrywać w narodzie zaufania do wodza. Nazywał to «psychicznym ośrodkiem oporu». Gdyby tego ośrodka nie było — lub gdyby był słabszy, walczylibyśmy nie 4 tygodnie, lecz znacznie krócej. A Śmigły? — powtarzał z lekceważeniem Berbecki — Śmigły w «swojej megalomanii» strategii i taktyce marszałka Piłsudskiego przeciwstawiał swoją — «niby lepszą, a w istocie głupią». Gdy Józef Piłsudski stał miał na stanowisku, że skoro nie stać nas na linię Maginota — to każda wieś, każde miasteczko, stać się musi ośrodkiem oporu — redutą — nową Częstochową Kordeckiego czy hiszpańskim Alkazarem, Rydz to zmienił — nawet wycofał regulaminy walki ulicznej w miastach, a w przede dniu wojny — z chwilą wydania zarządzeń mobilizacyjnych — kazał ludności cywilnej złożyć posiadaną broń, wskutek czego w zachodniej Polsce «kobiety z gołymi rękami rzucały się na czołgi»...

...Słuchając — z rosnącym zdumieniem patrzyłem na starego generała. I on ulegał panoszącemu się poczuciu hańby... Zapraszałem mnie jeszcze na rozmowę do kawiarni, zastąpiłem się jednak brakiem czasu...

Zresztą — w wykręcie tym było trochę prawdy. Przepustka ograniczała czas mego pobytu w Baile Herculane. Przy pomocy Brummera i Laskowskiego potrafiłem wcisnąć w łapę parę setek lei komisarzowi policji i zdobyć tą drogą jeszcze kilka godzin czasu. Całe popołudnie i wieczór — do północy — spędziłem u internowanych ministrów. Mieszkali — jako «goście rządu rumuńskiego» — w dużym, wygodnym hotelu bezpłatnie — jedzenie wysmienite. Ale ta «złota klatka» kraty i drzwi ma bardzo mocne. Dookoła pełno żandarmów i agentów. Nie wolno nie tylko wyjeżdżać — nawet spacer jest ograniczony do paru set metrów. Poczta jest najstaranniej przeglądana — i albo niszczona, albo doręczana z opóźnieniem...

Najlepiej z tego grona znałem Zyndrama-Kościółkowskiego, który kiedyś — w r. 1934 — jako ówczesny minister spraw wewnętrznych, próbował skonfiskować jedną z moich książek. Rozmowa, rozpoczęta od tych wspomnień — w obecności paru ministrów — przeskoczyła szybko na problem naszych mniejszości narodowych — głównie stosunku naszego do Ukraińców, bo min. Grabowski wystąpił z pretensjami do mnie, według niego — książki moje o polskim konspiracyjnym ruchu niepod-

ległościowym dawały zadużo argumentów obrońcom zamachowców ukraińskich. Wywiązała się stąd między ministrami długa dyskusja na temat odpowiedzialności za uchybienia w naszej polityce mniejszościowej. Po kolacji dopiero — późnym już wieczorem — mogłem podjąć próbę rozmowy na bliższe mi tematy. Chodziło mi o sprawy, związane z konstytucją kwietniową, o kryzys gabinetowy z jesieni r. 1935, o rolę czynników, ciężących na perspektywie r. 1940 — roku wyboru nowego prezydenta, o różnice w naszym życiu wewnętrznym między okresem 1926—1935 a 1935—1939. W tym jednak, co w rozmowach uzyskałem — było bardzo mało elementów istotnych... A poza tym — w sprawie września — ten sam, niestety, co i wszędzie czad hańby...

Po powrocie do Turnu-Severin, zacząłem robić starania o wyjazd do Bukaresztu. Decyzję wyjazdu do Włoch odkładaliśmy jeszcze z Marysią na później, ale trzeba było załatwić sprawę wiz. Chciałem też zobaczyć przyjaciół oraz zebrać, co się da, z materiałów do pamiętnika i artykułów. Przepustkę uzyskałem bez trudu. Prefekt w pierwszej chwili, zwyczajem swoim, ograniczył się do krótkiego: nie! — po chwili zapytał: po co? — w końcu oświadczył: dobrze, ale tylko na 3 dni. W rezultacie — uzyskałem prawo na dwutygodniowy pobyt w stolicy... Pojechałem tam nazajutrz po naszym święcie niepodległości...

Teraz dopiero — w połowie listopada — wracała do mnie sprawa organizacji «K.7.», o której myśląc przed dwoma miesiącami, próbowałem bezskutecznie przedrzeć się z Kut z powrotem do Warszawy. Na pierwsze spotkanie i rozmowę w Bukareszcie wybraliśmy sobie z Drymmerem celowo jakąś dużą, obскую kawiarnię, pełną hałaśliwych typów — chyba czarnogiędździarzy. W kącie olbrzymiej sali, wśród kłębow dymu i nieprawdopodobnej — wschodniej — wrzawy, dowiadywałem się o dokonanej rozbudowie organizacji, o toku przygotowań do działania konspiracyjnego w kraju, i o zaszytych zmianach — na czele stał teraz Tadeusz Schaetzel, którego dobrze znałem z Warszawy — z początku jako dyrektora największego w ministerstwie wydziału wschodniego, później — jako wicemarszałka Sejmu. Drymmer — wtajemniczając mnie w stan spraw organizacyjnych — oczekiwał mojej współpracy, nie mógł jednak podać mi bliższych szczegółów o kierunku i charakterze moich przyszłych zadań. Decyzja w tych sprawach należała już do Schaetzla, a i mnie trudno byłoby na ślepo wyrażać swoją zgodę na krok tak poważny. To też nazajutrz udałem się razem z Drymmerem do Schaetzla, i prosiłem go, by przedstawił mi całokształt sprawy oraz określił ściśle rolę, jaką widzi dla mnie.

Dowiadywałem się więc — z początku w skrócie, a z czasem znacznie szerzej — że jeszcze w Kutach — w przede dniu przekroczenia granicy — przewidywano utworzenie w Rumunii ekspoz-

zytury naszego ministerstwa. Minister Beck obawiał się już wówczas, że po przeniesieniu siedziby Prezydenta do Francji — Niemcy, a na ich żądanie i Włosi, będą dążyli do technicznego odcięcia naszych władz od obszarów wschodniej Europy. Zamierzał więc — w porozumieniu z Rumunami i za ich zgodą — powołać do życia specjalną placówkę — w formie ekspozytury M.S.Z., która miałaby — w łączności z centralą polską w Paryżu — z jednej strony koordynować i kierować działalnością naszych urzędów dyplomatycznych na Bałkanach i Bliskim Wschodzie, z drugiej zaś — utrzymywać ścisłe kontakty z krajem w jego życiu pod niemiecko-sowiecką okupacją. Stanowisko szefa tej ekspozytury objąć miał właśnie Tadeusz Schaetzel. W projektowanej pracy na kraj, wychodząco z dwóch podstawowych założeń. Przede wszystkim — w dążeniu do skupienia wszystkich sił dla walki z okupantami trzeba koniecznie wyeliminować całkowicie motyw walk wewnętrznych i wciągnąć do wspólnego wysiłku te wszystkie zespoły organizacyjne, które — stojąc na gruncie państwowości polskiej — uznają prymat interesów Rzeczypospolitej. Rezultaty tej pracy będą — rzecz jasna — uzależnione nie tylko od ofiarności i zdolności elementów wykonawczych, lecz również, a raczej nawet w głównej mierze od tego, czy istnieć będzie jedna wola i jedna myśl kierownicza, która wszelkie odcinkowe działania ściągnąć ma do wspólnego łożyska. Tylko rząd stać się mógł takim rzeczywistym kierownikiem szeroko zakrojonej akcji w kraju.

Prace wstępne — z myślą o stworzeniu ekspozytury — rozpoczęto bezpośrednio po przekroczeniu granicy rumuńskiej. Jednakże wobec nagłych zmian, jakie zaszły w sytuacji rządu, koncepcja ta musiała upaść. Minister Beck, przekazując urzędowanie ministrowi A. Zaleskiemu, w liście do niego z początków października 1939 r., — powtarzał swe argumenty, przemawiające za koniecznością zorganizowania przez rząd bardziej jednolitego kierownictwa prac na obszarze Bałkanów i Bliskiego Wschodu, — wymieniając Tadeusza Schaetzla, zawiadamiał o зробionych już wstępnych krokach w tym kierunku. Sprawa osób i metod — pisał — zależy od nowego ministra, ale projekt ma coraz większą aktualność, bo istniejące już trudności komunikacyjne między polskim Paryżem a Bałkanami mogą w przyszłości, dzięki Niemcom i Włochom, tylko wzrastać.

Odpadał tedy projekt stworzenia ekspozytury, pozostawała wszakże koncepcja organizacji do działań w kraju. Drymmer, przewidziany na zastępcę Schaetzla w ekspozyturze, wchodził tu z istniejącymi ogniwami sieci «K.7». Tworzyli ją nie tylko urzędnicy, skierowani już przez niego w czasie ewakuacji do Warszawy lub w głąb kraju — z Kazimierza, Krzemieńca i jeszcze z Kut, lecz także przeszkolone już częściowo i przygotowane do zadań dość liczne zespoły młodzieży wśród mniejszości pol-

skiej na wszystkich terenach przygranicznych.<sup>1)</sup> Drymmer, już w Bukareszcie w październiku 1939 r. szukając ludzi, skłonnych do konspiracyjnej pracy w Polsce, spotkał się z podobną inicjatywą ze strony kilku wyższych urzędników ministerstwa rolnictwa (Józef Krzyczkowski, Janusz Rudnicki, Stanisław Machnicki). W wyniku rozmowy — po stwierdzeniu braku poważniejszych różnic w założeniu i dążeniach — postanowiono związać dwie te inicjatywy oraz połączyć osiągnięte już wyniki i przysłać wysiłki. Na kierownika nowej — powstającej tą drogą organizacji (bez nazwy na razie) — został zaproszony przez obie strony — Tadeusz Schaetzel.

Tworząc się w trudnych warunkach i na obcym gruncie — organizacja przyjęła musiała zasady ścisłej konspiracji — bezpieczeństwa dla niej może największe tkwiło w niepoczytalnym gadulstwie i nieprawdopodobnym plotkarstwie wśród polskich uchodźców. Nie ukrywano jednak ani zamierzeń, ani dokonanych już prac przed nowym rządem polskim w Paryżu. Mogła organizacja mieć i — rzecz jasna — miała niejedno zastrzeżenie co do składu tego rządu, poziomu i kierunku jego poczynań oraz metod jego działania. Ale mimo wszystko była to dla niej — po rezygnacji profesora Mościckiego — jedyna prawowita władza państwa polskiego. Lojalność była jedną z form narodowego obowiązku. Nikt tu nie mógł, nie chciał i nie myślał nawet tego kwestionować, wszyscy natomiast byli przekonani, że tylko rząd — jako uznawany przez wszelkie odłamy społeczeństwa centralny ośrodek działania kierowniczego, może skupić dokoła siebie wszystkie aktywne i twórcze siły narodu, skoordynować i zespolić odrębne, samorzutne wysiłki, racjonalnie wyzyskać wszystkie wartości — doświadczenie i rozważę jednych, zapał i ofiarności innych — i stworzyć tą drogą szeroką w zasięgu, a głęboką w treści akcję ogólnonarodową w kraju pod okupacją. Toteż powstająca organizacja już w październiku lojalnie powiadomiła rząd polski w Paryżu o swym istnieniu. Szukano przede wszystkim kontaktu z generałem Sosnkowskim, który — po krótkim pobycie na Węgrzech — dotarł szczęśliwie do Paryża i tam — 16 października — wszedł w skład rządu, nominalnie jako «minister bez teki», faktycznie zaś jako kierownik tajnej, konspiracyjnej pracy na kraj. Wysłana w październiku z Bukaresztu do Paryża — p.

<sup>1)</sup> «K.7.» — to, jak się dowiedziałem później — skrót od «Komitetu siedmiu» — ośrodka kierowniczego, powstałego na rok przed wybuchem wojny, w lecie 1938 r., i złożonego z trzech oficerów sztabu (najstarszy z nich mjr. Ch.) i trzech urzędników M.S.Z. z Drymmerem, jako prezesem na czele. Stworzona i kierowana przez ten Komitet organizacja (o tejże nazwie «K.7») obejmowała wszystkie obszary z mniejszością polską w państwach sąsiednich. Do organizacji, ściśle zakonspirowanej, należała wyjątkowo młodzież, szkolona na specjalnych kursach, zarówno w Polsce, jak i na terenie zamieszkania. Celem głównym — obok pracy wychowawczej wśród otoczenia — było przygotowanie sieci polityczno-wojskowej na wypadek wojny.

H. Drymmerowa, po przedstawieniu gen. Sosnkowskiemu celów organizacji,<sup>1)</sup> stanu skupionych w niej sił i dalszych jej zamiarów — uzyskała nie tylko akceptację dla tych prac, ale i przyrzeczenie pomocy. Po paru dniach — w drugiej rozmowie z emisariuszką — gen. Sosnkowski, widocznie na skutek nacisków innych członków rządu, wyraził obawę, by nie powstały trudności natury wewnętrzno-politycznej, zwłaszcza w kwestii składu personalnego ośrodka kierowniczego organizacji. Sprawy samej jednak bynajmniej nie wykreślał jeszcze ze swych rachub i planów, a zgłaszającym się do niego w tymże czasie z projektami pracy na kraj pp. Grażyńskiemu i Hauke-Nowakowi radził skomunikować się poprzez p. Drymmerową z istniejącym już ośrodkiem w Bukareszcie. Niezależnie od rozmów paryskich p. Drymmerowej, organizacja wysłała do gen. Sosnkowskiego, jako ministra i kierownika akcji konspiracyjnej — wraz z oficjalnym raportem o stanie sił i działalności — meldunek o podporządkowaniu się jego zwierzchnictwu i prośbę o rozkazy. O istnieniu organizacji wiedział również urzędujący w Paryżu nowy minister skarbu, korzystając ona bowiem z części niewielkich zresztą kwot, przydzielonych jeszcze we wrześniu przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych dla mającej powstać ekspozytury, a przeznaczonych od razu na zorganizowanie łączności tej ekspozytury z krajem. W połowie listopada — w okresie moich wstępnych rozmów z Schaetzlem i Drymmerem — nie było jeszcze z Paryża żadnych instrukcji. A sprawa była pilna. Co najmniej połowa ludzi, skupionych już w organizacji w Rumunii i większość jej ośrodka kierowniczego gotowa była wracać do kraju i pragnęła znaleźć się tam jak najprędzej. Bardzo szerokie z początku możliwości przekroczenia granicy polskiej w Karpatach zwały się coraz bardziej — wyrastały na tej drodze coraz większe przeszkody, pogłębiać się też z biegiem czasu musiały trudności w zakonspirowaniu się po przejściu do kraju. Odwlekano jednak moment wyjścia z Rumunii do Polski — w ciągłym oczekiwaniu, że rząd polski w Paryżu szybko obejmie kierownictwo nad wszelkimi pracami w kraju i — po wyjaśnieniu i uzgodnieniu wzajemnego stosunku — pozwoli działać naszej organizacji, jako części składowej wielkiego wysiłku na obszarze okupowanej Polski.

<sup>1)</sup> Przedstawienie gen. Sosnkowskiemu spraw organizacji było tylko jednym z zadań p. Drymmerowej w tej jej misji. Jak wspomniałem wyżej — internowane władze polskie już dzięki Rumunom miały łączność ze światem zewnętrznym niezwykle utrudnioną. Sytuację tę zaostrzały jeszcze bardziej mactwa polskie — poczta dyplomatyczna była jeszcze mniej pewna, niż zwykła, listy i depesze, przechodzące przez ambasady w Bukareszcie i centralne ośrodki polskie w Paryżu były przetrzymywane lub niszczone. Pani Drymmerowa, wyjeżdżając do Paryża, zabierała szereg listów, by je osobiście doreczyć nowemu Prezydentowi Wł. Raczkiewiczowi, gen. Sosnkowskiemu i min. A. Zaleskiemu. Miała też przedstawić ustnie sytuację w Rumunii. Do sprawy tej wróć jeszcze niżej. O podróży tej pisał W. T. Drymmer we wspomnieniu *Z Kut do Bicz* w *Jeruzolimskiej Na Straży* Nr. 28-30 1946 r.

W chwili mego przybycia do Bukaresztu organizacja liczyła kilkudziesięciu członków, z których 30 gotowych było każdej chwili wyruszyć do kraju. Istniał już zawiązek kursu konspiracyjno-bojowego, w budowie były dwa niewielkich rozmiarów nadawczo-odbiorcze krótkofalowe aparaty radiowe, mające być podstawą łączności, funkcjonowały już konspiracyjne placówki na Bukowinie i północnych Węgrzech, skąd próbowano przetrzeć pierwsze drogi do Polski. Zbierano i przepracowywano napływające z kraju wiadomości, przygotowywano dla społeczeństwa pod okupacją ogólnoinformacyjne biuletyny i komunikaty, przeglądy spraw polskich, raporty o sytuacji polityczno-wojennej. Równoległe do tego opracowywano różne szyfry i różne sposoby porozumiewania się konspiracyjnego; gromadzono mapy, wybierano na nich i studiowano szlaki do kraju, poza tym przepracowywano dla siebie — w formie referatów i dyskusji — szereg kwestii zasadniczych, jak metoda i środki czynnej walki z okupantami, przeciwstawianie się ich propagandzie, ustosunkowanie się w robocie krajowej do mniejszości narodowych — Ukraińców i Żydów, a nawet i problemy ekonomiczne, jak np. ograniczenie czy rozwijanie zdolności produkcyjnej warsztatów gospodarczych. Bukareszt miał być chwilową tylko siedzibą centrali organizacji. Zamierzano przenieść ją — skoro się to tylko da — do Budapesztu. Chodziło nie tylko o to, że stolica Rumunii była terenem szczególnie silnej koncentracji różnopaństwowych i różnojęzycznych «fapsów», w dodatku — atmosfera polska zapaskudzona była tym wszystkim, co ostatecznie profesor Kot zmontował już jako swój aparat do znieprawiania sumień — do dławienia i gnębienia społeczeństwa uchodźczego. Przemawiały za przeniesieniem do Węgier i inne argumenty. Przede wszystkim — główne dążenia organizacji szły w kierunku Warszawy i Lublina — poszukiwano np. kontaktu z płk. Pełczyńskim, o którym wiadomo już było, że przebywa gdzieś w rejonie Puław. W przenikaniu do Warszawy z Rumunii, wypadałoby dwukrotnie przekraczać pilnie strzeżone linie sowieckie — jedną nad granicą rumuńską, drugą — wewnątrz Polski, na linii demarkacyjnej między okupacjami. W dodatku granica bukowińska była zbyt mocno obsadzona od strony sowieckiej, od rumuńskiej zaś gęsto zaśmiecona podejrzanymi elementami. Tymczasem z Węgier można było dostać się wprost na obszar okupacji niemieckiej — i to przez znacznie dogodniejsze i łatwiejsze przejścia w Karpatach. Wreszcie — na północnym, przygranicznym obszarze Węgier miała organizacja już paru swoich członków, wśród nich J. U., który — jako były peowiak — znał dobrze technikę roboty konspiracyjnej, a jako przedwojenny urzędnik konsularny był dobrze wpracowany w ten teren — znał ludzi, miał szerokie stosunki w okolicy i na pograniczu, pozostawał też w kontakcie z tymi działaczami węgierskimi, którzy głęboką przyjaźń dla Polski łączyli ze zdecydowaną niechęcią do Niemców i już z dawna

szukali form podziemnej walki z nimi na wypadek ich wkroczenia do Węgier.

Zaproponowano mi, bym w tej właśnie organizacji objął kierownictwo działu informacyjno-prasowego — z tym, że na wiosnę, najdalej w kwietniu — poszedłbym z pierwszym zespołem do kraju. Po paru dniach dorzucono mi nowe zadanie — miałem udać się na Węgry, osiąść na kilka tygodni w Użhorodzie, uporażkować sprawy organizacyjne, utrwalić i wzmocnić nawiązujące się kontakty z krajem, zapewnić możliwość przechodzenia przez granicę, rozbudować konspiracyjne stosunki wśród Węgrów, i rozszerzyć podstawy do pracy dla następcy, który po mnie miałby pozostać tu na stałe w charakterze łącznika. Sprawa mego wyjazdu była pilna o tyle, że kierownik tych prac w Użhorodzie — człowiek inteligentny, pracowity, ofiarny i odważny — przechodził przez ciężki osobiście okres; zdarzyły się nieraz całe tygodnie, gdy — zatracając się fizycznie i psychicznie — z trudem wielkim wracał do równowagi. Osłabiało to poważnie jego użyteczność i nieraz stanowiło o nieobliczalności. Wyjazd mój jednak z Bukaresztu na Węgry nie był wówczas sprawą prostą i łatwą. Iść tam przez zieloną granicę nie tyle, że nie chciałem, co po prostu nie mogłem, bo skoro miałem przez kilka tygodni czy może nawet przez parę miesięcy pracować w Użhorodzie dla sprawy konspiracyjnej — trzeba było mieć wszystkie «papierki» w jak największym porządku. Próby uzyskania pobytowej wizy węgierskiej przez poselstwo węgierskie w Bukareszcie, potem — przez konsulat w Cluj rezultatu pożądanego nie dały, gdyż Budapeszt wymagał przedstawienia uzasadniających powodów, a o to — w sytuacji uchodźcy — nie było łatwo. Sprawa więc przeciągała się — mimo nieustannych zabiegów w Bukareszcie i w Budapeszcie. Z pośrednictwa przekupnych Rumunów korzystać nie chcieliśmy. Dla zorientowania się w tych możliwościach trafiłem kiedyś do wskazanego mi rumuńskiego «biura podróży» — okazało się, że trudni się ono głównie nielegalnym przemytem Żydów do Palestyny. Ujrzałem tu obrazek możliwy chyba tylko w Rumunii: — w pierwszym dużym pokoju, wśród tłumu interesantów, sprzedających otwarcie — a wbrew prawu — różne waluty i złoto — tkwiło aż dwóch policjantów rumuńskich, usiłujących tu przehandlować dopiero co otrzymane służbowe maski gazowe, których ludność cywilna nie miała i w atmosferze alarmów wojennych, dość nerwowo poszukiwała. Urzędnik, z którym mówiłem, nie krępując się wcale obecnością policjantów, określał mi sumę, za jaką wizę węgierską mógłby wyrobić, poważną wysokość tej sumy uzasadniając koniecznością dawania łapówek nie tylko Rumunom, ale i w Budapeszcie, bo — jak mnie zapewniał — i Węgrzy także uznają i lubią «bakszysz». Nie miałem jednak zaufania do tego biura i — wycofawszy się, nie pokazałem się tam już więcej.

W oczekiwaniu na rozstrzygnięcie sprawy z wizami — przygotowywałem się do swoich przyszłych zadań. Starłem się

więc opanować znane mi tylko bardzo powierzchownie zasady radiotechniki krótkofalowej, wbijałem sobie w pamięć — z myślą o korespondencji — umowne zwroty i określenia, przygotowywałem referat na jedno z dyskusyjnych zebrań organizacji — w formie recenzji czy raczej mojej odpowiedzi na dwie dość gęsto wówczas krążące po Bukareszcie książeczki: André Maurois: *Les origines de la guerre de 1939*, bardzo jednostronną, choć dość ściśle w faktach, bo wyprzedzającą ukazanie się «niebieskiej» książki francuskiej z dokumentami co do powodów wybuchu wojny, oraz Wl. d'Ormessona: *La Pologne, notre sœur*, usianą błędami historycznymi z dawniejszej przeszłości, naiwną w ocenie niedawnych wydarzeń i niemile rażącą tonem tej dla Polski życzliwości, która przechodzi w protekcyjnalne poklepywanie po ramieniu. W tym okresie oczekiwania opracowałem ponadto parę pierwszych sprawozdań o sytuacji w Polsce na podstawie wiadomości, napływających i zbieranych różnymi drogami — przeważnie od osób, które codziennie niemal przynikały do Bukaresztu, głównie spod okupacji sowieckiej. Zrobiłem parę komunikatów politycznych, które z pierwszą okazją odejść miały do kraju. Resztę dnia wypełniało zbieranie uzupełniających materiałów do mego pamiętnika — wyzyskiwałem bowiem skupienie w Bukareszcie wciąż jeszcze liczne grono osób, które zajmowały w Polsce wysokie stanowiska i które teraz szczerym swoim świadectwem wyjaśniły mogłyby niejedną kwestię. Rozmowy z niektórymi przeciągały się nieraz do późnych godzin nocnych. W tych warunkach w pozostających mi jeszcze niewielkich chwilach wolnego czasu próbowałem wykończyć pierwszą serię artykułów dla «moich» dziennikarzy amerykańskich w Rzymie. Rodzina Marysi z Włoch w dalszym ciągu zasypywała nas listami, przynaglając do przyjazdu i alarmując, że Amerykanie zapowiadają swój odjazd za ocean w niedługim już czasie. Sprawa ta wylańiała się często w moich rozmowach bukareszteńskich z przyjaciółmi. Niektórzy sądzili, że powinienem jechać bezzwłocznie do Rzymu, bo sprawa nie ma charakteru tylko osobistego; inni szli dalej, bo — przeceniając oczywiście wartość i możliwości mego pióra — uważali, że powinienem wogóle wycofać się z roboty konspiracyjnej. Ani nie chciałem, ani nie mogłem zmienić swoich decyzji — już choćby dlatego, że wyglądać by to mogło na zwykłe tchórzostwo. Poza tym — jakżeż szczerze wyrzykałem się całą duszą z powrotem do Polski! Niektórzy jednak — głównie Sewer Sokołowski — wbrew mojej prośbie — «użerali się» o to nieustępliwie z moimi szefami w organizacji, w pewnej chwili wysuwając nawet propozycję wysokiego arbitrażu. Ale szefowie moi — od początku niechętnie usposobieni do takich nacisków — po paru tygodniach nagle i nieoczekiwanie zmieklili — zrazu zgodzili się na niedługi dla mnie urlop, bo i tak, nie mając jeszcze wizy węgierskiej, nie mogłem wyruszyć do Użhorodu, w kilka dni potem, nie określając terminu mego powrotu — zapowiadali już, bym jechał i siedział w Rzymie spokojnie, czekając tam na

telegraficzne wezwanie od nich. Znacznie później dopiero dowiedziałem się o faktach, które — jak przypuszczałem — mogły być istotnym powodem tej zmiany — już wówczas bowiem, w początku grudnia, wisiał nieodstłaniany jeszcze przed nami, ale widoczny dla szefów nieodwracalny wyrok załogi na naszą organizację. Miała i ona — niestety — stać się na drogach naszego pielgrzymowania wyrazem pokrzyżowanych planów, nieudanych poczynań, niespełnionych zamiarów.

Już w połowie listopada przybył do Bukaresztu z ramienia gen. Sosnkowskiego, jako «delegat rządu do konspiracyjnych spraw krajowych» — podpułkownik, występujący pod przybranym nazwiskiem Rostworowskiego czy Rozwadowskiego. Był to oficer ułanów czy szwoleżerów — dokładnie nie wiem; miał za sobą piękny udział w kampanii wrześniowej i w obronie Warszawy, co też opisał w cyklu artykułów czy może nawet w książce o «płonącej stolicy». Po kapitulacji Warszawy przedarł się do Paryża i stamtąd właśnie skierowany został do Bukaresztu.<sup>1)</sup> Tyle się o nim w owym czasie wiedziało. Był to człowiek inteligentny, taktowny, z dużymi pokładami dobrej woli, nieprzygotowany jednak do tego typu pracy, jaki mu wyznaczono; to też uległ dość szybko i łatwo, choć nieświadomie zapewne, wpływom paru osób, odgrywających główną rolę w ambasadzie polskiej w Bukareszcie — przede wszystkim wpływom pułk. Zakrzewskiego. Organizacja nasza — jak wszystko wówczas w Bukareszcie — żyć i pracować musiała w atmosferze fantastycznych plotek, podejrzeń, zarzutów i oskarżeń — najdziwaczniejszych, nieraz bardzo sprzecznych. Przypisywano więc jej nie tylko tendencje antyrządowe, ale i sympatie dla komunizmu, oskarżano o bezbożnictwo i jakieś praktyki pogańskie, doszukiwano się niebezpiecznych dla państwa i narodu związków z radykalną młodzieżą wiejską — «Siewem» i «Wiciami» — a przy tym nie przestawano trąbić, że jej celem głównym i nawet jedynym jest obrona «starego régime'u». Nie wyrzeczono się oczywiście i ponętnej próby stworzenia dokoła niej atmosfery jakichś nadużyć finansowych.<sup>2)</sup>

1) Jedno z tych nazwisk prawdziwe, drugie pseudonim. Ustalić ściślej nie mogłem.

2) Najwięcej ruchu i hałasu było z tzw. «afery czekowej». Wśród niewielkich sum, wyasygnowanych przez M.S.Z. jeszcze we wrześniu na mającą powstać ekspozyturę i jej działalność, a więc i na pracę w kraju, znajdowały się czeki na 6 tysięcy dolarów, które z jakichś powodów nie mogły być zrealizowane w Bukareszcie. Jeden z przyjaciół, któremu powierzono załatwić to w Belgradzie, niepotrzebnie zwierzył się tam ze swej misji w polskim attachacie wojskowym, który w lot i gorliwie podchwycił to jako nadarzająca się okazja do wykazania swojej czujności i gorliwości. Poszedł więc z Belgradu szesnasty raport o «afery czekowej». Ówczesny minister skarbu — Adam Koc — przysłał do Bukaresztu swego delegata w osobie p. Henryka Stebelskiego dla wyswietlenia tej sprawy, w czym wziął udział kierowniczy i ambasador R. Raczyński. Zainterpelowany szef organizacji wymienił źródło pochodzenia czeków i cel, na jaki pieniądze były przeznaczone. We-

Wszystkie te najfałszywsze opinie co do ludzi i faktów, wszystkie insynuacje, kierowane ze strony ambasady w Bukareszcie i niektórych gorliwców z Paryża — zostały bez trudu obalone już w pierwszych kontaktach ośrodka kierowniczego organizacji z płk. R., który po zorientowaniu się w lokalnych warunkach, po przedstawieniu mu istotnego stanu rzeczy i wyjaśnieniu, gdzie leży prawda oraz jakie są cele i drogi — ustosunkował się do organizacji nie tylko przyzwolicie, ale nawet życzliwie, uznawał potrzebę utrzymania jej i dalszej jej rozbudowy, pragnął też ścisłej współpracy. Zapewniał, że wysłał utrzymany w tym duchu raport do swoich zwierzchników w Paryżu. Organizacja ze swej strony — uznając w pułkowniku R. reprezentanta gen. Sosnkowskiego, jako urzędującego ministra do spraw krajowych — oddała się do jego dyspozycji. Zaproponowała mu w pierwszym rzędzie wyzyskanie swoich ludzi, przygotowanych już do roboty konspiracyjnej w kraju i gotowych każdej chwili udać się do Warszawy, Lublina czy — w razie potrzeby i do Lwowa; propozycja ta miała ciężar tym większy, że płk. R. swoich ludzi do takich zadań nie miał. Ponadto — na żądanie jego złożono mu szczegółowe sprawozdanie finansowe i rozliczenie z dotychczasowych wydatków, zdeponowano przy tym posiadaną gotówkę, na kilku wspólnych konferencjach przedyskutowano problemy, związane z sytuacją w kraju i z kierunkiem działań konspiracyjnych, uzgodniono stanowiska i ustalono — zaaprobowany przez płk. R. — program pracy na okres najbliższy, przy czym płk. R. był gotów do udzielenia swej pomocy w przeniesieniu centrali organizacji na Węgry, o co — jak wspominałem już — zabiegano przez dłuższy czas. Parokrotnie też spotykano się ze strony płk. R. z wyraźnym i stanowczym stwierdzeniem całkowitej zgodności zamierzeń i działań organizacji z kierunkiem poczynań rządu polskiego w Paryżu. Zdawać się mogło, że na podstawie jego raportów dotychczasowe mylnie i fantastyczne nawet poglądy zostaną poddane w Paryżu gruntownej rewizji i że — w konsekwencji — organizacja będzie mogła wreszcie nie tylko bez niemądrych utrudnień ze strony czynników oficjalnych, ale przy ich wydatnej pomocy prowadzić pożyteczną pracę dla kraju.

Stało się inaczej. Pułkownik R. prawdopodobnie sam nie spostrzegł, jak się znalazł w samym środku sieci intryg i zabiegów, rozciągniętej przez gorliwych wykonawców poleceń profesora

dług protokołu w tej sprawie, podpisanego 20 listopada 1939 r. przez pp. T. Schaetzla, R. Raczyńskiego i H. Stebelskiego — «na pytanie, w czym reku znajdują się owe czeki — p. min. Schaezel oświadczył, że wiadomo mu, iż czeki te są w dyspozycji organizacji, prowadzącej pracę łączności z krajem, a że względu na konspiracyjny charakter tej organizacji nie uważa za konieczne bez nowej decyzji ministra skarbu udzielania dalszych wyjaśnień. Natomiast zwraca się z prośbą do p. ministra skarbu o stwierdzenie, czy wobec dotychczasowego wyswietlenia sprawy wspomnianych czeków utrzymuje pierwotne żądanie ich wydania». Odpowiedź od ministra skarbu nie nadeszła nigdy.

Kota. Któregoś dnia — chyba z początkiem grudnia — płk. R. w najlepszej niewątpliwie wierze zwrócił się z prośbą o zgodę na wprowadzenie na najbliższe zebranie dyskusyjne organizacji koreferenta w osobie człowieka, który stosunkowo niedawno przybył spod okupacji sowieckiej i mógłby na zebraniu powiedzieć «wiele rzeczy ciekawych» o praktykach komunistycznych na naszych kresach wschodnich. Dość nieopatrnie, ale przy zaufaniu do płk. R. wyrażono na to zgodę. W dyskusji — już przy wymianie pierwszych zdań — wyszło na jaw, że ów «spec» nie miał najmniejszego pojęcia o zagadnieniu, wykazywał natomiast nadmierną ciekawość w sprawach wewnętrznych organizacji. Niebawem stwierdzono, że był to Karol Aleksandrowicz, przedwojenny urzędnik Prokuratury Generalnej z Katowic, przyjaciel polityczny Kota i jeden z najgorliwszych jego agentów. W omawianym okresie stawał on w Bukareszcie dopiero pierwsze swoje kroki, wkrótce jednak wydrapał się na stanowisko prezesa Komisji Badawczej w Rumunii i zastąpił szeroko nie tylko jako gorliwy zbieracz wszelkiego rodzaju paszkwili, donosów i insynuacji, ale także jako twórca aparatu inwigilacyjnego, bardzo drogo opłacanego — a złożonego z ludzkiej kanalii wszelkiego gatunku. Ujawniło się też z czasem, jak to w rzadko spotykanej gorliwości w listach do «Łaskawego Pana Profesora» Kota każdą pochwyconą, najbardziej bzdurną plotkę, rozdmuchiwał do rozmiarów czyjejs niewątpliwiej już zbrodni, jak segregował ludzi według stopnia ich «niebezpieczeństwa», jak skrzętnie zbierał i gromadził różne «obciążające» dowody, jak kopał dołki pod urzędnikami ambasady, nie oszczędzając nawet Rogera Raczyńskiego, jak wreszcie — w trosce o «życzliwe względy Łaskawego Pana» Kota — chwalił się, co z jego polecenia zrobił — i co udaremnił. Nie może więc ulegać żadnej wątpliwości, że wtargnąwszy podstępem na zebranie dyskusyjne i ustalwszy, kto brał w nim udział — zaalarmować musiał Kota, po swojemu oceniając ludzi i całą sprawę. Zaraz potem zresztą wszyscy uczestnicy zebrania poczuli dokoła siebie natrętnych obserwatorów, śledzących bezczelnie każdy krok i ruch.

Nie wypadło czekać zbyt długo na skutki tej gorliwości. W dniu 2 lutego r. 1940 nadeszły dyspozycje, podpisane — niestety — przez gen. Sosnkowskiego. Rząd — nie życzył sobie istnienia organizacji. Rozkaz wymagał likwidacji natychmiastowej i całkowitej. Zgodnie z tym żądaniem, przekazano pułkownikowi R. posiadany sprzęt radiowy i techniczny, oddano do jego dyspozycji przeszkolony personel w Rumunii i na Węgrzech, nie wyłączając placówki w Użhorodzie z jej ludźmi, stosunkami i utworzonymi już szlakami górskimi do Polski. Komisyjnie również rozliczono się z posiadanych pieniędzy.

Krótką i niebogata historia organizacji nie jest ważna i nie zasługiwałaby zapewne na tyle uwagi — gdyby nie kwestie, pośrednio z nią związane. Pierwsza — to przejaw zdrowej żywot-

ności tej celowo obryzgananej błotem administracji państwowej sprzed września r. 1939 — przejaw, wyrażający się w tym, że już podczas odwrotu — gdy tylu późniejszych krytyków i krzykaczy umiało tylko uciekać z włosami, stojącymi na łbie ze strachu — już wówczas zaczynały się krystalizować nowe formy walki, które z czasem przybrać miały w kraju tak wspaniałą rozwój. Pozycja społeczna i materialna inicjatorów — twórców i kierowników organizacji — mogłaby łatwo doprowadzić ich do stanu filisterstwa czy oportunistów, zwanego rozwagą. A przecież ludzie ci, od pierwszej chwili znalezienia się na bezpiecznym na razie i nawet względnie wygodnym terenie nie tylko zachęcają innych do powrotu do kraju dla czynnej walki z okupantem, lecz — jak to powiem jeszcze niżej — przede wszystkim sami tworzą pierwszy zespół wracających i po przekroczeniu zielonej granicy idą — w ponurym splocie przyczyn i skutków — na długie miesiące do nie łatwego bynajmniej więzienia węgierskiego.<sup>1)</sup> Drugą kwestią, wyrastającą niestety smutnym

1) Poczucie patriotycznego obowiązku i decyzja walki z okupantem niemieckim była w tym zespole tak głęboka, że nie mogli stanąć im na przeszkodzie niszczyielskie wysiłki agentów Kota. W końcu lutego r. 1940, a więc już po zlikwidowaniu organizacji, grupa, złożona z sześciu osób — w tym czterech z ośrodka kierowniczego organizacji (Drymmer, Krzyckowski, Rudnicki i Machnicki) wyruszyła z Bukaresztu drogą poprzez Węgry do Polski, by tam — w oparciu o własne doświadczenie z poprzedniego okresu konspiracyjnych walk o niepodległość — zrealizować swe dążenia do czynnego udziału w obronnym wysiłku całego narodu. Niestety — cała grupa bezpośrednio po przekroczeniu zielonej granicy została aresztowana przez żandarmerię węgierską. Po przesłuchaniu — aresztowanych, powiązanych sznurami, odwieziono do więzienia w Huszt, gdzie spotkali się z aresztowanym tegoż dnia kierownikiem placówki organizacyjnej w Użhorodzie Janem Urbańcem, który przygotowywał dla tej grupy przejście przez granicę rumuńsko-węgierską i dalej przez węgiersko-polską. Okoliczności, wśród jakich nastąpiło aresztowanie nad granicą, pytania, zadawane przez żandarmów w czasie przesłuchiwania, oraz późniejsze tłumaczenie się Węgrów nie pozostawiały żadnej wątpliwości, że byli oni już od kilku tygodni ostrzegani, a w ostatniej chwili zaalarmowani, że grupa idąca z Rumunii jest «bardzo niebezpiecznym» zespołem komunistów i szpiegów sowieckich. Było to bezsprzeczna «zastępa» polskiego aparatu inwigilacyjnego w Bukareszcie — a raczej jego kierownictwa, które — rozbiwszy organizację — teraz inicjatorów jej i twórców pchało do więzienia węgierskiego, aby tylko nie dopuścić ich do Polski. Węgrzy w sposób tak perfidny i nikczemny wprowadzeni w błąd — ustosunkowali się w pierwszej chwili do aresztowanych wrogo i brutalnie. Zachodziła nawet obawa, że odstawią całą grupę nad granicę sowiecką i przekażą ją władzom sowieckim. Szczęśliwie jednak aresztowanych przewieziono z Huszt do więzienia w Budapeszcie, a potem — po trzech miesiącach — do więzienia w Nagykanizsa. W ciągu półrocznego pobytu aresztowanych w więzieniu, Węgrzy w swoim stosunku do nich przechodzili — w miarę wyjaśniania sprawy — od brutalności do poprawności i rosnącej stale sympatii i życzliwości, nie mogli jednak zrozumieć, dlaczego jedni Polacy w sposób tak nikczemny oskarżają innych Polaków i dlaczego tak usilnie dbają, by aresztowani nie odzyskali wolności. Interwencje w sprawie aresztowanych u władz polskich w Paryżu i Angers, a później — po katastrofie francuskiej — w Londynie

kwiątem na tle niebogatych dziejów organizacji, są zastosowane względem niej metody. Ujawni się tu perfidne dążenie do «wykończenia» przeciwników rękami ich politycznych czy osobistych przyjaciół. Lojalne wobec rządu polskiego w Paryżu ręce gen. Sosnkowskiego i Adama Koca likwidować musiały «afere» i organizację w Rumunii, jak później we Francji sprawę Igna-

— nie odnosiły żadnego skutku, gdyż wszechpoteężny prof. Kot — i niestety, nie tylko Kot — w sposób bardzo swoisty «interesowali się» losem aresztowanych. Prezydent Wł. Raczkiewicz, głęboko poruszony tą sprawą, — polecił ówczesnym władzom polskim interweniować w Budapeszcie w celu wydobycia aresztowanych z więzienia. Ale władze polskie «nie mogły nic uzyskać». Dopiero naciski i zabiegi powiadomionych o tym skandalu przyjaciół angielskich — p. Severy, przedwojennego konsula brytyjskiego w Warszawie, pani Norton, żony radcy legacyjnego ambasady brytyjskiej w Warszawie — oraz w dużej mierze posta brytyjskiego w Budapeszcie, i zwłaszcza jego małżonki — otworzyły wreszcie bramy więzienia. Zwolniono w pierwszym rzędzie Drymmera, gdyż Niemcy zażądali wydania go. Węgrzy — w ostatniej już chwili sprowadzając go z Nagykanizsa do Budapesztu — domagali się, by jak najprędzej uciekał przez zieloną granicę; ostatecznie jednak dzięki życzliwości i pomocy węgierskiego wiceministra dla spraw uchodźczych, mógł Drymmer nazajutrz po zwolnieniu uzyskać wizy i wyjechać do Jugosławii. Przed wyjazdem z Budapesztu zdażył prosić i zobowiązać posta Orłowskiego, konsula Żarańskiego, Jul. Piaseckiego i paru innych do starań o zwolnienie pozostałych kolegów więziennych. Znalazłszy się w Belgradzie — pisał w tej sprawie gdzie mógł. Po dwóch niespełna miesiącach tych zabiegów — w październiku 1940 r. wszyscy zostali zwolnieni przez Węgrów. J. Urbaniec wydostał się szczęśliwie przez Jugosławie na Bl. Wschód. Krzyczkowski, Rudnicki, Machnicki i Kałuża po zwolnieniu udali się przez zieloną granicę do Polski i wzięli tam czynny udział w walce podziemnej z Niemcami. Rudnicki, aresztowany w Polsce, zginął w niemieckim obozie koncentracyjnym. Poczuję się tu też do obowiązku powiedzenia przynajmniej paru słów o Karolu Szczeniowskim, choć nie należał on do opisanej organizacji. W młodości należał do P.O.W. Przed wojną r. 1939 był przez szereg lat adiutantem w Prezydium Rady Ministrów. Był bardzo taktowny, pracowity, dyskretny. Niestety — w ostatnim okresie przedwojennym ładna linia jego życia zadrgała nieprzyjemnie, bo poniosły go jakieś namiętności. Widywałem go dość często w Rumunii — w Czerniowcach, w Turnu-Severin i w Bukareszcie. Uderzała w rozmowach z nim zawsze gorąca i szczerą chęć rehabilitacji za wszelką cenę, co wyrażało się w ustawicznym szukaniu i bardzo chętnym braniu na siebie wszelkich zadań — nie tylko kłopotliwych i ciężkich, ale wymagających ryzyka i niebezpiecznych. Wiem np. że oddał parę poważnych usług unieruchomionym w Baile Herculane generałom — z Berbeckim na czele. Do organizacji «K.7.» — jak nadmienilem — nie należał; ale wobec zaufania, jakiego nie można mu było odmawiać — załatwiał dla niej szereg spraw. W styczniu r. 1940 poszedł z Bukaresztu z czyjegós nieznanego mi polecenia do kraju. Organizacja «K.7.» skorzystała z tego, by mu powierzyć misję nawiazania pewnych kontaktów w kraju. Niestety — podczas przechodzenia granicy słowacko-polskiej dostał ataku serca i, doczołgawszy się z trudem do granicznego słupa polskiego — zmarł już po stronie polskiej. Przedstawiając tu dzieje tej organizacji, opierałem się na własnych wspomnieniach i notatkach sprzed ośmiu lat oraz na informacjach i paru dokumentach, dostarczonych mi na moją prośbę w grudniu r. 1947 przez pp. Tadeusza Schaezla i W. T. Drymmera.

cego Matuszewskiego. Czy gen. Sosnkowski nie mógł uratować organizacji tylko dlatego, że był bardzo ograniczony w swoich decyzjach przez «doradców politycznych», reprezentujących ówczesne «czwórporozumienie partyjne»? Czy nie odezwało się i tu u niego zbyt silne poczucie obowiązku lojalności wobec każdej prawowitej władzy, lojalność, która już w r. 1926 znalazła dla siebie tak tragiczny wyraz? Nie wiem...

Wreszcie — trzecie i ostatnie już stwierdzenie. Wyżej dość dużo mówiłem o tym, jak spieniona zemsta zaślepionego, krańcowego partyjniactwa, odmawiającego Polakom ich bezspornego prawa walki o Polskę, w dążeniu swoim do rozbicia i zabicia organizacji posługiwała się nie tylko błotem błotem bezpodstawnych osądzeń, fantastycznych zarzutów i oskarżeń, ale i nie wahała się jeszcze wciągać do swoich wysiłków przy pomocy kłamstw czynników obcych — rumuńskich i węgierskich — by wpechnąć Polaków do obcego więzienia. Nie łatwo znaleźć właściwą nazwę dla takich metod.

...Bukareszt znałem z paru poprzednich pobytów w Rumunii. Teraz podziwiać mogłem niezwykle rozmach w jego rozbudowie i europeizacji. Tym jaskrawsze były wsmakże kontrasty. Gdzieś, w jakimś francuskim opisie Rumunii, — spotkałem się z trafną uwagą, że tu zachód gubi swoje cechy zachodu, wschód — cechy wschodu, a zarówno zachód i wschód tracą swój wdzięk. Istotnie — było w obrazie rumuńskim coś jakby z mgławicy. Uderzało to silniej w głębi kraju — w Bukareszcie zachód górował już nad wschodem...

...Pełno było tu Polaków. W tańszych restauracjach i w wielu kawiarniach — nie wyłączając najelegantszego «Nestora» — słyszało się dokoła siebie przeważnie język polski. Co najmniej połowa hotelu «Paris», gdzieśmy zamieszkali, zajęta była przez rodaków różnego autoramentu. Chłopak, obsługujący winę, popisywał się już swoją polszczyzną. Konsulaty obce — włoski, jugosłowiański, bułgarski, grecki — oblegane były przez tłumy polskie, starające się o różne wize. Ewakuacja wojskowych do Francji płynęła korytem już dość szerokim. Tu któregoś dnia spotkałem niespodzianie swego siostrzeńca — młodziutkiego porucznika z lwowskiego pułku lotniczego. Chłopak, w jakimś dziwnym ubraniu cywilnym — był bardzo wymizerowany, bo przed paru tylko dniami wyszedł z obozu. Już za pobytu mego w Turnu-Severin doszło wśród oficerów w wielu obozach do poważnego rozłamu. Rumuni pozwalali każdemu, kto chciał, zamieszkać prywatnie w mieście, pod warunkiem jednak złożenia słowa honoru, że nie będzie z Rumunii uciekał. Starsi, zwłaszcza mający rodziny w Rumunii, dość chętnie z tego skorzystali, młodzi oburzali się na to i bardzo ostro osądzały. Do przykrych starć na tym tle doszło w obozie siostrzeńca. Rumuni próbowali interweniować i łagodzić, wreszcie kilkunastu młodszych — z siostrzeńcem moim na czele — zamknęli do aresztu,



skazując na przykre i ciężkie warunki. Oficerowie rumuńscy nie mogli zrozumieć sensu w tym oporze. Cóż szkodzi dać słowo honoru? Przecież wyście z obozu ułatwi każdemu ucieczkę. Obozy wprawdzie i bez tego topnieją — znika z nich coraz więcej ludzi — ale dlaczego nie skorzystać z pomyślniejszych okoliczności? ...

...Atmosfera polskiego Bukaresztu przesycona była dostojewszczyzną. Nie, — nie myślę się tu w swoim określeniu. Dostojewski nie lubił Polaków, nienawidził ich, pogardzał nimi; polscy «bohaterowie» jego powieści — to przecież śmieśni zarzuciałcy, mizerni krętańcy, pochlebcy, łgarze, tchórze... Kiedyś — w młodzieńczej swej reakcji — z pasją rzucałem tom Dostojewskiego na podłogę, za to, że tak Polaków widział i malował. Niestety, — teraz, w Bukareszcie, tych jego «polskich bohaterów» spotykało się na każdym kroku — nie pojedynczo, nie parami, a całym stadem...

Bezpośredni tu już wpływ ambasady i aparatury Kota druzgotął w ludziach resztki hamulców wewnętrznych, zabijał resztki przyzwoitości. To, co w Turnu-Severin osłaniano jeszcze wstydliwie, trzymano za wachlarzykiem zakłopotania i zażenowania — tu rozwijało się w obrzydliwie topuchy prowokacyjnej bezczelności, otwartego bezwstydu i cynizmu. Możliwość «urządzenia się», wciśnięcia się na jakąś posadkę były dość szerokie. Ambasada i konsulat wobec wielu nowych zadań zostały poważnie rozbudowane. Działał rosnący stale aparat Kota, — pracowały Komisja Badawcza i Komisja rejestrująca mienie państwowe, wreszcie poważną gromadę ludzi zatrudniał Centralny Komitet Pomocy. Nie chcę i nie mógłbym twierdzić, że wszyscy pracujący tu zdobyli sobie miejsce przy jakimś biurku za cenę upodlenia. Niejeden znalazł się tu w początkowej fazie, dzięki przypadkowi, inny później — jako «niezastąpiony fachowiec» — powołany został bezapelacyjnym rozkazem władzy. Ludzie ci, do wyjątków należący, tkwili w pracujących zespołach z rumieńcem zawstydenia, z nieukrywaniem uczuciem niesmaku, nawet obrzydzenia. Ale nie oni przecież decydowali o panującym klimacie. W tłumie cisnących się do miski z jadłem panowało uzasadnione przekonanie, że nie uzyska się nic, jeśli się nie pójdzie na najdalszy «kompromis» z sumieniem. Każdy, ubiegający się o wyjazd do Francji czy o posadkę w Bukareszcie, rozpoczynał swe starania od pisania «sprawozdania», choć nie od wszystkich tego żądano. Ludzie czuli, że wynik starań będzie tym pewniejszy, im więcej będzie w «sprawozdaniu» cech nikczemnego donosu. Kto miał wyobraźnię bujną — mógł, koloryzując, wyolbrzymiać drobne fakty do niestychanej potęgi, mógł przedwojennym swoim szefom i kolegom przypisywać niepopelnione przez nich grzechy, wymyślać zaniedbania i nadużycia — pewny, że spotka go za to tylko nagroda. Biedacy wszakże, którym los poskąpił inwencji, tygodniami biegali po kawiarniach, — w «szczyrych» tam zwierzchniach prosili o radę i pomoc, zbierali plotki, polowali na każdą brednię. Niektórzy

w obawie przed możliwą kiedyś odpowiedzialnością za stwierdzone własnym podpisem kłamstwa, zawierali przezornie «sojusze», w raportach powołując się na siebie wzajemnie, jako na «naocznych świadków» tego, czego nigdy nie było. W stosunkach codziennych z przyjaciółmi, kolegami, znajomymi często nie wiedzieli, jak się zachować — jednego dnia przy spotkaniu kłaniali się komuś niziutko, niespokojnie zacierali ręce, z lokajską usłużnością patrzyli w oczy, a nazajutrz — dowiedziawszy się, że ten ktoś jest w niełasce — odwracali się przy spotkaniu, nie poznawali w kawiarniach... W stosunkach — otwierały się przepaście coraz głębsze. Ci, co posadkę już zdobyli, nosili się z wyzywającą arogancją. Mizernutki przedwojenny referencina — W. K. — teraz właściwie jako goniec zahaczony o jakieś biuro, przy spotkaniu na ulicy z dawnym swoim dyrektorem, Sewerem Sokołowskim, któremu tak wiele zawdzięczał, nie raczył uchylić kapelusza i przy tym najbezcelniej patrzył prosto w oczy. Inny — S. Z. — znany w Centrali na Wierzbowej ze swych aż do niesmacznej karykatury posuwanych zapędów serwilistycznych — teraz, jako referent ambasady, wezwanemu tu służbowo przedwojennemu swemu szefowi, T. Kawalcowi, na jego «dzień dobry» — odpowiedział: «Nie ma tu żadnego dzień dobry! Czy pan nie wie, że nie wolno tu wchodzić byłym urzędnikom ministerstwa?» Wśród takich przejawów stylu «nowej Polski» patrzyłem z pogłębiającym się szacunkiem na naszych woźnych i szoferów. W przeciwieństwie do prostytutki się inteligencji, wykazywali bardzo dużo odporności i poczucia własnej godności. Opowiadali otwarcie — z niesmakiem i zgorzaniem — jak to zmusza się ich i zachęca do ujawniania zarówno służbowych, jak i osobistych tajemnic szefów. Przychodzili do tych szefów, powtarzali, czego to od nich żądano i co obiecywano, zapytywali — dlaczego tak jest? i do czego to doprowadzić może? Niewątpliwie — «dół», świat «niższych funkcjonariuszów», był zdrowszy moralnie, mniej tu też przywiązywano wagi do «posadki», niż wśród niezaradnej i bojącej się jutra inteligencji...

...Przez cały, kilkutygodniowy okres pobytu swego w Bukareszcie, starałem się nie pamiętać o istnieniu polskich instytucji. Starałem się uniknąć jakiegokolwiek z nimi kontaktu. Zostałem wszakże dwukrotnie wezwany do attachatu wojskowego. Przemcisnąwszy się z trudem przez nieprawdopodobny tłum interesantów, wypełniających schody i korytarze, stanąłem przed obliczem zastępcy płk. Zakrzewskiego — majora Zimnala. Spotykałem się z nim po raz pierwszy w życiu. Nic o nim dotąd nie wiedziałem. W tym pierwszym zetknięciu się robił wrażenie człowieka nieprzytomnego z przepracowania. Gdy pokazałem mu przez niego podpisane wezwanie — długo przecierał sobie czoło — nie wiedział o co chodzi. Zażądał przedstawienia moich wojskowych dokumentów. Przejrzał je. Telefonował gdzieś, grzebał się w aktach, wychodził, znów czegoś szukał, wreszcie — dość niespodzianie — oświadczył: «Za tydzień odjedzie pan do woj-

ska we Francji, proszę przygotować się do podróży i czekać na wezwanie». Gdy po kilku dniach stanąłem znowu przed nim — jeszcze dłużej przecierał sobie czoło, znów gdzieś telefonował, znów grzebał się w aktach, i znów dość niespodzianie oświadczył: «Pierwszeństwo w ewakuacji do Francji mają lotnicy. Pan jest artylerzystą. Dla oficerów wojsk lądowych w każdym stopniu przewidziana jest granica wieku. Pan granicę tę przekroczył, więc — sprawa jasna»... Istotnie, — mimo różnych mgieł sprawa była zupełnie jasna... Nie mniej wyraźnie zarysowała się ta «sprawa» w przypadkowym kontakcie z inną instytucją polską. Z kierownikiem działu oświatowego w Centralnym Komitecie Polskim znaliśmy się dobrze z Warszawy. W pierwszym spotkaniu w Bukareszcie mówił mi o organizowanej właśnie akcji odczytowej, o «zwerbowanych» już w tym celu literatach i dziennikarzach, — proponował mi też czynny w tym udział. Zgodziłem się. Wybraliśmy tematy. Terminy odczytów w Bukareszcie i na prowincji ustalić miał w ciągu kilku dni i w związku z tym prosił, bym zajrzał do niego — do biura. Gdy przyszedłem — przeprosił mnie przez jakiegoś urzędnika, że — zajęty — przyjąć mnie nie może. Nie miałem już żadnych wątpliwości, ale dla sprawdzenia wieczorem zatelefonowałem do hotelu. Portier oświadczył mi, że «pan doktor właśnie wrócił», ale po paru minutach oczekiwania usłyszałem, że «niestety, pana doktora już nie ma»... Wreszcie — jeśli chodzi o moje «kontakty» z urzędami — to muszę tu dodać, że gdzieś w końcu października przyjechał z Paryża do Bukaresztu p. Szumlakowski. Nie wiedziałem i dotąd nie wiem nic o celach i zadaniach tej wizyty. Otrzymałem jednak — jak wielu moich kolegów — podpisany przez p. Szumlakowskiego list z żądaniem złożenia sprawozdania z przebiegu ewakuacji z Warszawy do Kut. List był zaadresowany do mnie, jako do «byłego» urzędnika M.S.Z., w treści zaś swej utrzymany był w niedopuszczalnej formie kaprałskiego rozkazu. Znając p. Szumlakowskiego, pewny byłem, że podpisał go — nie czytając. Nie miałem zamiaru na to wogóle odpowiadać, tym bardziej, że czuło się tu ducha Kota. Przyjaciele moi przekonali mnie wszakże, że nie powinien od tego się uchylać, bo milczenie moje może być fałszywie interpretowane, a w dodatku obowiązywać nas wszystkich musi zasada nie bojkotowania, lecz lojalności wobec rządu jako jedynej prawowitej władzy. Napisałem więc to sprawozdanie, przed odbiciem na maszynie odczytałem je kilku przyjaciołom — m. in. S. Sokołowskiemu i Drymmerowi — i po stwierdzeniu przez nich, że jestem ścisły w przytaczanych faktach, skierowałem je w dwóch czy trzech wymaganych egzemplarzach nie do ambasady, bo iść tam nie chciałem, ale wprost do p. Szumlakowskiego do Paryża — nie pocztą, lecz przez uprzejme ręce wyjeżdżającego z powrotem do Francji p. H. Stebelskiego...

...Rozmawiałbym się z prawdą ówczesnej rzeczywistości, gdybym, pisząc dziś o niej, ograniczał się do notowania tylko przygnębiających i odrażających przejawów zatrutej atmosfery.

...Z ciekawym przejawem nastrojów, panujących w polskim Bukareszcie, spotkałem się wkrótce po przyjeździe, gdy ogłoszono w prasie, że otwarta zostaje komunikacja telegraficzna z obszarem okupacji sowieckiej. Poszedłem na pocztę, by wysłać depeszę do rodziny pod Lwowem. Trafiałem na awanturę. Kilkunastu Polaków użerało się z urzędnikiem, który w adresie depeszy do Lwowa, Kowla, Łucka czy Stanisławowa skreślał «Pologne» i wpisywał «U.R.S.S.». W oburzeniu — najdziwniejszym rumuńsko-polsko-francuskim językiem — przekonywano go, że «nie jest jeszcze przewodniczącym konferencji pokojowej», która zmieniać ma granice państw — Łuck, i Lwów, i Stanisławów, i Tarnopol należały, należą i będą należeć do Polski, a nie do Rosji. Sprowadzony naczelnik urzędu rozstrzygnął spór salomonowym wyrokiem: skreślał w adresie «Pologne» — dopisywał: «via Odessa U.R.S.S.»... To rodacy strawić już mogli...

...Mimo dyskretnego milczenia radia polskiego z Paryża i Londynu o życiu pod okupacją sowiecką, w stosunku mas uchodźców polskich do Moskwy nie było wahań i wątpliwości. Nastroje — zdecydowane od początku — od pamiętnego dnia 17 września — mogły się z czasem tylko pogłębić; bo brutalna szczerłość berlińsko-moskiewskich przyjaciół górowała wybitnie nad bladym stosunkowo cynizmem Fryderyka Wielkiego i Katarzyny. Echem, przez długie tygodnie niemiłkającym, grało w polskim Bukareszcie przemówienie, wygłoszone przez Mołotowa 31 października: «Rządzące koła polskie nie mały się pysznić trwałością swego państwa i potęgą swej armii — jednakże wystarczającym się okazało krótkie uderzenie w Polskę od strony najpierw armii niemieckiej, a potem armii czerwonej, ażeby nie zostało nic z owego poczwarnego bękarta traktatu wersalskiego»... Czym się kierowała propaganda sowiecka, zaopatrując obficie bukareszteńskie kioski z gazetami w broszury z pełnym tekstem tego przemówienia, nie tylko w oryginalnym brzmieniu rosyjskim, ale i w dosłownym tłumaczeniu polskim?...

...Wiadomości z Polski było coraz więcej. Obraz życia w kraju pod okupacją niemiecką wyłaniał się stopniowo nawet z oględnych listów, przechodzących przez niemiecką cenzurę. Od czasu do czasu pojawiał się w Bukareszcie jakiś przybysz z Warszawy; prawie wszyscy uciekinierzy z obszaru okupacji niemieckiej szli przez Słowację na Węgry; zdarzały się jednak wypadki, że ktoś — różnymi względami się kierując — wybierał dalszą okreśną drogę — z Warszawy poprzez okupację sowiecką do Rumunii. Przybysz taki oblegany był przez rodaków po kawiarniach, zapraszany przez wszystkich, ściągany na liczniejsze zebrania po hotelach. W ocenie sytuacji krajowej i panujących tam warunków były nieraz bardzo jaskrawe różnice i sprzeczności. Całość wszakże układała się w obraz ponury, bolesny, zatrważający, bo na tle ogromu zniszczeń — powszechna bieda i nędza, brutalny stosunek Niemców — ograniczenia, prześladowania, przesiedlenia, egzekucje — wszystko, na co zdobyć się

mogło wytresowane, unowocześnione, krzyżackie bestialstwo w zemście nad pokonanym przeciwnikiem.

Te ponure, bolesne, szarpiące echa z dalekiej Warszawy łączyły się z obfitszą znacznie falą równie posępnych i nie mniej drapieżnych w swym okrucieństwie odgłosów z Małopolski — zwłaszcza ze Lwowa — miasta «zawsze wiernego», patrzącego teraz w niemieckie rozpacz, jak przez ulice jego przewala się tłum z głębi Azji sprowadzonej dziecizny, jak huczy w starych murach dzika, mongolska pieśń: *Maskwa moja, ty miłaja, rodnaja moja, moguczaja!*... Ludzi, przenikających do Bukaresztu ze Lwowa, było znacznie więcej. Przynosili wieści nie tylko o nędzy ludności. Dowiadaliśmy się o przepelnionych więzieniach, o podstępnej, na *czestnoje słowo* rejestracji, o dzikim łomotaniu po nocach do bram i drzwi, o wyłapywaniu z początku uchodźców z zachodniej Polski, a potem i stałych mieszkańców, o wywożeniu coraz większych partii do Donbasu, na Sybir i pod biegun. Jakżeż często myśl moja uciekała wtedy do dalekiego, kochanego Wilna, gdzie w ciszy cmentarza na Rossie Wielkie Serce u stóp matki konać musiało z bólu po raz wtóry!...

...Reakcja na wiadomość o napadzie Rosji na Finlandię znalazła dla siebie wyraz nie tylko w podnieconych rozmowach po kawiarniach. Wielu Polaków wysyłało indywidualne i zbiorowe listy do poselstwa fińskiego. Bohaterski opór Finów budził wszakże nie tylko uczucie radości i satysfakcji. Ludzie, nie analizując głębiej imponującego zjawiska, nie wnikając w gesty spłót różnych przyczyn i skutków, wyciągali «miażdżący» — jak się wielu zdawało — wniosek: Finlandia, dziesięciokrotnie mniejsza od Polski — umie i może bronić się dzielnie, skutecznie, długo — a my? Wnosiło to nowe elementy do kompleksu «wrześniowej hańby». Na krótko przed wybuchem wojny fińsko-sowieckiej kompleks ten jakby przycichł. Może dlatego, że siedząca w Paryżu polska mądrość polityczna rzuciła tłumom na żer sprawę Zaolzia — odciążyło to w pewnym sensie sprawę września. Teraz jednak — pod wpływem wieści o sukcesach bohaterskich Finów — «kompleks hańby» potężniejszą niż dotąd fontanną tryskał w górę. Zahuczały znów polskie kąty po kawiarniach. Słyszało się już nie tylko o Rydzu. I nie tylko o generałach. Mówiono o konieczności wyrzucenia «won» wszystkich oficerów od majora w górę. Do jakżeż nielicznych wyjątków należeli ludzie, których ja nie musiałem przekonywać, że we wrześniu nie ma żadnej hańby.

Tylko w gronie przyjaciół najbliższych staliśmy zgodnie na stanowisku, że z oceną września trzeba czekać, nie formułować sądu za wcześnie. Widzieliśmy główną przyczynę naszej klęski przede wszystkim w zbyt wielkiej różnicy sił i w bezczynności naszych aliantów. Ale i tu nie brakowało w pewnych sprawach sądów ostrych, choć w gruncie rzeczy pewnie słusznych. Jeden z przyjaciół — rozważny i nieskory do robienia jakichkolwiek zarzutów komukolwiek — w rozmowie ze mną elementów naszej klęski szukać kazał także w skutkach łamania i wypaczania

konstytucji kwietniowej — wywindowano marszałka Rydza wbrew konstytucji na poziom czynnika nadrzędnego, stworzono dualizm odpowiedzialności nadrzędnego czynnika w państwie i sparaliżowano rolę parlamentu, jako czynnika kontroli władzy wykonawczej. Zachwiało to podstawowymi zasadami naszego ustroju, polegającego na arbitrującej roli prezydenta w stosunku do parlamentu i rządu, dualizm zaś w zakresie czynnika nadrzędnego doprowadzić musiał do pomieszczenia toru pokojowego życia państwa z torem wojskowym, powołanym do czuwania nad stanem przygotowania się do wojny. Marszałek Śmigły — według mego rozmówcy — za mało myślał o przygotowaniu kraju do wojny, za dużo — o rozgrywkach wewnętrznych, w obrębie problemu zbliżającej się zmiany na fotelu prezydenta. Inny z moich przyjaciół charakteryzował marszałka Rydza jako jednostkę zbyt ambitną, dążącą do odegrania w państwie roli, która należałaby nową epokę. Brakować mu jednak miało wyuczucia proporcji między sobą a Józefem Piłsudskim — oraz zrozumienia, co to znaczy robienie historii własnymi rękami. A poza tym? Patrzył na bryłę państwa i nie zdawał sobie sprawy, czy to ciężar stali, czy papier maché. Jak zaznaczyłem gdzieś już wyżej — nigdy nie należałem do entuzjastów marszałka Śmigłego, ale wsłuchując się uważnie w te sądy — wyczuwałem, że i one są zabarwione w pewnej mierze echami września, że przed wojną i klęską słyby na pewno w tym samym kierunku, ale nie byłyby chyba tak ostre, tak kateryczne...

...Rozmowy te zresztą pozostawały w ramach nieustępliwego mego dążenia do wzbogacenia dawniejszych wiadomości i najświeższych spostrzeżeń — z myślą o rozpoczętym pamiętniku i projektowanych artykułach dla pism amerykańskich. Dzięki swoim przedwojennym pracom, stosunkom, znajomościom — mogłem w Polsce sięgać okiem do niejednej z tych dziedzin, które przed szerszym ogółem były szczelnie zamknięte. Ze swej jednak niezbyt wysokiej pozycji społecznej pole widzenia miałem bardzo ograniczone. Nie należałem, nigdy nie należałem do ludzi, którzy na przedwojennym polskim niebie nie dostrzegają żadnej chmurki, — nie widzą żadnych plam na szacie zewnętrznej kraju, ani tym bardziej ran krwawiących w jego wnętrzu. Niestety, — były chmury, były plamy i rany! Niepokoiło mnie to zawsze, męczyło stale — teraz tym bardziej chciałem to wyjaśnić, dla siebie przynajmniej. Wobec katastrofy — w nowej sytuacji — opadała z wielu ust pieczęć milczenia w tych sprawach. Tą drogą szukałem uzupełnień i wyjaśnień przede wszystkim dla wielu problemów wewnętrznych — nowej konstytucji, zmian w stosunkach po śmierci marszałka Piłsudskiego, kryzysu — cichego, ale bardzo przecięż głębokiego i zasadniczego, różnie w koncepcji — autorytetu jednostki i szacunku dla prawa, tragicznego trójkąta Sławek—Mościcki—Rydz, Powszechnej Organizacji Społeczeństwa i Ozonu, rozwiązania sejmu i nowych wyborów na jesieni r. 1938, wreszcie — wstrząsającego kroku Walerego Sławka, który w poczuciu honorowej odpowiedzialności

ści wobec Komendanta za rozwój stosunków w Polsce rzucał na szalę tych stosunków swoje życie — dla wywołania reakcji i zmiany tego kierunku, który uważał za groźny i prowadzący do rozstroju państwa. Czułem, dobrze wiedziałem już w Polsce różnicę między okresami przed i po zgonie Marszałka Piłsudskiego. Teraz szukałem dodatkowych dla siebie świateł... W rozmowach bukaresztyńskich zresztą nie zamykałem się w granicach tylko naszych wewnętrznych przedwojennych spraw. Skorzystałem ze sposobności, by wniknąć w sprawę internowania naszych władz w Rumunii. Warunki narzuciły parę kwestii dodatkowych — zdobyłem sporo informacji w hałaśliwej już wówczas sprawie braków w naszym przygotowaniu do wojny oraz bezrozumnego jakoby i karygodnego eksportu z Polski broni, zwłaszcza armatek przeciwpancernych. Wejrzałem też głębiej w kwestię niefortunnnych rokowań polsko-angielskich o pożyczkę w przededniu wojny. Dnie całe — nieraz do późnych godzin nocnych — wypełniałem tą pracą. Musiałem się śpieszyć, bo zbliżał się szybki termin wyjazdu do Włoch, gdzie chcieliśmy być na święta Bożego Narodzenia najpóźniej. W tym natłoku spotkań po kawiarniach i wizyt w hotelach nie znajdowałem czasu, by pójść choć raz do polskiego teatru, który z Ziemińskim i Eichlerówną — stworzony w trudnych warunkach — grał w Bukareszcie i różnych ośrodkach uchodźczych «Przeziębłą Zeromskiego». Zresztą — nie mógłbym wykrzesać w sobie wtedy tego nastroju, który pozwalałby mi wyjść z ciężkiej mgły własnych bólów i trosk i śledzić przebieg szlachetnych szalbiertw Przetęckiego...

...W sobotę 9 grudnia Sewer Sokołowski wyjechał z Bukaresztu do Brasov — i po paru dniach telefonicznie, w imieniu ministra Becka, zaprosił mnie na kilkudniowy tam pobyt. Wyjechałem pociągiem z wracającym z Bukaresztu sekretarzem ministra Domanem Rogoyskim. Po pięciu chyba godzinach jazdy — około północy — byliśmy na miejscu...

...Brasov znałem. Parę lat temu błąkałem się po węgiersko-rumuńskim Siedmiogrodzie, szukając śladów po Józefie Bemie. Miasto niewielkie — może nawet uroczę, pełne ślicznej architektury i zabytków, pamiętających wieki XII i XIII. Dokoła — wysokie góry, wspaniałe lasy...

...«Aro Palace» uderzał swoją wygodną nowoczesnością i wysokim poziomem, mógł też z powodzeniem wytrzymać konkurencję z najlepszymi hotelami Zakopanego czy Krynicy. Internowani tu ministrowie — Beck i Roman, wraz z rodzinami i sekretarzami — mieli wydzielone tylko dla siebie całe piętro. Korzystali też z odrębnej — dość dużej — sali restauracyjnej. Apartamenty bardzo wygodne, kuchnia znakomita, służba uprzejma — wszystko to na koszt rumuńskiego ministerstwa spraw zagranicznych. Ale i ta «złota klatka» strzeżona była bardzo pilnie — kilku dyżurujących policjantów i kilku dyskretniej chowających się agentów, którzy w razie spacerów towarzyszą

internowanym, jak cienie, a i w obrębie hotelu nie spuszczają z nich oka. W stosunku do mnie ograniczono się do sprawdzenia mego paszportu dyplomatycznego — o cel przyjazdu nie pytano.

Wysoki przymusowo poziom życia w «Aro Palace» stał się powodem najfantastyczniejszych plotek, gorliwie kolportowanych zwłaszcza przez tych, którzy tyle wysiłku włożyli, by rząd i Becka internować i z tej «złotej klatki» już nie wypuścić. Korzystali z tego i Niemcy, by «beztroski» i «hulaszczy» tryb życia internowanych przedstawić po swojemu w cyklu reportaży *Männer die Polens Katsasrophe verschuldeten*. Opowiadał mi właśnie Doman Rogoyski w pociągu — w drodze z Bukaresztu — jak Niemcy czyhają na «odpowiednią» chwilę: przed kilku dniami wdart się jeden z nich podstępem do salki restauracyjnej i próbował sfotografować Becka oraz parę innych osób na tym «wymownym» tle. Rogoyski skoczył ku Szwabowi i — chcąc wyrzucić mu aparat — odtrącił go ku oknu. Nadbiegli agenci rumuńscy. Niemca wyprowadzono z sali — minister Roman zażądał otwarcia aparatu, sam wyjął z niego film, prześwietlił, — a tym samym i zniszczył...

...Jadąc do Brasov — wiedziałem, że w istniejących warunkach Beck nie chce zabierać głosu, — dziennikarze na próżno zabiegali o rozmowę z nim. W drodze z Bukaresztu — w pociągu — dowiadywałem się od tegoż Domana Rogoyskiego, że właśnie przed paru dniami zjawił się w Brasov i właściwie nie nie uzyskał Melchior Wańkiewicz, który zbierał w tym czasie materiały do zamierzonego cyklu reportaży o kampanii wrześniowej.<sup>1)</sup> Czy miało to być złą wróżbą dla mnie? Nie obiecywałem sobie rezultatów zbyt wielkich — nie mogłem przewidzieć — o czym i jak szeroko zechce min. Beck ze mną mówić, miałem jednak podstawy do przypuszczeń, że z pustymi rękoma do Bukaresztu nie wrócę. Nie tylko dlatego, że Sewer Sokołowski, siedzący od paru dni w Brasov, przygotował grunt i uzyskał już zgodę na rozmowę ze mną. Sam Beck znał mnie dobrze z ministerstwa i z mojej tam pracy. Na jego życzenie czy z jego polecenia załatwiałem w Warszawie szereg spraw. Historię lubił i często w

<sup>1)</sup> Pan M. Wańkiewicz przybył do Brasov we czwartek 7 grudnia 1939 r. Nazajutrz — zaraz po śniadaniu — odjechał, udając się, jak zapowiadał, do marszałka Smiętego. Ostatniego już wieczora, przy pożegnalnej kolacji, min. Beck mówił do mnie: «Wywiadów nikomu nie udzielam. O wielu rzeczach nie mogę jeszcze mówić i w dodatku wystąpienie takie mogłoby być w dzisiejszych polskich stosunkach najopaczniej co do intencji komentowane. Zresztą — ci dziennikarze!... Bóg wie, co mogą włożyć człowiekowi w usta! Pan wie — był tu dopiero co pan Melchior Wańkiewicz. Podobały mi się nawet jego *Szczenięce lata* — czytałem kiedyś inne jego książki, ale co to wszystko ma wspólnego z polityką? Prosił mnie o wywiad. Odmówiłem. Nie chciałem jednak odmawiać rozmowy z nim. Pytał się przy kolacji i po kolacji o różne rzeczy. Odpowiadałem, ale wampię, by mógł być zadowolony. Bo pan wie — zawsze powtarzam: pytania nigdy nie są niedyskretne, to tylko odpowiedzi mogą być niedyskretne...»

swej politycznej pracy spoglądał w przeszłość. Nieraz — przed wyjazdami do wizyty oficjalnej — żądał ode mnie dla odświeżenia swych wiadomości odpowiedniej literatury — czy to o dalekich szesnastowiecznych stosunkach polsko-angielskich lub polsko-szwedzkich, czy o Mierosławskim na Sycylii, czy też o związkach powstania listopadowego z niepodległością belgijską. Nie lubił w historii — Polski w niewoli, Polski we łzach i z kajdanami na rękę. Pamiętam — na parę lat przed wojną wydano w Warszawie, jako jeszcze jeden z licznych albumów, — polsko-litewski cykl Artura Grottgera. Zwrócono się do mnie, bym nabył większą ilość tych albumów i rozesłał je dla «propagandy» do naszych urzędów zagranicznych. Z wielu względów ani nie chciałem, ani nie mogłem ulec tym namowom, ale że nacisk był zbyt silny i szedł — jak często w Polsce — od osób nawet bardzo wpływowych, — nie omieszkałem w pierwszej nadarzącej się rozmowie z Beckiem poruszyć tej sprawy, by w jego zdaniu mieć oparcie dla siebie. I usłyszałem w odpowiedzi: «Grottgera? Zagranicę? W dzisiejszych czasach? Nie, drogi panie! Mogłby pan wysłać tam Matejki Batorego pod Pskowem lub Grunwald. Ale Grottger? Niech pan powie tym panom, co do pana wydzwanają, że niedawno właśnie Edenowi, który w Lidze Narodów głosić się musi nad sprawami gdańskimi, pokazałem starą gdańską monetę z godłami Rzeczypospolitej. Niech pan im powie, że godła te zrobiły na Edenie większe wrażenie, niż zrobić by to mogły długie wywody i przekonywania o możliwości i potrzebie wspólnego życia Gdańska z Polską... Pamiętam, jak to na uniwersytecie warszawskim — po otrzymaniu dyplomu doktora honoris causa — odpowiadając na przemówienie rektora, dawał wyraz swemu przekonaniu, że historia uczyć winna w dwóch kierunkach — nie tylko przez wykazywanie popełnionych kiedyś błędów — aby ich unikać, ale także przez pokazywanie Polski w jej «szerokim, wielkim zakresie» — Polski «zwycięskiej i wspaniałej», a nie tylko tej, co przejść musiała przez okres «pohańbienia w niewoli». Domagał się i oczekiwał od historiografii wydobycia z przeszłości «podnoszących na duchu elementów» do naszych sądów o tym, czym kiedyś Rzeczpospolita była, bo przecież — jak mówił wówczas — obok wspólniały zwycięstw na polu walki znajdują się i wielkie myśli polityczne, znajdują się wspomnienia naszej współpracy z innymi, wspomnienia zjazdów monarchów, wspomnienia decyzji wspólnych, które dzięki inicjatywie polskiej do skutku dochodziły... W rozmowach żałował nieraz, że historiografia nasza — dzięki ciężkim warunkom życia i pracy w okresie niewoli — dźwiga brzemień tak poważnych zaniedbań, że tak wiele fragmentów naszej wielkiej przeszłości nie doczekało się jeszcze godnego ich opracowania naukowego. Widział i uważał za pilną potrzebę wypełnienie tych braków i ze swoich funduszków dyspozycyjnych przeznaczał dla mojej w ministerstwie komórki poważne sumy na ten cel. Na jego żądanie ogłaszałem na uniwersytetach naszych odpowiednie konkursy z nagrodami dla młodych, po-

czątkujących historyków, kilkunastu młodszych badaczy zaprząłem do pracy nad ściśle określonymi problemami, wysyłając ich na poszukiwanie materiałów do archiwów obcych — w Wenecji i w Watykanie, w Anglii i we Francji, w Szwajcarii, w Belgii i Szwecji, na Węgrzech, w Rumunii i Bułgarii. Polecał mi minister wciągać do tej pracy i starszych historyków — w ostatnich latach przed wojną wyszły pod firmą ministerstwa obszerne prace Wł. Konopczyńskiego o stosunkach polsko-tureckich w okresie 1683—1792, A. Lewaka o emigracji polskiej w Turcji w wieku XIX, R. Grodeckiego o kongresie krakowskim z r. 1364. Inne zaprojektowane i przygotowywane już przez kilku starszych historyków monografie o tymże charakterze zabił — niestety — wybuch wojny. Z polecenia ministra nawiązałem żywy kontakt z krakowską Akademią Umiejętności — na jego też żądanie i przy poważnym z jego strony finansowym poparciu wskrzeszaliśmy z rektorem St. Kutrzebą ośmnastowieczną próbę Macieja Dogiela (rozpoczęty, niedokończony *Codex diplomaticus Regni Poloniae*) — wciągając grono profesorów do wspólnego wysiłku nad przygotowaniem i wydaniem obliczanego na sześć dużych tomów zbioru traktatów międzynarodowych dawnej Polski — od czasów Mieszka do okresu rozbiorów. Bardzo zależało Beckowi na tym wydawnictwie. Nie odrzucił też projektu jego rozszerzenia, i inny zespół naukowców od r. 1937 przygotowywał dla ministerstwa zbiory dokumentów dyplomatycznych, dotyczących naszych ruchów zbrojnych — od insurrekcji Kościuszkowskiej do powstania styczniowego. Niestety, — wojna sięgnęła i po te nasze zamierzenia. Akademia Umiejętności — po kilku latach pracy wstępnej — zdażyła przygotować do druku w całości tylko tom pierwszy i w znacznej części tom drugi zbioru traktatów, — z czterech przygotowywanych przez A. Lewaka tomów *Korespondencji dyplomatycznej Rządu Narodowego w r. 1863* zdażyłem wydać tylko tom pierwszy, druk drugiego w sierpniu 1939 r. był na ukończeniu. Beck żywo się interesował postępem tych prac i ze szczerą radością witał każdy wydany tom. Z życzliwością równie czynną odnosił się do wielkiej pracy zbiorowej *O Polsce i Polakach w cywilizacjach świata*, redagowanej przeze mnie przy pomocy prof. St. Wędkiewicza, J. St. Bystronia i A. Lewaka; borykającemu się z trudnościami wydawcy — Księgarni Wojskowej w Warszawie — nie odmówił poważnej na ten cel pomocy. Mogłem też zawsze liczyć na żywy u niego i głęboki oddźwięk w sprawach z dziedziny najnowszej naszej historii. Na parę lat przed wojną poparł mnie bardzo skutecznie, gdy — nie znalazłszy w archiwum ministerstwa dostatecznie pełnych śladów woli Marszałka Piłsudskiego, siły wpływu jego myśli w dziedzinie naszej polityki zagranicznej — próbowałem uzupełnić te braki przez zebranie świadectw i relacji od tych naszych dyplomatów i polityków, którzy z polecenia Marszałka załatwiali jakiegokolwiek sprawy z tej dziedziny naszego państwowego działania. Wreszcie — na życzenie Becka i również z racji mego służbo-

wego stanowiska — zredagowałem i przygotowałem do druku po polsku i w paru językach obcych tom jego przemówień i deklaracji. Wszystkie te moje przedwojenne prace i wyrastające z tych prac stosunki tworzyły teraz dla mnie podstawę do rachuby, że — przedstawiając swe publicystyczno-historyczne zamierzenia i potrzeby — spotkam się z życzliwym do nich stosunkiem. Liczyłem się z tym, że wśród tych swoich potrzeb wieść mogą niejedną kwestię, której odślonięcie czy wyjaśnienie może Beck uznać jeszcze za przedwczesne. Miałem wszakże nadzieję, że w tych wypadkach — w zakresie polityki zagranicznej — niezbędne elementy uzyskam na razie przynajmniej dla siebie, z pewnymi zastrzeżeniami lub ograniczeniami co do ich publicznego wyzyskania. Mniej optymistycznie oceniałem możliwości co do zagadnień z dziedziny naszych stosunków wewnętrznych. Znając Becka — wiedziałem, jak bardzo ryzykowną w rozmowie z nim może być wszelka próba wyciągania problemów, wiążących się z osobami najwyższymi w państwowym hierarchii. Postanowiłem — jadąc — że sam spraw tych podnosić nie będę. Chyba — myślałem — same wypłynąć muszą w rozmowie...

...W Brasov pracował Beck nad własnym pamiętnikiem. Po pierwszej — wstępnej — rozmowie dał mi część, gotową i przepisana już na maszynie. Przejrzałem to w ciągu wieczora i nocy. Nazajutrz poprosiłem o rozmowę w sprawach, na które nie znajdowałem odpowiedzi w gotowej już części pamiętnika lub które miały być później przez ministra opracowane. Rozmowy te trwały kilka dni. Zaczynałem od próby ustalenia przede wszystkim roli Marszałka Piłsudskiego w naszej polityce zagranicznej. Jak wspominałem już — nad problemem tym pracowałem przez szereg lat przed wojną. Gdy w Warszawie jeszcze zwracałem się z tym do ministra — zawsze, zajęty i zapracowany, odkładał, prosił czekać. Teraz za to — w Brasov — mówił o tym chętnie i dość dużo. Budziły się w związku z tym inne wspomnienia — o Marszałku w ogóle, o stosunku jego do ludzi i spraw z innych dziedzin naszego państwowego życia. W zakresie problemów z polityki zagranicznej — szukałem u ministra wyjaśnień w sprawie projektowanej wojny prewencyjnej z Niemcami, stosunków z tymiż Niemcami od paktu o nieagresji do kryzysu i wybuchu wojny, naszego stanowiska wobec wypadków w Nadrenii z marca 1936 r., — poza tym w sprawie Litwy, Czech i Zaolzia z drobnym stosunkowo incydentem w Boguminie i z poważnymi problemami Słowacji oraz wspólnej granicy z Węgrami, wreszcie — w sprawie stosunków polsko-francuskich i polsko-sowieckich oraz sojuszu z Anglią. W kwestii internowania w Rumunii Prezydenta i rządu otrzymałem odpowiedzi na wszystkie swoje pytania...

...W rozmowach tych szukałem wyjaśnień przede wszystkim w sprawach już dokonanych — minionych. Wiele z tych spraw wszakże — prawie wszystkie — grały jeszcze wciąż silnymi echemi. Toteż rozmowy o tym, co i jak było, rozwijały się nieraz

w ocenę sytuacji aktualnej i nawet w pewnym sensie w przewidywania co do dalszego biegu wydarzeń. O sobie, o swoich zamiarach nie mówił właściwie nic. Był internowany — czekał na zwrot, na zmianę w swych warunkach zewnętrznych. Parokrotnie i nawet bardzo mocno podkreślił, że nigdy i za nic nie opuściłby Rumunii przed wyjazdem z niej Prezydenta Mościckiego. W nowym Prezydencie Wł. Raczkiewiczu widział — jak się wyraził — «osobienie suwerenności Rzeczypospolitej». W jednej z rozmów zaznaczył, że w ostatnich dniach września, w porozumieniu z prez. Mościckim, zrobił, co należało, — bez żadnych zresztą trudności z jakiegokolwiek strony — by spowodować bezzwłoczną, natychmiastową dymisję gabinetu Sławoja-Składkowskiego po wyznaczeniu nowego następcy Prezydenta, i by tą drogą — jak to określił — nie dopuścić tam, gdzie to zdarzyć by się mogło, do powstania jakichkolwiek wątpliwości co do legalnego przekazania władzy. Z uwagą: «Może się to panu na coś w swoim czasie przyda» — wręczył mi do przejrzania teczkę z odpisami swoich listów i zgodził się, że zrobię z nich potrzebne mi wyciągi. Niektóre — wśród nich list do bliskich w kraju — z oceną ówczesnej sytuacji ogólnej i sprawy polskiej na tle międzynarodowym — (datowany 12. XII. 1939 r.) — mogłem za jego zgodą skopiować w pełnym brzmieniu. Były w tej tezcze odpisy listów, za pośrednictwem pani Drymmerowej w październiku wysłanych do Paryża. Z notatek dla generała Sosnkowskiego — (listu do niego nie znam i nie wiem, czy był pisany) — wynikało, że Beck widział w nim człowieka o powszechnie — wśród Polaków i wśród obcych — respektowanym nazwisku i że wobec tego może on przez swój czynny udział w życiu politycznym przyczynić się do podniesienia i wzmocnienia pozycji Polski — pozycji, w oczach sojuszników obniżonej poważnie nie tylko przez wynik kampanii wrześniowej, lecz także dzięki pewnym poczynaniom nowego rządu polskiego. W liście do ministra A. Zaleskiego stwierdzał, że zawsze jest gotów przedstawić mu w sposób wyczerpujący te swoje wiadomości z zakresu stosunków międzynarodowych i związanych z nimi spraw polskich, które nowemu ministrowi przydać by się mogły w jego pracy. W liście do Prezydenta Wł. Raczkiewicza, przesyłając mu w dziesięciu zwartych punktach «kilka uwag, związanych z naszą sytuacją, tj. sytuacją Polski» — prosił go w zakończeniu o przyjęcie ich «jako wyrazu troski o interes Rzeczypospolitej, — a nie chęci wywierania jakiegokolwiek nieodpowiedniego wpływu na prace rządu» — «po prostu jako materiały dla najwyższego czynnika w państwie, reprezentującego w pierwszym rządzie Rzeczypospolitą wobec innych państw».<sup>1)</sup> W drugim liście do Prezydenta Raczkiewicza

<sup>1)</sup> Wszystkie dziesięć punktów tego listu do Prezydenta przytoczył w swoim wspomnianym już tu artykule (*Z Kut do Biczaz*) W. T. Drymmer (*Na Straży*, nr. 28-30, 1946). Nie ma w artykule Drymmera jedynie zakończenia listu, które wyżej w tekście podaje w cudzysłowach.

— z 23 listopada — dawał wyraz przekonaniu, że «problemy polskiej polityki zagranicznej ostatniego okresu są niewątpliwie ważne zarówno dla naszej przeszłości, jak i przyszłości. Gotów jestem w każdej chwili przedstawić Panu Prezydentowi najbardziej wyczerpujące i ścisłe sprawozdanie z wydarzeń międzynarodowych i prac mojego resortu w tej przełomowej epoce»<sup>1)</sup> Uważał to za swój obowiązek — sądził, że w niejednym wypadku informacje od niego ułatwić mogą sytuację i prace nowego rządu. Przeszkadzać niechym nie chciał i na pewno nie pozwoliłby nikomu ze swego otoczenia na jakąkolwiek akcję przeciw rządową. Walkę z rządem, legalnie reprezentującym prawa i interesy Polski, walkę w wojennych warunkach i na obcym gruncie — uważał za niedopuszczalną, bo bardzo szkodliwą. W tym swoim stosunku do polskiego Paryża i Angers uchylał się nawet od udzielania wywiadów prasie, by — jak mówił — nie wywołało to fałszywych sądów co do intencji. Z rozmów, jakie miałem, wynikało najwyraźniej, że nie uważa swej roli politycznej za skończoną, działanie polityczne odkłada tylko na okres późniejszy. Gdy w rozmowach wylaniała się, wracając, kwestia możliwości opuszczenia Rumunii — widziałem u niego wyraźną niechęć do wyjazdu na zachód Europy. Odnosiłem wrażenie, że wolałby na miejsce wojennego dla siebie pobytu Egipt lub Bliski Wschód..

...Co do spraw «dokonanych» — «minionych», to tutaj, w tych «rumuńskich fragmentach» wspomnień nie ma — rzecz jasna — miejsca nawet na najbardziej skondensowane streszczenie tych brasowskich rozmów. Wyzyskałem je już gdzie indziej — w pracy o innej formie. Tu ogranicziłem się do paru tylko drobnych — oderwanych wyjątków — o osobistym przeważnie charakterze, ze wszystkimi zastrzeżeniami, jakie budzić musi taki przypadkowy raczej wybór...

...W sprawie internowania Prezydenta i rządu stwierdzał, iż nie spodziewał się i nie mógł się spodziewać takiego podstępny i zdrady, bo — jak mówił — zawsze mierzył «ludzi przyzwoitych» własnym poczuciem «honoru i osobistej godności». Tonem, w którym słychać było hamowane oburzenie, i gorycz, i pogardę — stwierdzał, że Prezydent po abdykacji, a członkowie rządu po dymisji, są już tylko prywatnymi ludźmi, a jednak Rumuni na skutek różnych nacisków w dalszym ciągu nie chcą ich wypuścić, co jest aktem już nie tylko nielegalnym, ale sprzecznym nawet *avec le droit de gens*. Przytoczył mi swoją rozmowę z min. Gafencu w Bukareszcie o zachowaniu się regenta Horthy'ego wobec generała Sosnkowskiego: «Słuchał ze spuszczoną głową». Nie wiem na pewno — kogo, ale może to i min. Gafencu miał na myśli, gdy w związku z tym mówił: «Dali mi w tej złotej klatce dobre warunki i zrozumieć nie są

<sup>1)</sup> To drugie oświadczenie wywołane zostało przez skutki listów, jakie bez porozumienia z Beckiem wysyłał do nowego Prezydenta pp. b. premier Sławoj-Składkowski i b. min. Kwiatkowski, narażając się na napastliwe wystąpienie gen. Wł. Sikorskiego.

w stanie, czego ja mogę chcieć od nich więcej i dlaczego nie jestem zadowolony»... O Rumunach wogóle mówił z lekceważeniem i pogardą. Opowiadając mu któregoś wieczora o swych wrażeniach z Rumunii, podkreślałem, jak uderzającą jest zgodna w swym defetyzmie postawa ludności, która wszędzie — w Botosani, w Pitesti, w Turnu-Severin, w Bukareszcie — pełna jest lęku przed wojną: nikt w skuteczny opór nie wierzy, każdy natomiast rozpaczliwie rozgląda się po mapie własnego kraju i stwierdza, że niestety nawet nie ma gdzie uciekać, bo tu — Rosja, tam — morze, a dookoła sami wrogowie — Węgrzy, Bułgarzy, z jedynym i to wątpliwym wyjątkiem Jugosławii. Beck odpowiedział mi na to z początku żartobliwie cytując z Sienkiewicza: «Jazda wołoska lekka, bo lekko ucieka», po chwili jednak dodał poważnie, że Marszałek Piłsudski ze swej drugiej podróży do Rumunii wrócił zaniepokojony, stwierdził bowiem, że związek połączonych po wojnie w r. 1919 części jest tylko powierzchowny, bo zbyt opornie zrastają się one w jednolity organizm państwowy, gdyż — pomijając już odśrodkowe dążenia niezadowolonych mniejszości — nie ma tu ani wspólnej tradycji narodowej ani wspólnej ambicji państwowej, dawna zaś — przedwojenna — mała Rumunia jest moralnie zbyt słaba na to, by braki te przezwyciężyć. Pozostawiona samej sobie — Rumunia musi się rozlecieć przy pierwszym wstrząsie, albo będzie bez walki oddawała wszystko, czego od niej zażąda. Na pewno bez walki odda Besarabię Moskalom, którzy z myślą o tym już rozpoczęli odpowiednią propagandę. «Tu ani za Besarabię, ani za Siedmiogród nikt umierać nie zechce, — to nie Polska»... Ocalałą resztę zagarną z pewnością Niemcy, bo mają oni zbyt poważne interesy nad Dunajem i na Bałkanach, by mogli dopuścić do usadowienia się tu Rosji. Oderwanie Besarabii uważał wówczas Beck za kwestię niedalekiej przyszłości i śledził uważnie etapy sowieckiej przygotowawczej akcji propagandowej. Widział w tym dużo podobieństwa do zachowania się Moskwy w przededniu napaści na nas we wrześniu, a w listopadzie na Finów. Przypuszczał, że losy Rumunii przesądzone zostały już w jakimś tajnym układzie niemiecko-sowieckim. Moskale sięgną po Besarabię za zgodą Niemców — na nic więcej Berlin pozwolić im nie może. Jeśli układu takiego nie ma, lub jeśli Rosja wbrew istniejącemu układowi zechce «zwrócić» sobie coś więcej, nie tylko Kiszyniów, — Niemcy dla zabezpieczenia swych interesów w tym rejonie na krok sowiecki odpowiedzą natychmiastowym wkroczeniem do Rumunii. Beck — mówiąc o tym po wysłuchaniu wieczornego komunikatu radiowego — dodawał, że ostatnio — przed tygodniem — gdy był w Bukareszcie, w rozmowie z min. Gafencu przedstawił mu ten swój punkt widzenia. — «Powiedziałem mu, że chciałbym być w tym wypadku bardzo złym prorokiem, sądzę jednak, że wypadki toczyć się mogą tylko po jednej z tych dwóch linii»...

...Inne zgola nuty brzmiały, gdy w toku rozmów zahaczaliśmy o Węgry — czy to w związku z Sosnkowskim, czy przy ocenie

stosunków różnych państw do Polski w czasie kampanii wrześniowej, kiedy Węgrzy — jak nadmieniałem już — odmówili Niemcom zgody na przemarsz przez ich terytorium. W węgierskim poczuciu honoru, w rycerskiej ich postawie i gestach, w gorącym przywiązaniu do tradycji — widział Beck coś bardzo, bardzo bliskiego Polsce. Jego sentyment do tego kraju wyrastał niewątpliwie z polskich tradycji. W gabinecie jego w Warszawie wisiały tylko dwa portrety — Marszałka Piłsudskiego i króla Stefana Batorego. W r. 1917 — jako młody legionista — został po kryzysie przysięgowym przydzielony do pułku węgierskich honwedów — i dawniej, i teraz, w Brasov, wspominał o tym fragmencie swego życia z zadowoleniem, w jakim odczuć można było nawet powien odcięcia dumy. «Komendant pisał gdzieś o tym przydzielonym do Brygady oficerze węgierskim, który nazwisk Bema i Dembińskiego nie wymawiał inaczej, jak tylko z ukłonem wojskowym. Z podobną atmosferą spotkałem się w Szopron, a było to przecież po długim okresie szyskan austriackich»... Sewerowi Sokółowskiemu mówił na parę tygodni przed tym, że śmiercią nienaturalną, przedwczesną giną żołnierze i mężowie stanu — pierwsi w otwartej walce, z bronią w rękę, drudzy wskutek zamachu na nich. «Nie mogą zginąć teraz, jako oficer, ale... gdybym zginął, Sewerku, pamiętaj na wszelki wypadek, że chciałbym czekać na powrót do Polski, nie tu, lecz w węgierskiej ziemi, twarzą zwrócony ku Polsce, ku Warszawie i Helowi. Regent Horthy na pewno nie odmówi wam paru metrów ziemi dla dawnego królewskiego honweda»...<sup>1)</sup>

...Jak już zaznaczyłem — o Marszałku Piłsudskim mówił mi Beck w Brasov dużo. Ale i w tym wypadku ograniczę się do paru tylko szczegółów, stwierdzając uprzednio, że — mam wrażenie — nie było wśród piłsudczyków nikogo, kto by szedł dalej w gorącej synowskiej miłości, w bezgranicznym uwielbieniu, w bezkrytycznej, rygorystycznej wierności. Był Marszałek dla Becka wszystkim — źródłem wszelkich praw, światopoglądem, nawet religią. Nie było, nie mogło być żadnej dyskusji w sprawach, w których Marszałek kiedykolwiek wypowiedział swój sąd. Na krótko przed wybuchem wojny, gdy toczyła się w Polsce

1) Nie chciałbym wywoływać tu mylnego wrażenia, jak gdyby Beck w tym brasowskim okresie pogrążony był w myślach o śmierci. Nie, bynajmniej — był daleki od takich nastrojów. Chce tu jednak przytaczane drobne szczegóły poukładać tematycznie. Z tym zastrzeżeniem przytoczę jeszcze jedno powiedzenie, skierowane — jak i poprzednie — do Sewera Sokółowskiego: «Ja, gdybym miał możliwość wyboru rodzaju śmierci, chciałbym zginąć, stojąc na baczność i salutując banderę Rzeczypospolitej, na pokładzie okrętu, który tonie wśród strzałów nieprzyjacielskich»... Mnie kiedyś — jeszcze w Warszawie — u schyłku jakiegoś rautu, już po rozejściu się gości, mówił: «Kraża tu u nas, w M.S.Z., pogłoski o snującej się w lewym skrzydle pałacu białej damie. Niedługo już jej panowania — wypłosze ją po swojej śmierci i sam będę ludzi straszył. A wie pan jak? Oto zniecka uderzę mocno pięścią w stół za każdym razem, gdy ktoś w tym pałacu zechce obniżyć to, co Komendant wznosił tak wysoko»...

polemika w pewnej głośniejszej sprawie, Beck stwierdzał, że problem ten był Marszałkowi znany i że «w tej i wszystkich innych sprawach stawiam zdanie Marszałka Piłsudskiego przed wszystkimi racjami, które by w Polsce mogły powstać»... W Brasov mówił mi: «Polityka moja nie była moim wynalazkiem. Była tylko wykonywaniem myśli i woli Komendanta. W listopadzie r. 1932, gdy objąć miałem ministerstwo, Komendant ustalił taką sześciopunktową hierarchię zagadnień: pierwsze — sąsiedzi, drugie — aliansy, trzecie — stopień zainteresowania Polski krajami Europy i świata zależy od odległości geograficznej, czwarte — trzeba umieć przechodzić jak pług od śniegu, piąty — nie kłaniać się nikomu bez potrzeby, szósty — trzymać się swego za wszelką cenę»... Gdy w jednej z rozmów wypłynęła sprawa przemówienia z 5 maja z jego głośnym na cały świat polskim «Nie» i z końcowym stwierdzeniem, że nie znamy pojęcia pokoju za wszelką cenę, że rzeczą bezcenną jest tylko honor. — mówił mi Beck: «Przygotowując to przemówienie, myślałem o Komendancie, który nieraz powtarzał: gdy człowiek ma przed sobą kilka dróg, gdy męczy się i waha i nie wie, którą wybrać — niech wybiera drogę honoru, ta zawsze będzie właściwsza»... W innej rozmowie, gdy poruszyłem kwestię naszego dalszego udziału w wojnie, Beck w odpowiedzi za niezbędną uznał militarną reprezentację Polski w ramach koalicji. Nie godził się na przyjmowaną już powszechnie nazwę: «Armia polska we Francji». Uważał, że w określeniu powinien wystarczać przymiotnik «polska». — «Armia polska we Francji» — to szkodliwy nawrót do sytuacji sprzed r. 1918, kiedy państwo polskie nie istniało ani w obliczu prawa, ani w polityce. Żołnierz polski w dalszym rozwoju wydarzeń nie może uchylać się od czynnego udziału w walce, ale nie może też wykrwawić się ponad miarę — już choćby dlatego, że najbardziej potrzebny będzie w końcowej fazie walki. Gdy dałem tu wyraz swoim obawom, czy w tym wypadku nie powtórzy się stary polski błąd, łączący w sobie lekkomyślną szczodrość w szafowaniu krwią z nieumiejętnością wyciągania korzyści z ogromu ofiar, poświęceń i wysiłków, — Beck odpowiedział: «Tak, to tylko Komendant potrafił z krwi oszczędnie w walce przelewanej budować rzeczy stopniowo coraz większe. Wykreślał nieprzekraczalne granice, stawiał warunki, powiększał żądania, kazał — nawet przy największej dysproporcji sił i środków — traktować siebie jako równorzędnego partnera. Przykłady, jakie dał, powinny być nakazem dla nas, bo odżyją dziś niewątpliwie próby zepchnięcia nas do roli żeru dla armat, — gliny, którą można ulepić w każdy dowolny kształt. Kaden-Bandrowski kiedyś nazwał Komendanta orłem w piwnicy. Słusznie. Tak było. Kaden myślał o tych wąskich ramach, jakie w warunkach niewoli istniały dla możliwości Komendanta. Ale i po roku 1918 było właściwie to samo. Komendant mówił nieraz, że ma pomysłów na pięć Polsk, ale że licząc się z warunkami i wytrzymałością ludzi-wykonawców, musi bardzo mocno obcinać swe zamiary.



Lecz i przy takiej redukcji — dużo było wspaniałego romantyzmu w obrazie Polski, ku której kazał nam za sobą iść. Ale romantyzm swych celów łączył Komendant z najdoskonalszą formą politycznego realizmu w działaniu. W każdej sytuacji długo i wszechstronnie badał grunt pod nogami, starannie wymierzał każdy krok, by nie był ani za wielki, ani za mały, by odpowiadał realnym możliwościom, długo się wahał i w tym wahaniu straszliwie się nieraz męczył, gdy miał kogoś czy coś nie mówię już poświęcić, ale choćby narazić na niebezpieczeństwo»...

...O Francji mówił mi Beck: «Stosunki mieliśmy nie łatwe, nieraz nawet przykre. Źródłem trudności nie były nigdy sprawy niemieckie. Powodem głównym był problem rosyjski. A przy tym w umysłach francuskich wciąż jeszcze żyła *la Pologne malheureuse*. Po przewrocie majowym Komendant w swej genialnej przezorności uznał, że w ciągu najbliższych pięciu lat w stosunkach międzynarodowych w Europie nie będzie ani zmian, ani wydarzeń na tyle poważnych, by wymagało to od nas szerszej skali w akcji na terenie międzynarodowym. W stałej swojej trosce, by polityka państwa odpowiadała jego realnym możliwościom, postanowił wykorzystać ten pięcioletni okres «zaczysza», by uporządkować sprawy wewnętrzne, by Polskę wzmocnić, podnieść do poziomu odpowiedniego do roli, jaką widział dla niej w przyszłych wydarzeniach. Stąd w tym pierwszym pięcioleciu w polityce zagranicznej zastosowana została taktyka powściągliwa, stąd brak z naszej strony poważniejszych inicjatyw, przy twardej tylko obronie naszych praw. Ale już i to uważane było przez wielu za politykę niezbyt *accommodante*. Ostry zwrot nastąpił w roku 1932. Aktywizacja naszej polityki znalazła dla siebie wyraz nie tylko w nieustępliwej obronie praw, i nie tylko w szeregu śmiałych inicjatyw, ale też w walce — w walce o całkowite już wyzwolenie z obcych wpływów, w walce o należne nam miejsce wśród państw Europy. Musiało to — rzecz jasna — wywołać tu i tam liczne zastrzeżenia, a nawet sprzeciwy — silniejsze niż poprzednio... Każde państwo ma swój własny zespół żywotnych interesów i swój kąt patrzenia na wyrastające przed nim sprawy. Państwa, związane sojuszem, jak ludzie w codziennym życiu, jeśli chcą szczerze zgodnej i owocnej współpracy, muszą być skłonne do wzajemnych koncesji, muszą dążyć nie do wyrównania czy usunięcia dzielących je różnic, bo te nigdy istnieć nie przestaną, lecz do zmniejszenia rozwartości kąta, jaki tworzy się z różnicy w punktach widzenia. Nie można od nikogo wymagać rezygnacji jednostronnych czy podporządkowania się interesom stronie drugiej. W tych warunkach sojusznik stawałby się zwykłym wasalem... Francuzi, choć sami szli drogą «zdrowego egoizmu» narodowego, nie chcieli pozwolić na to innym: *ce n'est pas de la politique française que vous faites!*... Nie chcieli się pogodzić z naszą emancypacją w polityce. Nieraz porównywałem to ze szczerym a niecierpliwym zdumieniem ciotki, która swego siostrzeńca

pragnie wciąż traktować, jak małego sztubaka, zapominając czy nie chcąc widzieć, że to człowiek już dorosły i samodzielny. W stosunkach rodzinnych na tym tle kształtują się nieraz przykre konflikty, ale z czasem przecież ciocia musi się pogodzić z nowym dla niej stanem i porządkiem rzeczy, a wówczas i siostrzeniec zaczyna z przyjemnością chodzić do niej na imienniny... Zresztą, nie tylko Francja, ale w ogóle świat obcy bardzo powoli i z wielkim trudem przyzwyczajał się do nowego oblicza odrodzonej Polski. Wyrastały stąd przeszkody i na innych odcinkach, nie tylko francuskim... Komendant mówił nieraz, że ludzie najtrudniej rozumieją rzeczy jasne i proste... Próbowano nieraz — tu i tam — częstować nas komplementem, że Polska — *to une grande puissance*. W takich wypadkach odpowiadałem zawsze, że Polska nie prowadzi polityki w skali światowej i w tym sensie mocarstwem nie jest, ale jest krajem, który — szanując innych — szanuje siebie i wymaga od innych szacunku dla siebie, nigdy też nie pozwoli na użycie jej spraw jako przedmiotu w politycznym handlu międzynarodowym»...

...Od dawna u nas w Polsce — mówił Beck innego dnia — myślano o zawarciu bliższych stosunków z Anglią, ale przecież nie było to rzeczą łatwą wobec niechęci Anglików do angażowania się w sprawy europejskie. Sojusz z Anglią ma dla Polski większą wagę, niż nasz alians z Francją. Bo choć polityka angielska bywa wynikiem oportunistycznych kalkulacji, to jednak zawsze — w przeciwieństwie do Francji — jest Anglia od szeregu pokoleń, a więc tradycyjnym już wrogiem Rosji. Z drugiej strony — Anglicy prowadzić będą wojnę z niezłomną decyzją osiągnięcia całkowitego zwycięstwa. W ramach obecnej koalicji Anglia będzie miała rolę przodującą, kierowniczą. Dlatego też przed ogłoszeniem abdykacji prezydenta Mościckiego sugerowałem, by nowy mający powstać rząd rozpoczął od razu starania o uzyskanie *droit de résidence* na wyspach brytyjskich»...

...Zrobiłem — mówił dalej Beck — wszystko, co tylko zrobić było można, aby wojny uniknąć, oczywiście z zachowaniem w postępowaniu tych granic, poza które nie mogliśmy się posunąć. Społeczeństwo nasze zbyt łatwo traktowało sprawę niebezpieczeństwa niemieckiego. Domagano się ode mnie ostrzejszego kursu w stosunku do Rzeszy. W listopadzie r. 1937 — gdy po zawarciu umowy mniejszościowej z Niemcami, na radzie gabinetowej paru ministrów, wśród nich p. Poniatowski, wyrażało pewne zastrzeżenia czy wątpliwości, powiedziałem: Polska mocna, zorganizowana za Józefa Piłsudskiego wobec słabych jeszcze, niezorganizowanych i nieuzbrojonych Niemiec — i polityka z umiarem. Polska obecna — słaba już w stosunku do zorganizowanych, uzbrojonych i silnych Niemiec — i polityka daleko idących żądań?...

...Gdyby wojna wybuchła wcześniej, na pewno nikt nie ruszyłby się w naszej obronie, musielibyśmy walczyć sami. Dążyłem do zapewnienia Polsce potężnego alianta, do stworzenia takich warunków, by państwo nasze walczyć mogło w ramach

potężnej koalicji. Sprzymierzeńcy nasi spóźnili się we wrześniu z udzieleniem nam pomocy. Historia osądzi, czy istotnie nie było warunków na szybkie i skuteczne uderzenie na Zachodzie. Ale wojna trwa. Nikt rozsądny nie będzie twierdził, że Gdańsk był jej powodem. Wojna jest wyrazem głębokiego kryzysu światowego, który się ukształtował na tle dążenia Niemiec do hegemonii w Europie i powrotu Rosji do idei rewolucji światowej oraz starej, carskiej polityki zaborczej. Celem naszych sprzymierzeńców jest, być musi gruntowne złamanie potęgi niemieckiej, a sądzę, że niebawem stanie się wreszcie i dla Zachodu jasna konieczność nie mniej gruntownego porachunku z Kremlem. Wojna musi trwać długo. Przeżyliśmy dotąd tylko pierwszy jej akt. We wrześniu walczyliśmy sami, ale za to i teraz, i na przyszłość sprzymierzeńcy nasi tym większe mają wobec nas obowiązki...

...W okresie od Krzemieńca do Kut — mówił dalej — zrobiłem wszystko, co tylko było w ludzkiej mocy, by zapewnić nieprzerwaną ciągłość naszych najwyższych władz państwowych i nie dopuścić przez to do odzycia starych tradycji w formie komitetów narodowych i legionów. Chodziło o to także, by sojusznicy nasi — Anglia i Francja — nie mogli zredukować swoich zobowiązań, zaciągniętych wobec poprzedniego rządu polskiego...

...Wieniawa — mówił dalej — pisał do mnie niedawno, że Polska, odrzucając żądania niemieckie i podejmując narzucaną jej walkę, z dwóch możliwych dróg — odrzuciła drogę Hachy, poszła drogą Leonidasa. Tak, to prawda, choć tak pięknie brzmi. Ale czyż była dla nas droga inna? Albo walka, albo — rola wasala Niemiec. Spółczesństwo nasze — przed wojną popełniając błąd w ocenie niebezpieczeństwa niemieckiego, — dziś pod wpływem wydarzeń popełnia nowy błąd, przypisując przyczyny klęski tylko Polsce. Klęska nasza wyrosła ze zbyt jaskrawej różnicy sił. W ramach koalicji nie my jesteśmy dłużnikami. Możemy też wśród sprzymierzeńców naszych stać z podniesioną głową. To oni winni spłacić nam swój dług... Oczywiście — po naszej wrześniowej klęsce, wskutek załamania się, a nawet utraty sił materialnych, państwo nasze znalazło się przejściowo niżej poziomu, na jaki — obiektywnie biorąc — zastępujemy. Nie pozwalała to chwilowo na stawianie żądań zbyt twardej czy zbyt sztywnych, zmusić może nawet do wielu przykrych kompromisów. I trzeba wszystkich sił użyć, by jak najprędzej odbudować pozycję polityczną Polski, przede wszystkim — wszystkie siły skupić, by nie dopuścić do przekształcenia się powrzesniowego obniżenia pozycji w jakiś zjazd po równi pochyłej... Dzięki naszej konstytucji, dzięki zawartym w niej klauzulem o przejściu państwa w stan wojenny, dzięki jej przewidującym postanowieniom o skupieniu w ręku Prezydenta prawa dekretowania, a więc i zastępowania parlamentu oraz o mianowaniu przez Prezydenta następcy na okres wojny — a jednocześnie dzięki zawartym umowom o przeniesieniu najwyż-

szych władz Rzeczypospolitej na Zachód na zasadzie pełnej suwerenności — zachowana została mocna nieć prawa, na której treść może dobrze się rozwijać. Nowy rząd polski powinien wiedzieć i pamiętać, że korytarze *Quai d'Orsay* czy *Foreign Office* nie mogą być terenem jego działania. W korytarzach tych dla Polaków miejsca nie ma. W polskim działaniu politycznym nie wolno cofać się i wracać do uzależnienia się od obcych, nie wolno wysługiwać się obcym bogom, nie wolno zapominać, że prawda agentur jest prawdą żywą. Nie wolno dopuścić do odzycia zasad z okresu minionej niewoli i poprzedniej wojny. Niestety, — wskutek klęski odskoczyły stare, zardzewiałe sprężyny. Zarówno polskie, jak i obce. I pod tym względem wojna wybuchła dla nas wcześniej. Komendant nieraz mówił, że stare polskie pokolenie we wszelkich jego odłamach, a więc nie tylko opozycyjne — powinno wymrzeć jak najprędzej. Powiedział mi kiedyś — żartem, ale takim, w którym było dużo pasji — że trzeba, niestety, ograniczać się do parafrazowania w formę żalu westchnienia Kaliguli, że to starsze, w niewoli wyrosłe pokolenie nie ma jednej głowy, którą można byłoby odciąć jednym uderzeniem topora. Mówił, że sam pierwszy stanąłby pod murem, gdyby tylko miał pewność, że całe starsze pokolenie zostanie rozstrzelane. Liczył na młodzież, wzrastającą w wolnym państwie. O tym pamiętałem, pisząc niedawno do Błocia (Wieniawy) — że zapas świeżej, nieużytej energii mamy w młodym pokoleniu, wychowanym w 20-letnim okresie niepodległości. Ale — niestety — pokolenie to jest jeszcze w fazie kryształizacji. Smutny i niepokojący paradoks naszych czasów na tym polega, że sprawami Polski kierują obecnie ludzie z czasów niewoli — i to w najślabszym i najgorszym ich odłamie»...

...Pani Beckowa w czasie mego pobytu w Brasov wyjechała na kilka dni z sekretarzem ministra Ludwikiem Łubieńskim do Craiovej, by odwiedzić profesora Mościckiego. Już Doman Rogoyski, gdy jechałem z nim z Bukaresztu do Brasov, opowiadał mi o skandalicznych warunkach, w jakich — a wśród niezamówionej obojętności ambasady — żyć musi człowiek, który przez trzynaście lat stał na czele wielkiego państwa. Teraz — po powrocie pani Beckowej — dowiadaliśmy się od niej i od p. Łubieńskiego bliższych szczegółów. Otóż w Craiovej — w dużym rządowym pałacu z fundacji Mihai, złożonym prawie wyłącznie z salonów i pokoiów reprezentacyjnych, były dwa tylko pokoje, nadające się do zamieszkania. Były prezydent miał przy sobie rodzinę, złożoną z trzech osób, i ściślejszą świtę z ośmiu osób — była poza tym polska służba. W całym pałacu były tylko cztery łóżka — i te bez pościeli. Brak talerzy, filiżanek, łyżek, widelców. Służba otrzymywała normalne zasiłki dla uchodźców polskich. Na prezydenta z rodziną i otoczeniem administrator pałacu otrzymywał od władz rumuńskich 6 tysięcy lei dziennie, czyli po 500 lei na osobę (pięć razy więcej niż zasiłek uchodźczy) — ponieważ jednak w kwocie tej zmie-

ścić się musiały wszystkie wydatki na utrzymanie porządku w pałacu, na oświetlenie jego i opał — wszystkich olbrzymich sal — na wyżywienie pozostawała jakaś bardzo już nikła cząstka. W pałacu rzekomo opalonym było tak zimno, że wszyscy przez cały dzień siedzieć musieli w płaszczach lub futrach. Produkty, dostarczane przez administrację do kuchni, były nieraz tak podłe, że nikt nie mógł tego zjeść. Pieniądzy własnych prezydent nie miał wcale, resztki zasobów pieniężnych otoczenia topniały bardzo szybko. Świta nieraz głodowała — prezydentowi gotowano posiłki z przywiezionych tu zapasów (przeważnie kasza) — i podawano mu je do jego pokoju, tak, by nie widział i nie domyślał się, że o wiele gorzej jeść musi całe jego otoczenie. Telefon w pałacu był, ale — nieczynny. Na spacer wychodzić można było tylko do niewielkiego ogródka, otoczonego zwykle przez tłum gapiów. Gdy do prezydenta, przeziębionego i leżącego w łóżku, wezwano lekarza — ten, wyznaczony przez władze, zjawił się i zbadał, ale oświadczył po chamsku, że «nie poza symulacją nie ma»... Prezydent, skazany na takie skandaliczne warunki i pospolite szykany, znosił je z niezamąconym spokojem, z najwyższą godnością i dostojanością wielkiego pana...

Z powtórzonych mi fragmentów rozmów z nim wyzierał przede wszystkim głęboki niepokój o linię postępowania nowego rządu polskiego — widział, jak rząd ten idzie w kierunku uzależniania się od obcych. Ze smutkiem przewidywał, że gdy kraj zalany jest przez obcą przemoc, — rząd polski na Zachodzie idzie dobrowolnie do politycznej niewoli. Zastanawiał się, że może to i dobrze się stało, iż naród nasz nie zdawał sobie sprawy z groźby, zawartej w niemieckiej potędze i przewadze, bo w razie przeciwnym może i decyzja nasza byłaby inna — i bylibyśmy tak spodleni, jak Cześć. Z odcieniem spokojnego — smutnego raczej — zdziwienia mówił, że grożą mu Polacy trybunałem, a przecież — stwierdzał — konstytucja, która jest dla nich główną, jedyną podstawą, mówi, że jest on odpowiedzialny tylko przed Bogiem i Historią...

...W dniu 20 grudnia wieczorem wyjechaliśmy z Marysią do Włoch. W piątek — 22-go — byliśmy w Rzymie. Tu po pewnym czasie dowiedziałem się od ambasadora Włoch, że prezydent z rodziną w pierwszym dniu świąt Bożego Narodzenia — na skutek stanowczej interwencji posła amerykańskiego w Bukareszcie — mógł opuścić wreszcie Rumunię i udać się do Szwajcarii...

Pisałem w Londynie, grudzień 1947 r.

Władysław POBÓG-MALINOWSKI.

## Archiwum polityczne

### Struktura niemieckiego życia politycznego

Dwie specyficzne cechy znamionowały życie polityczne Niemiec przedhitlerowskich: przerost czynnika organizacyjnego, jego supremacja nad myślą i świadomą wolą polityczną oraz przemożna rola w tym życiu ruchów o charakterze światopoglądowym.

Pierwsza cecha była skutkiem wrodzonego Niemcom zamiłowania do organizacji jako takiej, bez względu na cel, jakiemu ona służyła. Niemiec odczuwa swoistą słabość do aparatu organizacyjnego, pasjonuje się jego funkcjonowaniem i szczegółami, lubuje się w rozbudowie i komplikowaniu jego struktury. Wpływa dodatnio na jego samopoczucie gdy sam jest jednym z kółek w wielkim mechanizmie organizacyjnym. To wyżywianie się w organizacji znalazło też swój wyraz w życiu politycznym Rzeszy weimarskiej. Jego aparat partyjny był szeroko rozbudowany i skomplikowany, pochłaniał większą część wysiłku polityków niemieckich. Życie posła Reichstagu czy jednego z landtagów niemieckich było bardzo pracowite, nawet w okresach, gdy nie było sesji parlamentarnej czy kampanii wyborczej. Znajdował się on w stałych rozjazdach, przez cały dzień z jednego zebrania podążał na drugie. Obok organizacji ściśle partyjnej istniał szereg innych specjalnych, które się o nią zazębiały, stanowiły jej organiczne uzupełnienie i podbudowę. Wszystkie musiały być obsłużone. Nawet aparat organizacyjny partii burżuazyjnych pracował na pełnych obrotach. Zabięgi organizacyjne pochłaniały mnóstwo energii i czasu i nie wiele stosunkowo pozostawiały ich na aktywność ściśle polityczną. Wskutek tego, polityka w Niemczech w większym stopniu niż w jakimkolwiek innym kraju, rozgrywała się przede wszystkim na płaszczyźnie organizacyjnej i miała dość mechaniczny charakter. Działający ludzie, myśl, temperament polityczny — wszystko to zepchnięte było w cień. Na czoło wysuwała się organizacja. Szczególnie rozbudowany, rozgałęziony i aktywny był aparat organizacyjny w

partiach, opierających się na ruchach o charakterze światopoglądowym.

Przemozna rola tych właśnie ruchów stanowiła drugą specyficzną cechę w strukturze niemieckiego życia politycznego doby przedhitlerowskiej. Najliczniejsze i o największym ciężarze gatunkowym partie: socjaliści, centrum, komuniści i nacjonałiści miały światopoglądowy charakter. Pierwszą taką partią byli w Niemczech socjaliści. Obok programu partyjnego posiadali oni doktrynę, własny pogląd na świat, który przez bezustanną pracę wychowawczą i uświadamiającą starali się szerzyć na zewnątrz i ugruntować wśród swych zwolenników. Oni pierwsi przeobrażili ruch polityczny w zamknięty, odgradzony duchowo od życia zewnętrznego świat, posiadający własne, odrębne ideały i kryteria wartościowania. Partia ich zatracala charakter zwykłej organizacji, stawała się gminą wyznaniową, kościołem politycznym. Z całą tendencją do wyłączności, która cechuje wojujące kościoły, odcięta swych członków od wpływów zewnętrznych. U socjalistów, jako pierwszej partii, znalazła swój praktyczny wyraz tendencja, by na podobieństwo kościoła objąć pełen rząd nad duszami, prowadzić swych zwolenników i wyznawców za rękę od kolebki do grobu. Taka koncepcja nakładała na partię różnorakie i ogromne zadania, zmuszała ją do rozbudowy aparatu na niespotykaną dawniej w życiu partyjnym skalę. Należało uwzględnić potrzeby duchowe i materialne, zróżniczkować je, biorąc pod uwagę zawód, płeć i wiek. W ten sposób powstała jako emanacja i uzupełnienie partii socjalistycznej sieć organizacji zawodowych, kulturalnych, wychowawczych, ideologicznych, spółdzielczych, młodzieżowych, kobiecych.

Centrum, powołane do życia dla obrony interesów katolickich, z partii *par excellence* politycznej, przeobraziło się stopniowo w katolicki ruch światopoglądowy. Z tą jednak różnicą, że moment wyłączności był w nim słabiej zaakcentowany niż u socjalistów. Dużo silniej natomiast przychodził ten moment do głosu w trzeciej wielkiej partii światopoglądowej: u komunistów. Stanowili oni świat sam w sobie, szczerze od zewnątrz zamknięty, wymagający od członków nie tylko całkowitego posłuszeństwa, ale też pełnego poświęcenia się sprawie, oddania jej w życiu bezwzględnego pierwszeństwa przed wszystkim innym.

Najbardziej zamkniętym, wyłącznym, największe swym członkom stawiającym wymagania odnośnie wyrzeczenia się własnej osobowości duchowej, oraz najsilniej rozbudowanym pod względem organizacyjnym był ruch narodowo-socjalistyczny. Przesycony był on duchem nieuznającego kompromisu sekciarstwa, odrzucał z pogardą tolerancję jako przejaw słabości. Wiele z cech, które posiadał socjalizm jako zamknięta organizacja, wystąpiło u hitlerowców w tak wielkim nasileniu i skoncentrowaniu, iż zostały doprowadzone do absurdu; przez swą skrajność i jednostronność utraciły ludzkie znamiona. Tendencją do przeobrażenia partii w ruchy światopoglądowe, wyjątkowo w Niem-

zech powszechna i silna, wynikała z jednej strony z niezdolności szerokich mas niemieckich do myślenia kategoriami politycznymi, a z drugiej ze skłonności Niemców do wywyższania się w mistycyzmie, zeszlizgiwania się z płaszczyzny politycznej na religijną. A we wszystkich tych ruchach światopoglądowych rdzeń oraz motor działania stanowiła nie tyle myśl polityczna, co doznania i odczucia religijne w swej istocie, choć zwrócone ku areligijnym, a nawet antyreligijnym celom.

Nawet pewne partie, w założeniu swym nie światopoglądowe, lecz zwrócone ku obronie określonych interesów, często wytworzyły w swym łonie, obok głównego, jakiś poboczny nurt światopoglądowy, który, choć nie odgrywał decydującej roli, miał przecie pokaźny ciężar gatunkowy. Takie nurty światopoglądowe istniały wewnątrz Staatspartei w postaci Jungdeutsche Orden, wewnątrz niemiecko-narodowych jako grupa Voelkischer (von Reventlow) a nawet, choć w słabszej mierze, wśród Volkspartei.

Tendencja ta, po klęsce z 1945 roku i załamaniu powszechnym, poważnie osłabła. Na arenie niemieckiego życia politycznego po drugiej wojnie światowej odrodzili się jako ruchy światopoglądowe komuniści i socjaliści. Centrum posiada charakter szczałkowy, jest w stanie zamierania. Ale nawet komuniści, a zwłaszcza socjaliści, są w dużo słabszym stopniu ruchem światopoglądowym niż byli nim za czasów weimarskich. Zmniejszenie znaczenia w niemieckim życiu politycznym czynnika światopoglądowego jest następstwem zdewaluowania go przez hitleryzm i wywołaną przezeń klęskę. Załamała się wśród mas niemieckich wiara we wszelkie ideologie, ich wartość i skuteczność, powszechną postawą stał się cynizm. Jeśli chodzi o komunistów i socjalistów, to osłabienie wśród nich czynnika światopoglądowego spowodowane było nie tylko tą ogólną przyczyną. Dużą rolę odegrał tu fakt, iż okres hitlerowski usunął spod wpływu wychowawczego tych partii ogromną większość robotników. Działalność konspiracyjna nawet w dziedzinie wychowawczej i ideologicznej komunistów była mało intensywna, obejmowała elitę tylko, niewielkie grupy aktywistów, nie przenikała szerokich mas, działalność socjalistów przedstawiała się jeszcze skromniej. W ten sposób powstała luka bezmała dwunastu lat. Gdy partie te odtworzono, znaleźli się niejako automatycznie pod ich sztandarami dawni członkowie, ludzie starsi, rozczarowani i zgorzkniali oraz liczne rzesze duchowo nie urobione i politycznie nie przeszkolone.

To właśnie się szeroką falą elementu zobojętniałego i całkiem surowego sprawiło, że nowe partie mają odmienne oblicze od dawnych, w poważnym stopniu, zwłaszcza jeśli chodzi o socjalistów, rozwiodły swój charakter światopoglądowy, zatraciły wiele ze swej ekskluzywności. Nie sprawują one już w tej mierze rządu dusz co dawniej, są zwartymi i sprężystymi organizacjami, ale przestały być duchowo politycznymi kościołami. Posiadają członków, ale bardzo mało wyznawców, ożywionych

gotowością poświęcenia się dla sprawy. Ku partiom pcha masy przyzwyczajenie albo wzgląd na zwiększenie indywidualnych możliwości życiowych. Magnes duchowy partii marksistowskich nie przestał co prawda całkowicie działać, ale osłabił poważnie. Powszechny indyferentyzm polityczny zwiększa nie tylko wśród komunistów i socjalistów, ale także w łonie innych niemieckich organizacji politycznych rolę funkcjonariuszów partyjnych, aktywistów zawodowych.

Pod względem organizacyjnym partie niemieckie, choć wciąż imponujące gdy wziąć skalę porównawczą włoską czy francuską, są dużo mniej rozbudowane i rozgałęzione niż za czasów weimarskich. Obojętność szerokich rzesz, ich bierność jest tego powodem. Ta bierność zaś z kolei jest wynikiem nie tylko wielkiego rozczarowania do polityki, które pozostawił po sobie hitlerizm, ale również w pewnej mierze przekonanie, że decyzja co do losu Niemiec nie leży w rękach partii i przeto wszelkie walki i rozgrywki polityczne nie mają wpływu na kształtowanie się rzeczywistości, są bezprzedmiotowe, toczą się w próżni. Ten pobłażliwy, mierzadko nawet lekceważący stosunek ogółu do partii, wytwarza wokół niemieckiego życia politycznego specyficzną atmosferę. Może okazać się ona dla jego przyszłości bardzo groźna, a nawet zabójcza. Szczególnie niebezpieczna jest ona dla tych wysiłków, które starają się ugruntować w Niemczech myśl i ustrój demokratyczny.

W zestawieniu z okresem weimarskim, rozbitcie partyjne w Niemczech poważnie się zmniejszyło. Scenę polityczną oparowały prawie całkowicie cztery wielkie partie: socjaliści, komuniści (w strefie sowieckiej S.E.P.), C.D.U. (lub jej wariant lokalny C.S.U.) i liberalowie. Rzecz oczywista istnieje ponadto jeszcze szereg stronnictw. (W Bawarii np. jest ich aż ponad trzydzieści). Pozbawione są one jednak większego znaczenia nawet o charakterze lokalnym.

Choć nie najsilniejsi pod względem liczebnym, to przecie najlepiej ustabilizowani, najbardziej odporni na wahania koniunkturalne są socjaliści. Wielka pauperyzacja w następstwie wojny, utraty majątku w wyniku bombardowań czy wysiedlenia, powiększyła bardzo w Niemczech rzesze proletariatu. Ale rzecz znamienna, olbrzymia część zdeklasowanych, a nawet dawnego proletariatu, choć żyje w warunkach pod względem gospodarczym proletariackich, za proletariuszy się nie uważa, tkwi duchowo w świecie pojęć drobnomieszczańskich. Już od pierwszej wojny światowej przychodził wyraźnie do głosu proces upodobniania się majstrów fabrycznych i wykwalifikowanych robotników do mieszczaństwa gdy chodzi o obyczaj i styl życiowy. Obniżenie poziomu życiowego, może wskutek swej powszechności, procesu tego nie zahamowało. O ile z jednej strony duża część robotników przestała być w sensie duchowym proletariuszami, zdeklasowani nie chcą uznać się za proletariuszy, a więc i stać się nimi. Pierwsza grupa niemal w całości, druga w dużym stopniu znalazła się w szeregach socjalistycznych.

Wskutek tego niemiecka partia socjalistyczna posiada obecnie jeszcze mniej proletariacki charakter aniżeli za czasów weimarskich. Skupia ona przeważnie pod swymi znakami zburzający proletariacki i sproletaryzowany pod względem sytuacji majątkowej, ale nie duchowym, mieszczaństwo. Tą przewagą elementu mieszczańskiego tłumaczy się fakt, dlaczego w partii socjalistycznej postulaty narodowe dominują nad społecznymi oraz dlaczego, gdy chodzi o kwestie socjalne, daje się pierwszeństwo reformom przed hasłem walki klasowej.

Komuniści zachowali w większej mierze proletariackie oblicze, choć i oni zmuszeni zostali do taktycznych kompromisów do wysunięcia na czoło postulatów nacjonalistycznych, do osłabienia akcentu kładzionego na międzynarodowym charakterze oraz złagodzenia walki klasowej. Podobnie jak pod kątem widzenia charakteru samej partii, tak i pod względem składu personalnego jej aparatu przywódczego, socjaliści ulegli większym zmianom aniżeli komuniści. Z przywódców socjalistycznych najwyższego szczebla za czasów weimarskich niewiele przeżyło. Z tych nielicznych większość usunęła się w cień jak Severing, Neumann; inni zadawałają się rolą czysto dekoracyjną, jak Loebe, dawny prezydent Reichstagu. Na czele partii znaleźli się ludzie, którzy przedtem zajmowali średnie, a nawet niższe szczeble w hierarchii partyjnej. Przynieśli oni ze sobą wiele starej rutyny organizacyjnej, ale skromny bardzo ładunek myślowy i jeszcze mniej nowego ducha. Jedynym przywódcą wśród nich na większą, choć bynajmniej nie na wielką skalę, okazał się Schumacher. Jeszcze uboższe w indywidualność i bardziej bezbarwne są szeregi socjalistycznych przywódców średniego szczebla. Dominuje wśród nich typ funkcjonariusza-biurokraty, bez połotu, zagubionego w szczegółach, patrzącego na rzeczywistość przez pryzmat przygotowanych na każdą okoliczność sloganów. Największą siłą socjalistów stanowią szarzy funkcjonariusze najniższego szczebla, ludzie przeważnie starsi, albo w średnim wieku, wyszkoleni na dobrych tradycjach socjalistycznych, zapobiegliwi, niestrudzeni, często nawet bardzo ofiarni organizatorzy.

U komunistów na górze ostało się sporo przywódców partyjnych. Wśród przywódców średniego szczebla przeważa stara gwardia, choć sporo też jest ludzi, którzy niedawno wstąpili do partii. W strefie sowieckiej nie brak w szeregach tych aktywistów dawnych funkcjonariuszy hitlerowskich, nie tylko niższego, ale nawet średniego szczebla. Przywódcy komunistyczni najniższego szczebla ustępują socjalistycznym gdy chodzi o teoretyczne przygotowanie, ale przewyższają ich przebojowością i talentami agitacyjnymi. W strefie amerykańskiej władze okupacyjne zakazały przyjmowania do partii dawnych członków ruchu nacjonalistycznego, nawet zdenazyfikowanych, w strefie brytyjskiej zakaz dotyczy tylko dawnych funkcjonariuszy, w sowieckiej teoretycznie tylko średnich i wyższych funkcjonariuszy, w praktyce, gdy chodzi o S.E.P. nie jest przestrzegany w stosunku do średnich

funkcjonariuszy. Rygoryzm amerykański odnośnie dawnych członków partii nacjonal-socjalistycznej odczuwają komuniści bardzo boleśnie.

Komuniści i socjaliści, mimo wszystkich zmian, jakim ulegli, stanowią kontynuację partii, które istniały w okresie weimarskim. Inaczej ma się rzecz z Christlich Demokratische Union, C.D.U. Jest to partia nowa, powstała po klęsce. W odróżnieniu od centrum, nie posiada ona charakteru światopoglądowego. Choć wchłonęła dużą część członków dawnego centrum, w przeciwieństwie do niego nie trzyma się płaszczyzny wyznaniowej. Po załamaniu się Trzeciej Rzeszy, przedstawiciele wyższej hierarchii kościelnej, która miała duży głos w decyzjach centrum, oraz przedstawiciele grup katolickich i protestanckich uznali, że w obliczu rozmiaru zadań oraz spustoszeń, dokonanych w szeregach chrześcijańskich przez hitleryzm i wojnę, należy zjednoczyć wysiłki i porzucić dawne rozgraniczenie wyznaniowe. Wobec silnych tendencji za zbliżeniem się do Rzymu, które powstały wówczas w łonie protestantyzmu niemieckiego, episkopat katolicki żywił nadzieję że wspólny front polityczny stworzyć może z czasem pomost dla masowego nawrócenia, ułatwiając infiltrację wpływów katolickich do społeczeństwa protestanckiego.

Prócz przedstawicieli obozów katolickiego i protestanckiego, znaleźli się w łonie C.D.U. bezdomni obecnie, przedwojenni zwolennicy szerokiego wachlarza partii środka i umiarkowanej prawicy, od demokratów po niemiecko-narodowych. Wspólną platformą jest uznawanie zasad chrześcijańskich w życiu społecznym i politycznym. Taka bardzo ogólna formuła nadaje partii dużą rozciągliwość i elastyczność, sprawia, że skupia ona bardzo różnolity element. Początkowo idąc za ogólnym prądem, C.D.U. ujawniło bardzo daleko idące tendencje w dziedzinie reform społecznych, choć obstawało przy zasadzie własności prywatnej. Na przestrzeni minionych dwóch lat, radykalizm C.D.U. poważnie osłabł, wyraźnie bierze węć górę nurt zachowawczy. Odnosi się wrażenie, że ewolucja w łonie partii będzie jeszcze dalej szła w tym kierunku. Z dawnej elity przywódczej centrum ostał się na czołowym stanowisku w C.D.U. jedynie były burmistrz Kolonii Dr Adenauer. Inni czołowi działacze wyszli w większości wprawdzie z katolickiego centrum, w mniejszości z protestanckiego jego odpowiednika Christlich Sozialen, ale zajmowali dawniej w hierarchii tych partii średnie albo niższe stanowiska. Pojedynczo przeniknęli do sztabu partyjnego C.D.U. politycy i posłowie z takich partii okresu przedhitlerowskiego, jak Volkspartei, Wirtschaftspartei, Landvolk, Deutschnationalen i Konservativen. Gdy chodzi o średnie i niższe szczeble hierarchii partyjnej, C.D.U., to obsadzone one są w dużej mierze przez ludzi nowych, którzy dawniej nie brali udziału w życiu partyjnym, ograniczając się do lokalnej pracy samorządowej. Najbardziej jednolitą i zwartą częścią C.D.U. jest jej bawarski odpowiednik C.S.U., będący niemal odtworzeniem Bayrische

Volkspartei, która była lokalną mutacją centrum. Wśród funkcjonariuszów C.S.U. spotyka się prawie wyłącznie działacze dawnej Bayrische Volkspartei. Nowa partia znajduje oparcie w tych samych kołach co dawna: w średnim mieszczaństwie i chłopach. Posiada ona również tak samo silnie zarysowane partykularne, bawarskie oblicze.

Czwarta z kolei wielka partia — liberałowie, jest jeszcze bardziej niejednolita i zróżniczkowana, niż C.D.U. Między odłami obydwu tych partii w strefie sowieckiej i zachodnich zarysowują się poważne różnice, choć istnieje formalnie jedność organizacyjna i programowa. Odłamy ze strefy sowieckiej, by istnieć, muszą naginać się do wymogów wschodniej demokracji i nie odchyłać się zbyt od kursu, który utrzymuje S.E.P. To sprawia, że zarówno C.D.U. jak liberałowie ze strefy sowieckiej w polityce zagranicznej, przynajmniej na zewnątrz, orientują się na Moskwę, a w wewnętrznej ujawniają dużo bardziej radykalne tendencje, propagują dużo śmielsze i dalej idące reformy niż ich odpowiedniki po zachodniej stronie kurtyny. Choć z perspektywy lokalnej, sprawy wyglądają różnie, na ogół liberałowie są jeszcze bardziej zachowawczy niż C.D.U. Pod ich znakami znalazło się sporo działaczy, przeważnie mniejszego kalibru, z dawnych partii prawego środka i umiarkowanej prawicy.

Pod względem ideologicznym liberałowie nawiązują w wielu punktach do niemieckich narodowych liberałów z końca XIX i początku XX wieku. Z jednego z odłamów tych narodowych liberałów powstała pravicowa i nacjonalistyczna partia niemiecko-narodowych. Ten rodowód ułatwia orientację w istotnym charakterze liberałów, którzy z nazwy tylko, lecz nie z istoty swej są liberałami i przeżarci są przez złe raczej niż dobre maskowany nacjonalizm, a z postępem mają niewiele wspólnego. Liberałowie wydają się być typowym tworem koniunkturalnym, nietrwałym. Udzielili oni przejściowej gościnności masom wyborczym, zorientowanym najbardziej na prawo, a nie mogącym w warunkach kontrolowanego przez okupantów życia politycznego ujawnić swego prawdziwego oblicza. Gdy minie potrzeba maskowania się — już teraz poważnie się ono w zachodnich strefach zmniejszyła — wyborcy w dużej swej większości odpłyną bardziej na prawo, ku ugrupowaniom, które ich interesy i uczucia będą reprezentowały bardziej zdecydowanie i wystąpią ze śmiało otwartą przyłbicą. Dla wszystkich tych ludzi partia liberalna jest tylko schronieniem umożliwiającym przeczekanie oraz niewychożenie z kursu rutyny politycznej. Pod względem organizacyjnym są liberałowie najślabi z wielkich partii i najmniej zwarci. W przeciwieństwie do socjalistów i komunistów, a podobnie jak w C.D.U., są oni silnie zdecentralizowani.

Piotr NIEMIRA.

## Polemiki

### Legenda o imperializmie amerykańskim

W prasie europejskiej dużo się mówi teraz o imperializmie amerykańskim. Nie tylko w prasie komunistycznej, z którą oczywiście nie warto dyskutować: nie dyskutuje się z nakręconą płytą gramofonową. Ale niejasne choć apodyktyczne wzmianki o «imperializmie» Stanów Zjednoczonych pojawiają się również czasem w prasie niezależnej, m. in. nawet w *Kulturze*. To już sprawa inna, wymagająca wyjaśnienia, albowiem chodzi tutaj, naszym zdaniem, o wyraźne nieporozumienie.

Mówi się o imperializmie amerykańskim dlatego, że się widzi Amerykanów wszędzie: na Morzu Śródziemnym, w Grecji, w Turcji, w Persji jako przyjaciół; spotyka ich się oczywiście na wszystkich dawnych terenach wojennych: w Korei, w Japonii, na wielu wyspach Pacyfiku, jako zwycięzców i okupantów. W innych częściach świata, nawet w tych, których wojna swą ciężką stopą nie przygniotła, też czuć wszędzie obecność amerykańską. Stąd łatwy wniosek: Ameryka jest w stanie ekspansji imperialistycznej. Jej żołnierze i jej businessmeni chcą zdobyć świat, panować nad światem, przynajmniej nad tą jego częścią, która jest warta zachodu. Wniosek ten jest niestuszny.

Udowodnienie tego twierdzenia wymaga pewnej analizy samego pojęcia imperializmu. Co to jest imperializm i jakie są jego główne odmiany? Imperializm jest *wolą* ekspansji, dążeniem do rozszerzenia swej władzy nad innymi narodami. Psychologicznie mówiąc, jest instynktem zdobywczym.

Imperializm polityczno-militarny jest najprymitywniejszą formą tego instynktu, którego klasycznym przykładem jest dawny imperializm carskiej Rosji. Wyraża się w zwykłych podbojach, w ciągłym, żadną koncepcją nieograniczonym, zdobywaniu cudzych ziem, narzucaniu im swych rządów, swej administracji.

W ten sposób rozszerzała się stara Rosja, od czasów Wielkiego Księstwa Moskiewskiego aż po czasy ostatnich Romanowów. Pomimo przygodnych, tylko w pewnych okresach się pojawiających, tendencji rusyfikacyjnych, imperializm staro-rosyjski był prymitywnym zjawiskiem ekspansji terytorialnej o charakterze polityczno-militarnym. Rusyfikacja ziem zabranych, zwłaszcza ziem zachodnich, nie była niczym innym, tylko środkiem pomocniczym, fenomenem wtórnym.

Drugą podstawową odmianą zjawiska imperialistycznego jest imperializm gospodarczo-finansowy, który można nazwać również imperializmem kolonialnym. Klasycznym jego przykładem jest dawny imperializm brytyjski. Zasadniczym jego celem jest nie zdobywanie terytoriów, panowanie nad innymi narodami, narzucanie im swej administracji. Jego głównym celem jest zdobywanie rynków zbytu i źródeł surowcowych. Anglia rzadko dążyła do bezpośredniego podboju cudzych ziem. Nie zależało jej na brutalnym panowaniu nad obcymi narodami za pomocą własnej brytyjskiej administracji i własnych brytyjskich wojsk. Tam, gdzie to było możliwe, Anglia wolała używać miejscowych elementów zarówno w wojsku okupacyjnym jak i w administracji. Dla swoich ludzi rezerwowała Anglia tylko pozycje kluczowe.

Swe rozległe posiadłości indyjskie z ich setkami milionów ludności, Anglia trzymała za pomocą kilku tysięcy Anglików, żołnierzy i administratorów starannie rozmieszczanych. Reszta administracji i wojska, to byli ludzie miejscowi, tubylcy. Jakże odmiennym był system rosyjski w Polsce, gdzie ostatni policjant, najprostszy gryzipiórek urzędniczy, byli Rosjanami.

Imperializm terytorialno-polityczny, imperializm gospodarczy, łącząc się z domieszką imperializmu ludnościowego (*Lebensraum*) dały światu najohydniejszą formę zaborczości w postaci imperializmu niemieckiego.

Oto są, z gruba klasyfikowane, najważniejsze odmiany imperializmu. Nie formułując żadnego sądu wartościującego, należy stwierdzić, że imperializm typu rosyjskiego albo rosyjsko-niemieckiego rozwija się najbujniej w atmosferze rządów absolutystycznych monarchii i dynastii, które za swoją główną misję uważają «zbieranie ziem rodzinnych», a potem, przyzwyczajwszy się, i ziem obcych.

Innego klimatu politycznego wymaga imperializm gospodarczy, którego drogi rozwojowe wytyczone są nie przez sztaby wojskowe, ale przez biura przemysłowców i kupców. Żadnej w tym imperializmie magnificencji! Sama utylitarność! Idzie się tam, gdzie pcha konieczność gospodarcza, gdzie jest nafta, ruda żelazna, miedź, gdzie można czerpać surowiec i lokować wyroby przemysłowe. Imperializm taki wyrasta na szczupłych terytoriach, częstokroć o małożylną glebę, gdzie gęsto osiadła ludność musi się uprzemysławiać, płacić za cudze zboże, przerabiając cudzy surowiec.

Zastanowić się wypada, czy tak zwany «imperializm amerykański» posiada choćby jedną z podstawowych cech tego zjawiska dziejowego, który nazywamy imperializmem.

Że Stany Zjednoczone nie są imperialistyczne w znaczeniu polityczno-militarnym, to znaczy na sposób stereotypowy, to jest oczywiście: tu nawet wszelka dłuższa dyskusja jest zbędna. Aneksja cudzych terytoriów, nawet w strefie wpływów amerykańskich położonych, jest w tej chwili w Stanach Zjednoczonych nie do pomyslenia. Ameryka Południowa i Centralna, pomimo swej przed mieczem amerykańskim bezsilny, zachowały swą całkowitą niezależność polityczną. A ktoby w to wątpił, powinien zbadać historię stosunków choćby amerykańsko-argentyńskich, kiedy podczas najcięższej dla Stanów Zjednoczonych wojny, Argentyna zajmowała przez szereg lat stanowisko dla Waszyngtonu wyraźnie nieprzychylnie. A i nawet po tej wojny zwycięskim zakończeniu, Peron mógł dojść do władzy, pomimo, że Stany Zjednoczone wyraźnie były regimowi jego przeciwnie. Ale nie tylko Argentyna, która jest bądź co bądź dużym państwem, ale nawet Kuba i Panama, pomimo Kanału i kapitalnego jego znaczenia dla Ameryki, zarówno czasu wojny jak i pokoju, zachowały swą niezależność polityczną. Gdyby Stany były państwem imperialistycznym, na sposób polityczno-militarny, ani jedna z wysp, ani jedno z państw południowo-amerykańskich, nie mówiąc już o Centralnej Ameryce, nie uniknęłyby ukrytej lub jawnej aneksji. W ciągu ostatniej wojny wiele było okazji po temu, aby różne terytoria antylskie przyłączyć, nawet za zgodą wprawdzie wymuszoną, ich obecnych posiadaczy. A tymczasem nie. Nawet wszystkie kolonie francuskie, nawet St. Pierre et Miquelon, opanowane przez siły France Libre, wbrew najostrożniejszemu sprzeciwowi Departamentu Stanu, wróciły sobie spokojnie, bez najmniejszej ze strony Stanów opozycji, do prawych swych posiadaczy.

Od czasu, kiedy Stany Zjednoczone, przez dościsłe do Oceanu Spokojnego osiągnęły swój definitywny kształt, wszelkie aneksje obcych ziem są dla Ameryki nie do pomyslenia. Nawet tam, gdzie ekspansywne interesy gospodarcze z jednej strony, gdzie marynarka zawsze chętna do zajmowania wysp na jej drodze leżących, z drugiej strony, działając trochę na własną rękę, bez instrukcji rządu centralnego, podnosiły sztandar gwiazdzisty na różnych terytoriach dalekowschodnich, Waszyngton okazywał dla takich imperialistycznych inicjatyw bardzo wyraźną niechęć. Tak, w latach 50-tych Commodore Perry, zdecydowany zwolennik ekspansji, zajął wyspy Bonin, zatknął sztandar amerykański i usadowił się w tej nowej posiadłości, jak u siebie w domu. Tak również w 1857 roku, inicjatywą prywatną Dr Peter Parker'a, pól misjonarza pół urzędnika, przy pomocy zainteresowanych towarzystw handlowych, zajęta została Formoza. W jednym i drugim wypadku rząd odpowiedział tym niepowołanym ekspansjonistom, że Prezydent Stanów Zjednoczonych

nie może objąć w posiadanie «nowych ziem», dopóki nie otrzyma na to zezwolenia Kongresu. A w wolnej Ameryce, rządzonej przez opinię publiczną, Kongres bardzo niechętnie daje swoją zgodę na takie imprezy. Toteż i Commodore Perry i Dr Peter Parker musieli opuścić ziemie, które już za swoje uważali. Nawet ziemie zdobyte na Hiszpanii i przez dłuższy czas okupowane przez Amerykę, wracały powoli, z pomocą teje Ameryki, do niepodległości.

Trudno w kilku wierszach wyczerpać temat tak obszerny, jak polityka zewnętrzna najpotężniejszego mocarstwa na świecie. Polityka amerykańska, jak każda inna, nie jest linią prostą. Życie nigdy nie jest prostolinijne. Pełno zawsze w każdej polityce skrzywień, załamania, nawrotów w tył po ruchach naprzód. Nie jest od tego wolna i polityka amerykańska: aneksja wysp Hawajskich i Porto-Rico, ze względów gospodarczych, a zwłaszcza strategicznych. Nie zmienia to faktu, że polityka amerykańska jest z reguły przeciwna aneksji cudzych ziem. Ameryka, w przeciwieństwie do Rosji, nie chce się rozszerzać. Amerykanie czują, że mają dość przestrzeni. Nie jest im za ciasno na zachodnim kontynencie. Amerykanin nie chce emigrować, nie lubi być żołnierzem. A już być członkiem armii okupacyjnej na obczyźnie, co napawa taką rozkoszą każdego Niemca, wydaje się mieszkańcowi Teksasu lub Nowego Yorku największym z nieszczęść. Wszystkie te fakty geograficzne, gospodarcze, polityczne i cywilizacyjne składają się na jedno: Ameryka nie lubi podbojów. Możemy więc stwierdzić z najzupełniejszą obiektywnością, że Stany Zjednoczone nie są krajem imperialistycznym w znaczeniu polityczno-militarnym.

Ale w gospodarczym? Na to pytanie wiele ludzi, w dobrej wierze, odpowie twierdząco. Tyle się słyszało o chciwości, prężności, żądzy władzy businessmana amerykańskiego, że ludzie są przekonani, iż Ameryka planuje gospodarczy podbój świata, opanowanie wszystkich rynków zbytu, wszystkich źródeł surowcowych.

Propaganda komunistyczna powtarza te brednie z takim uporem, że nawet najwięksi przeciwnicy bolszewizmu ostatecznie w to uwierzyli. Wydaje się to takie proste, takie logiczne i odpowiada również głęboko zakorzenionej dziś nieufności inteligencji europejskiej do ledwo zresztą dyszącego jeszcze kapitalizmu. Tymczasem wcale tak nie jest. Przekonanie o zaborczości gospodarczej Stanów Zjednoczonych jest zupełnym przesądem, nie mającym żadnego oparcia w faktach ekonomicznych.

Pomówmy przedtem o rynkach zbytu. Ameryka w chwili obecnej zajęta jest szukaniem rynków zbytu nie tyle dla swego ile dla europejskiego przemysłu. Wyroby amerykańskie płyną wprawdzie szeroką falą do krajów europejskich, ale nie jako normalny eksport, lecz jako dar i to nie tylko w postaci przedmiotów konsumpcji lub również maszyn, których zadaniem jest modernizowanie aparatu produkcyjnego Europy. Ameryka



pracuje więc w tej chwili nad uzdrowieniem swego przyszłego konkurenta! Niepodobne to jakoś do postępowania klasycznych rekinów kapitalistycznych, dążących do unicestwienia obcej konkurencji.

W ustach komunistów Plan Marshalla wygląda jak spisek przeciwko niezależności Europy, jak śmiertcionośny zamach na jej przemysł. Dziwny to spisek i dziwny zamach, kiedy Skarb Amerykański kosztem swych ledwo dyszących podatników, odbudowuje własnym sumptem życie gospodarcze Europy, dostarczając węgla, stali, kauczuku, nafty i zboża. Plan Marshalla nie jest mistycznym aktem miłosierdzia chrześcijańskiego, ale wielką polityką, o zasięgu dotychczas na świecie niespotykanym, mającą na celu uzdrowienie Europy, przynajmniej jej części zachodniej, z chwilą gdy wschodnia pod presją ZSSR z tej imprezy się wycofała. Francuski Minister Spraw Zagranicznych p. Bidault znakomicie to ujął w swej deklaracji na Konferencji Szesnastu, odbytej w Paryżu pomiędzy 27 czerwca a 3 lipca 1947 r.:

**« La proposition française n'a pas et n'aura pas pour effet d'enchaîner l'économie des petits pays, mais, au contraire, de la libérer. Le jour où nous aurons modernisé notre économie, alors nous pourrions payer avec nos ventes de produits, avec nos propres moyens, nos achats indispensables, et vraiment, de la sorte, assurer notre indépendance. L'indépendance ne s'obtient pas dans la misère de l'isolement, elle s'affirme dans la collaboration humaine et la prospérité ».**

Lepszej definicji Planu Marshalla nikt dotychczas nie dał. Wielki wysiłek amerykański nie zmierza w swym zasadniczym założeniu tylko do wyżywienia, ale i do usamodzielnienia Europy, usamodzielnienia gospodarczego i politycznego. Jeżeli to jest imperializm, to chyba jakiegoś zupełnie nowego gatunku, o którym świat dotychczas jeszcze nie słyszał. Trudno w tych warunkach, o ile się nadaje słowom ich istotne znaczenie, mówić obecnie o imperializmie gospodarczym Ameryki.

Każdy człowiek obznajomiony z rzeczywistością życia gospodarczego Stanów, z działalnością owego oślawionego Wall Street, nie może czytać bez uśmiechu tego co się pisze w prasie europejskiej o dążeniu finansjery amerykańskiej do zagarnięcia, do opanowania przemysłu europejskiego. Cokolwiek się robi w Ameryce dla Europy, robi się za pieniądze *skarbowe*. Prywatny kapitał słyszeć nawet nie chce o żadnych inwestycjach europejskich, o żadnych kredytach dla Europy. Nawet kredyty towarowe, w których ryzyko jest praktycznie nieistniejące, są bardzo trudne do sfinansowania. A już tylko wariat może teraz proponować finansjiście amerykańskiemu jakąś partycypację w przedsiębiorstwie europejskim.

Mówi się tyle o chęci opanowania przemysłu europejskiego przez kapitał amerykański. To co się dzieje teraz jest akurat odwrotnością tego procesu: kapitał amerykański nie tylko nie powiększa swoich partycypacji w przemyśle europejskim, ale przeciwnie, likwiduje to, co miał przed wojną.

Obywatele francuscy, mający kapitały ulokowane w Ameryce i którzy na skutek zarządzeń władz skarbowych musieli je sprowadzić, znajdowali się przed dylematem: oddać swe dolary rządowi francuskiemu za 120 franków — było to jeszcze przed dewaluacją — wtedy gdy dolar był wart przeszło dwa razy więcej, albo znaleźć się w konflikcie z kodeksem karnym. Sprytniejsi z nich znaleźli prosty sposób: skupywali za bezcen własność amerykańską we Francji, partycypacje przemysłowe, udziały w towarzystwach akcyjnych albo też wprost kupowali akcje najlepszych towarzystw akcyjnych francuskich, które się znajdowały w Ameryce i w ten sposób za dolary swe otrzymywali nie po 120 i nawet nie po 300, a czasami nawet znacznie więcej. Kapitał amerykański bowiem wyprzedawał się literalnie za grosze ze swych udziałów francuskich, notując w swym bilansie grube z tego powodu straty i odtrącając sobie te straty ze swych podatków amerykańskich. Kapitalista amerykański wolał ponieść stratę w Europie, redukując sobie w ten sposób bardzo poważnie podatek dochodowy w Ameryce, niż zatrzymywać własność na przykład we Francji, o dochodach niepewnych a w każdym razie bez możliwości transferu.

Jakże mówić w tych warunkach o szybkim opanowaniu przemysłu europejskiego przez kapitał amerykański? Wszystko jest w istocie rzeczy inaczej: kapitał amerykański redukuje swój współdział, wycofuje się z pozycji już dawno posiadanych, a o tym, żeby nowe posterunki finansowe chciał obecnie zakładać nie ma nawet mowy. Kapitał amerykański, jak każdy inny jest bardzo strachliwy, boi się wojny, boi się komunizmu, strajków, zaburzeń społecznych, boi się wszystkiego... i woli siedzieć w domu, gdzie zresztą okazje do inwestycji są bardzo liczne.

Czas więc raz na zawsze skończyć z tą legendą o współczesnym imperializmie gospodarczym Stanów Zjednoczonych. Imperializm ten istnieje dziś tylko w wyobraźni niektórych pisarzy europejskich. Ładny imperializm, który własnym kosztem odbudowuje warsztat pracy swego przyszłego konkurenta! Dziwny imperializm, który zamiast stosować starą usświęconą zasadę: *Divide et impera*, używa wszystkich wpływów swoich, aby powaśnione państwa europejskie pogodzić, zebrać przy jednym stole, skłonić do wspólnego planowania i uzgodnionej akcji!

Wystarczy przejrzeć sprawozdanie z obrad pierwszej konferencji Szesnastu, żeby się przekonać o różnicy pomiędzy istotnym imperializmem sowieckim a rzekomym «imperializmem amerykańskim». ZSSR walczy o utrzymanie rozbitcia, izolacji państw europejskich. Nie dopuszcza myśli nie tylko o żadnej federacji, ale nawet o wspólnym uzgodnionym planie gospodarczym. Następcy Lenina apoteozują nieograniczoną suwerenność państwową, pomimo a raczej dlatego, że jest rzeczą niewątpliwą, iż rozbitcie Europy uniemożliwi jej odbudowę i odrodzenie. A tymczasem tzw. «imperializm» amerykański pcha Europę do Federacji, wiedząc, że tym samym stwarza sobie potężnego konkurenta w przyszłości. O tym należy pamiętać, kiedy się mówi

dość lekkomyślnie o «imperializmie» Stanów Zjednoczonych. Dlaczego jednak tak się dzieje? Dlaczego Ameryka daje takie dowody bezinteresowności? Czyżby nad Wall Street unosił się duch świętego Franciszka? Oto ostatnie pytanie, na które wypada odpowiedzieć.

Amerykanie, zbiorowo i indywidualnie, są takimi samymi ludźmi jak Europejczycy, ani lepsi, ani gorsi. Jeżeli prowadzą teraz politykę, która tak odbiega od dawnych, przez dzieje przekazanych, wzorów, to widocznie są na to ważne przyczyny. Chodzi o to, aby je wykryć i nie jest to wcale trudne, ani skomplikowane.

Rozwój wiedzy ścisłej i wynikłej z niej techniki przemysłowej doprowadził społeczeństwo cywilizowane do tego, że muszą albo ugruntować pokój, albo zginąć: *bomba atomowa ciąży nad światem współczesnym*. Stany Zjednoczone, ze swymi olbrzymimi miastami, ze swoim skoncentrowanym przemysłem, byłyby narażone na śmiertelne niebezpieczeństwo, gdyby ta straszliwa broń pojawiła się w rękach jakiegoś innego wielkiego mocarstwa. A że to się stanie prędzej czy później, o tym Amerykanie wiedzą doskonale i stąd wynika dla nich szereg nieuchronnych konsekwencji, z których najważniejszą jest konieczność zmobilizowania świata celem narzucenia pokoju. Teoretycznie mówiąc, Ameryka ma do wyboru albo wojnę prewencyjną natychmiast, albo grę na taką zmianę stosunków, w Rosji, która by umożliwiła zawarcie z nią układów, zapewniających istotny pokój. Demokratyczny, chrześcijański kraj nie może nawet myśleć, bez odrazy, o wywołaniu katastrofy wojennej. Pozostaje więc tylko akcja polityczna, powolne oddziaływanie na Rosję Sowiecką, aby ją przekonać, że leży w jej interesie porozumienie z resztą świata. A przedwstępny do tego warunkiem jest *przeciwwstawienie frontowi nędzy frontu dobrogotu*, czyli uzdrowienie gospodarcze Europy. Nowa polityka amerykańska jest polityką bezpieczeństwa, polityką obrony świata przed nową wojną. Wymaga ona wielkich ofiar i powszechnej obecności siły amerykańskiej. Aby zatrzymać pochód totalitaryzmu sowieckiego na Zachód i na Wschód, Ameryka musi być wszędzie, gdzie jest niebezpieczeństwo pośredniego lub bezpośredniego podboju nowych jednostek państwowych przez oficjalne lub nieoficjalne siły sowieckie. Chodzi tu nie tylko o obecność dywizji amerykańskiej piechoty, albo eskadr amerykańskiej floty. Równie ważną jest obecność amerykańskiej stali, amerykańskiego kauczuku, węgla i zboża, dzięki którym stanie znowu na nogi zachodnio-europejskie życie gospodarcze. Na tej płaszczyźnie interes ogólno-amerykański zlewa się całkowicie z interesem ogólno-ludzkim. Tylko dzięki temu można zrozumieć, dlaczego Skarb amerykański odbudowuje aparat gospodarczy przyszłych współzawodników przemysłu Stanów Zjednoczonych. Nawet ekspansja interesów naftowych amerykańskich na Bliskim Wschodzie, mająca pozory dawnej ekspansji

imperializmu gospodarczego, jest w istocie rzeczą zjawiskiem defensywy politycznej, a nie ofensywy gospodarczej. Za mało jest nafty w Ameryce, aby zaspokoić potrzeby gospodarcze amerykańskie, potrzeby europejskie i ewentualne potrzeby armii, lotnictwa i marynarki Stanów Zjednoczonych, stojących dzisiaj na straży pokoju światowego.

Co nam jutrzejszy dzień przyniesie, nikt dzisiaj nie jest w stanie przewidzieć. Jedno tylko jest pewne, że pomiędzy nami a niewolą stoi dziś tylko potęga Stanów Zjednoczonych. Zaszczepiona to misja, ale ciężka i kosztowna. Nie przynosi ona dodatkowych dywidend ani przemysłowcom z Detroit ani bankierom z Wall Street. Jakże więc tu mówić o imperializmie?

Polityka wszechobecności amerykańskiej, wojskowej i gospodarczej, jedno tylko Amerykanom przynosi: podatki, podatki i jeszcze raz podatki.

Że naród amerykański tę politykę tak cierpliwie znosi, to tylko dowód, że dorósł on do tej wielkiej misji, którą historia go obarczyła.

DIPLOMATICUS.

## Książki

### Z tamtego świata

*Kraj ten był bliski memu sercu.  
Mnógich mu ślalem postów.  
W licznych jawiłem się postaciach.  
Ale w żadnej nie poznaliście mnie.*

*Pukałem nocą w okna, błady Izraelita,  
Zaszczuty zbieg, w obuwiu zdartym.  
Skrzyknęliście pachotka, skinęliście na szpiega  
Sądząc nadto zyskać przed Bogiem zastugę.*

*Chłopiec sierota ze wschodnich równin,  
Padatem wam do nóg, błagając o chleb  
Wy zaś niepomni grożącej zemsty  
Machnęliście ręką, zadając mi śmierć.*

*Stawałem przed Wami staruszką drzącą, obłąkaną  
Z okrzykiem trwogi zamartym na ustach  
Ale wy rozprawialiście o pokoleniach przyszłości  
I tylko popioły moje rozegnał wolny wiatr.*

*Przychodziłem jako jeniec i jako najemnik,  
Zestany, sprzedany, posiepany batem,  
Ale wyście odwracali wzrok od plugawego pachotka —  
Dziś przychodzę jako sędzia, czy mnie poznajecie?*

Werner BERGENGRUEN.

Wiersz powyższy (tytuł oryginalny «Die letzte Epiphanie», z cyklu «Dies irae»), napisany przez jednego z towarzyszy buchenwaldzkich Eug. Kogona, jest umieszczony na czele ostatniego rozdziału jego książki *SS-Staat*, zatytułowanego «Naród niemiecki i obozy koncentracyjne». (Tłum. z niem. M. C.).

«Talizman Krzyża jest spróchniały i przyjdzie dzień kiedy stare kamienne bożki podniosą się z głuchych osypisk, przetrą oczy z tysiącletniego pyłu i Tor z młotem-obrzymem wypadnie wreszcie, aby rozbijać gotyckie sklepienia... Kiedy posłyszycie zgiełk i szcęk strzeżcie się mili sąsiedzi..., nie ważcie się wtrącać w nasze niemieckie sprawy, bo źle na tym wyjdziecie... I nie żartujcie z moich rad, rad marzyciela, który was ostrzega przed wyznawcami Kanta, Fichtego i filozofów natury...».

(H. Heine: «Zur Geschichte der Religion und Philosophie in Deutschland», 3. Buch.).

Obozy niemieckie, których trupi fetor czuć jeszcze w powietrzu, chciałoby się wymazać z pamięci, zbyt są «nieprawdopodobne».

«Ja sam niedługo nie będę wierzyć własnym przeżyciom» — mówił mi jeden z nielicznych więźniów Oświęcimia, zwolniony w 1942 r., najgorszej początkowej fazy tego obozu. Ale wspomnienie swoje zabrał na tamten świat, bo zginął w powstaniu warszawskim.

Nam pozostałym nie wolno zapomnieć ani niemieckich obozów koncentracyjnych, które dziś należą do przeszłości, ani sponiewierania i pohańbienia człowieka, które trwa nadal pod różnymi postaciami.

«Czasy zbrodniarzy» — nazwał Mauriac naszą epokę, bo mord organizuje się nadal na całym świecie i wszędzie pod maską prawa, bo sami tak się otrzaskaliśmy ze zbrodnią, tak nam ona spowszedniała, tak przekracza miarę naszej wyobraźni, że już nie budzi w nas należytego sprzeciwu, ani odpowiedniej reakcji. I to bierne obrzydzenie, to zobojętnienie staje się formą naszej indywidualnej winy, formą unikania odpowiedzialności.

Na temat obozów niemieckich istnieje już cała literatura we wszystkich językach europejskich. Są to przeważnie wspomnienia osobiste, suche zeznania, literackie «essaye», rozprawy naukowe lub statystyki. Wartość tych prac jest bardzo nierówna, zależna od świadomości, kultury, obiektywizmu i talentu piszących. Z relacji francuskich najwięcej rozgłosu zyskały książki Davida Rousset i Louis Martin-Chauffier, z niemieckich — niedawno tłumaczona na francuski praca Eugena Kogona.

*Univers Concentrationnaire* D. Rousseta<sup>1)</sup> stanowi syntezę doświadczeń i obserwacji autora, zebranych w 16 miesięcy życia w obozach. Plastyka wizji, zwartość, sugestywność i tempo narracji, zwięzłość śmiałych zbiorowych charakterystyk poszczególnych narodów, członków tego «świata» — nadają tej książce nieprzemijające wartości. Inteligentną obserwację uwypukla duży talent pisarski.

Dругa książka Rousseta *Les jours de notre mort*<sup>2)</sup> jest skom-

<sup>1)</sup> Ed. du Pavois. Paris 1946. Prix Th. Renaudot 1946.

<sup>2)</sup> Ed. du Pavois. Paris 1947.

ponowana techniką powieściową z mnóstwa fragmentów, epizodów-migawek, luźno związanych kilku działającymi postaciami. Całość oparta jest na faktach autentycznych, wziętych z własnego doświadczenia i z relacji najbliższych kolegów, a odzwierciedlających życie wewnętrzne społeczeństwa Häftlingów, wielorakich kręgów tego podziemnego świata, zaciebiających się pomiędzy sobą, wspierających się lub zwalczających się na śmierć lub życie. Rousset maluje terror sprawowany w obozach nie tylko przez władców niemieckich, ale w późniejszych latach także przez współtowarzyszy niewoli; zwarte grupy narodowe lub polityczne wydierały sobie szanse przetrwania, utracając z zimnym wyrachowaniem nie tylko wrogów, ale też jednostki niepożądane lub bezwartościowe z własnych szeregów.

Opowieść Rousseta, komunista, dziś czynnego działacza partii trockistowskiej, obejmuje 750 stron. Jest dopełniona słownikiem gwary obozowej, mapą obozów i więzień politycznych na terenie Niemiec, oraz 6 wykresami dróg ich ewakuacji; zygzakowate trasy pociągów, unoszących w ciągu zimy i wiosny 1945 r. swój ładunek trupów i półtrupów z miejsca na miejsce, osaczonych i bombardowanych Niemiec.

*L'Homme et la Bête* Martin-Chauffier,<sup>3)</sup> komunizującego katalika, publicysty i krytyka literackiego, dotyczy obozów w Neuengamme i końcowej fazy obozu w Belsen-Bergen, piekielnej wizji dwudziestu kilku tysięcy rozkładających się trupów i orgii pozostałych przy życiu szkieletów, kobiet i mężczyzn, w blasku płonących baraków.

Zamierzeniem Martin-Chauffier było studium psychologiczno-moralne. Chodziło autorowi o wykazanie tego stopniowego rozkładu duszy ludzkiej w obozach, aż do całkowitego jej zezwierzecenia, oraz nielicznych wyjątków z tej reguły, wyjątków, które autor oblicza na 5% ogólnej liczby więźniów.

Czwartym dziełem tego rodzaju, klasycznym dzięki swojej niemieckiej systematyczności, planowej kompozycji, i wszechstronnej dokumentacji, to praca Kogona *L'enfer organisé*<sup>4)</sup> (oryginał niemiecki nosi tytuł *Der SS-Staat*).

Praca ta jest sumą zjawisk związanych z koncentracyjnymi obozami. Eugen Kogon, katolik, publicysta austriacki, socjolog i pisarz polityczny, został aresztowany po Anschlussie. Spędził w obozie Buchenwald 7 lat i to stanowi jego przewagę nad pisarzami francuskimi. Francuzi byli deportowani masowo dopiero w ostatnich fazach wojny. Poznali więc rzeczywistość «społeczeństwa koncentracyjnego» w jego końcowym okresie i końcowej krystalizacji, nie złagodzenia ale do pewnego stopnia zużycia się, stopienia, zmechanizowania sił rządzących tym światem.

Kogon wnosi do literatury obozowej rzadkie dotychczas świadectwo Niemca, wartość naukowej analizy i wysoki poziom ety-

ki chrześcijańskiej. Praca ta jest utrzymana w charakterze przewodniczącego, w którym Häftling buchenwaldzki jest skarżącym i świadkiem, prokuratorem i sędzią, a chwilami nawet adwokatem w jednej osobie. Ten surowy, wyzbyty akcentów osobistych i emocjonalnych raport jest niestety pozbawiony plastyki literackiej Rousseta i Martin-Chauffier oraz ich psychologicznej wnikliwości. Wartość pracy Kogona stanowią fakty, cyfry i statystyki.

Już samo podjęcie tej ogromnej w rozmiarach i zasięgu pracy przez człowieka zaledwie wypuszczonego z tego zorganizowanego piekła, pracy utrzymanej na tym poziomie obiektywizmu, charakteryzuje autora. Kogon zdaje sobie w pełni sprawę z odpowiedzialności swego dzieła tak wobec Niemców jak i wobec reszty ludzkości.

«Czy miałem prawo wydać tę książkę — zapytuje w pierwszym zdaniu przedmowy — stoi ona na granicy tego, co jest obyczajowo dozwolone... Z otchłannej przestrzeni, którą w ciągu tych 7 lat przewędrowałem, pośród zaślepieńców i potępieńców, którzy wykorzystali z wściekłą zjadłością każdy ślad ludzkiej godności, nie da się wyciągnąć nic dobrego... Mogą mi zarzucić, że staję się kronikarzem zbrodniczego systemu, że upamiętniłem to, co powinno być pójść w niepamięć wieczystą, że praca moja może być wykorzystana aż do najdrobniejszych szczegółów przez jakiegoś tyrana przyszłości...».

Ale Kogon odrzuca te racje. Pobudką jego jest dać świadectwo prawdzie, niczego nie umniejszając, nie przyrządzając *ad usum delphini*, nie przemilczając; nie fragmenty osobistych przeżyć, nie to lub owo, ale *caty system*.

«Sądziłem — czytamy dalej — że obrazując spodenie (*Niedrigkeit*) do którego ludzie, Niemcy mogli dojść, wykaże z całą bezwzględnością splot zbiorowej, daleko poza Niemcy sięgającej winy, winy ogarniającej nawet całym nieświadomym. Tylko prawda może nas wyswobodzić».

Argumentu, że książka może być wykorzystana propagandowa przeciwko Niemcom, autor nie chce nawet brać pod uwagę. Przemilczanie winy — powiada — znacznie gorzej obciąża winowajców, aniżeli jej wyznaczenie. Do odpowiedzialności kronikarza-historyka poczuwa się Kogon tym bardziej, że jest jednym z bardzo nielicznych pozostałych przy życiu przedwojennych Häftlingów, który trafił do obozu z ugruntowanym poglądem na świat i z góry powziętym zamierzeniem zachowania postawy podmiotowej, krytycznego stosunku do własnych przeżyć.

Tytuł książki określa ujęcie zagadnienia. Obozy koncentracyjne są tu przedstawione jako samoistny świat terroru, swojej dyscypliny i dżungli ludzkiego zdzierzenia, jako społeczeń-

<sup>3)</sup> N.R.F. Paris 1947. — Prix Sainte-Beuve, été 1948.

<sup>4)</sup> Ed. La Jeune Parque, Paris 1947. — Oryginał: Frankfurt 1946.

stwo, gdzie ludzie ginęli od głodu i chłodu, gdzie byli rozstrzelani, wieszani, truci, duszeni, zatłuczeni kijami, katowani, topieni, gdzie ginęli tysiącami od śmiertelnych zastrzyków (*abgespritzt*), i w komorach gazowych, gdzie się toczyły intrygi na śmierć i życie o wpływ i władzę albo o materialne polepszenie bytu, gdzie najcyniczniej oszukiwano się i zwodzono wzajemnie. Świat osobny, w którym tworzyły się w szeregach niewolników nowe klasy i warstwy uprzywilejowanych i pariasów, w którym przekonania i zasady ulegały przemianom, moralne miary wartości pękały pod naporem okoliczności, gdzie się odbywały orgie potępieńców i odprawiały msze katakumbowe, gdzie bywała zachowana wierność, uszanowana miłość i spełniane czyny opętanej nienawiści — świat gdzie jednym słowem cała *tragedia humana* była odtworzona w jakiś potworny, wynaturzony sposób.

«Jako człowiek, chrześcijanin i polityk — pisze Kogon — mam ponadto na swoje usprawiedliwienie rację psychiatry i patologa, którzy podobnie zwykli odstępować z całą bezwzględnością, by je poznać i o ile możliwe uleczyć, w przeszłości zaś uniknąć.»

Ostatni, XXIII rozdział książki, na który autor kładzie szczególny nacisk — «Naród niemiecki i obozy koncentracyjne» — zawiera istotę całej pracy. Mianowicie zagadnienie odpowiedzialności i sprawę moralnego uzdrowienia Niemiec.

Kogon porusza w tym rozdziale błędne drogi przedsięwziętej przez zwycięzców reedukacji, brak kwalifikacji nauczycieli i nowe grzechy alianckich okupantów. Zamiast uświadomić Niemcom rozmiary dokonanego zła, dowieść im winy, poruszyć sumienia — zwycięzcy przyczynili się, wedle Kogana, do zatwardzenia serc pokonanego narodu, który nadal nie poczuwa się ani do skruchy ani do odpowiedzialności za popełnione zbrodnie.

Zdziesiątkowany, upokorzony, wydziedziczony, wiodący w gruzach swoich pięknych dawniej miast, życie jaskiniowców, dlaczego miałby ten naród bardziej żałować wyniszczonych w obozach cudzoziemców — w jego mniemaniu po większej części zbrodniarzy, aferzystów i zbrojców — aniżeli własne ciało i krew, wytępione ogniem bomb fosforowych? W tym jednym ustępie przyjmuje Kogon rolę adwokata i konkluduje: to co mogłoby się stać początkiem uświadomienia, stało się dla narodu niemieckiego kamieniem obrazu.

Jak daleko mogła sięgać nieświadomość społeczeństwa niemieckiego w stosunku do zbrodni reżimu? — zapytuje autor.

Mimo zachowanej tajności wewnętrzznego życia obozów, dziesiątki jeśli nie setki tysięcy ludzi *wiedziało*, co o nich myśleć. Wszyscy znali barbarzyńskie metody wojującego antysemityzmu, bardzo wielu spotykało po drogach i na stacjach tragiczne

pochody mar ludzkich, pędzonych na roboty lub zwożonych na śmierć, tysiące sędziów, urzędników policji, kierowników różnych zakładów przemysłowych, zatrudniających więźniów, nie licząc już całej plejady SS-ów, władz obozowych, stykało się ze społeczeństwem «Kazetowców». — A jednak, naród niemiecki, jako naród — stwierdza Kogon — wogóle nie reagował na te zbrodnie. Chciał wierzyć, że nie tak złego dzieć się nie mogło, bo dzieć się *nie powinno*.

Źródła tej moralnej atrofii, czy też zaślepienia, szuka autor w abstrakcyjnym marzycielstwie Niemców, w ich skłonności do bezkrytycznej wiary, która ich prowadzi na bezdroża bałwochwalstwa; początek zła widzi Kogon w wyłamaniu, za Reformacji, indywidualnego sumienia z obowiązujących go stałych norm. Właściwa duchowi germańskiemu uległość władzy, jako od Boga pochodzącej, stała się przekonaniami, że im silniejsza jest władza, tym jest lepsza i Bogu miłsza. Kogon utrzymuje, że w Niemczech nie było żadnej świadomej warstwy inteligencji, która by wcieliła sumienie narodu, żadnego politycznego wyrobienia i, na ogół, poza wyjątkami, żadnego cywilnego, osobowego bohaterstwa.

W Wejmarze, tyłu znakomitymi geniuszami wstawionych Ate-nach niemieckich, mieście, które w ciągu lat wojennych ciągnęło milionowe zyski z «morderczego młyna» Buchenwaldu, nikt nigdy nie śmiał wyświadczyć więźniom żadnej usługi; szpital miejski odmówił udzielenia pierwszej pomocy ciężko rannym w nalotach alianckich Häftlingom, zatrudnionych w zakładach Gustloff, pielęgniarki nazistowskich drużyn ochotniczych odmawiały *nawet szklanki wody* więźniom, zatrudnionym przy rozkopywaniu gruzów i ratowaniu zaspanych ludzi. Ludność cywilna z zasady nie wspierała nigdy konających z wyczerpania w rowach przydrożnych Kazetowców, pędzonych gromadami po szosach w panice ostatnich już tygodni wojny.

Pamiętajmy jednak, że Kogon przyznaje istnienie wyjątków w tym ogólnym prawie. Były to tysiące na 80 milionów, prawda, ale jednak tysiące. Po zamachu 20. VII. 1944 r., zamachu, który mógłby być uratować środkową Europę od ostatecznej klęski i zniszczenia, a Warszawę od powstania, około 5000 ludzi wszelkich warstw społecznych zginęło na szubienicach, w ich liczbie — twierdzi Kogon — prawdziwi męczennicy dla przyszłości Niemiec.

Z Rousseta *Les jours de notre mort* (str. 320) dowiadujemy się, że w 1943 r. tysiąc wyższych oficerów niemieckich zostało w ciągu 48 godzin zagazowanych w Oświęcimiu. Mundury ich, które wpłynęły do magazynów, były jedynym świadectwem tej egzekucji. W tym samym czasie dostarczono oświęcimskim komorom gazowym cały transport kobiet niemieckich, a następnie transport górników, których narodowości nie zdołano ustalić, ale przypuszczalnie także Niemców.

Czy ci oficerowie zapłacili śmiercią tylko niepowodzenie na froncie wschodnim? Czy te kobiety zginęły jedynie za przestęp-

stwa z dziedziny *Rassenschändung*, a ci górnicy wyłącznie za niewypełnienie normy?

Z prasy krajowej (*Tygodnik Powszechny*, 2 maj 1948) dowiadujemy się, że książka Kogona wychodzi w Niemczech w coraz nowych wydaniach, sięgających 100 tysięcy nakładu. Może to pierwsza zapowiedź moralnego ocknienia niemieckiego społeczeństwa, pierwsze uświadomienie zbrodni popełnionych nie tylko nad wrogami i plemionami rasowo «niższymi», ale nad duszą własnego narodu, a zwłaszcza nad pokoleniem młodzieży?

Widzieliśmy w Polsce zastępy tych chłopców kształconych na «führerów», doskonale fizycznie odchowanych i przepisowo zachwanych (dzieci jeszcze 12-15 letnie), asystujących przy publicznych egzekucjach. Wolno im było kopać konających polskich bojowców lub zakładników, aby dać wyraz swego «zahartowania». Wyjątkowo tylko nieliczni, mniej «odporni», mdleli na widok bezbronne pomordowanych.

Czy kraj ten zdoła wreszcie poznać oblicze swego sędziego?

Spełniając swoje zamierzenie wyjawienia całej prawdy, daje Kogon systematyczny wykład tworzenia obozów koncentracyjnych zaraz po objęciu władzy przez Hitlera, ich rozwoju, rodzaju, liczby, kategorii więźniów, organizacji wewnętrznej, porządku dnia obozowego, opisu prac, kar, odżywienia, dostarczania paczek i korespondencji, użytkowania wolnego czasu, warunków sanitarnych, urządzeń specjalnych (laboratoria, stacje medycyny doświadczalnej, w których eksperymentów, przeważnie śmiertelnych, dokonywano na więźniach). Następnie autor relacjonuje losy poszczególnych grup: Żydów, Polaków, Cyganów, jeńców rosyjskich i innych narodów, systematyczne wyniszczanie gruźlików, inwalidów, starców, kobiet ciężarnych, traktowanie homoseksualistów, badaczy Pisma Św., asocjalnych, czyli opornych reżimowi, sabotażystów i in. (te ostatnie kategorie równomiernie zożydane w obozach i podobnie tępione), wreszcie stosunek do dzieci i młodzieży. Poprzestajemy na tym wliczeniu, by móc coś więcej powiedzieć o losie Polaków i charakterystykach niektórych narodów, omawianych w przytoczonych powyżej książkach.

Od Kogona, jako najstarszego spośród omawianych pisarzy «kaszetowca» dowiadujemy się, że Polacy dostali się za druty Buchenwaldu już w 1939 r., zaraz po wybuchu wojny polsko-niemieckiej (niemieccy poddani) i masowo (4 i ½ tysiąca) po jej zakończeniu w październiku tegoż roku. Większy napływ Polaków nastąpił dopiero po Powstaniu Warszawskim.

Polacy, zwiezieni do obozu po Wrześniu byli to partyzanci, zwani przez Niemców *Heckenschützen*, którzy chcieli bronić kraju, choć nie byli nawet zmobilizowani, walcząc w pojedynkę lub w improwizowanych oddziałach. Zostali oni umieszczeni w tzw. *Kleine Lager* i specjalnym zarządzeniem Himmlera, jako element «niższy», wydani wraz z austriackimi Żydami na pastwę sadyzmu obozowych kacyków. Po masowym wytepieniu

fizycznie słabszego elementu, zawiązała się podziemna, nieubłagana walka pomiędzy Polakami, zawsze licznie reprezentowanymi w obozach, a niemieckimi kryminalistami, walka o władzę, zakończona zwycięstwem Polaków. Przybyli w 1944 roku Francuzi zastali już na różnych «funkcjach», w Stubach, Blokach i Rewirach solidarnie zorganizowanych i «uodpornionych» na wszelkie ludzkie uczucia Polaków, sekundowanych przez część Rosjan i Bałtów, jako tych z którymi Polacy mogli znaleźć wspólny język. Martin-Chauffier wyraża się pogardliwie o tych «ludach wschodnich» jako pozbawionych kultury i jakiegokolwiek inteligencji. Ich zwartość, niedopuszczanie późniejszych przybyszów do swoich szeregów, ani na jakiegokolwiek funkcje, odmawianie im ulg i pomocy przeznaczonych dla «swoich», obciążało «wschodnich», a zwłaszcza Polaków, opinią ponurego szowinizmu i skrajnej ksenofobii.

«Dużo złego o nas tu posłyszycie — powiedział Roussetowi w Oświęcimiu adwokat warszawski — że wspieramy tylko swoich, tępiemy innych... A kogoż mielibyśmy wspierać? Niemcy chcieliby wyniszczyć nasz naród do cna, a Rosjanie? Spytajcie ich. Wszyscy chcieliby nas powywieszać. Komunistami nie jesteśmy, znamy Rosję i mamy ją przez międzę...».

Rousset, jako komunista i deportowany dopiero od 1944 r., z góry do Polaków uprzedzony za ich wyznaniowość, nacjonalizm i słabe uświadomienie klasowe, podkreśla ich skład przyradowy (ofiary łapanek), nielicznych politycznych, mało prawdziwych robotników, najwięcej rzemieślników i zamożnych chłopów (*des petits bourgeois*).

«Wszyscy — pisze — gruntownie konserwatywni, namiętnie antyrosyjscy, nienawidzący Niemców aż do obmyślenia dla nich skomplikowanych tortur, ale giętycy i służalczy wobec władców, póki mieli władzę, szczerze i ochoczo antysemitcy antysemityzmem sięgającym omal pogromów w obrębie samych obozów, nad podziw niekulturalni i szowiniści».

Zaznaczyć należy, że Rousset nie oszczędza również Francuzów, podając bez ogródek krążącą o nich w obozach opinię: tchórze, niechlujni, zboczeńcy (*des Jean-foutre, des sauve-qui-peut*). Mimo tej pogardy dla polskiego konserwatyzmu, szowinizmu i niekulturalności masy polskich kaszetowców Rousset przytacza kilka epizodów, gdzie w odczłowieczonym stadzie ludzkim poznajemy od razu świadomych bojowników, ludzi z moralnym autorytetem, sędziów i wodzów, a są nimi właśnie Polacy.

*Les Jours de notre Mort* zaczynają się od opisu sceny publicznej egzekucji obozowej przez powieszenie, a skazańcami są polscy inteligenci, przyjmujący śmierć z godnością. Odczytany wyrok głosił, że są winni śmierci za zdradę honoru (!) dozwolwszy zbiec swoim towarzyszom... Z więźniów uszeregowanych na placu, odzywa się jeden szepem do drugiego: «Oni również, nie powiedzieli ani słowa...».

Bardzo też znamienna przez swoją powagę, grozę i rzeczowość

jest u Rousseta scena sądu (str. 339) nad zdrajcą-donosicielem Kutrzebą. Sędzią jest Kazimierz Andryczyk, asesorami Staniewski, dyrektor Kasy Oszczędności w Krakowie i Malinowski, profesor Uniwersytetu Lwowskiego. Zapada wyrok śmierci. W ostatnim słowie podsądny tłumaczy się, że donosił, żeby ratować żonę i dzieci, że im groziły tortury... «Straciłem rozum!» «Istotnie musiałeś stracić rozum — przerwał mu zimnym, ironicznym głosem Andryczyk — żeby zdradzać Ojczyznę dla bezpieczeństwa żony i dzieci. Miliony polskich kobiet i dzieci zdycha pod pruskim butem...». Nikt z obecnych nie zabrał głosu w obronie podsądnego, wszyscy się przeżegnali i wyszli oprócz dwóch dozorców, którzy wyrok natychmiast wykonali. Śmierć Kutrzeby upozorowano wypadkiem przy robocie. A działo się to w szopie polskiego Kommanda ciesli w Oświęcimiu.

Podobnie brzmi rozmowa autora z adwokatem warszawskim (str. 214-216). Opinie tego Polaka na tematy polityczne charakterują dodatnio postawę polskiego inteligenta.

Główną przyczyną wzajemnej nienawiści poszczególnych narodów, zepchanych do obozów koncentracyjnych upatruje Martin-Chauffier w niemożności porozumienia się. Tam gdzie udawało się wymienić choć kilka słów, zawiązywały się natychmiast jakieś ludzkie stosunki, w przeciwnym razie pozostawała tylko międzynarodowa mowa szturchańców i plugawych obozowych połajaneł.

Martin-Chauffier, trafiwszy przez protekcję do kuchni SS-ów w obozie Neuengamme (skrobanie kartofli) znalazł tam gromadę młodych chłopców Polaków i Rosjan do gruntu zdziczałych i zepsutych, zastęp potulnych, po psiemu uległych «faworytów» obozowych władców, bezlitosnych brutalni w stosunku do słabszych i starszych towarzyszy. Pisarz francuski został kozłem ofiarnym tych młodych gburów, przedstawicieli «narodów wschodnich» i wspomina jak zmręło to zżecanie się nad nim i małpie figle, wyrządzane mu przez towarzyszy.

Na zachowanie moralnej postawy, najpotężniejszej rękąjmi przetrwania dla Häftlinga, zdobywali się — zdaniem Martin-Chauffier — wyłącznie ludzie w oparciu o logiczny system myślowy, uzbrojeni w wiarę wyznawców, a byli nimi wierzący chrześcijanie i przekonani komuniści.

Autor *L'Homme et la Bête*, który wyniósł tak ponure doświadczenie ze znajomości Polaków «oszustów i nieczemnych tchórz», jak ich określa (*fourbes et lâches*) twierdzi, że Francuzi byliby może w podobnych warunkach tacy sami, ale różnili się zasadniczo od ludów wschodnich głębszym doznaniem spotykającej ich niesprawiedliwości, bolała ich ona na równi z fizyczną poniewierką i wywoływała nieustanne sprzeciwy oburzenia.

Charakteryzując poszczególne narody w piekle obozowych warunków, Martin-Chauffier dowodzi, że właśnie niezwykłość i niesamowitość tych warunków wyłaniała z masy jednorodnego pochodzenia pewne wspólne rysy i właściwości wyrosłe ze

wspólnego, pierwotnego podłoża, z tych samych źródeł kształtujących rdzeń narodu, tak jak głód i wyniszczenie ujawnia budowę czaszki, układ kości. Istotę francuskiego charakteru upatruje Martin-Chauffier w chłopach, przykładowych stróżach narodowego indywidualizmu, zażartych w każdej pracy, nawet na rzecz własnych katów, indywidualizm ten najniższego stopnia — pisze Martin-Chauffier — ograniczał się do plugawego egoizmu, swarliwego i podejrzliwego, oraz do chciwości doprowadzonej do absurdu, do nierealnego wyrachowania tak przy tym upartego, że sięgającego aż poza śmierć domniemyanych wierzycieli.

Uwagi Kogona, dotyczące losu oraz traktowania dzieci i młodzieży w obozach niemieckich, naświetlają zagadnienie dotychczas aktualne, jako że w liczbie tych, co wyszli z obozów, większość stanowili młodzi.

W r. 1939, wedle statystyk Kogona, 85% młodzieży w Buchenwaldzie liczyło od 12 do 18 lat, reszta poniżej 12-tu. W końcowej fazie tego obozu było 877 dzieci, w ich liczbie dziecko 3 i ½ letnie, które miało wpisane w odpowiedniej rubryce swej karty Häftlinga: «partyzant»...

Pierwszą grupę dzieci i młodzieży, zwiezioną do Buchenwaldu w 1939 r. stanowiły dzieci polskie; trzymano je w osobnym baraku i dopełniono niebawem dziećmi ukraińskimi i rosyjskimi.

W krótkim czasie — powiada Kogon — na skutek panującego w obozach «głodu seksualnego», zostały te dzieci ohydnie zdemoralizowane. Wielu więźniów, w ich liczbie także politycznych na funkcjach, uwodziło tych małoletnich, zwanych *Puppenjungen*, lepszym jedzeniem, ubraniem, albo przymuszało gwałtem i strachem do uległości. Z polskich chłopców, którzy trafili do Buchenwaldu w 1939 roku — stwierdza dalej Kogon — wyrosły najbezwstydniejsze, nieokrzese gbury. Ale i w tej regule były wyjątki. Kto je policzy?

Kogon, opisując w innym miejscu areszt obozowy w Buchenwaldzie, miejsce wyszukanych, potwornych kaźni, gdzie w ciągu lat sprawował swoje straszne rzemiosło SS-Hauptscharführer Sommer, wymienia w liczbie zakatowanych przez Sommera ofiar siedmiu polskich młodzieńców (*Jünglinge*), którzy wszyscy skonali po długotrwałych torturach. Pewną ilość zwożonych do obozów dzieci polskich, żydowskich, cygańskich i in. udawało się niektórym więźniom wziąć pojedynczo pod swoją opiekę, skierowywać do lżejszej pracy, a nawet kształcić. Miejszkały one ze swymi adoptowanymi ojcami i stanowiły źródło niejednej radości w poszczególnych blokach. Toteż kiedy jesienią 1944 r. SS-mani wyłowili wszystkie cygańskie i żydowskie dzieci z buchenwaldzkich bloków i załadowali pod karabinami płaczący i wydzierający się do swoich opiekunów drobiazg oświęcimski transport, tzn. «do gazu» — ludzie mimo dużego uodpornienia na wszelkie żale, mimo bliskiej zażyłości ze

śmiercią, przyjęli tę rzeź dziecinną, to zdeptanie ostatniego światła obozu, jako ciężki cios.

Martin-Chauffier, zetknąwszy się w kuchni SS-ów z najgorszymi z młodocianych wykolejeńców, zapytywał się, jaki też będzie los tych chłopców, kiedy w wieku 16 czy 17 lat wrócą do społeczności, o której prawach wogóle nic nie wiedzą? Ale władcy obozowi rozstrzygnęli ten problem po swojemu. W chwili, kiedy «zabawki» miały im być odebrane — rozbili je. Oddziały alianckie, które oswobodziły Neuengamme, znalazły w podziemiach krematorium 60 młodzieńczych zwłok, powieszonych na hakach rzeźniczych.

Różne bywały reakcje obozowych *Uebermenschów*: ludzi, którzy się urywali ze sznura lub innym nadzwyczajnym trafem unikali pewnej śmierci, ludzi, co wykazywali niezwykłą wytrzymałość przy torturach, wyjątkową żywotność czy też nie-spotykany hart ducha SS-si ułaskawiali, albo nawet czasami zwalniali z obozu — zdarzało się i to; ale Rousset podaje, że pewnego razu w Oświęcimiu przy wynoszeniu trupów z komory gazowej znaleziono żywą 5-cio czy 6-cio letnią dziewczynkę. Wypadek niesłychany. Ujęta w spłot martwych ciał żyła jakąś resztą powietrza, zachowanego w odzieniu trupów. SS-mani stropili się, zachowali małą do wieczora, ale ponieważ dawała oznaki pomieszczenia, zastrzelono ją z rewolweru.

Jak wiadomo, bezkarność SS-ów, zwłaszcza w stosunku do życia *Häftlingów*, nie miała właściwie granic, trupy zaś wykorzystywano wszechstronnie, przemysłowo. Tłuszcz, włosy, kości, skóra, zwłaszcza tatuowana, były w cenie i stanowiły źródła pokaznych dochodów dla SS-ów. Jedno co prawda było konsekwentnie tępione — to ludożerstwo. Kiedy pewnego dnia któryś z więźniów znalazł w zupie szczękę ludzką i poskarżył się, zaś śledztwo wykazało, że mięso trupów szło do kotła a wołowe na czarny rynek — dwóch kapo, Niemców, powieszono, podobnie dwóch Ukraińców, złapanych na tymże procederze powieszono z odpowiednim napisem: «Jedliśmy naszych towarzyszy». W ostatnich tygodniach istnienia obozów i straszego nasilenia głodu, tego rodzaju wypadki zdarzały się częściej, kostnica w obozie Wöbbelin musiała być strzeżona. W innym obozie z chwilą wyzwolenia wszyscy kapo i *Vorarbeiterzy* zostali pomordowani, Rosjanie zjedli udo kapo Gärtnera, ohydny brutalą z Dory (*Monde Conc.*, str. 178-179). W tym wypadku była to uczta-manifestacja.

Jedną jeszcze «osobliwość», dotyczącą Polaków, podaje Kogan. Między niektórymi z tysięcy polskich robotników, zsyłanych przymusowo na roboty do Reichu, a kobietami niemieckimi zawiązywały się oczywiście — tu i ówdzie — stosunki. Mężczyzn, winnych tego «rasowego pohańbienia», karano zazwyczaj śmiercią przez powieszenie, kobiety odsyłano do obozu koncentracyjnego. Na katów zaś przeznaczano również Pola-

ków, wybierając ich spośród najmłodszych więźniów obozu w Buchenwald. Chłopcy ci, dźwigając dwuramienną szubienicę, na której mogło wisieć z każdej strony po trzech ludzi, obchodzili wsie i miasteczka Turynii; ludność nazywała ich *die Polenhenker*.

Ostatnie rozdziały *SS-Staatu*, o charakterze wnioskowym, poświęcone są psychologii SS-ów i psychologii więźniów-kazetowców.

W pierwszym wyjaśnia autor powstanie czarnej gwardii Hitlera, jej rekrutację, organizację, ideowe wyszkolenie i fizyczną zaprawę, przyrównując te zastępy do podobnych organizacji fanatyków na przestrzeni historii, w tej liczbie do batalionów armii Dżyngishana.

Czego żądał od swojej gwardii Hitler? Ślepej wiary w swoje postannictwo, niezłomnej woli w realizowaniu swoich zamierzeń i niezachwianej postawy «narodowej».

Na tym podłożu, oraz na całkowicie niekontrolowanej władzy nad podległym mu człowiekiem rozwinęto się utajone w ludzkiej duszy, kulturą i religią hamowane bestialstwo, pierwotny żywioł posiadania i mordy.

Zastanawiające jest porównanie typu Niemca-hitlerowca, tak jak go znaliśmy, jak go malują więźniowie obozowi, jak go wyjawiają zeznania samych oskarżonych — z książką Jacques Rivière'a *L'Allemand*,<sup>5)</sup> książką do niedawna klasyczną w swojej ocenie psychiki niemieckiej. Z tego porównania wynika, na ile hitlerowski *Riesenhammer* zbrutalizował charakter przeciętnego Niemca, na ile wyzwolił go z kompleksu niższości, uprawnił w nim samowolę nagiej siły, dyscyplinę podbił ślepy fanatyzmem, a zwłaszcza jaką pustkę po sobie zostawił.

«Niemcy w pierwszych tygodniach po klęsce — pisze Rousset — były jednym rozległym cmentarzem. Smród rozkładu zawisł nad krajem, wszyscy ludzie byli martwi, nawet ci, co chodzili po ulicach. Żadnej reakcji. Terror złamał moralnie i fizycznie stare partie polityczne, ale potem wszyscy się zlekli i przestali mówić, a wreszcie przestali myśleć».

W rozdziale, poświęconym psychologii więźnia obozowego, porusza autor z kolei zagadnienie szczególnie ważne i zjawisko powszechne, a mianowicie niepojętą bierność ofiar masowych egzekucji, bierność, w której ilość skazańców nie tylko nie zachęcała do buntu, ale przeciwnie, wywoływała rodzaj hipnozy.

W jednym z żydowskich obozów okręgu Lubelskiego — podaje Kogan — w obawie przed ujawnieniem przez *Häftlingów* jakiejś rozległej malwersacji, SS-mani uradzili zagładę całego obozu, 40-tu tysięcy ludzi. I tak się stało. Żydzi nie stawili za-

<sup>5)</sup> N.R.F., Paris 1918. Rivière spędził cztery lata (1914-1918) w niewoli niemieckiej.



dnego oporu. Podobni ofiarom jakiegoś pogańskiego obrządku, kładli się po kolei na stos świeżo pomordowanych towarzyszy i ginęli bez skargi.

Wyjątki były bardzo rzadkie i przeważnie indywidualne. Jednym z nielicznych, zbiorowych, zorganizowanych odruchów obrony i chyba jedynym tej miary bohaterstwem ludności cywilnej w obliczu nieuniknionej śmierci, było powstanie ghetta warszawskiego, o którym Kogon wspomina w r. XV (*der Heldenkampf der Juden in Warschau*).

Jak określa kiedyś historycy wiek XX-ty? Czy nazwą go wiekiem wielkich wojen, czy wiekiem upadku kultury europejskiej? Wiekiem nowego niewolnictwa czy nowych wędrówek ludów? A może wiekiem tyranów?

Wiemy jedno, że kapitulacja Niemiec i wyzwolenie garści niedobitków hitlerowskich zbrodni nic nie zmieniły. Świat i ludzkość trwają nadal w grzechu śmiertelnym, niewyzwolone ani żalem doskonałym, ani zadośćuczynieniem na miarę dokonanej zbrodni.

«Symbol Krzyża spróchniał» — pisał Heine. «Bóg umarł!» — głosił Nietzsche. Nie, Bóg nie umarł, ale umiera dzień w dzień z winy każdego z nas.

Maria CZAPSKA.

## Książki angielskie

Wydany trzy lata temu pierwszy tom wielkiej autobiografii Osberta Sitwella *Left Hand, Right Hand!* był wydarzeniem literackim i zapowiadał, że autobiografia ta będzie wybitną pozycją współczesnej literatury angielskiej. Tom drugi, *The Scarlet Tree*, zapowiedzi tych nie zawiódł. Tom trzeci, *Great Morning* (Macmillan), nie tylko że raz jeszcze zapowiedzi te potwierdza, ale też każe nam uznać, iż w autobiografii tej literatura angielska otrzyma dzieło jeszcze tętsze, niż by się tego można było po pierwszych dwóch tomach spodziewać.

Książka daleka jest zresztą do końca. *Great Morning* obejmuje wszystkiego wydarzenia trzech lat, 1911—1914. Kiedy otwieramy książkę, autor ma wszystkiego lat osiemnaście; żegnamy się z nim akurat w momencie wybuchu wojny światowej, kiedy nie ma on jeszcze lat 22. Scenaria książki to baraki oficerów kawalerii w Aldershot, londyński Tower, dokąd Sitwell został przeniesiony jako oficer gwardii, siedziba rodzinną Sitwellów, Renishaw, świeżo zakupiony przez ojca autora zamek w Montegufoni w północnych Włoszech, londyńskie salony artystyczno-arystokratyczne i londyńskie teatry. Materiału przygód, wydarzeń jest w tym tomie — podobnie jak i w poprzednich — niewiele: służba wojskowa, podróż do Włoch, życie towarzyskie, polowania w Renishaw, kłótnie z ojcem, olśnienie baletem rosyjskim — oto ramy treści tej książki. Ramy te potrafił jednak Sitwell wypełnić bardzo bogatym mięszem życia. Ma on imponującą pamięć szczegółów, wzrok bardzo wyostrożony w wychwytywaniu rysów charakterystycznych, zwłaszcza dziwactw, umie ewokować atmosferę. Rytm, jego prozy płynie powoli, zdanie — pełne jest określników, wtrąceń, nawiasów i zaawiasów, kompozycja — na pozór najluźniejsza, z dygresjami i nawrotami, ale wszystko to razem świetnie służy celowi ewokowania przeszłości, wspaniale oddaje atmosferę przejrzanego uroku tej jesieni XIX wieku, jaką były lata bezpośrednio poprzedzające wybuch pierwszej wojny światowej.

W ciągu tych trzech lat Sitwell czuł się nieszczęśliwym tylko w czasie krótkiego pobytu w Aldershot: źle jeździł konno, otoczenie było chamskie i tępe, nie umiał się nagiąć do drillu wojskowego. Sceny z życia koszarowego mają w sobie trochę szarzy karykaturalnej, ale widziane stałe poprzez gęstą mgłę, panującą w Aldershot, przesiąknięte zapachem potu końskiego — jako ekspresja literacka są doskonałe. W Londynie było już inaczej: młody, elegancki oficer gwardii arystokratycznego pochodzenia i o żywych zainteresowaniach artystycznych wchodzi w ciekawe towarzystwa, doznaje pierwszych olśnień artystycznych (przede wszystkim baletem Diagilewa), podróżuje, zawiera przyjaźni, troszkę się kocha i troszkę choruje. Na horyzoncie jest co prawda chimeryczny i skąpy ojciec, z którym trzeba się o każdego szylinga użerać, ale poza tym ma się dwadzieścia lat,

jest się młodym, zdrowym, pełnym radości życia, które otwiera przed człowiekiem coraz to nowsze i coraz to wspanialsze uroki. Toteż książka ta dyszy radością, szczęściem. Jej poszczególne sceny, czy to będzie opis występu popularnego teatru Grassa na Sycylii, czy włóczęga ze strzelbą «białego strzelca» w okolicach Renishaw, czy «festa» w Montegufoni, czy przyjęcie u Lady Brougham lub u Mrs. Keppel — wszystkie te sceny mają różny koloryt, różną zawartość anegdotyczną, ale wszystkie one nasycone są tą samą atmosferą: szczęścia i — melancholii, że szczęście to należy do bezpowrotnej już przeszłości.

Bezpowrotnej nie tylko dlatego, że autor ma już dzisiaj lat nie dwadzieścia, ale z górą pięćdziesiąt. Bezpowrotnej przede wszystkim dlatego, że dla Sitwella ostatnie lata przed pierwszą wojną światową, to były równocześnie ostatnie lata złotego wieku kultury europejskiej. Na horyzoncie pojawiały się już co prawda złowrogie znaki nadchodzącej katastrofy, ale świat ich nie dostrzegał, bawił się, tańczył, pasjonował Diagilewem, zachwycał Strawińskim i Debussym.

Świat? Ale jaki świat? — Sitwell w tym miejscu przymruża ironicznie oko i udaje bardzo naiwnego. Dając już pod koniec książki «syntetyczną» charakterystykę życia towarzyskiego arystokratycznego Londynu tych lat, pisze: «Jako goście jedynie biedota wszelkiej rasy miała dostęp zamknięty. Ale nawet dla cudzoziemców wstęp był otwarty, jeśli tylko byli bogaci». Zdanie to jest dobrym przykładem ironii Sitwella. W tym wypadku jest tu i trochę autoironii. Albowiem młodość Osberta Sitwella przeszła pod znakiem zupełnej atrofii jakichkolwiek zainteresowań społecznych. W książce są co prawda z sentymentem odmalowani przedstawiciele «ludu», ale jest to lud trochę feudalnego świata — oficjaliści, służba dworska (światny zwłaszcza typ starego leśniczego, Mark Kirby). Słowo «świat» ma w tej książce bardzo specyficzne znaczenie. Jest to, co tu dużo gadać, trochę świat p. Podfilipskiego.

Jeśli jednak Sitwell jest dalekim kuzynem p. Podfilipskiego, to trzeba od razu powiedzieć, — żeby mu nie robić krzywdy, — że jest to kuzyn obdarzony wyjątkową wrażliwością estetyczną i wielkim talentem literackim. Talent ten zaś nigdzie nie świeci tak wspaniałych triumfów, jak w satyrycznych charakterystykach ludzi. Jest ich dużo: jest całe stado («the bevy») sykofanckich dam, otaczających ojca autora, Sir George'a Sitwell'a, a zwłaszcza wspaniała Miss Fingelstone, jest — jakże żywa i soczysta — Rosjanka, Madame Amboise, jest włoski aferyzysta i nabieracz Barone Pavolino, i jest polska para «hrabiów» Taratoffskich, przyjaciół domu we Włoszech, bywalców w Renishaw, aż do momentu, kiedy się okaże, że hrabia jest międzynarodowym szulerem, a hrabina — duńską prostytutką. Nade wszystko jest portret nad portrety sam ojciec autora, Sir George Sitwell, arcydziwak i arcyoryginał. Jeśli *Great Morning* przerasta poprzednie tomy autobiografii Sitwella, to właśnie ze względu na ten portret — kreację w wielkim stylu.

W książce Sitwella jest dużo charakterystyk różnych znajomych, które, zwłaszcza jeśli idzie o panie, są trochę konwencjonalno-komplementarskie: wszystkie panie są pełne wdzięku, uroku, zalet towarzyskich, dowcipu. Natomiast, rzecz ciekawa, przy opisywaniu najbliższej rodziny nie liczył się z żadnymi konwenansami. A ściślej mówiąc, nie liczył się tylko przy charakterystyce swego ojca. Na temat swojej matki jest zadziwiająco mało mówny. O rodzeństwie, — starszej siostrze Edith, wielkiej poetce, i młodszym bracie, Sacheverellu, również pisarzu, — pisze również niewiele, choć z wyraźnym ciepłem; zwłaszcza wyjątkowo sympatycznie rysuje się tu Edith Sitwell. Natomiast na ojca swego patrzył bezlitosnym, nie liczącym się z żadnymi względami okiem artysty-charakterologa. Ale też ojciec ten okazał się wspaniałym modelem dla portretu. Chimeryk, uparty a równocześnie zmienny i nieobliczalny, wyrzucający tysiące — przedwojennych — funtów na fantastyczne pomysły architektoniczne, a równocześnie wyklócający się z synem o każdego wydanego szylinga, nabierany na każdym kroku, a równocześnie niezłomnie przekonany o swojej wyjątkowej praktyczności, kupujący, bo mu taka fantazja przyszła do głowy, zamek we Włoszech, w którym nawet nie zamieszka, a równocześnie korespondujący z fryzjerem syna w Londynie, żeby sprawdzić, ile też syn ten na gołonie wydaje, pełen maksymalnych moralnych bardzo szczerze wygłaszanych i bardzo systematycznie łamanych, fantasta i tyran domowy — jest jednym z najkomiczniejszych w wielkim stylu dziwaków, jakich zna tak bogata w oryginałów literatura angielska. Chwilami wydaje się nam, że jest tylko wielkim bzikiem. Chwilami odkrywamy w tym — skąd inąd porządnym i «dobrym» człowieku — rysy sadyzmu. Swemu starszemu synowi z «moralnego» przekonania, że w młodych latach trzeba przejść przez przykrości, starał się życie, jak mógł, utrudnić. Ponieważ odkrył, że syn czuje niechęć do służby wojskowej, posłał go do kawalerii, do Aldershot. Potem, kiedy syn ten już po przeniesieniu do gwardii życie w wojsku polubił, postanowił go z wojska wyczołfać i oddać na kancelistę do magistratu w Scarborough, uznał bowiem, że syn powinien wyćwiczyć się w życiu praktycznym i że najdrożej będzie, jeśli życie to zacznie «od samego dołu». Syn jednak nie tylko że nie czuł dla tego trybu życia żadnego powołania, ale też i nie miał jedynej wymaganej kwalifikacji ładnego i czytelnego charakteru pisma. Ojciec jego nie był jednak człowiekiem, który by się łatwo dał zrazić trudnościami: kazał synowi wyczołfać się z wojska i w lecie 1914 r. ściągnął go do Renishaw, gdzie blisko dwudziestodwuletniemu dryblasowi kazał się ćwiczyć w kaligrafii po kilka godzin dziennie pod kierunkiem specjalnie ściągniętego do Renishaw nauczyciela.

Starsza siostra, Edith, mimo że kobieta, potrafiła z tyranią ojcowską zerwać, i uciekła z domu. Ale Osbert Sitwell tak jak w życiu społecznym, i w życiu rodzinnym istniejący porządek rzeczy uważał za jedynie możliwe. I mimo że biuralistyk ma-

gistrackiej nienawidził równie serdecznie co musztry kawalerskiej, poddawał się woli ojca i posłusznie dzień po dniu starał się układać rękę do kaligraficznego pisma.

Z tej absurdalnej i upokarzającej sytuacji wyzwoliła go dopiero wojna.

Inaczej niż książka Sitwella, autobiografia Beatrice Webb *Our Partnership* (Longmans, Green & Co) jest cenna i ważna przede wszystkim ze względów pozaliterackich. Nie znaczy to, aby książka ta pozbawiona była wartości literackich. Daleko jej co prawda do wspaniałej bujności stylistycznej wspomnień Sitwella, ale zmysł humoru Beatrice Webb, jej zdolność bystrej, ironicznej charakterystyki ludzi, a nade wszystko jej naturalność, bezpośredniość, brak afektacji — wszystko to razem sprawia, że w tych partiach, które nie mają zbyt technicznego charakteru, książkę czyta się bardzo lekko i żywo. Mimo to wszystko główna wartość książki tkwi gdzie indziej — w tym że tak dobrze pozwala czytelnikowi obcemu zorientować się w intelektualnym i moralnym klimacie Labour Party. Jeśli komu bowiem przysługuje tytuł ojcostwa duchowego dzisiejszej Partii Pracy, to właśnie małżonkom Sidney'owi i Beatrice Webb. Oni to byli głównymi ideologami partii. Oni to wpłynęli na ukształtowanie się nie tylko jej programu partii, ale i — co nie mniej ważne — pewnej atmosfery. Beatrice Webb umarła w r. 1943, nie dożywszy już powojennego zwycięstwa Labour Party. Sidney Webb zmarł jako Lord Passfield już w wojnie. Oboje labourystowska Wielka Brytania uhonorowała najszczytniej jak mogła: grobami na brytyjskim Wawelu, w Opactwie Westminsterkim.

Już z górą dwadzieścia lat temu Beatrice Webb w książce *Moje terminatorstwo* (*My Apprenticeship*) opisała dzieje swojej młodości. Książka opowiada o dziejach panny z bogatej burżuazyjnej rodziny, błyszczącej urodą i inteligencją, cieszącej się wielkim powodzeniem w towarzystwie — o rękę jej starał się Joseph Chamberlain — uczeniocy i przyjacielki Herberta Spencera, która znalazła swą drogę do socjalizmu, pracy społecznej i małżeństwa z Sidney Webbem, z zawodu urzędnikiem Colonial Office, z zainteresowań — socjologiem i ekonomistą, z temperamentu — reformatorem społecznym, pochodzącym z drobno-mieszczańskiej, sklepikarskiej rodziny. Obecnie wydana książka składa się, tak jak i poprzednia, z fragmentów dziariusza, pisanego z dnia na dzień, przeplatanych późniejszym komentarzem. Książka opowiada o pierwszych dwudziestu latach małżeństwa Webków, 1892—1911. Tom ten miał mieć ciąg dalszy, którego jednak Beatrice Webb nie zdążyła już opracować.

Łata, którym książka jest poświęcona, to w życiu Webków okres szczególnie pracowity i owocny. Byli na tyle zamożni, że mogli, nie kłopotąc się o utrzymanie, cały swój czas poświęcić na pracę naukową i działalność polityczno-społeczną. Urządzili się «skromnie»: w dziesięciopokojowym mieszkaniu, z dwój-

giem wszystkiego służby. Do pracy naukowej mieli sekretarza, czasem parę sekretarzy.

Praca ta miała charakter naukowy, ale jak najściślej łączyła się z ich działalnością społeczno-reformatorską. Więcej, była pewnym etapem tej działalności. Webbowie nie mieli zainteresowania dla szerokiej teorii, uogólnień, wytyczania ostatecznych celów. Obcym im był Marx. Reformy społeczne — dowodzili — należy przeprowadzać stopniowo, w ramach istniejącego ustroju, pierwszym zaś warunkiem skuteczności tych reformu musi być doskonała znajomość funkcjonowania organów tego ustroju i potrzeb społeczeństwa. Z potrzeby spełnienia tego postulatu narodziły się prace nad angielskimi związkami zawodowymi i nad organami samorządu lokalnego, prace bardzo szeroko zakrojone, podbudowane historycznie (w swoich studiach nad samorządem sięgali oni wstecz aż do końca XVII w.). Materiały do tych prac gromadziło się przez lata w podróży po kraju, w systematycznym studiowaniu niezliczonych raportów, sprawozdań, broszur, prasy lokalnej, w wywiadach z ludźmi. W rezultacie tych badań powstawały pękate tomy, pełne wykresów, statystyk, w których było bardzo dużo systematycznie uporządkowanego i naukowo przetrawionego materiału, a teorii tylko tyle, aby właśnie materiał ten uszeregować, przetrwać i — wyciągnąć z niego praktyczne wnioski. Jeśli niektórzy obserwatorzy postronni, jak np. Koestler, nie mogą nadziwić się, że ta rewolucja w angielskim ustroju społeczno-gospodarczym, jaka dokonywała się na naszych oczach, odbywa się bez żadnych fanfar, rozmachu, głośnych haseł, to trzeba powiedzieć, że w tej przyziemnej rzeczowości jest właśnie dużo z ducha Webków.

Książki swe pisali Webbowie razem: razem zbierali materiał, razem go przedyskutowywali, razem redagowali rozdział za rozdziałem. Ale książki te nie wyczerpywały ich działalności. On bardzo aktywnie pracował w londyńskim samorządzie miejskim, London County Council, wyrabiając się na autorytet przede wszystkim w sprawach szkolnictwa. Jego głównie zasługą było ujednostajnienie bardzo przedtem pogmatwanego systemu szkolnictwa londyńskiego. I jego też zasługą jest stworzenie londyńskiej szkoły nauk politycznych i ekonomicznych, sławnej London School of Economics and Political Sciences. Szkoła ta w naszym wieku stała się pepiniarą elity politycznej labourzystów, tak jak w XIX w. pepinierami takimi dla liberałów i konserwatystów były Oxford i Cambridge.

Pani Webb odegrała decydującą rolę w pracach nad reformą opieki społecznej nad ubogami w Royal Commission on the Poor Law. To Poor Law — Prawo o Ubogich, powstało jeszcze w r. 1832 i miało przede wszystkim jeden cel na oku: dopilnowanie, aby zbyt skuteczna opieka społeczna nie utrudniła przemysłowi dopływu taniej siły roboczej. Obalenie tego prawa to główna zasługa energicznej akcji Beatrice Webb, popartej, jak zawsze u nich, gruntowną ankietą. Praca w tej komisji rzuciła

Webbów na burzliwe fale agitacji politycznej i doprowadziła do opublikowania sprawozdania mniejszości komisji, które odegrało bardzo istotną rolę w ukształtowaniu się programu społecznego Labour Party. Ale poza tym rola Beatrice Webb była jeszcze inna. Oto drogą kultywowania stosunków wśród ludzi wpływowych — do czego predestynowały ją wdzięk, inteligencja, wyrobienie towarzyskie — starała się urabiać ich w duchu idei głoszonych przez Webbów reform społecznych.

Oto tutaj natrafiamy na zjawisko bardzo swoiste, a szczególnie zaskakujące kontynentalnego czytelnika. Webbowie uważają się za socjalistów, są czołowymi figurami Fabian Society, wyłęgarni labourzystowskiej ideologii, ale zupełnie obcy im jest jakikolwiek duch wyłączności partyjnej. Ważną rzeczą jest, aby reformy zostały przeprowadzone, to zaś, kto je przeprowadzi, jest już rzeczą nieistotną. O ówczesnych działaczach robotniczych, przywódcach związków zawodowych nie byli zbyt wysokiego zdania. Z Keirem Hardie byli w złych stosunkach, nie cieszył się też ich sympatią Ramsay Macdonald. Natomiast ludzi światłych, energicznych, o głowach otwartych dla nowych idei widzą zarówno wśród dyssydentów liberalnych typu lorda Haldane'a, Asquitha, Grey'a, jak i wśród imperiaistów Josepha Chamberlaina. Z wielkim uznaniem piszą o Balfourze czy Lordzie Milnerze. Prawdziwą antypatię żywią tylko dla liberałów starego typu, gladstone'owskiego, ludzi, których programem jest ograniczanie do minimum ingerencji państwa i pozostawianie rzeczy swojemu biegowi. Dopiero pod koniec objętego książką okresu, gdzieś około 1910 r., stosunki Webbów z konserwatystami i liberałami rozluźniają się; włączają się oni wtedy w regularny prąd Labour Party.

Stąd niewątpliwy idealizm i absolutna bezinteresowność (unikali stanowisk, godności, tytułów) idzie u nich ręka w rękę z bardzo trzeźwym realizmem, jeśli idzie o technikę wprowadzania w życie reform społecznych, wpływania na ludzi wpływowych. Biskup Londynu, znakomity historyk Mandell Creighton, jest wpływową osobistością. Trzeba żyć dobrze i z biskupem (o co tym łatwiej, że biskup jest człowiekiem pełnym uroku i nie byle jaką indywidualnością). Pojawia się na horyzoncie nowy wybitny działacz polityczny. Młody człowiek jest niełatwy do zgryzienia. Jest niestety reakcyjny, zarozumiały, jest egotystą, mówi głównie o sobie, ale jest pełen werwy, rozmachu, bucha od niego indywidualnością, czaruje magnetyzmem osobistym. Jakże nie zaprosić na obiad Winstona Churchilla?

Tak więc działalność reformatorsko-społeczna Webbów rozpada się na dwa etapy. Najpierw trzeba problem jak najgruntowniej, jak najsystematyczniej zbadać naukowo, a potem trzeba «pociągać za sznurki», obracać się w towarzystwie dygnitarzy, ministrów, przywódców parlamentarnych. W ten sposób pracując dla dobra bliźnich, Webbowie dawali swobodny upust swej pasji badawczej. I również dla dobra bliźnich spotykali się przy dobrze zastawionym stole z możnymi tego świata, bardzo czę-

sto ludźmi o nie byle jakich indywidualnościach, pełnymi uroku, kultury. Trudno w bardziej przyjemny sposób poświęcać się dla społeczeństwa.

I co najciekawsze, system ten działał. Czytając książkę, obserwujemy, jak Webbowie stają się z czasem potęgą, figurami, działającymi przeważnie zza sceny (Sidney Webb zostanie ministrem później, w gabinetach labourzystowskich po wojnie), ale sprawnie i energicznie. Książka — i to jeden z jej najbardziej fascynujących rysów — daje nie tylko pierwszorzędnny materiał do charakterystyki życia społecznego i politycznego Anglii przelotu XIX i XX w., ale także pokazuje mechanizm rządzenia Anglią, unaozniania, gdzie i w jakich sprawach trzeba było «pociągać za sznurki».

Brak jakiegokolwiek partykularyzmu partyjnego w stosunkach z ludźmi obserwujemy w Webbów nie tylko na polu politycznym. London School of Economics miała być kuźnią tych idei społeczno-gospodarczych, które wypracowywali Fabianie. Ale na pierwszego dyrektora Szkoły Webbowie wzięli oxfordzkiego ekonomistę Williama Hewinsa, katolika, który jak G. K. Chesterton, ideał sprawiedliwego ustroju społecznego widział w średniowieczu. Łączyła ich tylko wrogość wobec klasycznej, manchesterskiej szkoły ekonomii. I znowo okazało się, że Webbowie mają doskonałego nosa do ludzi. Hewens okazał się świetnym dyrektorem Szkoły, jego stosunki z Webbami były jak najlepsze.

Przyczyny dobrej orientacji Beatrice Webb w ludziach można upatrywać i w tym, że w zupełnie niezwykły sposób umiała w swoich ocenach ludzi eliminować czynniki emocjonalne. Bardzo ciekawa jest pod tym względem jej charakterystyka męża. Bardzo gorąco go kochała, wysoko ceniła jego intelekt, bezinteresowność. Oboje umieli w sposób wyjątkowo zgrany współpracować ze sobą, żyli tymi samymi ideałami, źle się czuli, kiedy nie byli razem. A przy tym wszystkim jak niesamowicie trzeźwo umiała pani Webb patrzeć na swego męża. Mniejsza o to, że we wstępnym rozdziale, który przynosi jego charakterystykę, uprzedza czytelnika, aby nie dał się złudzić fotografiom, które dzięki fałszywym perspektywom zacierają nieskładność jego budowy, brak proporcji. Dużo charakterystyczniejszy jest inny ustęp, opisujący stosunki trzech szwagrów, Sidney'a Webba, Leonarda Courtney, ekonomisty i liberalnego członka Izby Gmin, oraz Alfreda Crippsa (ojca Sir Stafforda Crippsa), bardzo bogatego adwokata i konserwatywnego podówczas członka Izby Gmin: «Alfred uważa Sidney'a za zdrajcę klasy inteligenckiej i posiadającej; Sidney Alfreda — za «utrzymywanego» obrońcę *status quo*; Leonard Alfreda — za trochę egoistycznego, bezmyślnego i powierzchownego konserwatystę; Sidney'a zaś — za płytkiego, zadowolonego z siebie i niedokształconego demokrate; podczas gdy obaj, i Sidney i Alfred mają tę samą opinię o Leonardzie — człowiek prawy, ale z ćwiekami w głowie, wyznawca przestarzałych poglądów ekonomicznych, obciążony

brakiem sympatii i bystrości orientacji. *Do pewnego stopnia wszystkie te opinie są równie słuszne* (podkreślenie moje—WW), ale jako ostateczne podsumowanie indywidualności są one równie fałszywe».

Beatrice Webb jest przeniknięta kultem nauki i wiarą w niemal nieograniczone jej możliwości. Ale jest przy tym bardzo religijna i religia zajmuje na łamach jej dziennika sporo miejsca. Przy czym nie są to wierzenia religijne idące samopas, nie ujęte w ryzy dogmatów. Entuzjastka planu, organizacji w życiu moralnym, taki czynnik organizacyjny widzi w kościele anglikańskim. «Wolę obecny kościół z jego błędami od pustego materializmu» — pisze w swym diariuszu. Zwierza się ze swoich zainteresowań dla katolicyzmu jako «umysłowej higieny i dyscypliny uczuć». Czyta książki teologiczne, i to dla odświeżenia się». Czytuje też żywoty świętych.

Jak to się stało, że ludzie o takiej formacji umysłowej jak Webbowie mogli już później, w r. 1935, napisać tak osobliwą książkę, jak dwa tomy *Soviet Communism. A New Civilization*, dzieła bardzo uczonego, pełnego statystyk, wykresów, zestawień, opartego o bogatą i gruntownie wyzyskaną literaturę przedmiotu i będącego — co przyznają i ich wielbiciele — w swej apoteozie Związku Sowieckiego zupełną bzdurą? Pamiętnik Beatrice Webb kończy się na roku 1912, nie może więc przynieść bezpośredniej odpowiedzi na to pytanie. Pośrednio jednak pozwala on znaleźć pewne elementy takiej odpowiedzi.

U siebie Webbowie walczyli w imię planowej gospodarki i kontroli państwa przeciwko liberałom. Sprawiedliwość społeczną, gospodarkę planową cenili wyżej niż wolność. Nie dlatego, aby jej ideałom byli wrodzy. Ale uważali ją za coś już osiągniętego, za coś samo przez się jako punkt wyjścia zrozumiałego i niewystarczającego. Wszystko to razem musiało doprowadzić do pewnego przestawienia proporcji.

Ale to jeszcze nie była przyczyna najważniejsza. *Our Partnership* odsłania nam przyczynę inną, dużo istotniejszą. Okazuje się z książki, że ludzie tak światli i o tak żywych zainteresowaniach jak Webbowie pod jednym względem byli bardzo ciasni. Oto właściwie nie interesowali się tym, co się dzieje poza granicami Imperium Brytyjskiego. Gdzieś na dalekim świecie jest sprawa Dreyfusa. Beatrice Webb zapewnia nas, że sprawą tą się przejmuje. Ale przejęcia tego wystarcza w diariuszu akurat tylko na jedno krótkie zdanko. Jest tam gdzieś wojna rosyjsko-japońska. Wojna ta, owszem, również jest interesująca, bo w niej «Japonia dowodzi absolutnej przewagi naukowych metod w międzynarodowej walce o egzystencję». Ale wszystko to jest bez porównania mniej ważne, mniej absorbujące, mniej ciekawe od wojny burskiej. W r. 1906 przez dziewięć dni bawi u Webbowów francuska inspektorka pracy. Strona jej poświęcona jest arcyzabawna w swym mimowolnym komiźmie, tak jaskrawo przebija z niej nieufność do cudzoziemki, poczucie obcości. Cóż więc dziwnego, że jeśli para ludzi o tak absolutnie insularnej

mentalności, nie mających najmniejszego wyczucia obcej psychiki, zabrała się pod siedemdziesiątkę do studiowania tak egzotycznego tematu jak Rosja, rezultatem musiała być zupełna katastrofa, jedna wielka komedia pomyłek. Dodajmy jeszcze, że pierwsza wojna światowa zachwiała wiarą Webbowów w możliwości stopniowych zmian struktury społecznej i kazała im dużo pozytywniej ustosunkować się do marksizmu.

Na razie jednak do wojny światowej i do rewolucji bolszewickiej jeszcze w książce daleko. Jej walki i konflikty mają za tło świat ustabilizowany, który nie stracił wiary w siebie i w możliwości ciągłego doskonalenia się. Świat w którym można się czuć szczęśliwym. Toteż przez książkę coraz to przewijają się takie określenia jak «szczęśliwy i pomyślny rok», «ten rok był zarówno szczęśliwy, jak i owocny». Chwilami, kiedy Beatrice Webb robi w diariuszu bilans swego życia, ogarnia ją poczucie szczęścia tak silne, że graniczące z ekstazą. I to jest wspólny rys tak różnych skądinąd autobiografii: jej i Osberta Sitwella. Obie są autobiografiami ludzi szczęśliwych.

Jeden z elementów tego szczęścia jest jasny jak na dłoni: i tu i tam mamy do czynienia z człowiekiem bez trosk materialnych. Ale to, oczywista, nie wszystko. Istotnym jest, że i tu i tam warunki życia pozwoliły jednostce zdrowej, bujnej, bogatej wyżywać się w pełni. Osbert Sitwell wyżywał się, spijając te wszystkie rozkosze życia, jakie z przywileju urodzenia, majątku, inteligencji były mu dostępne w ustroju, w którym czuł się jak ryba w wodzie. Beatrice Webb wyżywała się, walcząc o przebudowę tego ustroju i wygrywając w walce wszystkie swe przywileje inteligencji, majątku, urodzenia. W gruncie rzeczy, oboje byli ze swoim światem doskonale zgraní. I co najciekawsze, mimo że oboje są tak różnymi indywidualnościami, to był jeden, i ten sam świat.

Wiktor WEINTRAUB.

## Księga beznadziei

Nastuchując czujnie wszelkich głosów krajowych z dziedziny kultury, a w szczególności czytelnictwa dowiedziałem się, że w niemarksistowskich kołach cieszy się wielką poczytnością powieść psychologiczna Jerzego Zawieyskiego pt.: *Droga do Domu* (Wydawnictwo E. Kuthana — Warszawa). Ucieszyłem się więc, kiedy odnalazłem tę książkę w jednej z ostatnich paczek, przysłanych z Kraju «dla podtrzymania kontaktu duchowego». Z Zawieyskim zetknąłem się w dramatycznych warunkach na jednym z tajnych wieczorów literackich w maju 1943 r., zaprowadzony przez przedwojennych przyjaciół do jednego z dystygowanych salonów warszawskich przy ulicy Szpitalnej. Stefan Otwinowski czytał właśnie z przejęciem wyjątki swojej aktualnej, wojennej powieści. Nagle wyrwała nas z zadumy bliska wrzawa strzałów ulicznych i okrzyków pogoni. To było najprawdziwsze warszawskie *réalité de choses* onych czasów. Pod oknami rozgrywała się jedna z coraz częstszych potyczek A. K. z Gestapo. Zmierzchało. Otwinowski przybladł na chwilę ale nie stracił wątku i podjął czytanie. — Czekaliśmy, kiedy wpadną do nas. Właśnie obstawiali bramy. Moja sąsiadka wskazała mi niskiego, łysiejącego pana, który zastygł nieruchomo pod oknem.

— To jeden z wybitniejszych pisarzy dzisiejszej Warszawy. — Jerzy Zawieyski, odznaczający się wybitnym katolickim pesymizmem — powiedziała. — Niedawno odbył się jego wieczór autorski.

*Droga do Domu* napisana została w wojennej Warszawie w 1942 r., ale mimo iż akcja jej toczy się w dużej mierze na tle wypadków wojennych, czyni wrażenie, jakby pisana była gdzieś na dalekim marginesie wartkiego nurtu ówczesnego życia — i po prawdzie na marginesie każdego wogóle życia. Autor zamknął się w swoim świecie psychologicznych dociekań. Taki eskapizm byłby zupełnie wytłumaczalny i wybaczalny, gdyby był przynajmniej konsekwentny. Niestety właśnie nieudolne wplątanie wątku wojennego świadczy o innym zamiarze Zawieyskiego. Trudno, przy najlepszej nawet woli, wykrzesać z siebie szczerze zainteresowanie dla miłosnych tarapatów beznadziejnego, wiecznie mędrkującego Pawła (głównego bohatera powieści). Zawieyski zna dobrze rzemiosło pisarskie, jest całkowicie poprawny w logicznie skonstruowanej kompozycji. Styl jego odznacza się dużą potocznością i płynnością. Razi jednak nadużywaniem zaimków osobistych, względnych, dzierżawczych i wskazujących. Istna ich inflacja miast wypuklać myśl autora, gmatwa ją beznadziejnie. Gdyby tak skreślić dwie trzecie owych zaimków, być może zyskałaby i fabuła i tempo akcji.

Oto typowa próbka owego nużącego nadmiaru zaimków:

«Dziś mogę to ocenić jako obronę przed światem Krzysztofa, który podświadomie ciągnął *mnie* ku *sobie* i porywał do wnikania w podobne, choć inne zjawiska, jak na przykład wówczas w okresie studiów z Adamem. Zdaje się, że *ta moja* wrogość wobec przeżyć Krzysztofa, była odwrotną formą *tej samej* miłości, która go tak głęboko wciągnęła w *swój* krąg bez wyjścia. Ze *temu* nie uległem do dziś — nie jest *to* zapewne kwestią obojętności, lub niechęci, lecz raczej jest *to* dowodem braku odwagi we *mnie*, braku również *tej* siły, umożliwiającej *taką* postać życia, *jaką* mógłby realizować Krzysztof, gdyby nie *jego* wewnętrzne sprzeczność».

Z prawdziwym trudem przekopałem się przez 320 stron tej wyjątkowo nudnej i pretensjonalnej książki, zadając sobie niejednokrotnie brutalne, sztubackie pytanie: «Kogo? — Kogo to obchodzi?» —, że jakiś zagubiony życiowo lekarz-Paweł uważał za rzecz konieczną napisanie swych zagmatwanych i przesyconych metafizyką pamiętników.

Nad powieścią ciąży nieznośna atmosfera sztucznej niesamowitości. Tych samych, lub podobnych środków chwytą się współczesny film amerykański, trzymając widza przy tragicznym ubóstwie tematycznym w ciągłym napięciu i wyczekiwaniu na to, że wreszcie wydarzy się coś naprawdę wielkiego i z sensem. Kino posługuje się w tym celu specjalnymi efektami dźwiękowymi, oddziaływującymi na system nerwowy obserwatora. Zawieyski podobny skutek osiąga antycypując dalszy rozwój wypadków, obiecując cierpliwemu czytelnikowi w przyszłości bogatsze przeżycia. Zapowiada, mami, intryguje:

«Adam, oprócz tego, że przeciał sprawę obalając powody, skłaniające mnie do wyjazdu — był równocześnie tak przestraszony, że nie upierałem się i zostałem dla niego, gdyż wiedziałem, a raczej przeczuwałem, że jestem mu naprawdę potrzebny. Wmawiałem w siebie, że, gdy będzie nam obu źle z powodu Marii — zawsze będziemy mogli znaleźć wyjście, aby nie dopuścić do nadmiernego rozrostu konfliktu. Nie przeczuwałem jednak, że im bliższe łączyły nas więzy z Adamem tym większe i bardziej niepokonane będą te trudności, których wtedy jeszcze nie mogłem przewidzieć. Stało się to dlatego później, ale wtedy już nie można było się cofnąć, gdyż żadna pomoc wynikająca z naszej przyjaźni nie przydałaby się na nic. Zdaje mi się, że to od tamtej chwili (Zawieyski przywiązuje jakąś zabobonna wagę do różnych «takich chwil»), gdy Adam tak zatrzymywał mnie usilnie w Tarczynie — zaczęło się to najgorsze, czemu już nie mogłem się przeciwstawić, mimo, że bardzo tego pragnąłem».

Połowa książki poświęcona jest komentarzom do wstępu i przyszłej akcji. Owa irytująca maniera nieustannego psychologizowania może podnieca przesnobizowane i przerafinowane salonowe intelektualistki, zdrowego jednak czytelnika doprowadza do białej gorączki. Na Zachodzie nawet zasadnicze rozprawy naukowe pisze się dziś jak najprostszym, naturalnym językiem. W tym sileniu się na sztuczność i tajemniczość Zawieyskiego przebija jakiś zabawny, pretensjonalny prowincjonalizm, krzewiący się niestety w całym niemal krajowym piśmien-

nictwie. W C. K. Austrii nazywano zabawnie podobną metodę w zastosowaniu do biurokratycznych form urzędowania: — *Wozu einfach machen wenn es sich auch kompliziert machen lass*. Zawieyski wprost lubuje się w różnych zawijasach i ła- mańcach:

«Z czasem straciłem już wiarę, czy cokolwiek zapada i utrwała się w świadomości Marii i raczej byłem skłonny twierdzić, że Maria, jakimś jej tylko wiadomym sposobem ociera się o rzeczywistość jedynie drobną cząstką, najmniejszą powierzchnią (?), poprzez którą nic dalej i głębiej nie przenika. Była zawsze obca, choć pozornie oddana całkowicie, — była niedotknięta i zupełnie wolna w swojej prawdzie, w tej ponurej żałobie po zaginionym René, któremu zgodnie ze swoim mniemaniem pozostała wierna, mimo, że był w jej życiu Adam i byłem ja.»

Bodajże po raz pierwszy w życiu musiałem przyznać rację «majorowi» Borejszy, który po niewczasie obrugał przed kilku miesiącami pisarzy krajowych za pisanie sztucznym i trudnym do zrozumienia językiem, za izolowanie się w nieznośnie rozmędrkowanej pozie od szerokich mas czytelnich. Szkoda, że tolerował, jako dyktator krajowego świata pisarskiego, trzyletnie panoszenie się napuszzonej, pseudo-erudycyjnej manieri literackiej, szczególnie modnej w marksistowskiej prasie społeczno-literackiej. Wielka szkoda, że nie reżymowi, a niezależni pisarze katoliccy, jak właśnie Zawieyski, również uprawiają przedziwną intelektualistyczną zabawę w ciuciubabkę. Boć przecie na pewno prościej można by wytłumaczyć pewne związki między ludźmi niż pisać np.:

«Nie wiem dlaczego, myślałem wówczas, o Andrzeju raczej niż o Tomaszu, tak jakby Tomasz był drogą do Andrzeja, którego przecież zupełnie nie znałem. Ale Andrzej w życiu Teresy był znakiem takim samym, jakim w moim życiu był ojciec — i dlatego pewno, zastanawiając się nad stosunkiem Teresy do nieżyjącego Tomasza, pragnąc ten stosunek zrozumieć, myślałem wówczas o Andrzeju.

Dopiero, gdy wyszedłem od Teresy, przybliżyła mi się postać Tomasza i pamiętam to dobrze, że zasłyszane fakty o jego śmierci, w jakiś niepojęty sposób, ułatwiły mi zrozumienie jego życia i nawet życia Ireny».

Takie i podobne dysertacje stanowią ośnowę a raczej gęstą zasłonę względnie ciekawego wątku powieści. Po co jednak rozbudował autor do przesady rodowód Pawła i jego neurasteniczne medytacje na temat dziedziczności. Psuje to bardzo, przemyślną skądinąd, kompozycję książki. Dopiero w epilogu leży klucz całej powieści i wytłumaczenie symbolicznego jej tytułu. Paweł poszukujący bez ustanku celu swego życia i życia swych bliskich, znajduje go w końcu, ale nie w nieszczęśliwym uczuciu do interesującej Teresy — młodego archeologa. Nie umie też pójść śladem judymowego doktora Bardynia (najlepiej nakreślonej sylwetki powieści). Swój cel życia, swoją «drogę do domu» — do ojcowskich Bogudzięk odnajduje dopiero w rozpaczonym ludzkim geście buntu przeciw bestialstwu niemiec-

kiego obozu koncentracyjnego. Znalazł się w nim po śmierci Teresy, z którą oboje zostali uwięzieni za działalność konspiracyjną w Warszawie. Wówczas to po raz pierwszy odezwało się w Pawle powołanie lekarskie. Znalazło skondensowany wyraz w próbie oddania ostatniej przystęgi skatowanemu człowiekowi. Strzały rewolwerowe wachtmanów kończą życie Pawła — w momencie kiedy odnalazł właśnie swoje przeznaczenie. Do tychczas nosiła go na fali życia jakaś pozbawiona poczucia odpowiedzialności gra nastrojów, emocji. Fotografiją owego permanentnego niepokoju, nazwanego poetycznie «szukaniem własnej drogi» jest właściwie cały, nużąco egocentryczny i niemiecki pamiętnik Pawła. Podkreśla w nim stałe przesadne przecięcie wymaginowaną dziwnością swego, dreptającego w miejscu, życia. Czytelnik zaś posługiwać się musi bez mała logarytmicznymi tablicami dla rozszyfrowania nienaturalnych splotów psychologicznego konfliktu. W swoim credo wyjaśnia Paweł częściowo ową analityczną rozwlekłość:

«— To, że mi nie wystarcza umowny schemat tych ludzi, którzy żyją w mojej pamięci, że pragnę ich zobaczyć w ich prawdzie, przez nich samych nieuświadomionej — jest potrzebą tylko moja a zupełnie zbędna dla nich samych, gdyż z wyjątkiem Krzysztofa i Teresy — oni sami nigdy nie przeżywali w zbyt ostrej formie swego istnienia. Wydaje mi się jednak, myśleć o nich, że w tym daremnym trudzie odnajdywania ich niejako w ich własnym domu, — odnajduję także siebie, gdyż pomimo świadomości bezsensownego uporu — mam przeświadczenie, że ci, którzy mi byli bliscy i których kochałem, zatrzymali w sobie coś z mego własnego życia także, coś, co zarówno dla nich jak i dla mnie jest ukrytym znakiem i tajemnym porozumieniem, prowadzącym skutecznie do znalezienia prawdy o nich i o mnie samym — jest drogą do domu.»

Nie pomogą nic «realistyczne», heroiczne wstawki. Przeciwnie, brzmią wręcz fałszywie:

«Bohdan po wylądowaniu na spadochronie dołączył do naszego oddziału i teraz dziwnym trafem szedł obok mnie, szedł i torował mistrzowskimi rzutami granatów — naszą drogę... Gdy w pewnej chwili zobaczyłem za czołgami oddział nieprzyjacielskiej piechoty — jakiś głos jakby nie mój, zdobył się na tyle siły, że przemógł warkot czołgów i wybuchy bomb i złączył się zaraz ze zbiorowym okrzykiem radości całego oddziału na widok walki lawnej — pierś o pierś. W tym dzikim, szaleńczym pędzie zatrzymaliśmy się dopiero po drugiej stronie żelaznego pierścienia, na ziemi jeszcze wolnej, na przedpolach płonącej Warszawy.»

Podobne opisy batalistyczne w stylu «jak to sobie mały Dyzio wojnę wyobrażał» utwierdziły mnie w przekonaniu, że Zawieyski tworzył w zupełnej izolacji od rzeczywistości tak bliskiej, że ręką jedynie wystarczyło sięgnąć — jak wówczas o zmierzchu w trakcie wspomnianej autorskiej wieczornicy, kiedy parę metrów od nas wrzała najprawdziwsza w świecie, niewymaginowana walka.

I czy naprawdę trzeba było Pawłowi aż zginąć z ręki jakiegoś niemieckiego małpoluda, by odnaleźć «drogę do domu», czy

trzeba aż beznadziejnej, bezproduktywnej śmierci by wytropić «swoją prawdę», właściwy sens życia, czy lekarz Paweł nie powinien był raczej przeżyć i choćby w dzisiejszej, niewolnej Polsce szlakiem dr Bardynia odnaleźć cel istnienia i drogę odkupienia przeraźliwie jałowej przeszłości.

Kiedy zastanawiałem się nad przyczyną powodzenia książki Zawieyskiego w kraju, nie umiałem wytłumaczyć sobie inaczej tego faktu, jak naturalnym prawem reakcji społeczeństwa na zalew rynku księgarskiego marksistowską lekturą o monotonej tematyce walki klas. W drodze kontrastu ludziska poczciwie chłoną «spirytualistyczną» lekturę — jaka by nie była —, doszukując się w niej innego, bardziej polskiego, ducha, podłoża ideologicznego. Ale czy sam fakt metafizyki i amarksizmu powieści Zawieyskiego starczy może za istotną wartość dzieła?

Jerzy LERSKI.

## «Wrzesień żagwiący»

*Habent sua fata libelli!*... Książka Wańkowicza o wrześniu ukazała się kilkuletnim opóźnieniem. Gdyby wydano ją — tak, jak jej autor zamierzał — na przełomie r. 1939/1940, mogłaby się stać i byłaby na pewno silnym, potężnym nawet powiewem ożywczym. Był to przecież okres powszechnego prawie wśród nas pokłeskowego oszołomienia i załamania się moralnego. Katastrofa spadła na nas zbyt szybko, a przy tym rozmiarami swymi wyszła daleko poza granice normalnej wytrzymałości psychicznej. Ludzie, jak w obłądnie, tłoczyli się dokoła powstającego z gruzów klęski pytania — dlaczego? Zawsze i wszędzie — ci, co wzięli na siebie brzemień kierownictwa, ponosić muszą ciężar odpowiedzialności. W poprzedniej wojnie światowej, po pierwszym zwycięstwie nad Marną, marszałek Joffre na pytanie: kto wygrał tę bitwę? — odpowiedział: «Nie wiem, czy to ja ją wygrałem, wiem jednak, że gdyby skończyła się klęską, ja zostałbym uznany za winnego przegranej». U nas wszakże stawiano pod pręgierzem nie tylko kierowników. Z podszeptów bolesnego rozczarowania, straszliwego zawodu i rozpaczki, z zabiegów niesumiennej konkurencji politycznej i demagogii partyjnej, z wysiłków wreszcie wrogiej nam propagandy wyrastały stosy fantastycznych domysłów i wymysłów, nieprawdopodobnych fałszów, oszczerstw i potwarzy. I z jakąż to niesłychaną łatwością podawano i przyjmowano to wszystko za prawdę! Już nie tylko nasza walka wrześniowa, ale całe nasze przedwojenne życie nabierało kształtów śmiesznej, nędznej, poczwarkowatej groteski, gdzie społeczeństwo — ślepe i głupie, jak stado baranów, szło bezrozumnie ku swej zgubie za czołowym zespołem tromtadrackich «silnych, zwartych, gotowych» Don Kichotów, cyrkowych błaznów, zgnuśniałych niedołęgów, zamaskowanych szkodników, jurgieltników i pospolitych zdrajców. Robiono przy tym wszystko, co zrobić było można, by zgodnego wrzasku prokuratorów nie zamącił głos jakiegś «dywersji». O ile się orientuję w ówczesnych stosunkach i warunkach — a mam wrażenie, że orientuję się w nich nieźle — w długim okresie od października 1939 do końca maja 1940, przez gęstą sieć ograniczeń i przeszkód technicznych, przedarły się tylko trzy artykuły Ignacego Matuszewskiego i list otwarty jednego z naszych dyplomatów. Nie dopuszczono też do wydania książki Wańkowicza dlatego, że nie przyjąwszy metod wypaczania, oszpecania i oczerniania, ukazywała Wrzesień stroną bohaterską. Druk książki, złożonej już po polsku, przetłumaczonej na języki francuski i angielski, wydawca musiał przerwać na «rozkaz z góry».

Wydana dziś — książka o Wrześniu ma przed sobą pole już

\*) Melchior Wańkowicz: *Wrzesień żagwiący*. «Gryf» 7 Londyn, 1947. Obwoluta: *St. Gliwa*. Druk, we Włoszech. Stron 530.



oczyszczone. Drzwi, które miałyby wyważać, są dziś jeśli nie na oścież, to w każdym razie szeroko już otwarte. Łańcuch «niezbitych dowodów», ukuty w powrzesniowym oszołomieniu, pękł i rozsypał się już pod naciskiem czworoletniej katastrofy francuskiej — przemówiła ona stokroć głośniejszą, jaskrawiej i dobitniej, pozwałała i kazała nawet stwierdzać, że we Wrześniu broniliśmy się dzielniej, walczyliśmy dłużej, niż bronili się i walczyli znacznie bogatszy i silniejszy od nas zachód, kryjący się za nowocześniejszą linią Maginota i pasem potężnych fortyfikacji belgijskich. Późniejsze wydarzenia — na Bałkanach i w Rosji, w okresie odwrotu wśród objawów popłochu aż do Moskwy i Stalingradu — mogły i musiały utrwalać to przekonanie. Ten coraz głębszy odcień dumy, czy raczej poczucia własnej godności i wartości — zamiast dotychczasowej hańby i wstydu — znajdował dla siebie wyraz w ogłaszanych coraz liczniej wspomnieniach uczestników wrzesniowej walki. Przypomnę tu choćby tylko bogaty w wyniku konkurs londyńskich *Wiadomości Polskich* z r. 1941 z wspomnieniami najlepszych według mnie L. Łągnińskiego i T. Sieczkowskiego na czele. Z końcem r. 1940 odbywał się zaczęły fachowcy. W Budapeszcie ukazała się praca płk. W. Lipińskiego, oparta na materiałach od marszałka Rydza, wkrótce potem wyszła w Londynie książka gen. M. Norwid-Neugebauera; we Francji — już po klęsce, ale jeszcze w jej «zone libre» ogłosił swe obszerne studium płk. J. Jaklicz, będący we wrześniu zastępcą szefa Sztabu Głównego. Mnożyły się też opisy fragmentów kampanii — czy to w artykułach, ogłaszanych w londyńskiej *Bellonie*, czy w odrębnych drukach, jak A. Eplera o działaniach grupy gen. Kleberga, lub gen. Prugar-Ketlinga o walkach dywizji karpackiej i lwowskim zwycięstwie Sosnkowskiego. Torowało to coraz szerszą drogę ku prawdzie o Wrześniu, choć tu i tam odzywały się jeszcze i grały stare echa. Powtarzały się też raz po raz próby ponownego zaśmiania tego przedpola historii. W Edynburgu np. w r. 1941 ukazały się *Uwagi o kampanii wrzesniowej* Stan. Doma, pod którym to pseudonimem — sądząc ze stylu, napastliwej demagogii, ujawnionej tępoty i ignorancji — ukrywać się może chyba tylko osławiony gen. Izidor Modelski. Znacznie wyżej od tych śmiesznych i nieudolnych *Uwag* stojąca, nie mniej jednak napastliwa i ślepa w uprzedzeniach i zacierzeniu broszura o «planowaniu wojny przez Rydza» i o jego dowodzeniu w kampanii, napisana i ogłoszona bezimiennie w kraju w *Nowych Widnokregach* (dziś wiadomo, że autorem jej był rozstrzelany przez Niemców w Warszawie płk. A. Horak) została skwapliwie, a również bezimiennie przedrukowana w Londynie — pod wymownym tytułem: *Kraj pamięta, mówi, oskarża*. Ale takie — dywersyjne już raczej próby — nie mogły narzucić starego kierunku. Dziś literatura, poświęcona Wrześniowi, liczy już kilkadziesiąt poważnych pozycji. Dochodzi do tego olbrzymie bogactwo faktów z procesów w Norymberdze i gdzie indziej, z ujawnionych — tajnych dotąd — dokumentów, z licznych pamiętników głów-

nych aktorów ostatniego dramatu światowego. Wiemy już, co w naszym wrześniu było sławą i zasługą, co koniecznością, a co zaniedbaniem i błędem. Gdzie i jakież to działanie ludzkie wolne jest od błędów? Wiemy zresztą, że gdzie indziej zaniedbania i błędy były znacznie większe, wiemy też, że nigdzie z większą jaskrawością nie występowała prawda o walce nierównej, z góry, skazanej na klęskę, — walce, w której zarówno bohaterstwo czynu, jak i słuszność założeń załamywać się i ginąć musiała pod stalowym ciężarem miazdzącej przewagi. Nawet gdyby nie było popełnionych błędów — katastrofa spadłaby tak samo, może o parę dni później, pochłaniając za to więcej ofiar. *Nec Hercules!*... Toteż sądzę, że ze ściśle militarnego punktu widzenia jedyną naprawę ciężki i poważny zarzut można nam zrobić z ogromu naszej determinacji, odwagi i poświęcenia — walczyć i raczej zginąć z honorem, niż się poddać niestawnie!... Kardynalne zasady sztuki wojennej każą bronić tam, gdzie nie ma już widoków na zwycięstwo. Bijąc się wbrew tym zasadom — byliśmy złymi żołnierzami. Tak, — ale z równą słusznością można by przekonywać kogoś, kto ma oczy piwne, że z niebieskimi byłoby mu bardziej do twarzy.

Tak więc w ciągu tych ośmiu lat nie tylko otrząsnęliśmy się z poczucia wstydu i hańby. Dziś wiemy o Wrześniu dużo, tak dużo, że aż wszystko prawie. Toteż książka Wańkowicza i tu również pada na przeorany głęboko grunt. Nie chcę powiedzieć przez to, że nie przynosi nam żadnych wartości. Bynajmniej. Wartości te tkwią w niej na niejednej stronie. Mówić o nich będę niżej. Tu muszę stwierdzić, że spóźniona nie może wzbogacić naszej wiedzy o Wrześniu, a raczej — co będzie stwierdzeniem ściślejszym — wzbogaca tę wiedzę w stopniu bardzo nieznacznym.

Ma Wańkowicz ustaloną, bardzo mocną pozycję w naszym piśmiennictwie uchodzącym. Każda jego książka witana jest przez zgodny chór pochwał i uznania, często entuzjazmu, nieraz nawet podziwu. Zabierając głos — nie zamierzam pozycji tej podważać. Przeciwnie, — sam musiałbym powtórzyć nie jedno z tego, co się dookoła słyszy i czyta o jego «zdumiewającym oddechu narracyjnym», «mistrzostwie reportażu», «bogactwie tonów i sile ich brzmienia», o niezwyklej plastyce jego obrazów, o szerokiej skali jego polszczyzny. Powiem nawet więcej. Gdybym miał określić, które książki z przeczytanych w czasie wojny zrobiły na mnie największe wrażenie, — nie zawahałbym się wymienić wśród kilku innych, niewielkiej objętościowo *Rodzinę Korzeniowskich*, która dotarła do mnie jeszcze pod okupacją niemiecką we Francji — i nie w książkowym wydaniu, lecz w odpisie maszynowym. W tym niemałym chyba swoim uznaniu nie posuwam się wszakże tak daleko, by nie dostrzegać niedociągnięć, pęknięć, braków. Parokrotnie — czytając Wańkowicza — odnosiłem wrażenie, że pisarz dba więcej o ilość, niż o jakość. Wrażenie to wywołuje i *Wrzesień żagwiący*. Książka — jak sam autor stwierdza w przedmowie — w głó-

wnym trzonie napisana została jeszcze w końcowych miesiącach r. 1939, bezpośrednio po klęsce, i z «wysiłkiem największego pośpiechu, bez źródeł» — z jedyną ambicją, by jak najprędzej panoszącym się wówczas fałszem i bredniom o wrześniu przeciwstawić prawdziwą czy bliską prawdę relację o naszej walce. Potem, w późniejszym okresie — jak sądzić można z treści, doszły do tego dodatkowo fragmenty, pisane już w wyraźnie mniejszym pośpiechu. Dziś autor, wydając książkę, nie zadał sobie trudu, by te różnice jeśli już nie zniwelować, to przynajmniej złagodzić. W zbieraniu materiałów też nie wyszedł poza ramy szczęśliwego przypadku. Co było pod ręką — brał, ale po dalsze sięgnąć nie chciał. W rezultacie — nie mówiąc już o rażącej w pewnych fragmentach ostrej jednostronności sądów — nie dał pełnego obrazu Września, lecz tylko kilka i to przeważnie marginesowych jego wycinków. Nie wkroczył w głąb Wrześniowego lasu, lecz przeszedł tylko jakby jego lizjerą. Braki w obrazie są wielkie, wykaz ich tu byłby listą zbyt długą. Ograniczając się do najważniejszych — wspomnę, że o wrześniowej obronie Warszawy nie ma w książce nic. Nie ma też Modlina, ani Helu. Nie ma największej w kampanii bitwy pod Kutnem. Z nieugiętego wysiłku gen. Kleeberga, który z Polesia, przedzierając się do Warszawy, dochodzi do Kocka i tam 5 października stacza ostatnią w kampanii bitwę z udziałem wielkich jednostek, — mamy w książce nikt i nie właściwie nie mówiące strzępki. Obszerny, 50-stronicowy rozdział o lotniczej «walce o polskie niebo» wymaga wielu uzupełnień. Udział naszej marynarki wojennej w walce wrześniowej odbił się w książce tylko w kilku wzmiankach, zbyt zwartych i rozsypanych przy tym na przestrzeni kilkunastu stron. Książka na 500 z górą stronach opisuje dywersję niemiecką w Polsce przed wojną, pierwsze trzy dni wojny w Gdańsku, obronę Westerplatte, zwycięstwo lwowskie Sosnkowskiego, walki grupy kawalerii gen. Andersa od wybuchu wojny do ostatnich dni września; część środkową wypełniają opisy pierwszych walk nad Solą, dzieje kompanii saperów na tle odwrotu naszego spod Krakowa na Baranów i Zamość oraz historia dwóch cłopców, w wędrówkach swoich bijących się na różnych frontach — nad Wisłą, pod Kamionką i u gen. Kleeberga; książkę zamyka rozdział o hubalczykach, najobszerniejszy, najlepiej napisany, ale też budzący najwięcej zastrzeżeń. Tyle jest w tej książce z Września. Na powieść historyczną czy pamiętnik osobisty materiału tego byłoby za dużo, w reportażu pod tytułem, ogarniającym całość, wystarcza tylko na pierwszy, wstępny tom.

Przez cały prawie ciąg swej opowieści utrzymuje Wańkowicz czytelnika na najniższych szczeblach, w pierwszym szeregu walczących, wśród tych — jak sam określa — «drobinek żołnierskich», z których emanuje odwaga, upór, poczucie obowiązku i poświęcenia. Rzadko, w wyjątkowych tylko wypadkach, ukazuje wyższych dowódców w ich pracy dowodzenia — Sosnkowskiego, Andersa, paru innych generałów. O pracy

Sztabu, o Naczelnym Dowództwie nie ma nic prócz drobnych, luźnych, przypadkowych wzmianek, nie mówiących nic i tonących bez śladu w morzu szczegółów. Wańkowiczowy obraz Września — to walka bez rozkazów, bez łączności, z pustką na skrzydłach lub w pierścieniu, zamkniętym przez nieprzyjaciela, w ciągłym odwoicie, z poczuciem rozpaczliwej bezsilności wobec przewagi i przemocy lub w desperacko-brawurowych próbach wydarcia się z matni. Tak w pewnym sensie było, ale było to przecież tylko częścią wrześniowej rzeczywistości. Byłoby oczywiście co najmniej grubym nieporozumieniem, gdyby ktoś chciał w książce Wańkowicza szukać elementów, jakie dać może i musi fachowe opracowanie wojskowo-historyczne. Autor nie mógł mieć i nie miał takich zamierzeń i ambicji. Nikt nie będzie robił mu zarzutu, że nie podaje *ordres de bataille*, że nie przedstawia zgrupowania sił, nie mówi nic o idei przewodniej w prowadzeniu kampanii, ani o planach operacyjnych czy kolejnych zmianach koncepcji. Nikt tego wymagać od niego nie może. Ale za to tym bardziej rażą tu i tam wymykające się spod pióra zbyt jednostronne i apodyktyczne sądy o ludziach i sprawach z tej dziedziny. O marsz. Rydzu mówi bardzo mało, ale jeśli ukazuje go — to po to, by mu przypiąć szpetną łatę. Jeśli przytacza rozkazy naczelnego wodza, to przeważnie w przypadkowych, dowolnych strzępkach i po to, by wykazać, że były nierozsądne i niecelowe, spóźnione i nierealne. Nie chcę podejmować tu dyskusji, ani stawać w obronie tragicznej postaci Rydza, — sądzę jednak, że takie metody szkodzić mogą raczej tylko pisarzowi. Nie myślę też, by p. Wańkowicz jakimiś rzeczowymi dowodami poprzec mógł swe bardzo przykre i ciężkie uwagi o zachowaniu się gen. Dąb-Biernackiego, czy też postawiony gen. Rómmlowi zarzut karygodnego przetrzymywania niewygodnych rozkazów. Z drugiej strony — w stosunku do paru innych osób autor idzie, mam wrażenie, za daleko w wyrażaniu swoich sentymentów i sympatii — czuje się w tym jakby mdły zapach kadzidła.

Przechodząc od tych minusów do niewątpliwych plusów, zwrócę uwagę przede wszystkim na opis bohaterskiej obrony Westerplatte. Wobec nieogarnionych braków archiwalnych, z jakimi po tej wojnie walczyć będzie musiał każdy polski historyk, opis ten, oparty na relacji dowódcy Westerplatte, nieżyjącego już mjr. H. Sucharskiego, zachowa trwale wagę cennego, kto wie — może jedynego i niezastąpionego dokumentu. Bezsprzeczną wartością książki jest również bijąca z niej mocnymi falami duchowa atmosfera Września. Niezlomna wola walki, nieustępliwy w niej upór, zaciętość zapamiętała, wspaniałe męstwo, nieporównane poczucie obowiązku, gorejąca płomieniem gotowość do ofiary. Pełno tu poruczników Lewandowiczów, gotowych zginąć wraz z bronionym mostem, ułanów, rzucających się drobną garstką na rozwinięte bataliony, artylerzystów — z otwartej pozycji osłaniających odwrót polskich oddziałów, żołnierzy — wynoszących spod ognia porzucony sprzęt, cłopacz-

ków — wędrujących uparcie od jednego rozbitego oddziału do drugiego, by walczyć dalej. Piłsudski w swoich studiach nad r. 1863 do głównych dla siebie źródeł zaliczał relacje uczestników i świadków zdarzeń, dawały mu one bowiem najwięcej tego, co nazywał «stylem epoki» — «niepowtarzalnym klimatem» — dawały «klucz do duszy okresu», klucz, bez którego późniejszy historyk nie zdoła nigdy odczuć, zrozumieć i słusznie ocenić tego, co było. Książka Wańkowicza oparta jest prawie w całości na relacjach, i trzeba stwierdzić, że dotąd nikt lepiej od niego nie pokazał barw i odcieni w «stylu» Września.

*Wrzesień żagwiący* jest też w pewnym sensie książką... arcy-polską. Mickiewicz kiedyś — w swoim *Pielgrzymie* — stwierdzał, że przeszłość nie zmartwychwstaje nigdy, że w historii narodów nic się nie powtarza, nic nie dzieje się «po dawnemu, starymi środkami». Istotnie — zmieniające się w ciągłej ewolucji tło i warunki sprawiają, że nawet z jednego pnia, z tego samego pędu, ale w różnych okresach wyrastające wydarzenia za każdym razem kształtują się inaczej. Ale obok tej prawdy są inne. Prawda o niezmiennych cechach narodowego charakteru, o ideach, ogarniających nie jedno, lecz kilka pokoleń, o żyjących wiekami problemach geopolitycznych. Stąd w różnych sytuacjach historycznych i w związanych z nimi stanach psychicznych dźwięczą — nieraz aż do tożsamości prawie posunięte — akcenty podobieństw. W wańkowiczowym obrazie Września, zgodnym w klimacie z wrześniową rzeczywistością, grają bez przerwy znajome echa — słyszymy tutaj odległe grzmoty ordonowskiej reduty, wracamy jakby na szlak księcia Józefa z «końca epepei» — od Berezyny do Lipska, stąpamy po śladach ostatnich powstańców księdza Brzózki. Myślę, że nie razibyły w tej książce — jako ilustracje — łańskie szarże Koszaka, niejeden karton z cyklów Grottgera, ruszczykowy pochód «uchodźców wojennych». W długim łańcuchu obrazów, w wielkim tłumie postaci, przedstawionych przez Wańkowicza, jakież często, co krok niemal, przypominamy sobie, że przecież o tych ludziach i o tych samych sprawach mówili nam już kiedyś Sienkiewicz i Żeromski, Tetmajer i Strug, Małaczewski w wojennych opowiadaniach, Wielopolska w *Kryjakach*, Kossak-Szczu-cka w *Pożądze*.

Arcypolski też jest w tej książce i stosunek do problemu szafowania krwią. W formie, jaka budzić musi bardzo ostre sprzeciwy i zastrzeżenia, ujawnia się to w końcowym fragmencie — w opowieści o hubalczykach. Są to dzieje oddziału partyzackiego, który — w polskich mundurach — w częstych potyczkach z Niemcami w lasach od Śpały do św. Krzyża, przetrwał do późnej wiosny r. 1940. Dowódca oddziału, major Hubal-Dobrzański tworzy i narzuca «ideologię» — «jedna jest tylko przysięga, nikt nas od niej nie zwolnił» — «nikt nie może każeć zrzucić munduru». Garną się do Hubalowego oddziału nie tylko ludzie, którzy są wcieleniem — jak określa autor — «fantazji polskiej, polskiej niepokorności i polskiej rozpaczki». Jest

wśród nich Brzozowski, sprawca potwornego, przez Niemców dokonanego, mordu w Aninie, jest Głowacz — przedwojenny dezertor z pułku szwoleżerów i z Legii cudzoziemskiej, bigamista, który po śmierci Hubala wejdzie na drogę zwykłego bandytyzmu, jest Jura, który jeszcze za życia Hubala dezertuje od niego i formuje własną bandę, grabiącą, co prawda, tylko Niemców. O samym Hubalu powiedziałoby się zaledwie połowę prawdy, gdyby nazwać go tylko watażką. Wprawdzie szarpie się w nim głęboka rozpacz patriotyczna, działa obudzony w nie-szczęściu «drapieżny instykt z pralut, nakazujący bronić, walczyć, mścić i umierać», — ale przecież «polska fantazja» wyaturza się w nim aż do krańcowego, bo zbrodniczego warcholstwa. To jeszcze nic, że Hubal na zmienianych niewielkich obszarach swego panowania karze — w imieniu Rzeczypospolitej! — chłostą ludzi, którzy nie wykonują jego rozkazów, czy nawet tylko ociągają się z ich wykonaniem. Sam Hubal nie chce uznać zwierzchnictwa władz Armii Krajowej, zaniepokojonych skutkami jego niestłuchanego warcholstwa, próby ukrócenia jego «samowoli» nie dają rezultatu. Gdy Komenda Główna z Warszawy nakazuje natychmiastowe rozwiązanie oddziału, grożąc za niewykonanie sądem polowym, — Hubal w pisemnej swej odpowiedzi nie tylko znieważa Komendanta Głównego, ale oficera, który rozkaz taki «śmiało» przywieźć i doręczyć, zamierza za to rozstrzelać i tylko rozważny kapelan oddziału nie dopuszcza do tej zbrodni. Za «polską fantazję» Hubala płaci straszliwą cenę ludność wsi, przez które przechodził lub gdzie kwaterował — niemieckie ekspedycje karne palą te wsie, zgłiszczą i gruzi każą zaorywać, mieszkańców zaś wyrzynają lub rozstrzelują «do ostatniego dziecka».

Czytając ten Wańkowiczowy rapsod o «polskiej fantazji» — zastanawiałem się, jaki by też los czekał Hubala po wojnie, gdyby przedtem w walce nie zginął? Czy stanąłby przed sądem i w konsekwencji — przed plutonem egzekucyjnym, czy też chodziłby w glorii bohatera? Na pewno — miałyby w Polsce wielu, bardzo wielu gorących obrońców. Stwierdzić to można na przykładzie samego autora. Wańkowicz nie pochwała oczywiście skutków tragicznych nieokiełzanego warcholstwa, wszakże, koło wsi, w odwiecie przez Niemców rozstrzelanych i spalonych, przechodził jakby chyłkiem, mówi o nich właściwie półzdapaniami, spychanymi na margines. Słów otwartego potępienia nie ma, co najwyżej — patetyczne dla Hubala porównania: «zgubo wsi na zemstę podanych, anarchio nieusłuchana, tragedia ziemi najechanej i rozdartej»... Serce autora jest po stronie bohatera. Mówi gdzieś, że partyzanci i powstańcy wszystkich czasów mieli swoich «uczonych w piśmie, swoich bardów, którzy na swoją głowę brali dorobienie uzasadnienia, dorobienie legendy do nierozsądnego zrywu serca»... Zgodnie z tym — sam staje się bardem i tworzy Hubalową legendę...

I to także jest — arcy-polskie!...

Władysław POBÓG-MALINOWSKI.

## Raport profesora Kinsey'a

Od czasu pojawienia się na rynku księgarskim w styczniu 1948 r., dzieło pt. *Sexual Behavior in the Human Male* utrzymuje się na jednym z pierwszych miejsc listy amerykańskich bestsellerów. Ta potężna, ośmiuset stronicowa księga, wydana nakładem W. B. Saunders Co (Filadelfia i Londyn), wydawców dzieł medycznych, w cenie \$ 6,50 za egzemplarz jest pierwszym tomem zakrojonej na skalę o wiele większą pracy badawczej prof. Alfreda C. Kinsey'a i jego współpracowników, dotyczącej wszystkich aspektów życia seksualnego ludzi.

Aczkolwiek literatury poświęconej takim tematom nie brak i coraz to któryś z mniej lub więcej przedsiębiorczych wydawców (nie wyłączając Mariana Kistera) próbuje osiągnąć powodzenie na rynku książką, mówiącą «naukowo» o tych sprawach niby drażliwych a przecież interesujących każdego, sukces raportu Kinsey'a przerósł najśmielsze oczekiwania zarówno autora jak i wydawcy. Ten solidnie opracowany i naszpikowany wykresami tom, będący owocem ośmioletnich studiów i wstępem do badań zakrojonych na największą w historii medycyny skalę, poświęcony jest zagadnieniom podstawowej dziedziny ludzkiego życia — ale mówi o nich na zasadzie znajomości bardzoziej systematycznej i doświadczenia w przekroju społecznym bez porównania szerszego, niż to miało dotąd miejsce w nauce. Ta też jest przyczyna sensacji, jaką wywołał — wyniki badań Kinsey'a gotowe bowiem wywrócić do góry nogami wiele przyjętych i ustalonych od dawna poglądów i pojęć, zarówno obyczajowych, jak moralnych i prawnych, odnoszących się do owego «sexual behavior».

Już dzisiaj, w pół roku zaledwie po wydaniu raportu Kinsey'a ukazują się publikacje, dyskutujące wagę jego pracy, wpływ jej i jej miejsce w nauce, jak też doniosłość dla wychowawców, albo prawników.

Kinsey, zoolog, przez dwa dziesiątki lat studiujący zagadnienia biologii owadziej spostrzegł, że poznawszy dokładnie życie seksualne poddanych jego obserwacji gatunków, na zapytania, zadawane przez studentów a dotyczące podobnej dziedziny w życiu człowieka, nie potrafi dać odpowiedzi naukowo uzasadnionych i równie precyzyjnych jak te, które wynikały z opanowania przez niego wiedzy o życiu gatunków niższego rzędu. Studium literatury naukowej, dotyczącej postępowania seksualnego i życia erotycznego ludzi utwierdziły go w przekonaniu, że zawiera ona masę sprzeczności, że temat traktowany jest niedokładnie i z wyraźnymi oznakami zahamowań, uprzedzeń nieuzasadnionych uogólnień i nieodpowiedzialnej pochopności w wyciąganiu wniosków.

Postanowił wobec tego na własną rękę znaleźć podejście do tego przedmiotu równie naukowo obiektywne i metodę obser-

wacji równie chłodną a precyzyjną, jak ta, która charakteryzowała jego badania nad owadami.

Metoda, zastosowana przez Kinsey'a, wywodzi się według własnego jego zeznania, z taksonomii. Taksonomia jest rozwinięciem systematycznej botaniki i zoologii. Historycznie jest to najstarsza nauka biologii. Jej podstawowym zadaniem było nazwanie, opis i klasyfikacja gatunków. Nowoczesna taksonomia posiada te same funkcje, ale odmienną technikę, w wyniku rozzeznania *jedyności* indywiduum i wielkiej rozpiętości różnic, jaka zdarzyć się może w grupach indywiduów. Jest w rezultacie miarzeniem wariacji, zachodzących w zespołach, będących obiektem zainteresowań naukowca. Prowadzi dalej do analizy tła i czynników, będących przyczyną owych różniczkowań między jednostkami i grupami jednostek.

Dokładny opis i klasyfikacja zjawisk podstawowych potrzebna jest na to, aby sobie pozwolić na śmiałość uogólnień. Konieczne dla tego celu było zbadanie wielkiej ilości przypadków i wydobycie na tej zasadzie reprezentacyjnych próbek. Kinsey kładzie poza tym wybitny nacisk na to, co nazywa «wycuciem statystycznym», które w kalkulacji przeciętnych nie zapomina o wspomnianej wyżej *jedyności* indywiduum i potrafi w uzyskiwaniu próbek wybierać i kwalifikować reprezentacyjność danego przypadku pod kątem proporcji i związku jego z całością. Stwierdza jednocześnie, że nigdy dotąd w nauce nie zostało przeprowadzane badanie dziedziny, będących przedmiotem jego raportu na skalę tak wielką i wszystkie warstwy ludności obejmującą. Zdając sobie sprawę z wagi, jaką metoda jego badania i autentyczność osiągniętych wyników przedstawia dla nauki, przeszło sto pięćdziesiąt stron raportu poświęcił Kinsey dokładnemu zanalizowaniu techniki i metod, zastosowanych dla uzyskania danych, będących przedmiotem jego studium.

Trzeba było zacząć od zdobywania materiału dowodowego z pierwszej ręki. Kinsey wypracował sobie system badania poszczególnych ludzkich okazów pod kątem swego specjalnego zainteresowania i rozpoczął od mozolnego przepytывania tysięcy indywiduów — spowiadał ich po prostu naukowo i rejestrował swoje spostrzeżenia, oraz ich odpowiedzi z matematyczną precyzją według z góry ustalonego schematu pytań. W krótkim już czasie praca, jaką rozpoczął, znalazła zrozumienie i poparcie najpoważniejszej naukowej instytucji w Stanach, jaką jest National Research Council; dział nauk medycznych fundacji Rockefellera podbudował te usiłowania finansowo; Uniwersytet Indiana poparł wszystkimi wpływami naukowy wysiłek swojego profesora. Można śmiało stwierdzić, że gdyby pierwszy tom raportu Kinsey'a nie posiadał najwyższego poparcia i patronatu uznanych powag naukowych w Stanach, jego ukazanie się miałoby wszelkie cechy niebywałego skandalu. Skandal polega głównie na tym, że po raz pierwszy w nauce czarno na białym, bez żadnych zahamowań, bez niedomówień i bez prudencji przedstawiony został nie tylko pod kątem pojedyncze-

go człowieka ale na szerokim tle społecznym, dokładny obraz tego, co naprawdę się dzieje i co naprawdę robią ze sobą ludzie w najintymniejszych okolicznościach samego aktu i składających się nań funkcji seksualnych.

Sprawozdanie niniejsze nie może mieć na celu nic innego, jak tylko bardzo ogólne poinformowanie czytelnika polskiego o rewelacyjnym dokonaniu amerykańskiej nauki, które na pewno wstrząśnie i przyprawi o swego rodzaju szok różnych purytanów i teoretyzujących moralistów, a niemniej przeto będzie stanowić podstawę w osiągnięciu sprawiedliwego poglądu na tę, tak wbrew pozorom naukowo zaniedbaną, dziedzinę naszego życia.

To ostatnie stwierdzenie wydaje się tym dziwniejsze, że przecież żyjemy w czasach, w których za sprawą Freuda praktyka psychoanalizy, jako najwyższa istniejąca metoda poznawcza i lecznicza zjawisk, związanych z życiem seksualnym, zdawała się odśłaniać wszystkie osiągalne tajemnice tej skomplikowanej dziedziny. Rewelacje Kinsey'a natomiast, chociaż pozornie spóźnione w chronologii rozwoju naszej wiedzy o siłach i motorach ludzkiego życia, gotowe wykazać, że bez opanowania przedmiotu elementarnych, bo fizycznych i biologicznych prawd o ludzkich obyczajach seksualnych i to w przekroju społecznym, traktowanie, a nawet rozumienie indywidualnych przypadków pozabawione było dotąd fundamentu.

Wspomniałem już, że praca Kinsey'a zaczęła się od zbierania i zbadania ponad dziesięć tysięcy przypadków, dobieranych metodycznie spośród ludzi różnego typu, wieku i środowiska. Każdy z kandydatów dobrowolnie czyniących spowiedź ze swego postępowania seksualnego, odpowiadał na kilkaset pytań, zadawanych przez naukowców, które dość szczegółowo dotyczą wszystkich dziedzin i możliwych subtelności życia erotycznego, z uwzględnieniem procesu rozwojowego, budzenia się ciekawości i gatunku podnieć na jakie reaguje, rodzaju tych reakcji i sposobów stosowanych dla zaspokojenia seksualnego. Sukces profesora Kinsey'a jako «spowiednika» polega nie tylko na dużym doświadczeniu, nabytym przy rejestrowaniu setek i tysięcy poszczególnych przypadków, nie tylko na znajomości przedmiotu i technice wyłubywania z zakamarków pamięci najbardziej intymnych szczegółów, nie tylko na pokonywaniu wrodzonej wstydlivosti niektórych pacjentów, ale na przekonaniu ich o pożyteczności z punktu widzenia naukowego jakie zeznanie ich daje. Kinsey nie formułuje żadnych sądów o ich postępowaniu, rejestruje je tylko z gwarancją absolutnej tajemnicy. Zarówno doświadczenie pytających jak i rodzaj pytań, które się krzyżują, jest taki, że łatwo stwierdzić prawdomówność danego zeznania.

Naczelnym przedmiotem badań Kinsey'a jest oczywiście samo zjawisko stosunku płciowego, tak jak uprawiany on bywa przez ludzi. Badaniem jego objęte jest wszystko, co się z tym wiąże, więc zarówno technika jak i częstość, czas, miejsce, ro-

dziej podnieć, prowadzących do spełnienia tego fizycznego aktu, jaki Kurkiewicz, przedstawiony w *Wiadomościach Literackich* przez Boy'a, określał rzeczownikiem «ptcię». Ale Kinsey'a interesuje także to wszystko, co, w trosce o znalezienie polskiej terminologii dla owych nienazwanych dziedzin życia ludzkiego, Kurkiewicz podciągał pod rubrykę «Krzętań przedpłciowych» i aż do osiągnięcia momentu, jaki określony został przez naszego rodzimego odkrywcę nazw dla rzeczy wstydlivych, najtrafniejszym bodaj terminem «szczytowania».

Już w świetle pierwszego tomu raportu Kinsey'a, który całość zagadnienia rozpatruje najpierw pod kątem zachowania się i postępowania «samca» — naczelnym i narzucającym się wnioskiem jest zdruzgotanie dotychczasowych koncepcji tego, co się uważa za naturalne, albo przeciwne naturze. Okazuje się bowiem, że to rozróżnienie nie jest oparte ani na danych biologicznych, ani nawet na znajomości samej przyrody. W żadnej innej dziedzinie nauka nie zadowoliliby się przejęciem pojęć biologicznych od prawodawców albo teologów średniowiecza, względnie wywiodła je z postulatów, sformułowanych po raz pierwszy przez hebrajskich mistyków i uczonych.

A przecież źródło naszych pojęć i podstawy moralne naszych nastawień do spraw seksualnych wywodzą się tym samym stopniu z Talmudu co z purytańskich wymogów, stawianych wyznawcom przez surowych i na pewno niedokształconych założycieli sekt religijnych w czasach późniejszych. Rozprawienie się z ich nieuctwem, obłudą, z przesadami i przesadą jest niejako naturalnym wynikiem naukowego przedstawienia dziedziny, będącej wciąż jeszcze obiektem apodyktycznych sądów, obłudnej moralności i przesądzonych już naprzód wyroków.

Rezultat publikacji Kinsey'a będzie automatyczne zmiecenie i zdemaskowanie szerzącego się zakłamania w związku z istniejącym rozdzwieniem pomiędzy przyjętymi zasadami absurdalnie nieraz surowego prawa\*) i obyczaju, a rzeczywistością życia, poddanego szkłom, oczom i zrozumieniu naukowego obserwatora.

Rozdzwiek ten stoi u podstaw rozpanoszonej hipokryzji, jaka się w traktowaniu owych spraw zakradła i dotąd nie pozwala na wyrugowanie uprzedzeń i nieuctwa, będącego źródłem popularnych poglądów na to, co jest właściwe a niewłaściwe,

\*) Dla przykładu niech posłuży fakt, że np. w stanie Massachusetts za stosunek fizyczny osób niepołączonych uprzednio węzłem małżeńskim kara wynieść może do trzech lat więzienia i 300 dol. grzywny. Cudzołóstwo w Kalifornii kosztuje z punktu widzenia przepisów prawnych 1000 dol. grzywny i rok więzienia. Większa część mieszkańców Kalifornii powinna na dobrą sprawę siedzieć w więzieniu. Sodomia w niektórych stanach, jak np. w Newadzie może spowodować karę dożywotniego więzienia, w New Yorku do 20 lat itp. Pruderia prawodawców idzie tak daleko, że nie znajdują oni definicji pewnych przestępstw, używają za to obficie przymiotników, żeby je określić, jako «obrzydlive i okropne».

szkodliwe lub nieszkodliwe, normalne względnie przeciwne naturze.

Większość podobnych różniczkowań w świetle istotnych praktyk seksualnych, uprawianych w społeczeństwie ludzkim, tak jak je w wyniku swoich sumiennych badań ukazuje Kinsey, traci na dobrą sprawę rację bytu.

Studium «samca» daje w dodatku stosunkowo łagodny obraz prawdziwych jego praktyk seksualnych w porównaniu z tym, jaki nas czeka z zapowiedzianą publikacją drugiego tomu, poświęconego «samicy».

Ale bo też oficjalny i publicznie stosowany kodeks moralności jako wyraz ustalonego podejścia do tych niepokojących dziedzin, podejścia które posiada ciasnotę purytańskich poglądów, nie uznających niczego co traci postępową nauką czy doświadczeniem, oparty jest na z gruntu fałszywym przypuszczeniu, że *istnieje jeden i ten sam wzór na życie seksualne ludzkiego indywiduum i że stosowanie się do tego z góry narzuconego, względnie wykształconego konwensansu, wzoru jest dla każdego z ludzi powinnością*.

Nawet w tak wyraźnie seksualnym powiązaniu, jakim jest związek małżeński, ledwo brana jest pod uwagę okoliczność, że dwie osoby płci odmiennych mogą być pod względem zarówno inklinacji, ła i zdolności seksualnych zupełnie różne i bynajmniej nie potrafiące się uzupełnić. Jeżeli idzie o badania, przeprowadzone nad życiem płciowym mężczyzn, różnica objawia się na przykład w odmiennym stopniu aktywności seksualnej.

Dalszym z interesujących spostrzeżeń w sprawozdaniu Kinsey'a jest np. powszechność zjawiska największej aktywności seksualnej u młodzieży *przed* pełnoletnością, a nie w wieku, określonym jako dojrzały. Fakt ustalania się typu seksualnego w wieku mniej więcej lat szesnastu uzupełniony jest nową dla wielu zasadą, polegającą na tym, że osobniki, odznaczające się wyjątkowo wczesną i intensywną aktywnością seksualną, posiadają okres życia seksualnego o wiele dłużej trwający niż te, które zaczynają późno. Mężczyzna w świetle badań Kinsey'a rozwija się pod względem seksualnym o wiele wcześniej niż kobieta, co jest na ogół sprzeczne z przyjętymi dotąd poglądami na tę sprawę. Podejście wychowawców i pogląd ich na zjawisko onanizmu w świetle rewelacji na ten temat, dostarczonych przez sprawozdanie Kinsey'a, także będzie wymagało zasadniczej rewizji.

Jedną jeszcze ciekawą konkluzją jego studium jest odkrycie ścisłego związku, jaki istnieje między kształtowaniem się obyczajów seksualnych, a środowiskiem z którego wywodzi się dany okaz i wykształceniem, jakiemu zostaje poddany, chociaż dom, szkoła, względnie kościół stanowczo mniej ma wpływu na tworzenie się typu, niż towarzystwo rówieśników, towarzyszy zabaw dziecińczych itp. Najwięcej jednak zależy od wrodzonego «nastawienia seksualnego» (sex attitude), które urabia się w

dziecku dawno przedtem, zanim zdobędzie ono jakąkolwiek świadomość czy doświadczenie z tej dziedziny. Chociaż stwierdzenia te nie będą się nikomu wydawać nowe, powiązanie ich z rozwojem poddanych obserwacji Kinsey'a osobników i to w przekroju społecznym, dostarcza nowych sposobów patrzenia na te zjawiska, jeszcze w całej pełni niewyjaśnione, a z punktu widzenia istotnych praktyk, stopnia ich powszechności i wpływu na życie tak jednostki, jak społeczeństwa, niebadanych dotąd ani w przybliżeniu w takim wymiarze, w jakim to czyni Kinsey.

Bo na przykład wynik owych badań prowadzi do stwierdzenia, że typy i obyczaje seksualne różnych grup i środowisk społecznych w tej samej miejscowości, gdziekolwiek w Stanach Zjednoczonych, są bardziej odmienne, niż przekazane nam przez antropologów różnice w praktykach seksualnych między mieszkańcami afrykańskiej dżungli i powiedzmy Eskimosami w Grenlandii.

Natomiast większość standartów moralnych narzucona jest współczesnemu społeczeństwu przez ludzi, należących do 15% sfery wyższej pod względem wykształcenia i których, jako takich, dzieli cała przepaść obyczaju i zapatrywań, żeby nie powiedzieć tradycji, od reszty mniej albo więcej rozwiniętych intelektualnie grup — (statystyczne dane raportu bazowane są na warunkach amerykańskich, ale niewątpliwie warunki angielskie np. są niezmiernie zbliżone). Grupa z wyższym wykształceniem ma tendencję patrzenia na sprawę seksu z punktu widzenia moralnego, *a priori* postanawiając co złe a co dobre. Przeciwna pł. publiczność natomiast sądzi te sprawy pod kątem co naturalne, a co nienaturalne. Akt płciowy jako leżący w ramach natury jest więc rzeczą naturalną, słuszną i bez względu na sankcje prawne dopuszczalną.

Innym wynikiem badań Kinsey'a jest oficjalne stwierdzenie, że większość praktyk seksualnych, potępianych przez prawo i obyczaj tak jest w rzeczywistości pospolita i do tego stopnia częsta, że znaczna część społeczeństwa (dokładnie 95%!) podciągnięta być powinna pod kategorię kryminalistów, gdyby jej praktyki seksualne były znane. Z czego oczywisty wniosek, że piszący prawa nie mieli pojęcia o powszechnych skłonnościach ludzi.

Raport Kinsey'a wykazuje, że blisko 70% męskiej ludności Stanów przed osiągnięciem 35 lat życia miewa «nielegalny i karalny» kontakt z prostytutką, że 86% «nielegalnie» uprawia stosunki płciowe jako nieżonaci, 30—40% natomiast spośród żonatyh dopuszcza się «wykroczeń» seksualnych poza małżeńskich, że przeciętnie jedna trzecia męskiej ludności Stanów już w wieku dorosłym miała dobrowolne doświadczenia, względnie przygody z partnerami tej samej płci, jedna szóstą ludności rolniczej natomiast stosunki ze zwierzętami, że 5% chłopców już w wieku lat 12-tu posiada za sobą doświadczenie «normalnego» aktu seksualnego!

Według tradycyjnej formułki, byłby to obraz ogromnej demo-

ralizacji i można by bawić się w załamywanie rąk i rozdzieranie szat nad stanem społeczeństwa o tak znacznym procencie niemoralnych obyczajów. Tymczasem Kinsey w podsumowaniu pierwszego tomu swoich badań stwierdza, że społeczeństwo to nie jest nic inne, ani bardziej zepsute niż jego poprzednicy, a więc np. młodzież okresu po pierwszej wojnie. Starsza generacja, dostarczająca Kinsey'owi materiału do badań, posiada za-  
stanawiającą podobne dzieje życia pod kątem nastawień, doświadczeń i techniki postępowania seksualnego. Nawet wielkie przemiany społeczne i ekonomiczne ostatnich dziesiątków lat nie wpłynęły w żaden znaczny sposób na zmianę seksualnego typu społeczeństwa: pejzaż społeczny Stanów, studiowany pod kątem obyczajów i praktyk seksualnych wykazuje innymi słowy zadziwiająco stały obraz, w ramach którego jest miejsce na niezmiennie i po dawnemu podobne odchylenia, skrajności i różnice.

Rozmiary Kinsley'owskiego przedsięwzięcia badawczego są tego rodzaju, że wkład ich do nauki i osiągnięcie tą drogą lepszej znajomości człowieka wydaje się pewnikiem, a zachęcić powinien specjalistów do przeprowadzenia podobnych badań także w innych krajach. Można z góry założyć, że wyniki ich na planie społecznym nie wiele się będą różnić od odkryć i rewelacji, dostarczonych nam dziś w sprawozdaniu Kinsey'a na zasadzie studium, przeprowadzonego w U.S.A.

Należy tylko wyrazić nadzieję, że wpłynie ono na reformę odnośnych praw i poglądów, pod kątem inteligentnej i zgodnej z osiągnięciami nowoczesnej nauki, tolerancji. Bo istniejąca ignorancja i obtuda prowadzi jedynie do takich śmieszności, jak przytoczone niedawno przez znanego powieściopisarza angielskiego autentyczne wydarzenie z czasów Anglii wiktoriańskiej. Oto ojciec opowiadającego, prawnik, miał bronić bardzo nieprzyjemnej i właściwie beznadziejnej sprawy «z kategorii obyczajowych». Zamieszany w nią był pewien pastor, a jako świadków powołano bardzo młodych ludzi, znajdujących się pod jego opieką. Obrońca bronił zarzutu o niemoralne praktyki czcigodnego pastora tak zręcznie, że ława przysięgłych uwolniła oskarżonego od winy i kary. Kiedy po rozprawie winszowano adwokatowi tak znakomitego sukcesu i zapytano go, jakim cudem udało mu się przekonać aeropag przysięgłych, złożony z dwunastu poważnych obywateli, odpowiedział: cała sztuka polega na znajomości ich psychologii. Wyszedłem z założenia, że między przysięgłymi jest co najmniej połowa takich, którzy uprawiają podobne praktyki, a znów druga połowa która nigdy nie uwierzy, żeby to było wogóle możliwe. No i widzą panowie, że się nie pomyliłem...

Aleksander JANTA.

# “POLSKA WALCZĄCA”

pod redakcją  
TYMONA TERLECKIEGO

najstarszy tygodnik polskiej emigracji wojennej, założony w Coëtquidan, pierwszym obozie Armii Polskiej we Francji i wychodzący bez przerwy od 29 listopada 1939 r.

- «POLSKA WALCZĄCA» jest pismem popularnym, każdemu dostępnym.  
«POLSKA WALCZĄCA» służy w szczególności b. żołnierzom Polskich Sił Zbrojnych i jest organem Stowarzyszenia Polskich Kombatantów.  
«POLSKA WALCZĄCA» przynosi wiadomości i oryginalne korespondencje ze wszystkich środowisk polskich na całym świecie, w każdym numerze jedną stronę pn. «Na kontynencie europejskim» poświęca Polakom w krajach Europy i zawiera stały dział «Kacik Kombatanta we Francji».  
«POLSKA WALCZĄCA» podaje informacje praktyczne, dotyczące warunków pracy, ustawodawstwa społecznego, możliwości emigracyjnych, przepisów prawnych itd.  
«POLSKA WALCZĄCA» prowadzi stały dział pn. «Nasza Ankieta», umożliwiając wszystkim czytelnikom zabieranie głosu w sprawach pisma i przyznający uczestnikom ankiety nagrody książkowe oraz umożliwia wszystkim swobodne wypowiedzenie się na wszystkie obchodzące ich tematy.  
«POLSKA WALCZĄCA» zamieszcza w każdym numerze ciekawe opowiadania i felietony, podaje oświetlenie ostatnich wydarzeń międzynarodowych, uwzględnia szeroko życie Kraju.  
«POLSKA WALCZĄCA» zapewniła sobie współpracę wszystkich wybitnych pisarzy obozu niepodległościowego.  
«POLSKA WALCZĄCA» zawiera liczne ilustracje z życia Polaków na obczyźnie, z walk w czasie ubiegłej wojny, dział «Widoki z Ojczyzny».  
«POLSKA WALCZĄCA» w każdym numerze przynosi dział rozrywkowy z nagrodami.  
«POLSKA WALCZĄCA» pragnie być łącznikiem między Polakami rozproszonymi po świecie, pomóc im w walce o byt, służyć radą i pomocą, dostarczyć łatwej i pożytecznej lektury.

Adres Redakcji:

**20 Queens Gate Terrace, LONDON S.W.7.**

Adres Komitetu Redakcyjnego we Francji:

**20, rue Legendre, PARIS 17<sup>e</sup>.**

«POLSKA WALCZĄCA» jest najtańszym pismem tygodniowym w języku polskim.

CENA POJEDYŃCZEGO NUMERU:

w W. Brytanii 6 d.  
we Francji 8 fr.  
w USA i Kanadzie 5 c.

WARUNKI PRENUMERATY (z przesyłką pocztową):  
w W. Brytanii: kwartalnie 8 sh, półrocznie 16 sh, rocznie 32 sh.  
w USA i Kanadzie: miesięcznie 35 c., kwartalnie 1 dolar am.  
we Francji: miesięcznie 98 fr., kwartalnie 294 fr.

«POLSKA WALCZĄCA» wprowadziła ostatnio zniżkową prenumeratę zbiorową i udogodnienia dla kolporterów pisma.

Szczegóły w administracji:

**160 Earls Court Rd, LONDON S.W.5.**

# „ORZEŁ BIAŁY”

TYGODNIK POLITYCZNO-LITERACKI

Redakcja i Administracja  
186a, Av. Rogier, BRUXELLES (Schaerbeek)

Przedstawicielstwa w Austrii, Wielkiej Brytanii, Francji,  
Holandii, Szwajcarii, Szwecji i we Włoszech

● Cena egzemplarza:

We FRANCJI 15 franków fr. ★ W BELGII 5 franków belg.  
W WIELKIEJ BRYTANII: 1/-

● Prenumerata:

WE FRANCJI miesięcznie 60 fr. fr.; kwartalnie 180 fr. fr.  
W BELGII miesięcznie 20 fr. belg., kwartalnie 60 fr. belg.  
W WIELKIEJ BRYTANII: miesięcznie 4/4, kwartalnie 12/  
rocznie 45/.

● Prenumeratę przyjmują:

WE FRANCJI: *Libella*, 12, rue St. Louis en l'Île, Paris IV,  
nr. konta pocztowego Paris cc 565.150.  
W WIELKIEJ BRYTANII: *Gryf Publications*, 59/61, Hatton  
Garden, London E.C.1.

OGŁOSZENIA: (za 1 cal przez 1 łam = £ 1)  
przyjmują przedstawicielstwa «Orla Białego»,  
na terenie zaś W. Brytanii wyłącznie firma  
BERRY Co, 437, Grand Buildings, Trafalgar Sq., LONDON W.C.2.

## WSZYSCY JUŻ WIEDZĄ

że n a j l e p i e j zaopatrzoną księgarnią we Francji jest

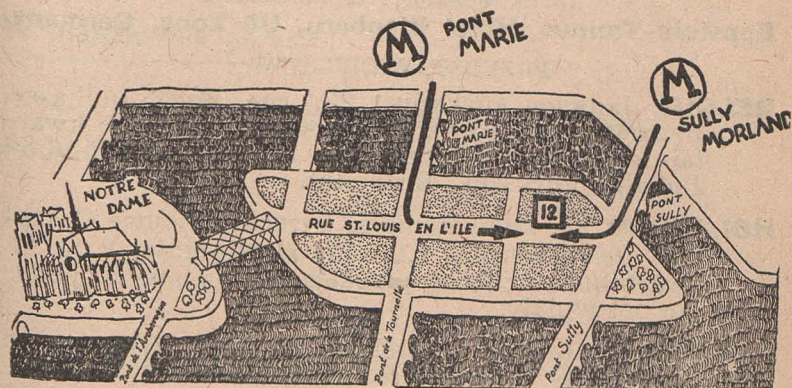
SKŁADNICA „LIBELLA”  
KSIĄŻKI POLSKIEJ

12, rue St-Louis en l'Île, Paris (IV<sup>e</sup>). Métro: Sully-Morland

**POSIADAMY** na składzie bogaty zapas książek, wyda-  
nych w Anglii, Ameryce, Francji, Polsce, Szwaj-  
carii, Włoszech i na Bliskim Wschodzie.

**WYSYŁAMY** książki polskie i francuskie do Afryki,  
Anglii, Ameryki, Belgii, Holandii, Polski, Szwaj-  
carii i na całą Francję.

*Księgarnia nasza jest położona w najpiękniejszym zakątku  
Paryża — w pobliżu Notre Dame i obok Hotelu Lambert.*



● ŻĄDAJCIE BEZPŁATNYCH KATALOGÓW ●



## „POD PRĄD”

*Pismo polskiej myśli niepodległej w Szwajcarii  
(wychodzi 3 razy w miesiącu)*

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:  
**FRIBOURG 2, case postale 10, SUISSE.**

### DO NABYCIA:

**FRANCJA:** «Libella», 12, rue St-Louis en l'Île, Paris IV<sup>e</sup>.  
Librairie T. Pajor, 47, rue de l'Université, Paris  
VII<sup>e</sup> (cena 25 fr.).

**W. BRYTANIA:** Wobec odmowy kolportażu przez Centr. Skł.  
Książek SPK, czytelników w W. Brytanii  
prosimy o zamawianie pisma pocztą wprost  
w Administracji wraz z jednoczesnym wysła-  
niem należności w międz. kuponach poczt.  
(egz. = 1 kupon).

**BELGIA:** Księgarnia Polska, 42, rue Defacqz, Bruxelles  
(cena 7 fr.).

**WŁOCHY:** Zamówienia przyjmuje bezpośrednio Admini-  
stracja. Cena 1 egz. = 1 kupon (60 lir).

---

## „Kronika”

niezależny tygodnik demokratyczny.

*Adres redakcji i administracji:*

**Eppstein-Taunus, Hotel Bienberg, US Zone, Germany.**

PRZEDSTAWICIELSTWA:

**BELGIA:** Jadwiga Jurkszus, 23, rue Felix Delhasse,  
Bruxelles-St. Gilles. Wpłata prenumeraty: kwar-  
talnie 24 fr., półrocznie 48 fr. na: CCP 7556 89  
Jadwiga Jurkszus, Bruxelles.

**HOLANDIA:** Ks. Leon Romala, Utrecht, Nieuwe Gracht  
92. Prenumerata 1,20 Fl. miesięcznie, 3,00 Fl.  
kwartalnie, wpłacać przekazem pocztowym, poda-  
jąc cel wpłaty.

**FRANCJA:** Librairie «Libella», 12, rue St-Louis en  
l'Île, Paris IV<sup>e</sup> (Metro: Sully Morland). Prenu-  
merata roczna 480 frs., półroczna 240 frs. Cena  
pojedynczego egz. 10 frs.

**Prenumerata zagranicę wpłacana w markach na terenie**

**Niemiec kosztuje rocznie 104 Mk.**

## Współpraca Czytelnika

### W rozpowszechnianiu pisma:

Proszę:

o wysłanie numeru okazowego do niżej wymienionych osób  
(prosimy o załączenie 10 fr. w znaczkach pocztowych na porto):

o przyznanie bezpłatnego dwumiesięcznego abonamentu oso-  
bom, które niewątpliwie będą kontynuowały prenumeratę (pro-  
simy o załączenie 20 fr. w znaczkach pocztowych na porto):

---

### W redagowaniu pisma:

Proszę, aby „KULTURA” poruszyła w najbliższych numerach  
następujące tematy:

Mam następujące zarzuty i uwagi pod adresem pisma:

# KULTURA

pod redakcją Jerzego Giedroycia

◆  
**Cena egzemplarza:**

we FRANCJI 90 fr.; w W. BRYTANII 3 sh.; we WŁOSZECH 200 lir;  
w SZWECJI 2,50 kor.; w NIEMCZECH 2,50 Mk.; w SZWAJCARII 1,80 fr. szw.  
w ARGENTYNIE 2,50 peso.

◆  
**Warunki prenumeraty:**

we FRANCJI: roczna 800 fr.; ½-roczna 500 fr.  
w W. BRYTANII: roczna 1 £ 10 sh.; ½-roczna 16 sh.  
we WŁOSZECH: roczna 2000 lir; ½-roczna 1200 lir  
w SZWECJI: roczna 22 kor.; ½-roczna 12 kor.  
w NIEMCZECH: roczna 25 Mk.; ½-roczna 15 Mk.  
w SZWAJCARII: roczna 18 fr. szw.; ½-roczna 10 fr. s.  
w AMERYCE: roczna 6 dolarów; ½-roczna 4 dolary  
w ARGENTYNIE: roczna 25 peso; ½-roczna 15 peso

◆  
*Cena ogłoszeń:* cała strona 6.000 fr. fr.; ½ strony 4.000 fr. fr.

◆  
**Przedstawicielstwa:**

We FRANCJI: Librairie « Libella », 12, rue St-Louis en l'Île — Paris (IV<sup>e</sup>)  
We WŁOSZECH: Jan Crochowski, 81, via della Croce, Roma  
W ARGENTYNIE: Jan Miecznikowski, Calle España 2225, Bartolome Mitre F.C.C.A.,  
Buenos Aires.  
W SZWECJI: «Wiadomości Polskie», Riddaregatan 25/1 ö. g., Stockholm.  
W NIEMCZECH: Wydawnictwo «Kronika», (16) Eppstein (Taunus), Hotel  
Bienberg, U. S. Zone.  
W SZWAJCARII: Redakcja «Pod Prąd», — Fribourg 2, Case 10

◆  
**Adres Redakcji:** Librairie «Libella», 12, rue St-Louis en l'Île, Paris IV<sup>e</sup>.  
Telefon: Maisons Laffitte (S.-et-O.) 19-04

◆  
*Redaktor przyjmuje po uprzednim porozumieniu się  
listownym lub telefonicznym*

◆  
Redakcja KULTURY rękopisy nadesłane a nie zamówione zwraca  
jedynie przy załączeniu znaczków pocztowych na portło

◆  
*KULTURA omawia w pierwszym rzędzie książki i czasopisma  
nadsyłane do redakcji w 2-ch egzemplarzach*

UWAGA!

UWAGA!

## Prenumeratorzy Kultury

mogą nabywać wydawnictwa  
Instytutu Literackiego ze zniżką  
40 % od cen katalogowych (plus  
koszty przesyłki).

Zamówienia kierować wprost do administracji  
pisma na adres:

## Redakcja „Kultury”

c/o LIBRAIRIE « LIBELLA »  
12, rue St-Louis en l'Île, – Paris (4<sup>e</sup>)

ŻĄDAJCIE KATALOGÓW  
INSTYTUTU LITERACKIEGO

---

**W najbliższym czasie Instytut Literacki wydaje:**

Arthur Koestler:

CIEMNOŚĆ W POŁUDNIE  
*w przekładzie Tymona Terleckiego.*

Józef Czapski:

NA NIELUDZKIEJ ZIEMI

---